

HISTORIA LUDOWA

CZY PRZYJDĄ
PODPALIĆ DOM?



PISZĄ MIĘDZY INNYMI:

PROF. NOWAK, DOERRE, WOŚ, DR SIKORA, CHMIELEWSKI,
STELMACH, LASKOWSKI, KRATIUK, PROF. WYŻGA, OBARA



PCh24.pl
POLONIA CHRISTIANA

SPIS TREŚCI

JACEK ŁASKOWSKI	
„Chłopki” – feministyczna agitka o naszych babkach ożywia „Seksmisję”	8
ROZMOWA Z PROF. ANDRZEJEM NOWAKIEM	
Polskie BLM bez Murzynów i co dalej?	27
ROZMOWA Z PROF. MATEUSZEM WYŻGĄ	
Wspólnota zamiast konfliktu	38
AGNIESZKA STELMACH	
Współczesne ruchy społeczne i Wielka Transformacja	51
PAWEŁ CHMIELEWSKI	
Rewolucja egalitaryzmu w Kościele	104
DR RADOŚŁAW SIKORA	
Nie taka Rzeczpospolita straszna jak ją malują	124
RAFAŁ WOŚ	
Historia ludowa, czyli lud udawany	136
PIOTR DOERRE	
Rycerskość polskiej kultury	143
FILIP OBARA	
„Cudze chwalicie, swego nie znacie”. Dlaczego wstydzimy się polskiej kultury ludowej?	160
KRYSTIAN KRATIUK	
Pop-historia ludowa, czyli uzasadnianie nienawiści	170
MARCIN AUSTYN	
Walczymy o dobro dzieci, rodzin i wiarę. To jest przyszłość Polski!	184

Wybrane publikacje

TOMASZ FIGURA

Andrzej Duda się nie udał 189

ROZMOWA Z PROF. TOMASZEM PANFILEM

Canterbury. W obronie katolickiej duszy Anglii i Europy 199

PAWEŁ CHMIELEWSKI

Transhumanizm. Ta ideologia ma wielki potencjał... ludobójstwa 227

FILIP ADAMUS

Kobiecość bez macierzyństwa, męskość bez odpowiedzialności.
Oto przepis na katastrofę 234

ROZMOWA Z PROF. MARKIEM KORNADEM

Rosja, cerkiew, katolicyzm 241

KRYSTIAN KRATIUK

Strong, independent Helena i krzyż 281

PAWEŁ CHMIELEWSKI

Karol Nawrocki, nowa Konstytucja
i „teologia polityczna” ks. Piotra Skargi 287

PAWEŁ KOT, ADAM KOWALIK

Czy proroctwo o „iskrze z Polski” już się spełniło? 294

PIOTR DOERRE

Narodowe rekolekcje Chorwatów.
Byłem świadkiem wielkiego koncertu „Thompsona” 304

Szanowni Czytelnicy,

Historia jest zawsze sporem o pamięć. To zdanie – banalne w swojej formie – nabiera dramatycznej aktualności w epoce, w której coraz częściej słyszymy, że dzieje nie są już dziedziną poznania prawdy, ale jedynie polem niekończących się narracji. Właśnie w ten sposób przedstawia się dzisiaj tzw. „historia ludowa”. W istocie nie jest to bowiem żadna „alternatywa” wobec historii klasycznej, lecz jej świadome i programowe zniekształcenie, podporządkowane ideologicznym celom.

„Ludowa” opowieść o przeszłości wyrasta z ducha marksizmu i nowoczesnych teorii emancypacyjnych, które w każdej epoce i w każdym narodzie dostrzegają wyłącznie konflikt klasowy, ucisk i wyzysk. W takim ujęciu polska historia staje się nie dziejami narodu budującego państwo, tworzącego kulturę i broniącego swojej wiary, lecz kroniką „cierpienia mas”, jakby cała przeszłość sprowadzała się do opowieści o wyzysku i buncie. To narracja z gruntu fałszywa – nie tylko jednostronna, ale i destrukcyjna. Jeśli bowiem odejmiemy Polakom wielkość ich historii, pozostanie jedynie pustka, którą łatwo wypełnić ideologią.

Nie przypadkiem więc projekty „historii ludowej” pojawiają się dziś z nową siłą. Nie są one li tylko akademicką modą, ale częścią szerszej ofensywy kulturowej, w której chodzi o przeformatowanie zbiorowej pamięci. To proces dobrze znany z Zachodu: wystarczy spojrzeć na dyskusje wokół „cancel culture”, ataki na pomniki ruchu BLM czy próby przepisywania historii kolonializmu. Polska, jeśli wyrzeknie się dumy ze swoich dziejów, staje się podatnym gruntem dla podobnych operacji.

Dlatego ten numer naszego kwartalnika poświęcamy w całości krytycznej analizie fenomenu „historii ludowej”. Chcemy pokazać, że nie jest to ani naukowa nowinka, ani niewinna zabawa intelektualna, ale groźna narracja, która – gdyby przyjąć ją za obowiązującą – prowadzi do rozbicia duchowego i kulturowego narodu.

Oddajemy do rąk Czytelników teksty znakomitych autorów, którzy podjęli to wyzwanie na różnych płaszczyznach. Wśród nich znaleźli się: profesor Andrzej Nowak, profesor Mateusz Wyżga, doktor Radosław Sikora, Krystian Kratiuk, Rafał Woś, Paweł Chmielewski, Agnieszka Stelmach i inni.

Wszystkie te głosy łączy jedno: przekonanie, że prawdziwa historia nie jest zbiorem dowolnych narracji, ale drogą ku prawdzie. Tylko taka historia może być fundamentem wspólnoty. Jeśli pozwolimy, by dzieje Polski zostały zredukowane do opowieści o ucisku i wyzysku, wówczas zatracimy zdolność rozumienia własnej tożsamości. A bez tożsamości naród staje się łatwym łupem dla tych, którzy pragną nim rządzić.

Ten numer kwartalnika jest więc apelem o odwagę. O odwagę stanięcia w obronie własnej historii, o niezgodę na jej fałszowanie i banalizowanie. O odwagę mówienia prawdy – czasem trudnej, ale zawsze zakorzenionej w szacunku dla pokoleń, które budowały polską wolność i kulturę.

Chcemy, by Czytelnik, zamykając ten numer, nie tylko dostrzegł zagrożenia płynące z mody na „historię ludową”, ale też umocnił się w przekonaniu, że polska przeszłość jest powodem do dumy, a nie do wstydu. Że dzieje naszego narodu nie są pasmem klęsk i cierpień, lecz świadectwem niezwykłej woli trwania, zdolności do ofiary i wierności Bogu.

Zdajemy sobie sprawę, że nie jest to łatwa debata. Historia bywa polem sporów, ale nie można zgodzić się na to, by została zawłaszczona przez ideologów, którzy pod pozorem troski o „zwykłego człowieka”

niszczą pamięć o bohaterach, o świętych, o wielkich czynach. Nasz kwartalnik ma być narzędziem w tej walce – walki o pamięć prawdziwą, wierną i uczciwą.

Niech więc ten numer stanie się zachętą do refleksji, ale i do działania. Bo historia – choć opowiada o przeszłości – w gruncie rzeczy decyduje o przyszłości.

Łączę wyrazy szacunku i wdzięczności
Łukasz Karpiel
Redaktor naczelny Kwartalnika PCh24.pl

 WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI



„CHŁOPKI” – FEMINISTYCZNA AGITKA O NASZYCH BABKACH OŻYWIA „SEKSMISJĘ”

Kobiecty bestseller „Chłopki” Joanny Kuciel-Frydryszak idealnie wpisuje się w schematy myślowe marksizmu kulturowego, sączone z popkultury nowemu pokoleniu. Książka udająca naukową przedstawia „nasze babki” jako klasę niewolniczą wyzyskiwaną przez klasę panującą samca i potrzebującą rewolucji i wyzwolenia. Ze śmiertelną powagą wymyśla groteskę znaną z „Seksmisji” J.Machulskiego. Przede wszystkim jednak wbija do głów ostateczne przesłanie, że polska wolność to brud i niewola, przy której niewola u Niemców lub komunistów to postęp i wyzwolenie.

CZĘŚĆ I

SALON SZYKUJE NAM FEMINISTYCZNĄ REWOLUCJĘ „WOKE”

Książka nie jest całkiem nowa (wydana w 2023 r.), ale jej powodzenie jest tylko etapem na drodze rewolucji „woke”, szykowanej nam przez postkomunistyczny salon. Warto więc o niej napisać przez wzgląd na tę kroczącą rewolucję.

KOMUNISTYCZNA SZTAFETA POKOLEŃ

„Chłopki” mogą się wydawać oryginalne i odkrywcze tylko ich młodym czytelnikom. Dla każdego, kto orientuje się w mechanizmach postkomunistycznego monopolu medialno-kulturowego, ich treść jest tylko elementem stałego schematu propagandy uprawianej przez ten monopol od 1989 r., a w zasadzie od 1944 r., kiedy został on zainstalowany na czołgach Stalina w miejsce prawdziwej Polski.

Nieziennym rdzeniem tej propagandy jest obrzydzanie ze wszystkich sił tradycyjnej polskości, a najbardziej stanowiącego duszę i serce Polski Kościoła katolickiego, żeby wyhodować nowego zrewoltowanego czerwonego post-Polaka.

„Chłopki” są tylko jedną z serii publikacji w najnowszej operacji inżynierii kulturowej pod hasłem „ludowej historii Polski”, która ma przedstawić życie dawnego chłopca jako murzyna-niewolnika katomwanego przez panującą szlachtę. Sztafetę w tej serii prowadzą „Ludowa historia Polski” (2020 r.) i „Obrońcy Pańszczyzny” (2022 r.) Adama Leszczyńskiego, „Chamstwo” Kacpra Pobłockiego (2021 r.), film „Kos” (2023 r.), itp. (Skądinąd K.Pobłocki figuruje na okładowej euforycznej rekomendacji „Chłopek”). Seria ta zdradza stalinowskie korzenie dzisiejszego salonu medialnego, bo w tym samym schemacie ujmowała dawną Polskę propaganda historyczna PRL.

MAŁPOWANIE ZACHODNIEJ LEWICY

Bliższą inspiracją tych publikacji jest jednak światowa lewacka rewolucja „woke” (ang. „zostać przebudzonym”), wszczęta dekadę temu przez fanatycznych zachodnich kulturowych marksistów w imię do-bicia „cywilizacji białego człowieka”. Jej echa dotarły do Polski w postaci doniesień medialnych z USA o obalaniu pomników białych postaci historycznych, zmuszaniu białych do przeproszania za to, że są biali i klękania przed murzynami (np. w czasie meczów piłkarskich).

Odbiciem tej neomarksistowskiej rewolty są najnowsze hollywoodzkie produkcje, maniakalnie wciskające parytety kolorowych do każdego filmu (czarni są nawet arystokraci w serialach o wiktoriańskiej Anglii). Zachodnia kinematografia od zawsze była radykalnie lewicowa, ale ostatnio lewacki obłęd stracił wszelkie hamulce. Najnowsze produkcje powstają według tak prostackiego schematu, że chyba zawstydzą propagandę w Korei Północnej. Złe i wstrętne postacie są obowiązkowo białymi tradycyjnymi mężczyznami, a dobre i szlachetne murzynami, gejami, kobietami (Żydów od zawsze wolno przedstawiać tylko dobrze).

Inicjatywy rodzimych lewaków są jak zwykle tylko tępą kalką zachodnich wzorców. Wykreowanie tubylczej odmiany rewolucji „woke” wymaga jednak znalezienia wyzyskiwanej klasy niewolniczej, przy pomocy której obrzydzi się Polskę, tradycję i Kościół. I tu jest problem, bo w Polsce nie było murzynów. Polskim murzynem został oczywiście

chłop pańszczyźniany. Tyle, że obrzydzanie pańskiej Polski przez komunistów mogło być skuteczne na początku XX w., gdy nie wiadano jeszcze co to komuna, a 85% ludności należało do warstwy robotniczo-chłopskiej, podczas gdy panów i burżujów było 1–2%. Dzisiaj ludowa historia Polski nie ma do kogo trafiać, bo nawet na wsi niewiele osób utrzymuje się jeszcze z rolnictwa, a Internet i telewizja sprawiły, że mentalnie wieś niewiele różni się od miasta.

KOBIECY PROLETARIAT MARKSISTOWSKIEJ REWOLTY

I tu tkwi źródło sukcesu J.Kuciel-Frydryszak na tle innych chłopomanów. Znalazła dla postkomunistycznego salonu zastępczą klasę niewolniczą, przy pomocy której można przeszczepić nam lewacką rewolucję. Tą klasą są kobiety – wprowadzie nie większość, ale połowa populacji.

Schemat płciowego „wokizmu” pierwszy raz zauważyłem w hollywoodzkiej przeróbce z 2014 r. znanej bajki o śpiącej królewnie pt. „Czarownica” z Angeliną Jolie w roli głównej. Wszystko w tym filmie jest odwrócone w stosunku do bajki. Żli są rycerze a dobre magiczne stworzenia z lasu wyglądające jak demony i potwory. Dobra jest królewna, a biedna jej matka. Księżę okazuje się nie kochać królewny prawdziwą miłością. Najgorszy jest żądny władzy ojciec królewny, który wykorzystuje i zdradza czarownicę, a ta okazuje się najszlachetniejsza. Niby rzuca urok na królewne, ale staje się jej najczulszą macochą. Zwycięstwo dobra nad złem to zwycięstwo dobrych kobiet, a szczególnie czarownicy i demonów nad złym królem oraz męską nieczułością i zdradliwością. Film jest widowiskowy i dobrze się ogląda. I tym większą jest trucizną dla duszy dziecka.

„Chłopki” opisują relacje kobiet i mężczyzn według tego samego tępego marksistowskiego schematu. Wpisują się w to, czym współczesny nastolatek przesiąka z popkultury od najmłodszych lat. Tyle, że kreują się na pozycję historyczno-naukową, rzekomo odkrywającą wstydliwą kartę polskich dziejów, a konkretnie życie „naszych babć”, czyli chłopek z okresu II Rzeczypospolitej.

Dla czytelniczek są podwójnie przekonujące. Po pierwsze każdy najłatwiej wierzy w kłamstwa, w które chce wierzyć. A książka oferuje czytelniczkom przesłanie, że są dumnymi kobietami wyzwolonymi ze strasznej „patriarchalnej” niewoli. Po wtóre historycznym analfabektom pozwala wierzyć, że doświadczyły poznania intelektualnego, bo zapoznały się z pozycją „naukową” i znają „naukowe fakty”, przypadkowo w 100% pokrywające się z ich feministycznymi poglądami, którymi przesiąkały od dzieciństwa z Internetu i telewizji, kontrolowanych przez postkomunistyczny salon, promujący autorkę i jej książkę.

CZYM SIĘ SZPRYCUJĄ KOBIETY

Obraz życia polskiej międzywojennej wsi w „Chłopkach” to obraz nędzy, brudu i ciemnoty, a przede wszystkim obraz niewolnictwa tyrających ponad siły wiejskich kobiet, sprzedawanych w młodości w małżeńską niewolę przez nieczułych ojców w ręce zazwyczaj odpychających mężczyzn i katowanych wraz z dziećmi przez mężów brutalni. Kobiety są tu stłamszoną ostoją rozsądku, pragnącą szkolnej edukacji, która je wyzwoli i otworzy na świat, ale niemogących się rozwijać w okowach prymitywnego „patriarchatu”.

Wszystko to oczywiście sankcjonuje wsteczny Kościół katolicki nakazujący podporządkowanie kobiety mężczyźnie i rodzenie ponad siły gromady dzieci (byleby unikać dobrej postępowej aborcji i antykoncepcji), co wpędza wieś w jeszcze większą nędzę. Życie społeczne II RP to terror katolickiej i narodowej propagandy, szczującej na postępowych komunistów i wywołującej pogromy Żydów. Biedna kobieta męczennica ucieka od swojej pozbawionej nadziei doczesnej gehenny w religijną nadzieję życia wiecznego podsuwaną przez kontrolujących umysły księży.

Nie wątpię, że czytelniczki Joanny Kuciel-Frydryszak przyjmują tę wizję przeszłości jak prawdę objawioną i niepodważalne świadectwo. Z najszczerzym poruszeniem wrażliwych serduszek i oburzeniem na straszliwą niewolę babć umacniają się w postanowieniu wyzwolenia z okowów katolicko-narodowej Polski na rzecz postępu i feminizmu.

W ogóle nie kojarzą, że ten podsuwany im bardzo wygodny i niby do-
wartościowujący je schemat, w którym funkcjonują jako biedna ofia-
ra samczych zbrodni, dziwnie pokrywa się z marksistowskim sche-
matem walki klasowej. Kobieta zastępuje w walce płci wyzyskiwany
proletariat a mężczyzna kontrolującego środki produkcji kapitali-
stycznego wyzyskiwacza. Rola Kościoła i tradycyjnej kultury też jest
identyczna jak u Marksa, Lenina i komunistów. To „opium dla ludu”,
które ma odwrócić uwagę wyzyskiwanej kobiety od jej ziemskiej nie-
doli, odurzyć ją i zafałszować jej świadomość, żeby nie zwróciła się ku
przynoszącej jej wyzwolenie lewacko-feministycznej rewolucji.

CZĘŚĆ II: ŚWIAT Z „SEKSMISJI” ISTNIAŁ NAPRAWDĘ?

FAKTY PO FEMINISTYCZNEJ OBRÓBCE

Jak autorka osiąga ten efekt propagandowy? Poprzez wycinankę
zwaną „świadcstwami z epoki”. Masz w stadzie 990 owiec białych i 10
szarych. Wybierasz sobie tych 10, robisz im zdjęcia, przycinasz, kolo-
ryzujesz i przedstawiasz jako reprezentatywny obraz czarnego stada.
„Chłopki” są w dużej mierze kompilacją około dwudziestu życiorysów
różnych „naszych babć”, uzupełnianych dodatkowymi historiami
i artykułami z przedwojennej prasy, odpowiednio dobranymi i ka-
rykaturalnie przedstawionymi, żeby wykreować wzorzec doskonałej
kobiety uciemnionej z feministycznej propagandy „woke”.

Można to uchwycić w stworzonym z takich życiorysów obrazie cięż-
kiej pracy na przedwojennej wsi – oczywiście pracy kobiety. Autor-
ka obszernie opisuje chłopkę harującą ponad siły prawie od urodze-
nia. Już jako mała dziewczynka zmuszana jest sprzątać swoje rzeczy,
zamiatać izbę, karmić drób, nosić drewno na opał. Dorastając musi
paść krowy, prac, prząść, pracować w polu, handlować. A wszystko
to rodząc gromadkę dzieci, utrzymując je i wychowując. Autorka za-
pewnia, że najgorsze prace wykonują kobiety. Wielkomiejskie czy-
telniczki są przerażone. Symbolem tej katorgi jest okładkowe zdjęcie
umęczonej chłopki taszczącej wiadra wody niczym niewolnicze brze-
mię. Wszystko to jest wielce sugestywne.

Oszustwo tego opisu polega na złośliwym wycięciu z niego całego ciężaru życia mężczyzn. Mąż w obrazkach J.Kuciel-Frydryszak pojawia się, żeby zbić dzieci, domagać się obiadu, skatować żonę, stłamsić jej postępową inicjatywę swoim prymitywnym konserwatyzmem. W opisach ciężkiej pracy ojców i synów nie ma. Pewnie jedzą, piją i się lenią, jak to klasowi wyzyskiwacze. Tyrają głodujące matki i córki.

Tu tkwi bezczelność autorki „Chłopek”. Może przedstawiać kobiecie prace jako najcięższe swoim wielkomiejskim fankom, bo te w życiu wsi nie widziały. Harówka na dawnej wsi była bardzo ciężka. Tyle, że tych najcięższych prac w książce nie ma, bo wykonywali je mężczyźni, a nie nierówne im kobiety. Oranie, sianie, żniwa, wyrąb drzew na opał spadały na mężczyzn, bo byli temu w stanie fizycznie podołać. Kobiety w polu wykonywały lżejsze prace pomocnicze. Tak samo ich praca w domu (w feministycznej propagandzie największe poniżenie kobiety, jako kelnerki na bankiecie życia mężczyzny) była wynikiem tego, że te najcięższe prace polowe brali na siebie mężczyźni. Czy nie służyli tym kobietom, harując na nie? Jeśli w rodzinie był trud i bieda, to był to wspólny trud i bieda, a nie klasowy wyzysk kobiety. Tyle, że opisanie tego niweczyłoby efekt propagandowy książki, mającej wywołać u czytelniczek rewolucyjne wrzenie.

PASTWISKO JAKO SIEDLIŚKO ZBRODNI I ZEPSUCIA

Obraz pracy wiejskich dziewczynek trąci groteską większą niż scena z „Seksmissji” szkolenia sekcji specjalnej przez instruktorkę, przedstawiającą brzytwę jako samcze narzędzie tortur, by wzbudzić postrach młodych kadetek. Książka w tonie grozy przedstawia broszurkę z epoki o wychowaniu dziewczynek. Czterolatki należy uczyć sprzątać ubranka i zabawki, podawać drewienka, zamiatać izbę, karmić kury, itp.¹ Po prostu horror. Co innego dzisiaj uczyć czterolatki chować rzeczy, karmić kota albo układać sztuczce. To już zupełnie normalne.

1 Joanna Kuciel-Frydryszak, *Chłopki. Opowieść o naszych babkach*, Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023, s. 25.

Największą tragedią dziecka jest pasienie ptactwa i trzody. Z „Chłopek” dowiadujemy się, że przedwojenne dziecko było niewolnikiem przywiązany do bydła. Rozdział o pasionce otwiera historia gwałtu na pastwisku na 7-latce. To chyba typowe, bo zaraz potem dowiadujemy się, że na porządku dziennym na pastwiskach były rozpusta młodzieży, bójki chłopców, gwałty na dziewczynach, bagno moralne.²

W podstawówce jeździłem do wujka na wieś i czasem pomagałem mu ganiać krowy na łąkę. Dobrze, że nie chodziłem sam, bo wtedy nie było książek J.Kuciel-Frydryszak i nie byłem świadomy, że mnie tam może zgwałcić horda prymitywów ze wsi. Ponieważ cudem przeżyłem, pozwolę sobie wyjaśnić przejętym zgrozą czytelniczkom „Chłopek”, znającym się lepiej na malowaniu paznokci i doklejaniu wachlarzow-rzęs, że dziecko krowy na pole nie nosi, ani nie ciągnie jak półtonowego wózka. Mogą tak pomyśleć ze zdjęcia w książce albo wierszyka o kobiecie, otwierającego książkę („Dźwiga na plecach dom, ogród, pole, krowy, świnię, cielęta, dzieci...”). Wyjaśniam, że krowy same chodzą. Trzeba je tylko batem poganiać, żeby nie schodziły z drogi. Jedyne wysiłki jakiego wymaga to od dziecka to pójść na pastwisko. Krowa też sama umie jeść trawę. Nie trzeba jej cały dzień karmić.

Jest jednak cudowna alternatywa dla strasznej pasionki. To oaza bezpieczeństwa – szkoła. Refren książki to dziewczynka marząca, by do niej pójść i się kształcić, ale zazwyczaj daremnie. Musi pracować. A tak zostałaby menadżerką, malarką albo pisarką feministycznej beletrystyki. Dziwne, bo ja jakoś w dzieciństwie nie mogłem znaleźć tych marzących o chodzeniu na lekcje dzieci. Za to najłatwiej było od kogoś oberwać szkole, a jeśli gdzieś szukać demoralizacji, to nie w pracy na gospodarstwie, tylko na szkolnych imprezach. W rzeczywistości nauka w szkole jest dużo bardziej stresująca dla dziecka i obciążająca od pasienia krów. A może mam jednak zafałszowaną świadomość, bo mało czytam feministycznej literatury.

2 Tamże, s. 17–23.

SŁOWO WYTRYCH „PATRIARCHAT”

Przedwojenna wieś w „Chłopkach” to też siedlisko kazirodztwa. Aby to udowodnić wystarczyło autorce wyciągnąć kilka spraw z prasy brukowej (nawet nadmienila, że często ich przebieg wydaje się nieprawdopodobny) i uzupełnić cwany komentarzem: „Nie znamy skali (...), ale na podstawie doniesień ówczesnej prasy możemy się domyślać, że problem dotyczył wielu dziewcząt”.³ Oczywiście stała za tym władza mężczyzn i surowe hierarchiczne życie rodzinne. Tę bezczelność napisała pieszczoszka czerwonego salonu, który od lat wszczepia nam jako normalność najobrzydliwsze zboczenia pod nazwą „mniejszości seksualnych” LGBT a pod rządami „ministry” Barbary Nowackiej właśnie próbuje z nimi wejść do szkół. Zaczął nas oswajać i z kazirodztwem (vide: film „Bez wstydu” z 2012 r.).

Zamążpójście to kolejny etap gehenny młodej kobiety. Jest sprzedawana przez ojca za ziemię, byleby się jej pozbyć z domu. Opisanie w książce małżeństwa są zazwyczaj nieszczęśliwe. Oczywiście nieszczęśliwe, bo kobieta jest w nich nieszczęśliwa, a mąż zły. Wszystko jest oceniane przez pryzmat kobiecego Ja. Czy mąż jest szczęśliwy, a żona dobra – to perspektywa w ogóle nie do pomyślenia dla czytelniczek. Zresztą jak można o tym pomyśleć, skoro mąż w tej książce to pijany kat bezwolnej męczennicy, od którego nie ma ucieczki, bo opresyjny Kościół zabrania postępowych rozwodów. Nieliczne w książce szczęśliwe rodziny to głównie te, w których mniej rozgarnięty mąż pozwala rządzić rodziną inteligentniejszej od niego kobiecie.

Nawet propaganda komunizmu nie przedstawiała walki klasowej pana z chłopem w tak prostacko nienawistny i karykaturalny sposób, jak „Chłopki” przedstawiają relacje wiejskiego męża z żoną.

Za wszystko odpowiada oczywiście złowieszczy „patriarchat”. Chociaż „Seksmisja” z 1983 r. jest wielką satyrą na totalitaryzm i feministyczny psycho-świątek, to nie posługuje się tym terminem. Nawet jeszcze w latach 90-tych go nie używano. Ten sekciarski feministyczny epitet

3 Tamże, s. 142–143.

został nam upowszechniony przez postkomunistyczny salon dopiero w ostatnich 25 latach. To słowo wytrych ma oczywiście stygmatyzować normalną rodzinę i narzucić nam sposób myślenia o niej w kategoriach marksistowskiego pola wyzysku kobiety i walki klasowej.

POBOŻNOŚĆ JAKO ZABURZENIE POST-TRAUMATYCZNE

Nie należy jednak sądzić, że książka jest napisana po to, by wpoić akolitkom feminizmu hasło sekcji specjalnej z „Seksmisji” – „Samiec twój wróg”. To tylko środek do zasadniczego celu tej publikacji i całej serii „ludowej historii Polski”, jak też i innych postkomunistycznych serii np. tej o „polskich nazistach antysemitach”. Rzeczywistym celem takich produkcji jest obrzydzenie polskiej niepodległości, tradycji, a najbardziej Kościoła katolickiego – wzbudzenie wstrętu do bezmiaru rzekomych cierpień, za które mają odpowiadać i wywołać nie potrzeby ich odrzucenia, wyzwolenia się ku postępowi i lewackiej rewolucji.

J.Kuciel-Frydryszak osiąga tu najwyższy kunszt. Do przyklepiania do Kościoła odpowiedzialności za wykreowany przez siebie obraz cierpień i wyzysku nie potrzebuje żadnych konkretnych faktów. Nawet w tych wyselekcjonowanych przez nią żywotach „naszych babć” religia i Kościół generalnie się nie pojawiają (co najwyżej w postaci wzmianek o dewocjonaljach).

To jednak nie problem, bo w dalszych rozdziałach książki J.Kuciel-Frydryszak sama z siebie zaczyna snuć „analizę” o zamkniętym kręgu przemocy, hierarchii, „patriarchatu”, religii i Kościoła. Dla dodania wrażenia naukowości posiłkuje się równie naukową „analizą” z samej siebie współczesnej skrajnie lewicowej reporterki Katarzyny Surmiak-Domańskiej oraz żydowskiego psychiatry Andrzeja Lедера (syna komunistycznego pułkownika i wnuka współpracownika F. Dzierżyńskiego).⁴

4 Tamże, s. 76, 83–85, 104, 145–148.

W zachodniej popkulturze sprzed 30 lat negatywny stereotyp ukazywał księdza jako surowego nadzorcę religijnych zakazów i nakazów. Obecnie antychrześcijańskie media i kino poszły o dwa kroki dalej i przedstawiają religię jako rodzaj schorzenia psychicznego, a człowieka wierzącego jako niezrównoważonego emocjonalnie. Dokładnie taki obraz roli religii w życiu wiejskiej kobiety jest kreowany z powietrza w „Chłópkach”. Wiejska kobieta w „Chłópkach” popada na skutek przemocy w patologiczną dewocję. Religijność w tych psychoanalizach jawi się jako post-traumatyczne zaburzenie emocjonalne w trójkącie małżeńskim z katowaną kobietą i mężem sadystą, razem tworzący pokręcone relacje z dziećmi. Przy tym błędnie sławne opium dla ludu. A wszystko to oparte na tym, że autorka z parą lewicowych ekstremistów z kółka wzajemnej adoracji tak sobie piszą. Problem polega na tym, że zapewne czytelniczki ślepo w to wierzą.

CHŁOPKA HARUJĄCA 18 GODZIN, A MOŻE NIE

Kolejny refren książki to brak obuwia, opieki medycznej i ciągłe niedokarmienie wsi. Jedzenie przed wojną rzeczywiście było proste i mało pożywne, ale czytając książkę, można odnieść wrażenie, że przedwojenna Polska stała na krawędzi głodu. Tu nawet informacja, że dzienna porcja pokarmów chłopą dawała 3117–4335 kalorii⁵, jest ujęta tak, że ma się wrażenie, że chłop słał się na nogach.

Jakie mniemanie autorka ma o bystrości swoich fanek, skoro w jednym rozdziale podaje wyniki trzech badań z epoki z których jednocześnie wynika, że kobiety tyrają nawet po 18 godzin dziennie⁶, mąż się leni a w najmniejszych gospodarstwach do 3 ha starcza pracy najwyżej na 3 miesiące i kobieta pracuje o 500 godzin rocznie więcej niż mężczyzna (tj. o 15% więcej), co daje dziennie nieco ponad 1 godzinę różnicy (niecałe 11 godzin dla męża i 12 dla żony).⁷ Tajemnica tych sprzeczności jest prosta. Praca na roli jest sezonowa, a siłą rzeczy w 1–3 hektarowych gospodarstwach z pojedynczymi krowami nie

5 Tamże, s. 240–243.

6 Tamże, s. 205.

7 Tamże, s. 219–221.

mogło być tak olbrzymiego obciążenia pracą. Do tej normy pracy doliczane są prace czysto domowe, a nie tylko zarobkowe. Przy takim sposobie liczenia pracy to i współczesny człowiek pracuje 10–12 godzin dziennie, a z opieką nad dziećmi i zakupami może 14–16.

Chłopki szły też do pracy u ziemian albo miejskiej inteligencji. Czasem Pan był lepszy, czasem gorszy, ale zawsze trzeba było się podporządkować, narażając na wykorzystywanie pracownicze, a czasem seksualne. Wszystko to podszyte było poniżeniem, nierównością i duchem pańszczyzny zniesionej 60 lat wcześniej (jak wiadomo współcześni wolni i równi pracownicy korporacji swobodnie narzucają swoje zdanie dyrektorom).

GUŁAG DLA INDIAN RAJEM DLA POLKI

Jedną z dróg wyzwolenia od polskiej bieda niewoli jest emigracja (w rzeczywistości była znacznie mniejsza niż w III RP). W rozdziale, którego tytuł mówi sam za siebie „Tam lepi w nocy, jak tu w dzień”, opisana jest historia jednej z takich chłopskich emigrantek, która znalazła życiowy raj zagranicą. Można by nie zwracać uwagi na jej pojedynczą historię, gdyby nie to, gdzie ten raj znalazła – mianowicie jako robotnica na farmie w Kanadzie w stanie Saskatchewan.

Dokładnie w tym samym czasie, gdy J.Kuciel-Frydryszak pisała „Chłopki” przez Kanadę przetaczała się fala nienawiści do Kościoła wywołana zmyśloną w 2021 r. historią masowych grobów indiańskich dzieci. W tych samych latach 20-tych XX wieku, których dotyczy historia polskiej emigrantki, ten sam rajski stan Saskatchewan, do którego trafiła, miał być jednym z epicentrów głodzenia i wyzysku indiańskich dzieci na farmach.

Jakim cudem ten sam czas i miejsce mogą jawić się dla antyrasistowskiego skrzydła rewolucji „woke” w Kanadzie i feministycznego w Polsce tak diametralnie różnie. To dlatego, że indiańskie dzieci pracowały na farmach przy kościelnych szkołach zawodowych, które odrywały je od pięknej szamańskiej tradycji, natomiast polska

emigrantka trafiła na farmę dobrego żydowskiego pana, wyzwając się od obmierzłej katolickiej i polskiej tradycji.

Po wyjściu za mąż w Kanadzie też musiała pracować w polu, doić krowy, szyć rodzinie ubrania, nie mając prądu i bieżącej wody, czyli ostatecznie zapewne taszczyć wiadra wody, tak samo jak na okładowym zdjęciu z „Chłopek”. Tylko, że w odniesieniu do Polski było to niewolnicze „patriarchalne” brzemie, a w odniesieniu do Kanady jawi się jako symbol pionierskiego ducha sukcesu.⁸

Wbrew temu co się mówi, książki czasem można oceniać po okładce. „Chłopki” są dokładnie taką manipulacją, jak ich okładowe zdjęcie, które zarzuca przedwojennej wsi, że kobieta musiała jak niewolnik nosić wiadra wody. A jak tę wodę noszono na wsiach zagranicą? Wodociągami, czy jednak też w wiadrach? Równie dobrze można by zarzucać „patriarchalnej” Polsce, że nie kupowała kobietom robotów do noszenia wody.

ABORCYJNA AGITATORKA

Obowiązkowo w książce pojawia się temat aborcji, oczywiście w duchu feministycznym. II RP to okres eksplozji demograficznej (wzrost populacji w latach 1921–39 z 27 do 35 mln ludzi). Wiejskie kobiety rodziły dużo dzieci. A jak wiadomo feministki nadmiar dzieci najchętniej by zabijały. J.Kuciel-Frydryszak pozwala nam się więc domyślać, że prawdopodobnie wiele ciąż to skutek małżeńskiego gwałtu ze strony mężów.⁹

Rozdział o aborcji jest o tyle ciekawy, że autorka nie potrafi w nim utrzymać maski badaczki historii i ujawnia twarz agresywnej promotorki feministycznej ideologii. Zajadłe emocjonalnie komentuje antyaborcyjną „demagogię tekstu” katolickiego „Rycerza Niepokalanej” (wydawanego przez św. ojca Maksymiliana Kolbe), „wyssany z palca”

8 Tamże, s. 117–131.

9 Tamże, s. 144–145.

obraz matki dokonującej aborcji, „zwyczajnie cyniczne” „epatowanie tego typu kłamliwymi wizjami”, „religijno-wojskową indoktrynację”.¹⁰

W jej opisie promowanie przez Kościół wielodzietności jawi się jako droga do masowego wymierania z głodu przeludnionej wsi. Tymczasem elementarzem demografii jest, że XIX i XX-wieczna eksplozja demograficzna w Europie to skutek poprawy warunków żywieniowych i medycznych pozwalających wykarmić większą niż dawniej populację. Gęstość zaludnienia w II RP wzrosła w latach 1921–39 z 70 do zaledwie 90 osób/km², podczas gdy dzisiejsza III RP osiągnęła szczyt zagęszczenia na poziomie 123 osób/km², a ma problem nie z przeludnieniem, tylko z zaścią demograficzną.

W całej książce autorka nie tylko propaguje feministyczne ideologiczne sekciarstwo, ale i stosuje ciekawy chwyt socjotechniczny, żeby uodpornić fanki na ewentualne wyjście z sekty. Czasem przedstawia stanowisko przeciwne (odpowiadające prawdzie), ale tak, żeby czytelniczki nie miały wątpliwości, że to propaganda kleru i „ideologów katolickich”. Jakby ktoś chciał wytknąć czytelniczkom poruszonym kobiecą tragedią „Chłopek” fałsz tej książki, to już zawczasu są uprzedzone, że tak samo argumentowały przedwojenne „Rydziki” i nacjonaści. Zaszczepione na prawdę akolarki feminizmu będą jak „sekcja specjalna zawsze lojalna”.

Jakim dramatem jest współczesna edukacja, skoro „Chłopki” stały się takim bestsellerem (podobno sprzedaż sięgnęła 500 tys. egzemplarzy, co oznacza 1–2 mln czytelniczek). Zapewne większy efekt niż racjonalne tłumaczenie fankom fałszów tej książki, dałby powtórny seans „Seksmissji”. Na poważnie bowiem przejęły się opowieścią rodem ze szkolenia kadetek sekcji specjalnej i przyswoiły sobie ducha feministycznej rewolucji woke – „liga broni, liga radzi, liga nigdy was nie zdradzi”.

¹⁰ Tamże, s. 175–177.

CZĘŚĆ III: II RP W KRZYWYM ZWIERCIADLE FEMINISTYCZNEGO PSYCHO-ŚWIATKA

POLSKI KLER I FASZYSTA SZCZUJE NA ŻYDA

Pod koniec „Chłopiek” możemy jeszcze poznać obrazki z życia politycznego II RP, które jeszcze lepiej pokazują jak bezczelna, zakłamaną i nienawistną wobec niepodległej Polski jest ta książka.

Katolicki kler i bezkarni pod sanacyjną dyktaturą endecy szczują na bezbronnych Żydów, nienawidzą postępowych komunistów. Propagandą i terrorem zmuszają kraj do ekonomicznego bojkotu uczciwszych i pracowitszych od Polaka Żydów, żeby odebrać im handel. Antysemitkiej propagandzie ulegają otumanione chłopki.

W 1936 r. dochodzi do największego przed wojną „pogromu w Przytyku”. Polska tłuszcza demoluje żydowskie sklepy i domy, bije kamieniami. Giną 3 osoby, w tym załuczone żydowskie małżeństwo, mnóstwo rannych. Sąd obciąża za prowokację Żydów, co przeraża tych, którzy boją się spirali nienawiści. Relację z pogromu J.Kuciel-Frydryszak podaje za „Ilustrowaną Republiką”.¹¹ Tego, że gazeta należała do Żydów, już nie podaje.

Cały ten opis jest ordynarnym fałszem rzeczywistości (jak cała książka). Dzięki Piotrowi Gontarczykowi i jego książce „Pogrom?” z 2000 r. znamy te wydarzenia z akt procesu. To żydowska bojówka otworzyła w Przytyku ogień z broni palnej do nieuzbrojonych Polaków, zabijając jednego i raniąc innych a żydowski tłum rzucił się bić chłopów pałkami i kamieniami, nie oszczędzając kobiet i dzieci, na co dopiero odpowiedzieli rozwścieczeni Polacy.

Polityczną nienawiść i bojkoty ekonomiczne potępia autorka książki pisanej tuż po tym jak w 2020 r. hordy feministek ze „Strajku kobiet” nielegalnie wychodziły w całym kraju na ulice wyładowywać swoją

¹¹ Tamże, s. 362–380.

nienawiść do Kościoła katolickiego za to, że Trybunał Konstytucyjny ograniczył im „prawo” do zabijania dzieci, a czołowe należące do Żydów media w Polsce (TVN, „GW”) entuzjastycznie opisywały tę fałdę nienawiści. Ta sama „GW” promuje teraz „Chłopki” i orkiestruje bojkot reklamodawców, żeby zdusić finansowo TV „Republika” i zniszczyć w zarodku jakiegokolwiek szczeliny w skrajnie lewicowym monopolu medialnym, trwającym od 1989 r. (a faktycznie od 1944 r.). Ledwie w 2023 r. w tym samym celu rząd Tuska w asyście firmy ochroniarskiej i policji zajął siłą TVP. Bojkoty ekonomiczne „GW” i słynne „zniszczę cię” Michnika nie są zresztą opisywane od dziś.

NIEMIECKI PAN DOKARMIA POLKĘ A PRL PRZYNOSI JEJ AWANS

Przychodzi kres II RP, będącej synonimem nędzy i poniżenia chłopki. Niemieckiej okupacji książka już nie opisuje z wyjątkiem jednego aspektu – pracy niewolniczej w Niemczech. Pojawiają się cztery relacje „naszych babek”. Praca jest ciężka jak za polskich czasów. Na dobrą jednak sprawę niemiecki pan okazuje się lepszy od polskiego. Wprawdzie w II RP nie było „pana”, tylko płacący pensję pracodawca, a tu Polka nie jest nawet chłopką pańszczyźnianą, tylko literalnie niewolnicą, ale jakoś czytając książkę można odnieść wrażenie, że różnica jest na plus. Wszystkie cztery „nasze babki”, w Polsce wiecznie głodne, mogą się wreszcie dokarmić i napchać brzucha. Jedna nawet dzięki wywózce do Niemiec poznaje bardziej kulturalny świat i podnosi się cywilizacyjnie. Dobry niemiecki pan nobilitował ją do gotowania, zamiast do przerzucania gnoju i dojenia (a w Polsce gotowanie mężowi to był element „patriarchalnego” poniżenia). Potem jest już zbyt cywilizowana, by zostać z powrotem zaakceptowana na polskiej wsi.¹²

Jaka to odkrywcza i fascynująca perspektywa. Poprosiłem więc kilka osób z mojego otoczenia o znane im relacje z wywózek do Niemiec. Polacy może tam nie głodowali, ale sąsiada wujka karmili u bauera martwym płodem krowy. Doił 20 krów 2 razy dziennie. Rodzinę znajomej w czasie powstania wywieźli w bydłych wagonach. Przez cztery dni jedli tylko zabrane skórki od chleba. Mężczyzn traktowano dobrze,

¹² Tamże, s. 432–451.

ale jej matka bywało, że na gospodarstwie pracowała nawet 20 godzin dziennie. 14-letnia wówczas ciotka zimą pracowała w lesie bez ciepłego ubrania, a z Niemiec wróciła po wojnie piechotą z odmrożeniami. Babki z „Chłopek” to dopiero miały statystyczne szczęście.

Komunistyczna Polska też nie mieści się w ramach książki, ale autorka, obrzydzając bezustannie polską niepodległość, nie zaniedbuje w kilku fragmentach sufłowania, że późniejsze niedomówione stalinowskie zmiany ustrojowe to czas „społecznego awansu”, poprawy bytu.¹³

Nad całą tą książką unosi się duch sugestii, że dobrobyt przychodzi nam wraz ze stopniowym odrzucaniem niewolniczego brzemienia katolicyzmu i polskiej tradycji oraz wyborem postępu. Jest to duch współczesnej zachodniej rewolucji „woke” i propagandy marksizmu kulturowego, które jednak zachowują pełną ideologiczną ciągłość z bolszewickim komunizmem zainstalowanym nam w 1944 r. na czołgach Stalina.

WSPÓŁCZESNY LEWAK JAKO ŹRÓDŁO HISTORYCZNE

Tupeciarstwo „Chłopek” jest jeszcze większe. Jeśli się przyjrzyć tym świadectwom z epoki, na których zbudowana jest książka, to ich bohaterkami stale okazują się babcie współczesnych feministek, skrajnie lewicowych aktywistów i literatów postkomunistycznego salonu, co J.Kuciel-Frydryszak maskuje, opisując ich jako pisarzy, reporterki, kulturoznawczynie. Mamy tu np. prababcię Piotra Kieżuna z „Kultury Liberalnej” (w 2023 r. napisał w czasopiśmie rekomendację książki), babcię Haliny Bińczak („Dziennik Gazeta Prawna”, „TP”), prababcię feministki Dominiki Gruz, babcię Elizy Szybowicz („Krytyka Polityczna”, „GW”), ciotkę Agnieszki Jędrzejczyk („GW”, „Oko Press”), babcię Magdy Piekarskiej („Wysokie Obcasy Extra”), babcię pisarza Macieja Jakubowiaka, itp. Życie tych „naszych babek” poznajemy oczywiście dzięki opowiadaniom ich współczesnych wnucząt, które same nie znają II RP a są równie reprezentatywne dla Polaków jak Magdalena

¹³ Tamże, s. 296–297, 322–323, 457–458.

Biejat, czy Adrian Zandberg. „Chłopki” bardziej adekwatnie powinny nosić podtytuł „opowieści współczesnych skrajnych lewicowców o ich babkach”.

Mamy też w książce relacje pisarskie z czasów II RP, w tym tak typową „świadkinię” epoki jak matka kochanki Bieruta (czytelniczki zapewne nawet nie wiedzą, kto to był), urywki ze wspomnień przedwojennych radykalnych lewicowców i antyklerykałów. Nic dziwnego, że kompilacja tych historii daje obraz obmierzłej niewolniczej polskiej niepodległości, kontrolowanej przez wszechwładny kler.

KURS HISTORII DLA ANALFABETEK

Aby to wszystko bezrefleksyjnie łykać, trzeba nie tylko przesiąkać od młodości analogiczną marksistowską propagandą z popkultury, ale i nie wynosić ze szkoły elementarnej wiedzy historycznej, a zdolność krytycznego myślenia kończyć na wstrzeliwaniu się w podsuwane na testach odpowiedzi a, b, c.

Takim osobom współcześni lewacy mogą wmawiać, że przedwojenna sanacja Józefa Piłsudskiego była katolicko-narodowym reżimem osłaniającym endeckie antysemickie bojówki. II RP była państwem radykalnie laickim, które uchwaliło ultrademokratyczną konstytucję a kobiety nie musiały w niej walczyć o żadne prawa. Utworzona w 1926 r. po zamachu majowym sanacja była dyktaturą radykalnie lewicową i ateistyczną. Miała swoje polityczne korzenie w PPS, z którego wywodziła się też Komunistyczna Partia Polski. Endecja Romana Dmowskiego była jej największym politycznym oponentem i jeśli ktoś doświadczał represji ze strony sanacji to nie Żydzi, tylko właśnie narodowcy. Sam Dmowski też nie był żadnym katolickim faszystą. Pozostawał jak Piłsudski ateistą prawie do śmierci.

II RP była biedna, ale ta bieda nie była przez nią zawiniona. Narodziła się na terenach najbardziej zniszczonych w Europie przez I wojnę światową, przez które w latach 1914–1920 kilkakrotnie przetaczał się front. Nawet w czasie pokoju nie miała chwili wytchnienia, bo już w 1925 r. Niemcy próbowały doprowadzić ją do załamania

gospodarczego wojną celną, a w 1929 r. wybuchł największy w historii światowy kryzys ekonomiczny.

Mimo to wbrew fałszerstwom „Chłopek” czyniła kroki rozwojowe i nie słaniała się z głodu na nogach. Jedyną chwilą, gdy groził jej głód był rok 1918 r., gdy trwająca od kilku lat okupacja „dobrych” kajzerowskich Niemiec ogołociła ją z większości zasobów, a na wschodzie wybuchła niszcząca wszystko czerwona rewolucja.

Częścią tej ludobójczej, dzikiej i bezlitosnej rewolucji od samego początku były feministki, które weszły już do pierwszego bolszewickiego rządu w osobie Aleksandry Kołłontaj. Początek tej rewolucji na wsi w 1917 r. uwieczniła w swoim pamiętniku pt. „Pożoga” Zofia Kossak-Szczucka, w tym też rzeczywiście obraz rzekomo stłamszonych „patriarchatem” kobiet i pocziwych Żydów: *„Świadomie (...) cieszyli się [z rewolucji] jedynie Żydzi (...). Chłop wracał do domu i myślał. (...) a tam zabierała głos – baba. Kobiety (...) zdolne i sprytne (...) a niepowszednio zajadłe (...) stały się najlepszymi agitatorami. Nikt tak chciwie nie pragnął wszystkiego co dworskie (...). Żydzi prowadzili je jak chcieli i dokąd chcieli, a one prowadziły ostrożniejszych i powściągliwszych od siebie mężów. Na „schodach” czyli wiecach wiejskich nikt ich nie przegadał i nikt nie powstrzymał.”*¹⁴

Rewolucyjne szczucie szybko przyniosło efekt. Rabunki, mordy i rzezie rozlały się jak pożar po całym imperium carskim, eksterminując najpierw tradycyjne elity, a potem bogatszych chłopów „kułaków”. Ostatecznie mająca ułudą wzbogacenia się na zbrodni władza bolszewicka zabrała ziemię wszystkim, kolektywizując rolnictwo i przynosząc nędzę jakiej nigdy nie widziano. Po 1917 r. w ZSRR zginęły z głodu dziesiątki milionów ludzi. Tamtejsi chłopci na klęczkach pragnęliby zaznać takiej „biedy” jak w niepodległej Polsce, obrzydzanej przez J.Kuciela-Frydryszak.

Towłaśnie odzyskanie niepodległości w 1918 r. i „cud nad Wisłą” w 1920 r. ocaliły nas przed komunistycznym głodem, terrorem i ludobójstwem.

¹⁴ Zofia Kossak, *Pożoga*, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 2020, s. 22, 24.

II RP, gdyby miała chwilę wytchnienia, weszłaby na ścieżkę dobrobytu jak biedniejsze od niej Tajwan, czy Korea Południowa. Zniweczyła to wspólna niemiecko-sowiecka napaść w 1939 r. i stalinowskie zniewolenie w 1944 r., które zmieniło nasz kraj w piekło znane dziś tylko z Korei Północnej, niszcząc życie następnych dwóch pokoleń.

FEMINISTYCZNY „WOKE” PÓJDZIE DALEJ

Gospodarczy kajdan tej niewoli opadł w 1989 r., ale dużo gorszy kajdan duchowy w postaci wymordowania prawdziwych polskich elit i zastąpienia ich komunistyczną łże-elitą pozostał do dziś. Dzięki temu ideowi kontynuatorzy tej sowieckiej spuścizny, dalej kontrolujący prawie wszystkie ośrodki medialne i kulturalne, mogą odwracać rzeczywistość i przedstawiać polską niepodległość i tradycję, a szczególnie religię katolicką jako brzemię niewoli, a komunistyczną niewolę i ludobójstwo (których częścią były od początku feministki), jako postęp i wyzwolenie.

Na jakie epitety zasługują ci, którzy w to uwierzyli, a szczególnie młode kobiety bombardowane neomarksizmem z popkultury i za swoje wyzwolenie uznające ludobójczą ideologię, której wyznawcy w XX w. zagłodzili i wymordowali 70–110 mln ludzi.

Biorąc pod uwagę sukces wydawniczy „Chłopek”, można się spodziewać, że postkomunistyczny salon szybko pójdzie dalej, by wywołać nam feministyczną odmianę rewolucji „woke”. Zapewne niedługo ukażą się „demaskatorskie” publikacje, które nie będą odbiegać beczelnością od kanadyjskiej kampanii nienawiści z 2021 r. o masowych grobach indiańskich dzieci. Może w polskiej wersji usłyszymy o przedwojennych dziewczynkach zagłodzonych i zakopanych w ogródkach przez zakonnice w katolickich sierocińcach.

Nie wolno propagandzie ani na krok ustępować, ani pozwolić jej sobie narzucić, tylko dlatego, że młode kobiety w swoich postępowych serduszkach bardzo się nią wzruszyły. Józef Piłsudski ostrzegał kiedyś: „Historię swoją piszcie sami, bo inaczej napiszą ją za was inni i źle”. Jak bardzo sprawdziły się te słowa.

POLSKIE BLM BEZ MURZYNÓW I CO DALEJ?

Na tym etapie to chłopki są uciśnione, także przez prymitywnych chłopów. Ale to nie będzie koniec, bo chłopki także wkrótce znajdą się na ławie oskarżonych. I myślę, że następna książka pani Kuciel-Frydryszak czy kogoś innego, kto pójdzie jej torem, to powinna być historia (i mówię to bez żartów) inwentarza domowego, który jest bezlitośnie mordowany przez te chłopki. Wszystkie te kury, którym ucina się głowę, te wieprzki patroszone na boisku... – mówi profesor Andrzej Nowak w rozmowie z Krystianem Kratiukiem.

Myślę, że książka ta, wpisująca się w nurt historii ludowej i jednocześnie w jakiś sposób w narrację feministyczną, zgodnie z poszukiwaniem kolejnych uciśnionych według znanego nam już marksistowskiego schematu, była poniekąd skazana na taki sukces. Ale ja jej osobiście nie czytałem. Założyłem bowiem, że stanowi przedłużenie pewnych negacji właśnie nurtu historii ludowej, a jako że sięgnąłem po inne pozycje tegoż nurtu, tą sobie odpuściłem. Natomiast gorąco polecam Czytelnikom inną książkę autorstwa pani Kuciel-Frydryszak, pod tytułem „Iłła. Opowieść o Kazimierze Iłłakowiczównie”. To jedyna dzisiejsza biografia tej wielkiej polskiej i katolickiej poetki, czytałem z zainteresowaniem.

Wśród innych książek o historii ludowej, o których Pan wspomniał, mamy samą „Historię ludową Polski”, „Chamstwo”, „Śladami Szeli” i wiele innych. Do tego dochodzą dzieła popkultury i teksty w prasie popularnej, wskazujące na odwieczny konflikt między klasą panującą a chłopstwem. To w sposób oczywisty prowadzi do porównania z myślą marksistowską. Ile jest prawdy w tych coraz częściej popularyzowanych obrazach, z których wynika, że szlachta polska traktowała chłopów gorzej nawet niż traktowano niewolników na plantacjach bawełny za oceanem?

Myślę, że co najmniej od XVIII wieku można w historii myśli europejskiej obserwować i doświadczać niestety tej tendencji, której historia ludowa jest tylko kolejnym wcieleniem. Tendencji, w której najważniejszym punkcie, kluczowym punkcie pojawia się nazwisko Karola Marksa, które daje w pewnym sensie nazwę całemu temu kierunkowi, choć on sam jest przecież starszy. Chodzi rzecz jasna o utożsamienie, powiedziałbym, rzeczywistości z walką o władzę, z walką o władzę między ludźmi. Według Marksa, jego naśladowców, ale i niektórych myślicieli przed nim, wszystko, do czego można sprowadzić rzeczywistość to podział na grupy, potem ostatecznie na jednostki, które całość swojego życia realizują rywalizując z innymi.

I do tego sprowadza się całe spojrzenie na nasze życie, to dość przerażające. Marks nadał temu oczywiście wizję klasową, jako klucz do interpretacji całej rzeczywistości. Zafałszowanie tego kierunku polega na tym, że ludzie przez poprzednie stulecia, czyli przed XVIII wiekiem w ogromnej większości nie postrzegali w ten sposób swojego życia, jako życia uciśnionego, życia wewnątrz jakiejś klasy, w której rywalizuje się z innymi klasami.

A w jaki sposób je postrzegali?

Spoglądali na rzeczywistość jako pewien ład naturalny, w którym znajdujemy swoje miejsce, w którym oczywiście raz odczuwamy większe dolegliwości, raz mniejsze wynikające z tego miejsca w ładzie naturalnym. Ale to jest właśnie naturalne, to jest normalne. Natomiast nie kwestionowano całego tego ładu.

W pewnym momencie jednak przychodzą jednak w końcu właśnie myśliciele głoszący, że należy to odrzucić, że należy potraktować to jako zasadniczo niesprawiedliwy układ. I ci, którzy głoszą te hasła, bynajmniej nie wywodzą się z reguły z klas uciśnionych, bynajmniej nie należą do tych, którzy są prześladowani, tylko występują w roli, którą już Platon opisał w swoim państwie.

W roli trutniów...

Otóż to! Trutniów, to znaczy takich osobników, którzy wzywają do buntu, wzywają do podniesienia rebelii, choć nie oni reprezentują tej grupy, która w jakiś sposób byłaby przez rzeczywistość prześladowana czy usytuowana w sposób podporządkowany. I właśnie kolejnym echem takiego nastawienia stała się wywodząca oczywiście z marksistowskiej tradycji wizja nowej historii, jaką zaprezentował Howard Zinn, amerykański historyk marksistowski w swojej „Ludowej historii Stanów Zjednoczonych” (A People’s History of the United States).

Ale co ma z tym wspólnego historia Polski? Przecież wyglądała zupełnie inaczej niż USA!

To co Pan mówi jest logiczne, ale nie o taką logikę tu chodzi. Tu chodzi o logikę, nazwijmy to, małpowania, naśladowania tego, co przychodzi z Zachodu, który wciąż jest postrzegany jako ten lepszy, postępowy. Logikę małpowania tych najbardziej postępowych popłuczyn najmodniejszych w danym momencie ideologii na Zachodzie. I stąd się wzięła historia ludowa w Polsce. Czterdzieści lat po książce Zinna, pan doktor habilitowany a dziś już profesor Adam Leszczyński napisał swoją „Historię Ludową Polski” dokładnie według recepty Zinna.

W samym naśladowaniu nie ma może nic złego. Ważne jest jednak czy naśladuje się wzory, które rzeczywiście mogą pomóc nam zrozumieć rzeczywistość, czy wzory, które służą utrwaleniu fałszywej, nieprawdziwej wizji rzeczywistości.

I jak jest w tej sprawie?

Oczywiście rzeczywistość życia społecznego w I Rzeczypospolitej jest bez porównania bardziej skomplikowana niż prosta jak cep teza, że polscy chłopci byli jak amerykańscy niewolnicy na plantacji. Ta teza, która pojawia się niestety i w książce profesora Leszczyńskiego i dużo ostrzej, bez porównania gorszych od niego książkach pisanych przez

ludzi, którzy nic wspólnego z zawodem historyka nie mają. Nie będę nawet wymieniał ich nazwisk.

To ważne, że nie są historykami?

Bardzo ważne dla prawdy. Mowa o rozmaitych tak zwanych antropologach kulturowych, psychologach społecznych, czy socjologach. Podkreślam, nie chodzi teraz o wymienianie tych nazwisk czy ich tytułów. Chodzi o podkreślenie, że ta teza o równości amerykańskiego niewolnika, znanego obrazu z popkultury, i polskiego chłopca jest mocno przez nich werbalizowana, a ma niewiele wspólnego z rzeczywistością. Tam jest to zafałszowanie rzeczywistości, po prostu nieprawda historyczna.

Zwróciła na to uwagę m.in. w recenzji książki Adama Leszczyńskiego badaczka właśnie historii chłopów polskich, Keely Stauter-Halsted, autorka kilku poważnych prac na ten temat. I to jest autorka o zdecydowanie lewicowych poglądach. Upomniała się w swojej recenzji książki Leszczyńskiego właśnie o to by jednak nie zakłamywać rzeczywistości. W Rzeczypospolitej chłopcy nie byli własnością swoich Panów, nie byli traktowani jak własność, nie mogli być sprzedawani indywidualnie, nie byli towarem, takim, jakim rzeczywiście byli pojedynczy niewolnicy na amerykańskich plantacjach.

Zwraca na to uwagę również wielu innych rzetelnych badaczy historii chłopstwa w Polsce. Akurat warstwa chłopstwa, rzecz jasna najliczniejsza w rzeczywistości społecznej Rzeczypospolitej, była bardzo podzielona wewnętrznie. Grupa kmieci, najliczniejsza, licząca 30–40%, a w niektórych momentach historycznych i w niektórych regionach nawet do 50% społeczności chłopskiej, to byli chłopcy, którzy dysponowali swoją własnością ruchomą, którzy uprawiali swoją ziemię, którzy po prostu żyli życiem na pewno nie tylko uciśnionym, jak chcieliby tego twórcy historii ludowej.

Była to zatem osobna grupa społeczna, miała swój samorząd, co jest bardzo ważne, w Rzeczpospolitej istniała bowiem samorządność chłopska!

No tego raczej murzyni na plantacjach w USA nie mieli...

Mówię o tym także dlatego, że sam wywodzę się, jak ogromna większość naszego społeczeństwa, w z tej chłopskiej grupy społecznej. Od strony ojca. Bardzo cenię sobie tradycję tej chłopskiej samorządności, jaka we wsi, z której wywodzili się rodzice, dziadkowie, pradziadkowie mojego ojca trwa od co najmniej XVI wieku i jestem dumny z tego, że właśnie jacyś moi praszczurowie zasiadali w tej gminnej radzie już na początku XVIII wieku. A więc to także jest spojrzeniem, o którym warto pamiętać, spojrzeć warto na chłopów jako na część historii polskiej samorządności, polskiej samoorganizacji i zdolności decydowania o sobie w pewnym zakresie, wynikającym właśnie z owego ładu naturalnego, który był akceptowany przez wieki, a który dzisiejsi post-marksiści kwestionują.

Warto jednak zwrócić uwagę na to, że obok książek idących na tej fali historii ludowej, naśladowniczej, oderwanej od rzeczywistości historycznej, pojawiają się rzetelne, współcześnie rzetelne opracowania historii chłopów, różnych ich aspektów w Rzeczpospolitej.

Coś Pan poleci?

Polecę bardzo gorąco świetną książkę Mateusza Wyżgi, „Chłopstwo. Historia bez krawata”. Książkę, która tym się różni od książek badaczy, których wcześniej wymieniałem, że jest pisana przez kogoś, kto jest fachowym historykiem chłopstwa, spędził wiele, wiele lat w archiwach parafialnych i publicznych, studiując wszelkie materiały, jakie zachowały się na temat życia, obyczajów, stosunków społecznych i ekonomicznych chłopstwa w XVI do XVIII wieku w Rzeczpospolitej, zwłaszcza w Małopolsce.

A do tego jest chłopem. To znaczy był wójtem w swojej podkrakowskiej wsi, a więc wie z jakiej grupy się wywodzi i poniekąd w czym imieniu występuje pisząc tę historię. Gorąco polecam takie rzetelne opracowania historii chłopstwa, zwracając uwagę na całe rozróżnienie wewnętrzne tej warstwy społecznej, jak i na zdolności zdecydowanie wykraczające poza ten schemat przywiązania chłopca do ziemi.

To znaczy?

Na przykład na zdolności poszukiwania przez chłopów swojego miejsca na rynku, poszukiwania zdolności zarobkowych poza tylko folwarkiem, w którym obciążeni byli chłopcy oczywiście obowiązkiem pańszczyzny.

To wszystko jest właśnie doskonale opisane w jego pracach wspomnianego Mateusza Wyżgi.

Powstają też opracowania, gdzie bardzo ciekawie opisana jest na przykład kategoria honoru, jak chłopcy zachowywali, rozumieli i egzekwowali swoje poczucie honoru, bynajmniej nieraz zarezerwowane tylko dla szlachty. Na ten temat także powstają bardzo ciekawe prace, np. opisujące historię chłopów na Pomorzu. Wymienię jeszcze jednego rzetelnego, niezwykle autora profesora Tomasza Wiślicza z Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk, który bada religijność chłopską z pozycji nie katolickich, nie religijnych, ale jest po prostu rzetelnym badaczem różnych form religijności. Ale opisuje także kwestie świadomości narodowej chłopów, bardzo ciekawe, bardzo złożone i także nie dające się sprowadzić do prostego jak cep schematu historii ludowej. A więc zachęcam, jeszcze raz, do sięgania do rzetelnych autorów, którzy zajmują się historią chłopstwa współcześnie, a którzy nie naśladują tego ideologicznego schematu, o którym tutaj mówimy. Bo o tej warstwie społecznej rzeczywiście warto czytać.

Czy to przypadek, że historia ludowa rozkwitła w Polsce dokładnie w tym samym czasie, w którym na Zachodzie – głównie w USA – rozwinęła się na pełną skalę antyzachodnia ideologia woke? Prowadząca do

masowego przepraszania za przeszłość, obalania pomników dawnych bohaterów, dosłownego klękania przed czarnoskórymi sportowcami, jak ma to miejsce w przypadku piłkarzy Premier League, oraz do sytuacji, w której niemal każdy biały, a zwłaszcza heteroseksualny, chrześcijański mężczyzna, został symbolicznie uznany za rasistę czy faszystę? Zapytam wprost – czy chodzi o to, by stworzyć nad Wisłą ruch Black Lives Matter, ale bez czarnoskórych, których jak wiadomo w Polsce nie ciemniono bo ich tu nie było?

Rzeczywistym problemem, z punktu widzenia działających w Polsce ideologów tej niekończącej się rewolucji klasowej, jest fakt, że w naszym kraju praktycznie nie ma mniejszości. Owszem, temat rzekomo agresywnego polskiego antysemityzmu pozostaje stałym motywem publicystyki, jednak trudno doszukać się w nim realnego, masowego problemu społecznego w państwie, w którym Holocaust – zorganizowany przez Niemców – stał się jednocześnie elementem szerszego zjawiska polegającego na próbach przeniesienia odpowiedzialności, a przynajmniej współodpowiedzialności za tę zbrodnię, na Polaków już po fakcie. W ten sposób wzmacnia się oskarżenia o antysemityzm, dodając zarzut, że Polacy rzekomo nie chcą przyznać się do zorganizowania Holocaustu.

Odkładając jednak ten wątek na bok, warto zauważyć, że ludzie kierujący się tą ideologią często przejawiają – i to jest kluczowy punkt – swoistą „szatańską pychę”: poczucie moralnej wyższości, samo-wywyższenie nad resztę wspólnoty, ponad którą się stawiają, utrzymując z nią w istocie tylko jeden rodzaj relacji, mianowicie oskarżyciel-oskarżony.

To znaczy to jest grupa ludzi, którzy chcą występować w roli oskarżycieli, pełnych pogardy wobec oskarżonej wspólnoty, z której jakby przez to się wyłączają. I poszukiwanie właśnie takiej kolejnej, jeśli można tak powiedzieć, podstawy do miotania tego rodzaju oskarżeń wreszcie prowadzi do naśladowania tego, co można w Ameryce znaleźć w sposób bardziej naturalny, zgodny z historią, a mianowicie prześladowania murzynów. Mam na myśli historycznie

potwierdzone fakty traktowania ich rzeczywiście jako w pełni niewolniczej siły roboczej w kajdanach przewożonych z Afryki na plantacje. I przez ten właśnie postępowy Zachód, przez Wielką Brytanię, Zjednoczone Królestwo, traktowanych wyłącznie jako niewolnicze mięso na plantacjach.

I stąd właśnie to poszukiwanie nad Wisłą, znów z małpowania – a może u nas da się znaleźć coś takiego? No tylko gdzie jest ten murzyn na polskim polu? I tutaj właśnie pojawia się paradoks, który można najłatwiej zobaczyć na przykładzie pewnego filmu, który zdobył nawet złote Lwy Gdańskie, a więc wygrał ten doroczny filmowy festiwal politycznej poprawności.

Mowa oczywiście o filmie „Kos”, rzekomo o Kościuszcze...

Trudno o bardziej groteskowe przykłady zjawisk przenoszenia amerykańskiej wizji historii ludowej na historię Polski niż ten film. Taką sceną, powiedziałbym kultową z punktu widzenia absurdalności tego porównywania, jest scena, w której ludowy bohater tego filmu, chłop, który niejako zaplątuje się w przygodę Kościuszki przygotowującego insurekcję na przedwiośniu 1794 roku, staje naprzeciwko murzyńskiego adiutanta Kościuszki. I kiedy murzyn pokazuje mu swoje plecy pełne blizn po pejczu, którym bili go plantatorzy amerykańscy, polski chłop z uśmiechem wyższości i pogardy wobec słabeusza za oceanu ściąga swoją koszulę i pokazuje pręgi mówiąc: u nas to pejczem to dzieci biją panowie, a nas biją kijami, prętami.

Krótko mówiąc wymowa tej sceny jest taka, że żywot murzyńskiego niewolnika na plantacji amerykańskiej to jest igraszka w porównaniu z zupełnie demonicznym, zresztą pokazanym w całym tym filmie, postępowaniem Panów-Szlachty ze swoimi chłopami. I to wzbudziło taki zachwyt tej „krytycznej” publiczności.

To słowo jest zresztą kluczowe – „krytyczna”. „Krytyczna publiczność” czy raczej „krytyczna elita”, która ustanawia te nagrody m.in. na festiwalu filmu w Gdańsku. Raz jest to „Kos”, następnym razem jest to

film pani Holland o zielonej granicy. To, że jest ta wyższa klasa nad tą tłuszcza. Ich „krytyczność” ma być legitymacją wyższości, niemal rasowej wyższości. Dostrzegam w tej postawie coś w rodzaju przesłanki do rasistowskiego traktowania współczesnej wspólnoty polskiej przez tych, którzy stawiają się ponad nią i oskarżają Polaków.

Przypomina mi się w tym kontekście Manuela Gretkowska, pisarka, która parę lat temu zadeklarowała, cytuję, „nie sądzę, by Polacy mieli duży mózg w tych czaszkach słowiańskich”. Otóż w kontekście porównania z amerykańskim ruchem *woke* nasunęło mi się skojarzenie, że chodzi tu o wyodrębnienie swoistej „krytycznej elity” stojącej ponad pewną kategorią ludzi – tym razem nie jest to rasa czarnoskórych, lecz, w tej narracji, „rasa” polskich, słowiańskich prymitywów i prostaków, których jedynym zajęciem miałoby być mordowanie Żydów. Co zresztą stanowi paradoks w świetle tzw. historii ludowej.

No tak, przecież jak biedni uciskani chłopci, to przecież powinni być naszymi bohaterami, a nie mordercami jeszcze biedniejszych i jeszcze bardziej uciskanych Żydów!

Właśnie! Z jednej strony, według tej logiki, „chamy” – czyli wszyscy wywodzący się z tradycji chłopskiej w Polsce – teoretycznie powinni być postrzegani z pewnym współczuciem jako grupa historycznie prześladowana. Z drugiej jednak, w tej narracji to właśnie owe „chamy” muszą być gorsze od owej „krytycznej większości”, która rzekomo pragnie ich wyzwolić z przesądów, polskości i ciemnoty.

Pozwoli pan, panie redaktorze, że przytoczę jeden z kilkuset komentarzy, które pojawiły się w dodatku „Duży Format” Gazety Wyborczej pod moim ostatnim wywiadem udzielonym tej gazecie w 2018 roku, zatytułowanym: „Waszym problemem jest, że nie dość szybko wymieramy”. Otóż wśród tych komentarzy znalazły się takie komentarze: *Mamy poważne problemy z cywilizacją. Trzeba przyznać, że Polacy jak Ruscy to jednak nie Europa.*

A więc ktoś, kto nie wiem jak się identyfikuje, ale w każdym razie nie jako Polak, z pogardą mówi o Polakach, którzy tak jak Ruscy, czyli ogólnie słowiańszczyzna, to jednak nie Europa. Czyli są tutaj jacyś mieszkańcy-Europejczycy, którzy odcinają się od Polaków, bo to jakaś gorsza rasa.

I inny komentarz, pozwolę sobie znowu zacytować. To komentarz, który ma nawiązywać do tego, co wspomniałem w tym wywiadzie, że właśnie po mieczu czy też po pługu wywodzę się z tradycji chłopskiej. Komentarz ten brzmi tak: *To, że całe pokolenia jego rodziny pochodzą z biedy w Polsce świadczy skąd się ten człowiek wywodzi. Całe pokolenia w jego rodzinie piły prymuchę i ich mózgi się latami degenerowały, co widać i słychać w jego wypowiedzi. Ta degrengolada trwała przez pokolenia, możesz wyjść ze wsi, ale wieś nie wyjdzie z ciebie*

Myślę, że warto takie cytaty przywoływać, jakkolwiek one są prze-rażające w swoich wymowach, ponieważ mówią one o istotnym ra-sizmie owej grupy krytycznej, która chce postawić się nad tą gorszą, prymitywną rasą chłopów, w których imieniu jednocześnie występuje. I na tym polega cały paradoks tej postawy. Jak występować w roli autorów historii ludowej i jednocześnie występować z poczuciem absolutnej wyższości pogardy w stosunku do tego prymitywnego polskiego chłopstwa? Otóż jakąś próbą obejścia tego paradoksu jest przeniesienie ciężaru współczucia wyłącznie na jedną płęć.

Stąd tak silna promocja „Chłopek”, utrzymana właśnie w tym tonie...

Proszę spojrzeć – teraz to tylko chłopki są uciskane, no chłopci wiadomo, prymitywne chłopcy, właśnie takie jak ich opisywał powyższy cytat na mój temat, uciskały zapewne te biedne chłopki zarówno pod względem seksualnym, jak i społecznym. Przemoc jako klucz do zrozumienia całej rzeczywistości – kto ma siłę, kto przeważa, ten powinien znaleźć się na ławie oskarżonych, którą ustawiają owi „krytyczni” historycy.

Ustawiają, zapominając, że to oni występują z pozycji siły. Oni dyktują w tych najbardziej poczytnych czasopismach, telewizjach, rozmaitych areopagach przyznających najwyższe nagrody. Dyktują, co jest słuszne, a co niesłuszne. Próbuje się ustawiać w roli rzeczników uciśnionych.

I na tym etapie to chłopki są tymi uciśnionymi, także przez prymitywnych chłopów. Ale od razu powiem, że na pewno to nie będzie koniec, bo chłopki także znajdą się na ławie oskarżonych. I myślę, że następna książka pani Kuciel-Frydryszak czy kogoś innego, kto pójdzie jej torem, to powinna być historia, i mówię to bez żartów i bez szyderstwa, inwentarza domowego.

????

Tak, tak, inwentarza domowego, który jest bezlitośnie mordowany przez te chłopki. Wszystkie te kury, którym ucina się głowę, te wieprzki patroszone na boisku, jak to się mówiło na wsi, czy w zagrodzie.

To właśnie będzie niewątpliwie, to powinien być, jak sądzę, zgodnie z tą logiką, przedmiot następnej książki, bestselleru o tym, jak nie tylko chłopci są źródłem ucisku, a nie tylko przedmiotem uciskanym. I nie tylko chłopki są uciskane, ale chłopci i chłopki razem. Bo przecież wiadomo, tak mają Polacy – wszyscy razem prześladowają słabszych, czyli w tym przypadku zabijają niewinne zwierzęta.

Czego rzecz jasna nie robi się na cywilizowanym Zachodzie.

Absolutnie. Na Zachodzie nigdy ani mężczyźni nie mieli przewagi nad kobietami, ani też nie zabijano żadnych zwierząt. Krótko mówiąc, my jako rzecznicy Zachodu, Europejczycy, możemy raz jeszcze odciąć się w takiej narracji, jako ta krytyczna elita od owych prymitywnych chłopów i chłopek polskich, od ludzi skażonych polactwem.

rozmawiał Krystian Kratiuk

↶
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI

WSPÓLNOTA ZAMIAST KONFLIKTU

Przestrzegam przed spojrzeniem, że w I Rzeczypospolitej mieliśmy do czynienia z dwiema wyobcowanymi klasami. Proponuję zmianę perspektywy i ukazanie relacji między tymi stanami. Ci ludzie się przenieśli w ramach jednej wspólnoty. Proszę sobie wyobrazić taką sytuację, że na dworze dzieci pana bawią się w obejściu z dziećmi chłopskimi. Po latach, gdy dorastają, istnieje już między nimi pewna więź, relacja. Nie możemy tego nie dostrzegać – mówi prof. Mateusz Wyżga, demograf historyczny, autor takich jak „Chłopstwo. Historia bez krawata”. W listopadzie ukaze się jego najnowsza książka „Polska sarmacka. Historia zwykłych ludzi”.

W spojrzenie na historię Polski z perspektywy ludowej wpisany jest konflikt między klasą wyższą – szlachtą – a klasą niższą czyli chłopami. Jakie pan widzi słabości takiego spojrzenia? I czy jest coś dobrego, co tacy historycy jak Adam Leszczyński wniesli do polskiej historiografii?

Nurt ludowej historii Polski ma na pewno jedną, niepodważalną zasługę: wzbudził ciekawość niemałej grupy Polaków, a niektórym pozwolił nawet utożsamić się z losem polskiego chłopca. Wcześniej opisywanie polskiej wsi i chłopskich losów nie wzbudzało większego zainteresowania, wiem coś o tym, bo zajmuję się tym od dość dawna, zarówno w ujęciu masowym jako demografii historycznej, jak również w podejściu jednostkowym, poprzez genealogię i mikrohistorię.

Tacy autorzy jak Adam Leszczyński, Joanna Kuciel-Frydryszak czy Kacper Pobłocki uderzyli w stół bardzo mocno i nożyce się odezwały. Podkreślili życie ludzi pozostających w cieniu historii, zwłaszcza tych doświadczających krzywdy, niesprawiedliwości, jednym słowem klas niejako systemowo podporządkowanych. W ten sposób zostały przetarte szlaki, by drążyć głębiej w relacjach międzystanowych. Jak uważał przed laty wybitny badacz Andrzej Wyczański, w nauce nie

ma spraw oczywistych i ona wciąż chce poszerzać przyjęty wcześniej obraz. Dlatego właśnie staram się zbudować na tym zainteresowaniu świadomość tego, że relacje między chłopami a szlachtą w I Rzeczpospolitej, choć niełatwe, nie były tylko jednostronnym dramatem.

Przygotowując się do napisania kolejnej książki, przeanalizowałem wiele dokumentów gospodarczych, metrykalnych, sądowych i kryminalnych z tamtego okresu starając się uchwycić to, kiedy jedna strona była mniej sprawcza od drugiej. I nie ma tu wyrazistego podziału na grupę krzywdzonych i krzywdzicieli, czy – jakbyśmy dzisiaj powiedzieli – beneficjentów tego systemu, chociaż zdaje się on przeważać. Owszem, sprawcami różnych nieszczęść są feudałowie, ale są też i chłopci, którzy karzą bezlitośnie swojego pana, dzierżawcę albo swoich własnych pracowników. Intrygujące jest, że na ziemiach polskich przeważały gospodarstwa pańszczyźniano-najemnicze, czyli takie, w których kmieć potrzebuje własnych pracowników, by delegować ich do prac na polach folwarcznych. Anna Kamler na podstawie studiów nad Małopolską wskazywała, że kiedy w chałupie były małe dzieci albo już dorosłe ją opuściły, gospodarz musiał nająć pracowników. Czasem była to więc wojna wszystkich ze wszystkimi. Kompletny chaos, z którego trudno wydobyć jakiś jednoznaczny konflikt klasowy. Najważniejsze było zgromadzenie zapasów i przeżycie zimy, a na wiosnę mieć czym obsiać pola. I mieć do tego ręce do pracy.

„Ludowa historia Polski” Adama Leszczyńskiego opiera się w niemałej mierze na suplikach chłopskich i dokumentach sądowych. Otrzymujemy tam faktycznie miejscami przerażający obraz krzywd polskiego chłopca.

To prawda i z tym się zgadzam. W suplikach, oprócz skarg na pana, znajdujemy też wiele, pozornie mało znaczących, informacji, które jednak coś jeszcze mówią nam o życiu polskiego chłopca. Na przykład skrzywdzony chłop opowiada, że kilkakrotnie zmieniał miejsce swojej pracy i opisuje gdzie był. A skoro tak, to mamy tu już konkretną informację: był sprawczy. Mógł decydować o sobie. Z tym że nie jest to wyłącznie sprawczość oficjalna, ale umiejętność lawirowania pomiędzy osadami, wykorzystywanie swoich sieci społecznych, a także

nieformalnych więzi z obcą szlachtą. O sprytnych i przedsiębiorczych kmieciach opowiada anonimowa satyra z końca XV wieku (tak zwana *Satyra na leniwych chłopów*). Opowiada ona o chłopach, którzy przede wszystkim doglądają własnych interesów, a potem dopiero pańskich. Jak nie widzi nadzorca, leniwie palą faję pod dębem. Praca na swoim jest sumienna i efektowna.

Wykorzystanie suplik jako jednego z różnych źródeł do ukazania problemów niepiśmiennej i podporządkowanej, a najliczniejszej grupy społecznej było ważne. Trzeba mieć też na uwadze, że w chłopskich suplikach znajdujemy głównie zapisy dotyczące momentów, kiedy doszło do przegięcia w relacji chłopca ze szlachcicem. Rzadziej znajdziemy tam coś o normalnym, codziennym życiu na wsi. Dlatego warto analizować setki a nawet tysiące różnych dokumentów, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Chłopi przez wiele wieków byli niepiśmienni, zatem tych materiałów nie jest bardzo dużo, ale można znaleźć wiele dokumentów, które dają nam do myślenia, jak jeszcze mogła wyglądać ich rzeczywistość. Chodzi o miejsca, w których jakby „niechcący” ujawnia się to, czego nie zapisano, co istniało na podstawie ustnego kontraktu, na co szkoda było inkaustu i papieru, albo szkoda było uwagi publicysty, bo szło normalną koleją rzeczy.

I tu ważna jest u badacza jedna cecha: empatia. Właściwe podejście i zrozumienie dla sytuacji polskich chłopów w I Rzeczypospolitej. Trzeba umieć dobrze zrozumieć ich położenie, odpowiednio dedukować je z dokumentów, które przecież nie były pisane przez nich, bo generalnie odmawiano im głosu, jako ludziom niewykształconym. Taką empatię wobec ludzi podporządkowanych, nie władających piśmem ani nie posiadających przywilejów prezentuje właśnie ludowa historia Polski, którą jako metodę możemy również nazwać historią oddolną. Sam uprawiam takie podejście do przeszłości. Zresztą z Adamem Leszczyńskim, Kacprem Pobłockim czy Michałem Rauszerem pozostajemy w stałym kontakcie, debatujemy na konferencjach, posiadamy wspólnych uczniów, wymieniamy się koncepcjami badawczymi, słuchamy się, próbujemy zrozumieć, chociaż też nie zgadzamy się na każdą interpretację przeszłości.

Tak rozumiem naukę, jako nieustanne poszukiwanie jeszcze głębiej w analizowanej materii. Zasadę, że zgoda buduje, a niezgoda rujnuje wpoił mi przed laty samorząd terytorialny. Przez całe lata byłem sołtysem Dziekanowic w gminie Zielonki. Często na sesjach rady gminy poszukiwaliśmy tej zgody. Dlatego też jest mi niezwykle miło, że jednym z recenzentów naukowych mojej nowej książki „Polska sarmacka. Historia zwykłych ludzi” zgodził się zostać Adam Leszczyński, a jego uwagi znacznie ubogaciły moją narrację.

O samych suplikach powiedziałbym jeszcze jedną ważną rzecz. Skoro ktoś – w tym przypadku chłopci – doświadczywszy krzywdy, idzie do sądu i skarży się, to znaczy, że istnieje sprawiedliwość i wiara w tę sprawiedliwość. Gdybyśmy mieli sytuację, w której chłop jest niewolnikiem bez żadnych praw, którego można bezkarnie pobić a nawet zabić, jak niewolnika w Stanach Zjednoczonych w XIX wieku, to nie mielibyśmy tych suplik. Miejmy to zatem na uwadze: jeśli istniała wiara w sprawiedliwość, to znaczy, że ta sprawiedliwość była. Zapewne można wskazywać na wiele niedoskonałości ówczesnych procesów sądowych, ale takie rzeczy punktowane są także we współczesnym wymiarze sprawiedliwości.

Co takiego widzi pan jeszcze w dokumentach?

Moim zamysłem jest konfrontowanie tych dwóch opowieści o polskiej historii, którymi dzisiaj żyjemy. Jedna to ta sienkiewiczowska, sarmacka, która zachwyliła Polaków i przez długi czas formowała naszą świadomość historyczną. A druga to ta chłopska, ludowa. Pamięta pan może jeszcze czasy, kiedy każdy chciał być trochę jak szlachcic?

Tak, w latach 90. była nawet taka moda na budowanie „dworów szlacheckich”. Powstawały domy imitujące takie dworki, z charakterystycznymi kolumnami nad wejściem.

Tak, sam mam takie kolumny i do końca nie umiem wyjaśnić, co mnie do tego skłoniło. To siedzi zbyt głęboko w naszej tożsamości narodowej i jest zbyt stare, by łatwo zrozumieć. Ale proszę spojrzeć: siedzimy

teraz sobie w ogródku jednej z krakowskich kawiarni, po plantach spacerują ludzie. Oni wszyscy tak naprawdę mają założone kontusze szlacheckie. Ten punkt odniesienia wciąż jest w nas żywy. I już teraz podpowiem – bo u nas była tendencja w górę, w stronę przywilejów i złotej wolności. Troszkę tak jak zwierzęta przed potopem stojące w zbyt długiej kolejce do arki Noego. Ale – patrząc na historię społeczną Polski – i w samej arce nie było kolorowo. Niewielu z tych osławionych, symbolicznych dziesięciu procent polskiego społeczeństwa, tworzących stan szlachecki, żyło na jako takim poziomie. Większość ciężko pracowała, chociaż ich wysiłek wciąż pozostaje do sprawiedliwego opisania.

Ale jednak ludzie zaczytują się w „Chłópkach” Kuciel-Frydryszak i odkrywają swoje chłopskie pochodzenie. Chcą zrzucić te kontusze?

Do tego dochodzi też wielka popularność takich filmów jak „Kos” czy serialu „1670”. Myślę, że to efekt jakiegoś odbicia od tej sarmackiej, sienkiewiczowskiej wersji historii. Ludzie po prostu zauważyli, że jest jakiś inny obraz historii, którego wcześniej nie znali, mniej wycielowany niż u Sienkiewicza. Jest tam też coś, co po ludzku wydaje się interesujące, czyli dramat chłopów, którzy faktycznie byli nierzadko traktowani bardzo źle. Coś, czego nie było za dużo w podręcznikach, a jest o ludziach takich jak my. Nie uczestniczyli w największych bitwach, ale codziennie toczyli bitwy o przetrwanie na tym świecie, bitwy o jutro.

Mamy zatem historie, które pozornie się wykluczają, czyli przeciwstawienie sarmaty i chłopca. Pozornie, bo ja właśnie staram się spotkać te oblicza, odwrócić je ku sobie. Analizując źródła – a przeczytałem ich naprawdę bardzo dużo – znajduję obraz naprawdę bardzo niejednoznaczny. Są sytuacje, gdy pan wykorzystuje chłopca, ale są też sytuacje, gdy pan ma gorzej niż chłop. Zapominamy często, że życie szlachcica to nie było życie jakiegoś arystokraty, który siedział w ogrodzie przez cały dzień i żył z pracy innych. Szlachta bardzo często nie była wcale zamożna. Nierzadko szlachcic musiał sam zakasać rękawy i ciężko pracować. A potem, gdy przyszło wezwanie, zmuszony był porzucić plug

i ruszać w pole, żeby walczyć. Zwłaszcza dotyczyło to osadzonej blisko granic Rzeczypospolitej szlachty zagrodowej. Nie brzmi to jak bajka.

Przestrzegam przed takim spojrzeniem, że w I Rzeczypospolitej mieliśmy do czynienia z dwiema wyobcowanymi klasami. Dlatego proponuję w swoich książkach zmianę tej perspektywy i ukazanie autentycznych relacji między tymi stanami. Ci ludzie się przenikali w ramach jednej wspólnoty. Proszę sobie wyobrazić taką sytuację, że na dworze razem dzieci pana bawią się w obejściu z dziećmi chłopskimi. Po latach, gdy dorastają, to przecież istnieje między nimi pewna więź, relacja. Nie możemy tego pomijać.

I wreszcie jeszcze jedna rzecz. Kiedy patrzymy na I Rzeczpospolitą to często myślimy o demokracji szlacheckiej, sejmikowaniu, liberum veto. Pojawiają się nawet skojarzenia z chaosem czy warcholstwem. Ale wyłączmy na moment tę wielką historię i spójrzmy na to, że to było państwo, które w istocie składało się z mikropaństw, często znakomicie zorganizowanych. To najczęściej jedno-dwuwioskowe dobra szlacheckie, czasem kilkuwioskowe klucze dóbr kościelnych czy królewskich. Dopiero im bliżej wschodniej części państwa, coraz więcej trzymanyh przez arystokrację wielkich kompleksów dóbr, liczących kilkanaście miast i setki wsi.

Na czele takiego mikropaństwa stał dwór, z pracującymi dlań podwykonawcami czyli chłopami. Dziedzic zna z imienia każdego rodowitego mieszkańca. I teraz proszę sobie wyobrazić, że tam, owszem, są różne zależności, ale one przecież nie działają w jedną stronę. Owszem, podwykonawcy w tym przedsiębiorstwie zależą od tego, jak ono prosperuje, ale nie będzie tego przedsiębiorstwa bez podwykonawców. Oni zatem muszą negocjować. Dwór z podwykonawcami wchodzi w relacje, rozmawia, ustala pewne rzeczy. Nie da się wszystkiego, przepraszam, chwycić za pysk i trzymać. Bo prędzej czy później to przedsiębiorstwo się po prostu rozpadnie. Tak wygląda relacja dworu z gromadą chłopską. A gromada składa się z osiedlonych niekiedy przez całe pokolenia kmieci – zamożnych, przedsiębiorczyh i silnie związanych z wsią i parafią ludzi. Nie jeden raz poznałem do

dziś żyjących i noszących te same nazwiska gospodarzy, co przed wiekami. Sam z takich korzeni się wywodzę. I czuję tę tożsamość, obyczaj i oddolny patriotyzm. To nie zawsze jest tak, że o wszystkim decyduje naga siła, choć oczywiście nie ma sensu lukrować tamtych czasów. Brutalność była znacznie większa niż dzisiaj.

To znaczy?

Autentyczna historia: rozbójnicy zostają złapani i za swoje przestępstwa obcięto im rękę i nogę. Do tego na czołach wypalono szubienicę, by każdy widział, że byli w rękach kata. Koszmarna sprawa, dzisiaj taka kara byłaby uznana za potworną i niehumanitarną. To dziedzic ich wsi, przybywszy na proces do miasteczka, zamiast kary śmierci wskazał na taki a nie inny wyrok.

Ale proszę sobie wyobrazić, że jeden z tych ukaranych, utracił kończynę górną i dolną, po pewnym czasie... wraca do swojego fachu. Wyobraża sobie to pan? Przecież on dokonywał kradzieży i innych okropnych rzeczy będąc kaleką. Kiedy drugi raz został złapany, nie było już litości i został nabity na pal.

Ludzie po prostu byli przyzwyczajeni do przemocy, ale żeby to zrozumieć, trzeba wejść w sposób myślenia ludzi żyjących w tamtych czasach.

Wróćmy do zrzucanych kontuszy.

Nie sądzę, byśmy te kontusze zrzucili. Proszę pamiętać, że myśmy byli krajem z dość wyjątkową strukturą społeczną. Co dziesiąty mieszkaniec I Rzeczypospolitej był szlachcicem, a to oznacza, że tych dziewięciu miało doskonały dostęp do tego jednego. Kiedy przyjrzymy się, jak zachowywali się chłopcy wobec siebie, to zobaczymy podobieństwa między nimi a szlachtą. Te spory, konflikty, sposób ich rozwiązywania, unoszenie się dumą, konkurowanie jednej wsi z drugą – to były szlacheckie metody.

Widać to też w wystąpieniach chłopów przed sądami. Oni przecież często towarzyszyli swoim panom, gdy ci jechali do sądów czy na sejmiki. Powiem panu, że jak czytam wspomniane już tutaj supliki, to argumentacja chłopów, sposób w jaki starali się przekonywać sąd do swoich racji, jest niesamowicie sprytna. Sam nie wiem czy bym potrafił dzisiaj w ten sposób argumentować. To też pokazuje bliskość relacji chłopsko-szlacheckich.

Paradoksalnie szlachta wcale nie była tak bezwzględna. Oni doskonale wiedzieli, że nie jest łatwo utrzymać dwór. Owszem, za ucieczkę chłopą groziła kara, ale gdzieś tam za rzeką czy lasem z otwartymi rękami przyjmował go inny sarmata. Bo postępowania przed sądami grodzkimi o odzyskanie zbiega trwały długimi latami. Zatem jeśli komuś uciekał chłop, bo czuł się wykorzystywany, to chętnie przyjmował go inny szlachcic, świadom, że *de facto* nic mu nie grozi.

Co ciekawe, na sejmikach często podnoszono kwestie wynagrodzeń dla chłopów za pracę najemną, wykonywaną, kiedy akurat nie było we wsi aktualnie żadnej pracy pańszczyźnianej. Postulowano, by zachowywać ich jednolitą wysokość, bo jeśli jakiś dwór je podniesie, to wtedy nie ma rady – chłopci zaczną tam przechodzić.

Oczywiście w pewnym sensie każdy ciągnął w swoją stronę. Chłop chciał odrabiać jak najmniej pańszczyzny a pan chciał jego pracę najlepiej wykorzystać dla dworu. To była relacja zbliżona do tej pomiędzy dzisiejszym pracodawcą a pracownikiem. Pracownik chce mieć łatwiej a pracodawca chce wyciągnąć od niego jak najwięcej możliwie niskim kosztem. W związku z tym negocjują, bo pracodawca nie chce tracić pracownika, a pracownik niekoniecznie chce zmieniać pracę. No i do tego dochodzi dramatyczne splot pracodawców, którymi są zarówno ziemianie, jak i kmiecie.

Nasze spojrzenie na oddolną historię Polski zostało naznaczone wizją konfliktu chłopów i szlachty, który oczywiście miał miejsce w niektórych przypadkach, ale równie często była to po prostu próba ułożenia sobie wspólnie życia. Niestety normalnych stosunków nikt nie

opisywał, więc piekielnie trudne jest wydobyć jej z archiwalnych zapisów. Chłop miał obowiązki wobec dworu, ale dwór miał też swoje obowiązki wobec chłopów. To „ułożenie życia” czasem tonęło we łzach i krwi. Taka jest przeszłość.

Mówi pan, że nie zrzucamy wcale kontusza, ale jednak jest żywe zainteresowanie historią ludową. Zakładam, że u jego podstaw jest coś więcej niż tylko poszukiwanie sensacji, zainteresowanie ciężkim losem chłopów. Procesy społeczne, których efektem są bestsellerowe książki czy chętnie oglądane filmy, są zazwyczaj głębokie.

Zapewne tak, ale tu musiałbym wejść już w nieswoją rolę i stać się socjologiem. Zainteresowanie historią chłopów ma natomiast też podstawę historyczną i to stosunkowo młodą. Mianowicie chodzi o rewolucję genealogiczną. Kiedyś dostęp do akt, szczególnie tych parafialnych, był ograniczony. Kiedy weszła fotografia cyfrowa i udało się te wszystkie rzeczy digitalizować, dostęp stał się prostszy a ludzie tropili swoje korzenie. I tak dowiadawali się, że niekoniecznie mają pochodzenie szlacheckie. Ale przekonali się, że historia plebejska, mieszczańska czy chłopska, też może być ciekawa. Jednak do tego potrzebują syntetycznych prac historycznych, by odnaleźć w przeszłości swój własny kontekst i mikroświat.

To naturalnie sprawiło, że dzisiaj chętniej sięgamy po treści ukazujące historie naszych dziadków, babek czy jeszcze dalszych przodków.

Natomiast nie zmienia to faktu, że nadal chętnie odwołujemy się do spuścizny szlacheckiej. Choć społeczne pochodzenie faktycznie może nas różnić, to jednak jesteśmy do siebie podobni. Bywało nawet, że wizualnie chłopci nie zawsze różnili się do szlachciców. Dostawali przecież od swoich panów stare ubrania, które zakładali na przykład w niedzielę, idąc do kościoła. A bogatsi kmiecie sami paradowali przez wieś w nabytym za zarobione ciężką pracą pieniądze żupanie.

Kryterium majątkowe też nie jest tutaj wyznacznikiem potencjalnych podziałów klasowych. Owszem, zazwyczaj szlachta była zamożniejsza,

ale trudno mówić tutaj o jakiejś sztywnej regule. Zdarzało się i tak, że bogatszy chłop pożyczzał ubogiemu szlachcicowi pieniądze.

Trudno te relacje zamknąć w dychotomii uciskający-uciskani. Weźmy przypadek Świątnik i Szczytnik koło Krakowa. Jest XVIII wiek, właściciel – zresztą kanonik kapituły katedralnej – skarży się, że chłopci nie chcą wyrabiać pańszczyzny. Zdenerwowany wysłał tam dwudziestu rębajłów a na ich czele weterana ciężkiej kawalerii, żeby ukarać chłopów. I co? Chłopi spuszczaają tamtym wojakom srogi łomot. Stłukli ich cepami. Dowódca rozgromionego oddziału wspominał potem, że zmłócili go jak zboże.

Obrywał więc chłop, ale obrywał też pan. Chłopi rzecz jasna byli bici, nie udawajmy, że tego problemu nie było. O jednym tylko trzeba pamiętać: brutalność w tamtych czasach była też sposobem komunikowania się. Szturchanie, które dzisiaj wzięlibyśmy za akt przemocy, wówczas były po prostu czymś normalnym, uchodziły na przykład za formę zalotów. Seks też był zazwyczaj brutalny, wręcz, powiedzielibyśmy dzisiaj, ordynarny. W społecznościach chłopskich nie było innych form komunikacji niż słowa, gesty, zachowania. Nie pisano do siebie, bo tej umiejętności chłopci nie mieli. Dzisiaj emocje, uczucia wyrażamy w inny sposób, przemoc fizyczna nie jest tak obecna w naszej codzienności.

Mówi pan o potrzebie poszukiwania wspólnotowości w naszej historii. Nie sądzi pan jednak, że w przypadku niektórych autorów historii ludowej pojawia się tęsknota za rewolucją, za tym, żeby zabić szlachcica? Taką symboliczną scenę powieszenia pana w karczmie pokazał Paweł Maślona w filmie „Kos”.

Obrzydliwą scenę, z próbą gwałtu, jakiego ten szlachcic próbował wcześniej dokonać na chłopce.

Tak, to prawda. Ale jest też Andrzej Leder ze swoją „Prześnioną rewolucją”, gdzie dowodzi, że rewolucja się dokonała, ale niezauważona. A przecież mogliśmy jak we Francji – postawić gilotynę; albo jak

u Maślony – przerzucić ten sznur przez belkę stropową w karczmie i zabić szlachciurę. Kilka lat męki, przelewu krwi, cierpienia w imię budowy nowego świata. To nie kusząca perspektywa? Maślona zresztą wspominał w jednym z wywiadów, że nie przepracowaliśmy należycie uciemiężenia naszych przodków przez szlachtę, dlatego dzisiaj tę funkcję oczyszczenia musi dokonać kultura.

Scena z „Kosa”, o której pan wspomniał, mogła mieć miejsce. I szlachta dokonywała gwałtów, i chłopci potrafili załatwić w takich sposób sprawę sadystycznego pana. Jeśli chodzi o rewolucję – nie wiem czy tak akurat myślą autorzy historii ludowej. Wiem natomiast, że dokonali pewnych badań, poruszyli tematy, które – nawet jeśli można mieć pewne uwagi do ich prac i nie ze wszystkim się zgadzać – w jakiś sposób wzbudziły ciekawość. Dlatego warto na fundamentach tego zainteresowania coś zbudować. Na przykład można opowiedzieć historię, które nas zintegruje, która pokaże, że owszem były konflikty, ale nie mówimy jedynie o historii konfliktu. To był swoisty dialog, czasem trudny, czasem brutalny, ale jednak dialog. Na widnokręgu wciąż pojawiał się o wiele straszniejszy zabójca: głód.

Nie potrafię sobie zresztą wyobrazić w Polsce tych rewolucyjnych gilotyn, o których pan mówi. Kto kogo miał mordować? Mówiłem już o tym, że według badań szlachta stanowiła w zależności od okresu i regionu od kilku do kilkunastu procent społeczeństwa. Wyobraża pan sobie zbrodnię na blisko dziesięć procentach rodaków? W dodatku u nas nie było jakiegoś zdecydowanego rozgraniczenia między stanem szlacheckim a chłopskim. Społeczne awanse miały się z degradacjami, a do tego jeszcze mezalianse, wszak kiedy szlachcic miał pusty brzuch, to pragmatyzm i miłość dyktowały dobór matrymonialny. Myślę, że gdyby pojawił się w Polsce jaki ruch rewolucyjny – taka rabacja chłopska na skalę ogólnopolską – to miałyby on ogromny problem z rozeznaniem, kto tu jest chłopem a kto szlachcicem. Wcale nie tak mało było przypadków, gdy szlachcic żenił się chłopką, bo to było dla niego wygodniejsze, niż zostać z herbem i klepać biedę.

Kultura szlachecka mocno oddziaływała na chłopów, a w XIX wieku budowała też i kulturę polskich miast. Mówiąc szczerze: nie miał kto tej rewolucji dokonać, ale też trochę nie było przeciwko komu jej dokonywać. Lokalne zrywy chłopskie miały charakter incydentalny i albo były tłumione, albo same się rozpierzchały. Nie mordowano buntowników. Albo odsiedzieli karę i powracali do codzienności, albo najzwyczajniej w świecie w wyniku buntów szlachta poprawiała warunki pracownicze i bytowe poddanych.

Inna sprawa, że trudno wskazać co mogło zastąpić kulturę szlachecką czy postszlachecką. Nad wszystkim czuwał Kościół, który cieszył się w Polsce wielkim autorytetem, był właścicielem licznych dóbr i głosił równość stworzenia przed Bogiem, nieraz broniąc krzywdy poddanych z ręki pana. I nie były to puste słowa. Znam chociażby przypadek, gdy duchowny zwodził szlachcica w sprawie dzierżawy dóbr i ostatecznie oddał tę ziemię w dzierżawę chłopu. Znam też przykład szeregu duchownych, którzy jako dziedzice atakują na czele poddanych z szablą w ręku sąsiedniego, zwaśnionego dziedzica i rujnują mu dobra ziemskie.

Tu krach kultury nie był chyba możliwy, a tym w istocie jest rewolucja.

Mówi pan sporo o potrzebie integracji wspólnoty. Da się to w ogóle zrobić z wykorzystaniem historii ludowej, jej konfrontacyjnym charakterem?

Sądzę, że tak. Mówiliśmy już o potrzebie empatii, pozwalającej lepiej zrozumieć relacje, jakie panowały między ludźmi w I Rzeczypospolitej. W serialu „1670”, który jest dość prześmiewczy...

... prześmiewczy i jednak nieco stronniczy, to znaczy celuje najczęściej w kulturę szlachecką.

Albo nawet wielopoziomowy, bo twórcy zastosowali tam pewien zabieg. Dopuszczają do głosu różne strony tego sporu. I staram się robić podobnie. Zastanawiam się, co nas ukształtowało jako wspólnotę? Dlatego daję głos wszystkim. Myślę, że gdyby nie te kontrowersyjne

publikacje z historii ludowej i pojawienie się w publicznej świadomości pewnych tematów, taka praca dla zainteresowania szerokiej publiczności byłaby bardzo trudna. Wizja dawnej Polski skreślona ręką genialnego Sienkiewicza ku pokrzepieniu serc znalazła swoje uzupełnienie w postaci rewolucji genealogicznej, z szukaniem plebejskich korzeni. Ogromna popularność historii ludowej, która poniekąd wykluła się z popularności Polski sarmackiej wraz z serialem „1670” połączyła wszystkie składowe, z jakich tworzy się polska dusza: chłopski, mieszczański i szlachecki. Temu poświęciłem właśnie nową książkę: szukaniu polskiej duszy w podejściu oddolnym.

Zapytał pan o integrację wspólnoty, to opowiem panu jeszcze krótką historię z moich badań, które prowadziłem do mającej się niebawem ukazać książki. Pojechałem niedawno do Raławic koło Olkusza na uroczystość 700-lecia parafii i wsi. Razem z moim mistrzem panem profesorem Zdzisławem Nogą i innymi referentami mieliśmy odczyty poświęcone historii lokalnej. Dom ludowy pękał w szwach. Była też wystawa, gdzie pokazano księgi metrykalne. W rejestrach pogrzebów zauważyłem od razu, że pod podłogą drewnianego kościoła, istniejącego do dzisiaj, pochowano chłopkę Reginę Kowalowną. To zwykle było miejsce elitarne, dla szlachty i księży. Rozumie pan? W takim miejscu złożono ciało chłopki! I to mi otworzyło oczy, jak niewiele jeszcze wiemy o naszej historii, o tym, z czego zostaliśmy uformowani. Mówimy o historii, w której znajdziemy przypadki, że szlachta trzymała do chrztu chłopskie dzieci, a chłopci szlacheckie. Im bliżej naszych czasów, stany społeczne coraz bardziej do siebie się zbliżały.

Nie twierdzę, że nie było podziałów. Owszem, polskie społeczeństwo było i zresztą nadal jest podzielone, ale to nie oznacza, że możemy mówić wyłącznie o grupie, która budowała państwo, i grupie niewolniczej, która nie poczuwała się do bycia częścią polskiej wspólnoty. Bo chłopci też uważali, że są z tego kraju i to nawet jest w piosence z czasów Kościuszki, kiedy śpiewają: „Nauczwa i szołdrę Prusa, że i w nas jest polska dusza”.

rozmawiał Krzysztof Gędłek


**WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI**

WSPÓŁCZESNE RUCHY SPOŁECZNE I WIELKA TRANSFORMACJA

Organizacje: Occupy Wall Street, MeToo, Black Lives Matter, Climate Justice Movement to tylko niektóre przykłady głośniejszych ruchów społecznych, jakie zostały zainicjowane w ostatnich dwóch dekadach. Wskazuje się na ich spontaniczność – miałyby powstawać oddolnie dla realizacji jakiejś zmiany społecznej. Jednak w przypadku części z nich możemy mówić o celowej stymulacji przez lewicowe ośrodki władzy, chcące doprowadzić do przebudowy społecznej zgodnie z pewnym modelem. Celem działań podejmowanych przez setki tysięcy naukowców i aktywistów społecznych jest stworzenie Globalnego Ruchu Obywatelskiego – Global Social Movement (GSM), który przeprowadzi Wielką Transformację (Great Transition). Jednak ruchy społeczne to także narzędzie wykorzystywane przez rządy do „walki z rasizmem” i szeroko pojętą korupcją/kleptokracją w celu zmiany władzy i układu sił na świecie.

Mamy szereg ruchów deklaratywnie działających na rzecz sprawiedliwości społecznej, dekolonizacji edukacji czy inkluzji, a także antyrasistowskich, usiłujących pozbyć się „systemowego” rasizmu i opresji, w tym rzekomo generowanej przez takie wspólnoty religijne jak Kościół katolicki. Mamy ruchy walczące z autokracją i „ideologiami regresywnymi”, do których zalicza się nacjonalizm i wszelkie doktryny kładące nacisk na przywracanie porządku, *status quo*, zwalczających progresywizm. Ruchy te odrzucają świat oparty na „imperatywie wzrostu gospodarek kapitalistycznych, kulturze konsumpcjonizmu, zorientowanym na państwa porządku geopolitycznym oraz modelu „rozwoju”, w którym ubogie społeczeństwa dążą do [powielania – przyp. A.S.] wzorców krajów bogatych” – jak sugeruje fizyk i filozof dr Paul Raskin, założyciel Tellus Institute.

O ile wskazuje się na pewną spontaniczność ruchów społecznych, o tyle w przypadku części z nich możemy mówić o celowej stymulacji

przez lewicowe ośrodki władzy, które chcą doprowadzić do szybkiej przebudowy społecznej zgodnie z wizją nowej umowy eko-społecznej. Jej zręby zostały przedstawione w raporcie UNRISD: *Policy Innovations for Transformative Change. Implementing the 2030 Agenda for Sustainable Development* – opublikowanym w styczniu 2017 roku. Następnie zaś doprecyzowane w kolejnych opracowaniach sprzed kilku lat, na temat nowej umowy eko-społecznej (np. *A New Eco-Social Contract; Crises of Inequality. Shifting Power for a New Eco-Social Contract*).

Sieć naukowców i aktywistów społecznych podejmuje działania w celu stworzenia Globalnego Ruchu Obywatelskiego – Global Social Movement (GSM), który przeprowadzi Wielką Transformację (*Great Transition*).

Co istotne, GSM wymaga „poszerzonej świadomości i inkluzywnej jedności”, jak tłumaczy Raskin, ale przeszkadzają mu „utrwalone struktury władzy, regresywne ideologie i kulturowa inercja”, a także coś w rodzaju rozpacz, paraliżującej wielu obecnych i potencjalnych zwolenników nieuświadomionej „Wielkiej Transformacji”.

RASKIN I „WIELKA TRANSFORMACJA”

20 lipca 2023 r. dr Paul Raskin, amerykański fizyk i filozof z wykształcenia pochodzenia rosyjskiego, który pozostaje pod dużym wpływem rosyjskich i sowieckich uczonych, futurystów oraz propagatorów idei cywilizacji planetarnej, w rozmowie z Geoffreyem Hollandem ze Stanford University wyjaśniał ideę promowanej przez niego „Wielkiej Transformacji” (rozmowa dostępna na stronie: mahb.stanford.edu).

Jako założyciel Tellus Institute przekonywał, że chociaż może wydawać się mało prawdopodobne przejście w kierunku „cywilizacji planetarnej” (nawiązanie do koncepcji sowieckiego astronoma Nikołaja Kardaszowa; skali Kardaszowa mierzącej poziom zaawansowania technicznego cywilizacji i rozwiniętej później przez astronoma Carla Sagana oraz fizyka Michio Kaku), charakteryzującej się „bogatszym

życiem, solidarnością międzyludzką i zrównoważonym rozwojem środowiska”, to jednak nadal jest to możliwe.

Raskin uważa, że „historia weszła w fazę cywilizacji planetarnej”, a rozwijana od lat 80. ubiegłego wieku koncepcja zrównoważonego rozwoju (opisana w raporcie Komisji Brundtland „Nasza wspólna przyszłość”, który umieścił tę kwestię w centrum polityki międzynarodowej), zbyt koncentrowała się na „problemie technicznym wymagającym dostosowań rynkowych i polityki promującej zielone technologie oraz łagodzącej ubóstwo”.

Chociaż strategia Komisji „naprawy technologicznej” pozostaje głównym nurtem w tej polityce, to jego zdaniem, „niezbędne” są strukturalne zmiany całego systemu, które napędzają niezrównoważony rozwój. Wymienia przy tym „imperatyw wzrostu gospodarek kapitalistycznych, kulturę konsumpcjonizmu, zorientowany na państwo porządek geopolityczny oraz model „rozwoju”, w którym ubogie społeczeństwa dążą do [powielania – przyp. A.S.] wzorców krajów bogatych”. To właśnie z nimi trzeba się rozprawić, by przyspieszyć zainicjowany na początku lat 90. proces przechodzenia do nowej rzeczywistości – fazy cywilizacji planetarnej.

Liczne kryzysy, jakich świat doświadcza od ostatnich trzech dekad mają pokazywać, iż „tradycyjne instytucje nowoczesności, choć nieodpowiednie do zarządzania jednym światem, kurczowo się trzymają. W wyniku rozdzwienku między „jest” a „powinno być” narastają globalne kryzysy, w szczególności zmiany klimatu, niestabilność finansowa, konflikty, pandemia, zagrożenia nuklearne, migracje i wiele innych. Z perspektywy fazy planetarnej są to synergistyczne przejawy nadrzędnego makrokryzysu systemu światowego”.

Raskin i jego zespół badawczy Tellus Institute wraz ze Sztokholmskim Instytutem Ochrony Środowiska na początku lat 90. ub. wieku zainicjował badania, których efektem było opracowanie alternatywnych scenariuszy politycznych sprawiedliwej i zrównoważonej

przyszłości, które decydenci polityczni mieliby wdrażać w długim procesie zmian.

Rozpoczął m.in. projekt PoleStar, a w 1995 roku, wraz z ekologiem Gilberto Gallopínem zorganizował Global Scenario Group – międzynarodową, interdyscyplinarną inicjatywę mającą na celu dalszy rozwój ram Fazy Planetarnej i alternatywnych przyszłości. Zwieńczeniem wieloletnich prac jest szeroko cytowany przez naukowców esej z 2002 roku: *Great Transition: The Promise and Lure of the Times Ahead*. Stał się on punktem wyjścia dla Inicjatywy Wielkiej Transformacji (Great Transition Initiative – GTI). Obecnie GTI to potężna sieć tysięcy zaangażowanych naukowców i aktywistów, którzy publikują szereg prac naukowych i biorą udział w tworzenie licznych organizacji oraz ruchów społecznych, podsuwając teoretyczne i praktyczne strategie prowadzące do wielkiej globalnej transformacji.

GTI przygotowało m.in. globalne scenariusze przyszłości, opierając się na trzech wizjach: Światów Konwencjonalnych, Barbaryzacji i Wielkich Transformacji. Jak mówił sam Raskin, „te szerokie nurty uwzględniają odpowiednio przyszłość ciągłości strukturalnej, destrukcyjnej decentralizacji i progresywnej transformacji”. Wprowadzono kilka wariantów scenariuszy w ramach każdej kategorii, aby odzwierciedlić kontrastujące nurty ideologiczne.

I tak w przypadku scenariuszy Światów Konwencjonalnych skupiono się na neoliberalnym wariancie sił rynkowych i reform politycznych (nawiązano do koncepcji Komisji Brundtland i działań ONZ). W ramach Barbaryzacji, jeden z wariantów scenariusza Światów-Fortec zakłada „autorytarne reakcje” na kryzysy Światów Konwencjonalnych, czego mamy być świadkami obecnie. Z kolei kategoria Wielkich Transformacji wskazuje na to, jaki powinien być świat i w jakim kierunku powinniśmy zmierzać. W opinii Raskina oraz jego zespołu powinniśmy wybrać wariant Nowego Paradygmatu, który przewidyuje „powszechne pojawienie się poczucia globalnego obywatelstwa, przesunięcie wartości w kierunku solidarności, ekologii i dobrostanu (w przeciwieństwie do konwencjonalnej triady indywidualizmu,

dominacji nad naturą i materializmu), gospodarki kooperatywnej oraz zrewidowanie systemów zarządzania dostosowane do wyzwań Fazy Planetarnej. W tej wizji równoważenie dążenia do globalnej jedności z dążeniem do lokalnej różnorodności pozostanie trwałym źródłem politycznej kontestacji”. Szerzej o tej wizji można przeczytać w książce Raskina pt. *Journey to Earthland: The Great Transition to Planetary Civilization*.

Drugi wariant Wielkiej Transformacji kładzie nacisk na eko-komunalizm, nawiązując do nurtu anarchistycznego obecnego w ruchach ekologicznych i społecznych, wzywających do radykalnej decentralizacji i dehierarchizacji wszelkich struktur, instytucji, organizacji. Chociaż w przypadku „współzależności planetarnej”, jak zaznacza Raskin, bardziej chodzi o budowanie nowej tożsamości, kultury i demokratycznych struktur zarządzania, od społeczności lokalnych po społeczność globalną.

W opinii Raskina, właściwie świat zbiorowo dysponuje zarówno wiedzą techniczną, jak i z zakresu zarządzania, aby przeprowadzić Wielką Transformację mającą przynieść odrodzoną cywilizację, zakorzenioną w solidarności, ekologii i dobrobycie, lecz brakuje mu woli politycznej. Potrzebni są „aktorzy społeczni”, którzy w miarę „narażającego polikryzysu” przeprowadzą Wielką Transformację. Powstaje pytanie: kto to będzie?

Nie mogą to być „mieszkańcy Światów Konwencjonalnych”, czyli korporacje transnarodowe, organizacje międzyrządowe i międzynarodowe organizacje pozarządowe. Musi powstać „Globalny Ruch Obywatelski”, którego wciąż nie ma na scenie globalnej, ale „może czaić się za kulisami”.

Raskin i jego współpracownicy wielkie nadzieje wiążą z szeregiem ruchów społecznych, jakie wyłoniły się w ostatnich dwóch dekadach na całym świecie, a walczących z dewastacją środowiska i niesprawiedliwością społeczną.

On i jego ekipa szukają sposobów, podejmują działania zmierzające do zjednoczenia tych ruchów, aby były one zdolne do przeprowadzenia systemowej zmiany społecznej, łącząc odizolowanych „agentów zmian”.

Raskin wyobraża sobie, że Globalny Ruch Obywatelski będzie tworzyć ogromna rzesza ruchów, organizacji i stowarzyszeń działających w ramach szerokiego parasola solidarności i wspólnego celu. Umacniałby on „władzę kulturowo, kształtując idee i zachowania; taktycznie, poprzez działania przeciwstawiające się *status quo*; i strategicznie, budując instytucje w celu wywierania trwałego wpływu politycznego”.

Zjednoczenie Globalnego Ruchu Obywatelskiego byłoby „kluczową innowacją społeczną na drodze do Wielkiej Transformacji”. W dobie polikryzysu potrzeba „poszerzonej świadomości i inkluzywnej jedności”, aby poradzić sobie z potężnymi barierami, które stanowią przeszkody dla Wielkiej Transformacji. Te bariery to: „utrwalone struktury władzy, regresywne ideologie i kulturowa inercja”, a także „wyniszczająca, apokaliptyczna rozpacz, paraliżująca wielu obecnych i potencjalnych zwolenników zmiany”.

Raskin liczy, że w krytycznym momencie transformacji społecznej świadomość zmieni się i ruchy szybko scalą się. Obecnie zaś pilnie potrzebne są nowe inicjatywy, które będą pielegnować zaufanie i solidarność między różnymi podmiotami w dążeniu do innego, lepszego świata, bardziej odpornego i sprawiedliwego.

Szef Tellus Institute nie tylko rozwija wraz ze współpracownikami wizje i strategię transformacji. Zajmując się kwestiami energii, wody, zmian klimatu, ekosystemów i zrównoważonego rozwoju opracował też powszechnie stosowane modele zintegrowanego planowania, scenariusze dla energii (LEAP), słodkiej wody (WEAP) i zrównoważonego rozwoju (PoleStar). Dr Raskin jest autorem licznych publikacji. Odgrywał kluczową rolę w Radzie ds. Zrównoważonego Rozwoju Narodowej Akademii Nauk USA, Międzyrządowym Zespole ds. Zmian Klimatu, Milenijnej Oceny Ekosystemów, w przygotowaniu Karty

Ziemi oraz Globalnej Perspektywie Środowiskowej UNEP. Promowane przez jego Instytut idee są niezwykle nośne.

GLOBALNY RUCH OBYWATELSKI

W styczniu 2024 roku grono profesorów i aktywistów społecznych przedstawiło swoje przemyślenia – w ramach projektu *What's Next for the Global Movement?*, opisanych na stronie greattransistion.org – na temat tego, w jaki sposób można by zjednoczyć różne ruchy społeczne i przyspieszyć systemową zmianę.

Jeremy Brecher, historyk ruchów społecznych i współzałożyciel Labor Network for Sustainability, który jest autorem trylogii *Climate Insurgency* uważa, że trzeba połączyć odizolowane ruchy społeczne i doprowadzić do ich współpracy oraz konwergencji w odpowiedni sposób przedstawiając możliwość zdobycia władzy. Podaje przykład częściowej konwergencji między ruchami antyglobalizacyjnymi i ruchami na rzecz globalnej sprawiedliwości, które zdołały się zjednoczyć, mimo dużego zróżnicowania. Jak zaznacza, ruchy „globalizacji oddolnej” w kontrze do „globalizacji odgórnej”, które wkroczyły na scenę światową wraz z „Bitwą o Seattle” w 1999 roku przeciwko ustanowieniu „neoliberalnej konstytucji gospodarczej dla świata Światowej Organizacji Handlu (WTO), gdy zjednoczyły się związki zawodowe z ekologami i rolnikami z Północy oraz Południa, przeciwstawiając się uprawom genetycznie modyfikowanym, nie działały w imieniu grup interesu, ale broniły „wspólnych interesów i praw wszystkich ludzi, wszędzie”. To samo działo się podczas powołania do życia na początku 1990 roku Światowego Forum Społecznego.

Podobnie, szereg innych ruchów udało się zjednoczyć inicjatywie Occupy Wall Street. Rozpoczęła się ona 17 września 2011 roku od rozbięcia obozowiska około 1 000 osób w parku nieopodal Wall Street. Było to po wielkiej recesji. Protest odbywał się pod hasłami: „Banki zostały uratowane – my zostaliśmy sprzedani”, „Jesteśmy 99 procentami”, nawiązującymi do braku odpowiedzialności za wywołanie krachu ekonomicznego w latach 2007 – 2008 przez duże instytucje finansowe i wzbogacenia się jeszcze bardziej 1 proc. najbogatszych kreuzów

finansowych dzięki pomocy państwowej, czyli całego społeczeństwa. Walczyły one z korporacyjną władzą, z nielegalnymi przejęciami nieruchomości, *outsourcingiem*, pogwałceniem praw pracowniczych, nadmiernym zadłużeniem studenckim, „dominacją i korupcją w procesie politycznym”. Ruch Occupy Wall Street z czasem wysuwał kolejne postulaty, sprzeciwiając się budowie rurociągów paliw kopalnych i podnosząc kwestię zmian klimatu w związku z ofiarami huraganu Sandy. W USA objął ponad 600 miejscowości. Stamtąd rozprzestrzenił się na cały świat, wraz z Globalnym Dniem Akcji, podczas którego odbyły się wiece w ponad 1 000 miast w 82 krajach. W narracji medialnej protesty te były przedstawiane jako ruch przeciwko chciwości. Jego pierwotni działacze, nawet po ostatecznej likwidacji protestów przez policję wspierali później strajki nauczycieli w Chicago, pracowników Walmartu i sieci *fast foodów*. Do jego haseł nawiązał także Barack Obama, zwycięzca wyborów prezydenckich w 2012 roku.

Podobnie inicjatywa związana ze sprzeciwem ludności tubylczej z Alerty wobec budowy rurociągu Keystone XL doprowadziła z czasem do zjednoczenia z farmerami z Nebraski i miejskimi postępowymi działaczami, ekologami. Powstała nowa grupa Tar Sands Action, wywodząca się z organizacji klimatycznej 350.org. Nie tylko zbierała ona fundusze dla Obamy. Poprzez spektakularne akcje doprowadziła też ostatecznie do cofnięcia pozwolenia na budowę rurociągu wydanego w pierwszym dniu urzędowania prezydenta Joe Bidena.

To osoby takie, jak Brehler, który współpracuje z Labor Network for Sustainability, jednoczą odizolowane amerykańskie ruchy pracownicze, ekologiczne i na rzecz sprawiedliwości klimatycznej, prowadząc zorganizowaną akcję uświadamiającą o problemach i potrzebach społeczeństwa wymagających wsparcia i wspólnego działania. Opracowali oni programy „sprawiedliwej transformacji” i zintegrowanego wspólnego działania, łącząc przeciwstawne grupy podczas serii spotkań *Convergences on Labor and Climate*.

Brehler jest inicjatorem „oddolnych projektów słuchania”, które mają prowadzić do zrozumienia doświadczeń i perspektywy innych,

udzielania wzajemnego wsparcia, reorganizacji istniejących porozumień, by uwzględnić postulaty drugiej strony itp.

On i inni „agenci zmian” inicjują dialogi, aby zaangażować jak najwięcej ludzi w Wielką Transformację, przekonując, że może ona im przynieść wiele korzyści.

Helen Camakaris, honorowy członek Wydziału Nauk Biologicznych Uniwersytetu w Melbourne i autorka tekstów na temat zrównoważonego rozwoju, zmian klimatu, historii ewolucji i psychologii sugeruje tworzenie konfederacji wszystkich organizacji, uwzględnionych w badaniu Global Movement Landscape i nie tylko (być może GIST, Global Institute for Strategic Transformation), koncentrujących się na podstawowych wartościach i ideach. W jej opinii powinny powstać Sekretariat i Grupa Robocza, które opracują Manifest lub Deklarację Podstawowych Przekonań, wraz z planami określenia możliwych strategii na przyszłość. Manifest powinien trafić do odpowiednich organizacji ruchu, związków zawodowych, instytutów badawczych, uniwersytetów i *think tanków*, z prośbą o komentarze i poparcie.

Jednolity głos miałby mieć większy wpływ na jednostki, jak i partie polityczne. Jednocześnie należałoby wprowadzić „drobne zmiany, takie jak proporcjonalna reprezentacja, głosowanie preferencyjne i struktury parlamentarne”. Zaznacza, że potrzebne jest połączenie kwestii klimatu, innych ograniczeń planetarnych i demokracji. Postuluje powołanie Rad Przyszłości, które podejmowałyby złożone decyzje dotyczące „trudnych problemów” rozpatrywanych przez szerokie grono ekspertów i obywateli, w tym klimatologów i naukowców ewolucyjnych, ekonomistów, ekologów, socjologów, etyków, politologów itp. Opracowaliby oni model najbardziej akceptowalny dla opinii publicznej, być może z udziałem przedstawicieli różnych grup społecznych – w tym pracowników i związkowców, zapewniając równowagę kobiet i mężczyzn, społeczności rdzennych i migrantów, osób młodych i starszych. Decyzje Rady byłyby poddawane pod głosowanie sumienia w Parlamencie i/lub Zgromadzeniu Obywatelskim, gwarantując ekspercką, bezstronną politykę i ciągłość.

Rady Przyszłości zajmowałyby się „wszystkimi kwestiami stanowiącymi zagrożenie, w tym naruszeniem granic planetarnych, niebezpieczeństwami wojny nuklearnej i sztucznej inteligencji, a także kwestiami pokrewnymi, takimi jak stworzenie nowej gospodarki, poprawa demokracji i równość dla wszystkich członków populacji ludzkiej, teraz i w przyszłych pokoleniach”.

Kanadyjczyk **Guy Dauncey**, który „pracuje nad rozwojem pozytywnej wizji pięknej, życzliwej i zrównoważonej przyszłości oraz nad przełożeniem tej wizji na działania”, założyciel BC Sustainable Energy Association, współzałożyciel Victoria Car Share Cooperative oraz współzałożyciel West Coast Climate Action Network, prezes Yellow Point Ecological Society, członek szkockiej Fundacji Findhorn oraz członek Królewskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych zaznacza, że stworzenie Globalnego Ruchu Obywatelskiego to jedno z najpilniejszych zadań obecnie i powinien on mieć „mocną nazwę, uderzający wizerunek w formie flagi, inspirującą definicję „sukcesu”, jasny zestaw możliwych do osiągnięcia postulatów, zdecydowane poparcie milionów ludzi i mobilizację na całej planecie, która będzie trwała, dopóki nie osiągniemy sukcesu”.

„Sukces” definiuje jako „koniec neoliberalnego kapitalizmu i rozwinięcie w jego miejsce nowej cywilizacji ekologicznej z nową gospodarką spółdzielczą, która wprowadzi nas na drogę do społecznie odpowiedzialnych zachowań korporacyjnych, bezpiecznego klimatu, odbudowy przyrody, zmniejszenia nierówności i zapewnienia mieszkań w przystępnej cenie dla wszystkich”.

Ruch jednak będzie potrzebował globalnej centrali, biur krajowych w większości państw i wielu oddziałów w każdym większym państwie. Nie byłby także zarządzany w demokratyczny sposób, a uzgodnienie konstytucji takiego ruchu zajmie wiele lat. Ruch miałby być utrzymywany przez „kluczową grupę aktywistów z całego świata, wykorzystując platformę taką jak Polis, aby umożliwić ludziom osiągnięcie konsensusu w trudnych kwestiach”.

Uznałby on „historyczne nadużycia i cierpienia związane z kolonizacją i systemem dominacji”. „Ruch narodziłby się w konkretnym miejscu, gdzie 300 osób zebrałoby się na trzy tygodnie obrad w duchu przyjaźni i wspólnego rozwiązywania problemów. Nazwijmy to Górą Ubuntu, nawiązując do południowoafrykańskiej filozofii Zulusów, odrzucającej ego i poczucie własnej wartości dla dobra całej ludzkości i natury. Wydarzenie to miałoby rangę równą globalnemu znaczeniu wydarzeń z Bretton Woods (1944) i Mont Pelerin (1947). Zaproszono by po trzy osoby z każdej ze 100 organizacji, z których każda byłaby zaangażowana w budowę nowej cywilizacji ekologicznej lub w inny uzgodniony cel”.

Działacze Globalnego Ruchu Obywatelskiego byłiby obecni w każdej partii, aby działać na rzecz budowy nowej cywilizacji ekologicznej. Przyjęto by wspólną Kartę wartości, przetłumaczoną na wiele języków, która zostałaby szeroko rozpowszechniona, w tym wśród członków organizacji *non-profit* o podobnych poglądach na całym świecie, aby dążyć do pozyskania pierwszego miliona członków, a docelowo miliarda. Karta określałaby kluczowe postulaty dotyczące globalnych zmian, w tym działania na rzecz klimatu, bioróżnorodności, zakończenia globalnego unikania płacenia podatków, zastąpienia nadużyć w wolnym handlu opartym na współpracy i sprawiedliwym handlu, traktatu o nierozprzestrzenianiu paliw kopalnych itd.

W budowie globalnego zaangażowania pomogliby celebryci i influencerzy operujący w mediach społecznościowych, skąd obecnie coraz więcej osób czerpie wszystkie informacje.

„Po spotkaniu w Mount Ubuntu, uczestnicy zostaliby zaproszeni do zorganizowania spotkań w swoich krajach i napisania krajowych lub regionalnych Kart. Wyznaczono by datę pierwszego globalnego protestu, a ruch ożyłby, kierowany i wspierany z centrali w Rio, Kapsztadzie, Bombaju lub gdziekolwiek indziej. Za każdym razem, gdy pojawiałby się termin ważnego globalnego lub krajowego spotkania, ruch wychodziłby na ulice”.

Riane Eisler, prezes Center for Partnership Systems i redaktor naczelna „Interdisciplinary Journal of Partnership Studies” kładzie nacisk na jednoczenie ruchów społecznych poprzez zwalczanie „ujednoliconej ramy regresywnej”, to jest wszelkich idei i struktur utrwalających system dominacji i opresji, uderzając w same fundamenty obecnej cywilizacji.

„Różnorodne ruchy, takie jak ruchy ekologiczne, na rzecz sprawiedliwości rasowej, praw osób LGBTQ+ i na rzecz wzmocnienia pozycji kobiet, wymagają ujednoliconych ram: kompleksowego podejścia partnerskiego, uwzględniającego nasze wzajemne powiązania i powiązania ze światem przyrody. Ta nowa rama obejmuje rodzinę, dzieciństwo, płeć, relacje ekonomiczne i polityczne, i jest kluczem do udanej transformacji całego systemu i lepszego świata” – wskazuje.

Peter Evans, emerytowany profesor na Wydziale Socjologii Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, autor książki *Livable Cities?: Urban Struggles for Livelihood and Sustainability* wprost mówi o konieczności „demontażu kapitalizmu” i potrzebie „globalizacji kontrhegemonicznej”.

Jego zdaniem uświadamianie społeczeństwa na temat destrukcyjnego sojuszu „władzy kapitalistycznej” z „regresywnymi, autorytarnymi reżimami narodowymi” pomogłoby w zjednoczeniu ruchów społecznych i pokonaniu globalnego neoliberalnego kapitalizmu.

„Ugruntowane ruchy postępowe (zarówno krajowe, jak i globalne) zbyt często unikają jednoznacznego obarczenia winą kapitalizmu i powiązanego z nim przywództwa zbiorowego kapitalistów. Brak identyfikacji kapitalizmu jako wroga podważa możliwość mobilizacji szerokiej bazy zwykłych obywateli w politycznej obronie ludzkiego rozwoju i zrównoważonego rozwoju. Budowanie postępowej kultury politycznej wymaga również podkreślenia, że władza kapitalistyczna jest sprawowana nie tylko przez bezosobowe struktury, ale przez ludzką sprawczość, a kapitaliści działają w skoordynowanej

solidarności z innymi kapitalistami, aby zachować swoją władzę, niezależnie od indywidualnych konfliktów o podział łupów” – sugeruje.

Dodaje, że „brak jednoznacznego wskazania władzy kapitalistów jako źródła problemów osobistych i społecznych ułatwia reakcyjnym ideologom odwrócenie gniewu i urazy generowanych przez ciężkie życie i zniechęcające perspektywy na przyszłość, z którymi borykają się ludzie. Wina jest przerzucana na instytucje publiczne, niedoszłych polityków postępowych i mniej fortunnych „innych”, których określa się mianem nieuczciwych konkurentów w walce o coraz mniej dostępne „dobre życie”. Kiedy ruchy postępowe nie podważają mitów takich jak „kapitaliści są głównymi generatorami dobrych miejsc pracy” lub „motyw zysku prowadzi do zrównoważonego rozwoju”, pozostają z nieprzekonującą analizą, która nie ma sensu w kontekście realiów codziennego życia i zmagania ludzi. Nic dziwnego, że ludzie padają ofiarą autorytarnych, reakcyjnych, nacjonalistycznych syrenich pieśni” – uważa.

Profesor dodaje, że z powodu wzrostu nacjonalistyczno-autorytarnych rozwiązań zawodzą konwencjonalne narzędzia polityki postępowej. Kapitaliści mają rezygnować z polityki demokratycznej jako środka do zachowania porządku i zysków. Zważywszy zaś na „imperialistyczne podporządkowanie i wyzysk wspólnot narodowych na całym świecie przez globalny kapitalizm, istnieje naturalne pokrewieństwo między sprzeciwem wobec globalnego kapitalizmu a nacjonalizmem”.

Należy sprzeciwiać się nie tylko kapitalizmowi, ale także nacjonalizmowi, który staje się „wylęgarnią autorytarnych rządów”, oferujących „cenną tożsamość kulturową i polityczną tym, których definiują jako część wspólnoty narodowej”.

Zdaniem Evansa, należy wykorzystać „niezdolność kapitalizmu do zaspokojenia pilnych potrzeb ludzi, takich jak godne życie i zdrowe środowisko”, zidentyfikować kapitalizm jako wroga i mobilizować ruchy postępowe, które podejmą walkę z kapitalizmem.

„Zidentyfikowanie kapitalizmu i kapitalistów jako „wroga” nie jest panaceum, ale kluczowym elementem zapewniającym, że analiza oferowana przez ruchy globalne będzie odzwierciedlać rzeczywistość życia ludzi na całym świecie. Analiza, która sprawdza się w praktyce, to dopiero początek, ale jest warunkiem *sine qua non* skutecznej mobilizacji”.

Dorothy Guerrero, tymczasowa koordynatorka London Mining Network i wieloletnia konsultantka kampanii *Women Building Power: Oil and Gas* w ramach organizacji Women African Alliance zaznacza, że jest zasadnicza różnica między mobilizacją a organizacją. Podkreśla, że wielu aktywistów traci z pola widzenia geopolitykę i nie jest w stanie poszerzyć swojej działalności poza mobilizację wokół konkretnych sektorów lub kwestii.

Sugeruje, że organizacje pozarządowe muszą sięgać po pomoc zorganizowanych grup wykluczonych, jak migrantów, nie-obywateli itp.

Don Hall, dyrektor wykonawczy Transition US, spodziewając się wielkiej dezintegracji z powodu licznych kryzysów i szukania przez ludzi alternatywy, kładzie nacisk na edukację ewolucyjnych liderów, którzy będą w stanie w odpowiednim momencie przeprowadzić kluczowe zmiany. Dlatego tak ważne jest upowszechnienie wśród „mas” takich koncepcji, jak: granice wzrostu, obniżenie zużycia energii, relokalizacja, permakultura, miasta transformacyjne itp. Te idee w tej chwili „są w większości nieznane poza stosunkowo niewielką subkulturą aktywistów i innych twórców kultury, ale muszą być obecne w każdej dyskusji o naszej wspólnej przyszłości. Ludzie muszą o nich rozmawiać w kawiarniach, kościołach, miejscach pracy i przy kuchennych stołach. Media głównego nurtu muszą poświęcać znacznie więcej czasu na relacjonowanie ruchu społeczności regeneracyjnych, a politycy muszą być naciskani na debaty, aby ujawnić swoje plany dotyczące Wielkiej Transformacji”.

Ludzkość ma potrzebować „przewodniej historii, lepszej przyszłości, do której może dążyć”. Przez lata dominowała narracja

o „amerykańskim śnie”, „o awansie społecznym i dobrobycie klasy średniej dla wszystkich, dwójce dzieci oraz białym płócie. Ten model wyeksportowany na cały świat jest nieaktualny i trzeba go zastąpić nowym. A zmiany paradygmatów, jak mawiał Thomas Kuhn następują wtedy, gdy okazuje się, że wcześniej ustalony model nie wyjaśnia już adekwatnie nowych realiów. To jest czas na proponowanie i testowanie nowych teorii., które „najlepiej pasują do całości naszej wiedzy i najdokładniej przewidują przyszłość”.

Dlatego „amerykański sen” ma zostać zastąpiony przez „wizję regeneracyjną” życia wolniejszego, prostszego, bardziej satysfakcjonującego, zgodnie z koncepcjami ekologii głębokiej.

Hall podkreśla, że trzeba „opracować skuteczne, praktyczne alternatywy dla *status quo* w jak największej liczbie miejsc”, lansując koncepcje *degrowth*, wzajemnej pomocy i odporności społecznej. „Musimy udowodnić, że rozwiązania regeneracyjne mogą zapewnić ludziom pieniądze, jedzenie na stołach i dach nad głową. Musimy również udowodnić, że ludzie będą szczęśliwsi, żyjąc w ten sposób” – podkreśla.

Potrzeba więc „ruchu ruchów”. Zacznie on zmieniać rzeczy na lepsze na dużą skalę, by ludzie to zauważyli, aby udało się przesunąć okno Overtona i mogły królować nowe rozwiązania, dziś jeszcze uchodzące za radykalne.

Joseph Fiksel to emerytowany profesor Uniwersytetu Stanowego Ohio. Współtworzył Centrum Odporności, jest profesorem wizytującym na Uniwersytecie George’a Washingtona. Uważa, że trzeba stworzyć syntezę zasad i celów wypracowanych przez różne globalne ruchy – aby mówiły one jednym językiem.

Nie chodzi o powielanie istniejących struktur, takich jak Cele Zrównoważonego Rozwoju ONZ czy Ramy z Sendai dotyczące redukcji ryzyka klęsk żywiołowych. Celem jest natomiast rozwijanie idei, by stworzyć mapę drogową, która wyznaczy wspólny kierunek

rzeczywistego postępu, to jest zmierzania w kierunku gospodarki regeneracyjnej. Konieczne byłoby wypracowanie planu skutecznej komunikacji, współpracy, a być może i konsolidacji kwitnących ruchów w ramach globalnej konfederacji.

I znów ważne staje się zidentyfikowanie i pozyskanie pragmatycznych partnerów ze świata akademickiego, z przemysłu i rządu oraz organizacji pozarządowych (NGO's), by stworzyć jeden spójny przekaz, który zmobilizuje szerokie zaangażowanie. To jest jego zdaniem najpilniejsza misja obecnie.

Jeffrey Halper, dyrektor Izraelskiego Komitetu Przeciwko Wyburzeniom Domów i współzałożyciel Kampanii Jedno Demokratyczne Państwo, postuluje stworzenie zinstytucjonalizowanych ram. Naukowcy uniwersyteccy i wykształceni na uniwersytetach działacze oraz osoby walczące o zmiany mogłyby się ze sobą skutecznie komunikować i współpracować. Działacz chciałby stworzenia Globalnej Sieci Instytutów Strategicznej Zmiany na uniwersytetach, które „stanowiłyby rodzaj powiązanego systemu miejsc *od uniwersytetu do ulicy*, oferujących wspólne szkolenia, konferencje, publikacje, burze mózgów, działania, kampanie oraz wymianę analiz i materiałów, angażując naukowców uniwersyteckich w walkę transformacyjną (...). Działałyby one w oparciu o społeczność i otwarcie polityczne w swoim dążeniu do transformacyjnej zmiany strukturalnej i systemowej”.

Inni naukowcy i „agenci zmian” propagujący idee Wielkiej Transformacji zaznaczają, że gruntowna przemiana może nastąpić jedynie w kontekście rozpadu lub aktywnego demontażu istniejącego porządku. Stąd należy promować alternatywne sposoby życia, jednocześnie walcząc ze starymi, „destrukcyjnymi” modelami. Potrzebna jest „twórcza destrukcja” i przekonanie ludzi, że głęboka transformacja jest niezbędną, możliwą i, że nadejdzie, niezależnie od tego, czy tego chcemy, czy nie, jak sugeruje **Tim Hollo**, dyrektor Green Institute, wykładowca Sydney Environment Institute na Uniwersytecie w Sydney, autor książki *Living Democracy*.

Potrzebne są częste interakcje aktywistów, mnożenie i dywersyfikacja działań, spójnych jednak z pewnymi ramami, a także upowszechnienie teorii zmian, podnoszenie świadomości i szkolenia, które wspierają zdolność do inicjowania kreatywnych działań prowadzących do demontażu obecnych struktur. Wspólne ramy winny obejmować zasady moralne/duchowe, które motywują, inspirują i podtrzymują działania, ofiarne i skoncentrowane na wyższym dobru.

Inicjatywy te zmierzają do głębokiej duchowej transformacji ruchów społecznych. Ma to być nawet „fundamentalny imperatyw naszych czasów – warunek wstępny budowy bardziej pokojowej, sprawiedliwej i zrównoważonej formy cywilizacji, która ceni i wzbogaca ludzką różnorodność”.

Nietrudno zauważyć, że próbuje się stworzyć panteistyczną wizję lepszej przyszłości, coś w rodzaju jednego systemu duchowego. Sprawi on, że wiele różnych ruchów społecznych podąży drogą Wielkiej Transformacji. Wizja ta to ideologia *New Age* i wszystkie rezonujące z nią koncepcje Gai itp.

Michael Karlberg, profesor komunikacji społecznej na Western Washington University i autor książek *Beyond the Culture of Contest* oraz *Constructing Social Reality*, sugeruje połączenie środków radykalnych z konstruktywnymi w celu zastąpienia obecnego systemu światowego.

Steven Klees, profesor, politolog z Uniwersytetu Maryland, autor książki *The Conscience of a Progressive* uważa, że to cele zrównoważonego rozwoju powinny być motywem przewodnim zjednoczenia globalnych ruchów społecznych, a **Jeremy Lent** rozwija koncepcje Paula Raskina, który zdefiniował Globalny Ruch Obywatelski jako „ekologię policentryczną”. Zaleca także przyjrzenie się najskuteczniejszemu ruchowi transformacyjnemu w historii nowożytnej, to jest neoliberalizmowi i powołanemu w 1947 roku Towarzystwu Mont Pelerin, które zadeklarowało w swoim Oświadczeniu o Celach, że jego celem jest „wyłącznie, poprzez ułatwianie wymiany poglądów między umysłami inspirowanymi pewnymi wspólnymi ideałami i szeroko pojętymi

koncepcjami, przyczynianie się do zachowania i doskonalenia wolnego społeczeństwa”.

„W tamtym czasie idee prezentowane przez neoliberalnych myślicieli były całkowicie odrzucane przez kulturę głównego nurtu. Jednak, dzięki starannie zaplanowanej strategii, umieszczającej neoliberalnych opiniotwórców w centrach potężnych sieci, gdzie mogli oni inicjować dyskusje wokół swoich idei, udało im się w ciągu kilku dekad przesunąć to, co stało się znane jako okno Overtona: zbiór idei uznawanych za akceptowalne w głównym nurcie dyskursu politycznego” – zaznacza profesor. I dodaje: „Naszą jedyną nadzieją na realną przyszłość jest przesunięcie okna Overtona – nie tylko z powrotem do miejsca, w którym znajdowało się przed neoliberalizmem, ale na zupełnie inny grunt”.

Promuje ideę Cywilizacji Ekologicznej (Eco Civ) zbudowanej na zasadach afirmujących życie, stwarzającej warunki do rozwoju wszystkich ludzi na kwitnącej, żywej Ziemi i prowadzącej do głębokich zmian w praktycznie każdym aspekcie społeczeństwa.

„Najszerzej rzecz ujmując, cywilizacja ekologiczna obejmuje tematykę wielu grup z całego świata. Zawiera rdzenne koncepcje, takie jak *buen vivir* i *ubuntu*, spostrzeżenia z zakresu ekonomii ekologicznej i teorii dóbr wspólnych, a także zasady ruchów permakultury, miast przejściowych, *degrowth* i agroekologii. Odzwierciedla duchowe podstawy głębokiej ekologii, zaangażowanego buddyzmu i uniwersalistycznej teologii chrześcijańskiej. Obejmuje idee zaczerpnięte między innymi z ruchów antyglobalizacyjnych, eko-socjalistycznych, sprawiedliwości społecznej, praw osób LGBTQ i praw natury. Ostatecznie ma potencjał, by katalizować globalnie rozproszony „błogosławiony niepokój” w spójną, dobroczynną siłę transformacji społecznej” – podkreśla prof. Klees.

Dodaje, że potrzebna jest jeszcze skoordynowana, długoterminowa strategia. W przypadku neoliberalizmu polegała ona na „zasiewaniu nowych idei w środowisku akademickim, a następnie przekształcaniu

ich w politykę za pośrednictwem szeregu *think tanków*, nowych mediów oraz sojuszy ze środowiskiem biznesowym i nadawcami mediów”.

Ruch Eco Civ miałby mieć charakter heterarchiczny, a nie hierarchiczny, i musiałby obejmować bardzo zróżnicowane populacje. Jego siłą nie byłyby finanse, a „serca i umysły miliardów ludzi na całym świecie; ludzi, którzy pragną lepszej przyszłości dla siebie i swoich dzieci”.

Za pośrednictwem „małych wysp spójności w morzu chaosu” należałoby wznieść cały system na wyższy poziom. Te „wyspy spójności” istnieją już na całym świecie – generowane przez odrębne wizjonerskie idee, ruchy oddolne i inicjatywy społeczne, wytyczające ścieżki ku przyszłości afirmującej życie”. Profesor zaznacza, że jednak trzeba nadać im wspólne ramy, które wzmocnią ich energię i przyspieszą transformację. Te ramy to Koalicja Cywilizacji Ekologicznej, sojusz prominentnych działaczy na rzecz zmian, powiązanych z bardziej skoncentrowanym, centralnym ośrodkiem zorganizowanym o zasady socjokracji, aby uniknąć hierarchicznego przywództwa. Pozyskiwałaby ona fundusze od darczyńców pragnących transformacyjnych zmian i kierowała zasoby do zidentyfikowanych „wysp spójności” w różnych obszarach społeczeństwa, aby upowszechnić najlepsze praktyki i zasady do wdrożenia na całej planecie w procesie „skalowania fraktalnego”. Koalicja miałaby ułatwić spójną artykulację koncepcji Eco Civ w głównych mediach, aby pomóc w przesunięciu okna Overtona.

Ido MuncK, kierownik Katedry Zaangażowania Obywatelskiego na Dublin City University oraz profesor wizytujący ds. rozwoju międzynarodowego na Uniwersytecie w Liverpoolu i Uniwersytecie w Buenos Aires uważa, że potrzebna jest nowa międzynarodówka, by „zaoferować spójną alternatywę dla *status quo* przemocy, krótkoterminowości i chaosu politycznego”. Musi ona opierać się na współpracy „związków zawodowych z szerokim spektrum ruchów transnarodowych walczących o zmiany systemowe w kwestiach od zmian klimatu

po bezpieczeństwo żywnościowe, prawa kobiet i rdzennej ludności, od sprawiedliwości rasowej po nierówności dochodowe”.

A fiński wykładowca **Heikki Patomäki** zaznacza, że kluczowa jest komunikacja, rozwój zaufania i solidarności. Uważa także, że zjednoczenie wszystkich ruchów nie jest rozsądnym celem, ponieważ skończy się to skłóceniem, jak to miało miejsce w przypadku Światowego Forum Społecznego, którego tożsamość „została zdefiniowana wyłącznie w kategoriach negatywnych”. Chcąc zachować „otwartą przestrzeń”, forum nie ma żadnej sprawczości i nie może podejmować decyzji. Nie ma „żadnej zdolności ani mocy transformacyjnej”.

Uczony uważa, iż „rozwój globalnej sprawczości transformacyjnej w XXI wieku może nastąpić jedynie poprzez proces uczenia się w kierunku jakościowo wyższych poziomów refleksyjności i celów wyższego rzędu, w tym celów planetarnych, a nawet kosmicznych”.

Fin jest zwolennikiem stworzenia światowej partii politycznej, która będzie promować transformację i różne nowe formy instytucjonalne, w których można zorganizować planetarną sferę publiczną.

Rozwijanie koncepcji dóbr wspólnych, ekocentrycznych praw natury, ekocentrycznego aktywizmu, determinizmu klimatycznego i ekologicznego, walka z „supremacją” ludzką i państwami narodowymi, internacjonalizm planetarny, a nade wszystko walka z „ekobójczym kapitalizmem”, który prowadzi do wielu nierówności, dominacji i opresji ma zbudować mosty między ruchami społecznymi na całym świecie i doprowadzić do Wielkiej Transformacji.

Najdosadniej ujął to ceniony w ruchu progresywnym prof. **Guy Standing**, związany ze School of Oriental and African Studies na Uniwersytecie Londyńskim. To również współzałożyciel Basic Income Earth Network i autor książki *The Politics of Time*.

Mówi on o potrzebie detronizacji „wielkiej finansjery”. W 2024 r. pisał, że „doświadczenie ponad trzydziestu siedmiu lat aktywizmu sprawiło,

iż z podejrzliwością podchodzi do *ruchu ruchów*. Łatwo założyć, że *ruch* to marsz naprzód. Jednak wiele *ruchów* miało charakter atawistyczny i reakcyjny. Patrząc wstecz, (...) jestem zasmucony, że najbardziej zaciekle i budujący bariery sprzeciw wobec postępowej idei głoszącej, iż każdy powinien mieć podstawowe bezpieczeństwo ekonomiczne, pochodzi od osób podających się za lewicowców – zwłaszcza z partii socjaldemokratycznych, partii robotniczych i związków zawodowych. Transformacja wiąże się z zerwaniem dominujących społecznych stosunków produkcji i zerwaniem technologicznych sił produkcji. Myśląc o tym w kategoriach Polany’ego, taka transformacja zaczyna się od fazy wykorzenienia, kiedy system gospodarczy wymyka się spod kontroli społecznej, a stare systemy regulacji, zabezpieczenia społecznego i redystrybucji ulegają rozpadowi. W takiej fazie dominuje retoryka *wolnego rynku*, choć w rzeczywistości triumfuje prawo własności prywatnej, a finanse stają się wszechwładne. Neoliberalna rewolucja ekonomiczna lat 80. XX wieku zapoczątkowała obecną erę kapitalizmu rentierskiego. Podczas gdy rentierzy przekształcili się w globalną plutokrację, oni i ich polityczni przedstawiciele realizowali strategię wzrostu PKB, kosztem egzystencjalnego rozkładu ekologicznego, globalnego ocieplenia, wielorakich nierówności i permakryzysu”.

Standing zapytuje, gdzie jest lewica polityczna? I zaznacza, że „oferuje ona łagodną reformę kapitalizmu rentierskiego, nie dotykając strukturalnych linii podziału”. Przykładem była „bidenomika” Joe Bidena, która zaoferowała „większe dotacje dla kapitału i miejsc pracy *na lądzie*, przy jednoczesnym prowadzeniu rażąco neomerkantylistycznej polityki mającej na celu utrudnienie rozwoju Chin i powiększenie geopolitycznego bloku „przyjaznych” krajów prokapitalistycznych, które mierzą się z szybko rosnącym blokiem BRICS”.

Dostało się także brytyjskiej Partii Pracy, która „naśladuje amerykańską *sekuronomię*, czyli odroczenie działań na rzecz ochrony środowiska, utrzymanie niskich podatków od majątku, większe dotacje dla kapitału przemysłowego i gwarancje dla finansów”. Również w innych krajach „letnie socjaldemokracje ostrożnie omijają działania na rzecz *zerowej emisji netto*, promując Zielony Nowy Ład, który koncentruje się

bardziej na miejscach pracy wyczerpujących zasoby niż na jakiegokolwiek transformacji. Mówi się o zielonej rewolucji technologicznej, ale tak naprawdę chodzi o przeniesienie kosztów środowiskowych wzrostu PKB na oceany w ramach tzw. niebieskiego wzrostu. Morze, które pokrywa 71% powierzchni Ziemi, stanowi nową ekonomiczną granicę globalnych finansów. W ciągu ostatnich trzydziestu lat morze zostało poddane prawdopodobnie największemu w historii ludzkości zamknięciu, dając kapitałowi finansowemu bogactwo, które umknęło uwadze analityków” – wyjaśnia Standing.

Uznając, że „stara lewica to chodzący trup”, brytyjski profesor proponuje ideę transformacyjnego ruchu ruchów (MOM) i potrzebę obalenia kapitalizmu rentierskiego. Dziś bowiem „znajdujemy się w podobnym punkcie, w którym globalne finanse manipulują globalną gospodarką i procesami politycznymi, a upadające państwo rentierskie, USA ściera się z rosnącym państwem rentierskim, Chinami, zaś lokalne wojny są wynikiem rosnących napięć geopolitycznych. Reszta to strata uboczna i dotyczy to całej natury. Finanse sprzyjają dwóm egzystencjalnie zagrażającym trendom: chronicznemu zadłużeniu i krótkoterminowej maksymalizacji zysków. Nie można sobie wyobrazić żadnej globalnej transformacji bez demontażu potęgi finansów” – twierdzi prof. Standing.

MOM, czyli ruch ruchów społecznych musiałby zobowiązać się do prowadzenia kampanii na rzecz walki z potęgą finansów, a drugim kluczowym jego elementem musiałaby być koncentracja na ekowzroście, a nie wzroście PKB.

Postępowy MOM dążyłby do zmniejszenia nierówności w zakresie bezpieczeństwa, czasu i edukacji. „Nie możemy liczyć na wielką transformację bez strategii ratowania edukacji jako dobra wspólnego. Możemy mieć tyle wspaniałych organizacji lub ruchów społeczeństwa obywatelskiego, ile tylko zechcemy. Ale jeśli ludzie nie będą wykształceni, nie będą mieć zapewnionego bezpieczeństwa i wolnego czasu, to nie będzie MOM z wystarczającą motywacją i ukierunkowaniem” – czytamy.

Wszystkie te i inne nie wymienione z racji objętości artykułu propozycje budowy Globalnego Ruchu Obywatelskiego, który doprowadzi do gruntownej transformacji mają związek z lansowaną za pośrednictwem agend ONZ koncepcją nowej umowy eko-społecznej.

Przyglądając się jej filarom z łatwością można zaobserwować, jakie ruchy społeczne są pożądane i inicjowane przez „agentów zmian”.

Idee te przedstawiono w raporcie United Nation Research Institute for Social Development (UNRISD) w 2016 r., a potem rozwinięto i uszczegółowiono 5 lat później.

KONCEPCJA NOWEJ UMOWY EKO-SPOŁECZNEJ

Nowe porozumienie, o którym mówią raporty United Nation Research Institute for Social Development (UNRISD), miałoby zastąpić umowę społeczną z XX wieku, która opierała się na „ekonomicznym imperatywie wzrostu gospodarczego” i zwiększaniu produktywności, redystrybucji oraz ochrony socjalnej. Oenzetowska agenda uznała, że ta umowa załamała się, o czym świadczą liczne kryzysy, postępująca polaryzacja społeczna, wzrost nierówności. To ostatnie zjawisko szczególnie nasiliło się w ciągu ostatnich 40 lat wraz z postępującą globalizacją.

„Porażka naszego modelu gospodarczego”, nieprzestrzeganie „granic planetarnych” miało doprowadzić do pojawienia się „kryzysu ekologicznego” i postępujących „zmian klimatu wraz z ekstremalnymi zjawiskami pogodowym”. Ponadto „pandemia COVID-19” wzmogła niepewność ludzi co do przyszłości. Stąd propozycja resetu i wprowadzenia nowej umowy eko-społecznej, która ma odpowiadać potrzebom XXI wieku.

Nowa umowa opiera się na kilku filarach. Są to:

1. Prawa człowieka dla wszystkich, co łączy się z przyznaniem praw wszystkim „wykluczonym z poprzednich umów społecznych lub zdegradowanym do roli drugorzędnej”, to jest kobietom, pracownikom nieformalnym, mniejszościom etnicznym,

rasowym, mniejszościom religijnym, migrantom, społeczności LGBTQIA+, i włączenia ich w rynek pracy.

2. Progresywny kontrakt fiskalny, który zapewni wystarczające zasoby na działania w dziedzinie klimatu oraz dla realizacji celów zrównoważonego rozwoju i sprawiedliwą dystrybucję obciążeń finansowych.
3. Transformacja gospodarek i społeczeństw w taki sposób, by powstrzymać zmiany klimatyczne i niszczenie środowiska, jednocześnie promując inkluzję (zmiana wzorców produkcji i konsumpcji, deindustrializacja).
4. Umowa z naturą, która obejmuje „ekologizację” prawa polegającą na przyjęciu paradygmatu ekocentrycznego degradującego człowieka (odejście od obecnego antropocentrycznego podejścia w prawie; to wielka rewolucja związana z upowszechnieniem tak zwanego orzecznictwa ziemskiego i przemodelowaniem konstytucji krajowych zgodnie z „Prawami Natury”, uwzględniającymi prawa „Matki Ziemi”; tak zwane ekologiczne nawrócenie).
5. Rozwiązanie problemu niesprawiedliwości historycznych – chodzi o rozprawienie się z niesprawiedliwościami związanymi z niewolnictwem, rasizmem, patriarchatem; szeroko rozumiana dekolonizacja obejmująca także zadośćuczynienie za przeszłe krzywdy dla podbitej ludności rdzennej, ludności kolorowej itd. Przy czym należy naprawić historię niesprawiedliwości, nie tracąc z horyzontu walki z kryzysem klimatycznym, oferując uboższym państwom środki na transformację eko-cyfrową.
6. Umowa na rzecz „sprawiedliwości genderowej”. Nowa umowa eko-społeczna musi uznać, że wcześniejsze umowy społeczne stworzono na podstawie „nierównego kontraktu seksualnego”. Dlatego też trzeba to zmienić, by „zapewnić sprawiedliwość, w której działalność produkcyjna i reprodukcyjna” będą

w równym stopniu udziałem kobiet, mężczyźni i różnych płci kulturowych (*gender*), w której „orientacje seksualne” i sposoby wyrażania „tożsamości płciowej” będą mieć zapewniony równy szacunek i prawa.

7. Nowe formy solidarności – obejmuje to budowanie szerokiego ruchu społecznego w celu załatwienia różnych spraw np. ruch Occupy Wall Street, MeeToo, ruch sprawiedliwości klimatycznej itp.

Nowa umowa eko-społeczna miałaby nie tylko naprawić niesprawiedliwości z przeszłości i zapewnić ludziom większą ochronę oraz bezpieczeństwo. Jej zadaniem jest także odbudować zaufanie do władzy, która nie jest już w stanie zapewnić obywatelom bezpieczeństwa i dobrostanu.

Uwierzono, że zmieni to przyjęta w 2015 r. Agenda na rzecz zrównoważonego rozwoju 2030, która zakłada eliminację ubóstwa, zmniejszenie nierówności i inkluzję, angażując wszystkich członków społeczeństwa („nikogo nie pozostawiając w tyle”) oraz chroniąc przyrodę.

UNRISD wskazuje, że nowa eko-społeczna umowa ma naprawić „niezrównoważone” relacje pomiędzy państwem a obywatelem, kapitałem a pracą, pomiędzy globalnym Południem a Północą oraz pomiędzy ludźmi i środowiskiem naturalnym.

Przy czym ogromną wagę przywiązuje się do transformacji kulturowej. Zmiana relacji ma nastąpić poprzez „przywrócenie równowagi w świecie hegemonicznych ról płciowych, zresetowanie dominujących dyskursów i wykorzenienie relacji opartych na patriarchacie oraz normach kulturowych” (szerzej na ten temat napisano już w 2016 r. w raporcie UNRISD: *Policy Innovations for Transformative Change* (2016)).

Ta głęboka zmiana kulturowa ma pomóc w określeniu na nowo praw i obowiązków obywateli, by promować egalitaryzm i solidarność, jednocześnie zapewniając legitymizację oraz poparcie dla reform prowadzących do transformacji eko-cyfrowej.

Dzięki nowej umowie ma poprawić się „odporność” społeczeństwa na zmiany (wstrząsy i kryzysy), które dopiero nadejdą.

UNRISD podkreśla, że Agenda 2030 to jest pewna wizja, której trzeba dopiero nadać treść. Krok po kroku przybliżamy się do tego celu poprzez szereg regulacji i działań podejmowanych w różnych dziedzinach, na różnych poziomach, od lokalnego przez krajowy i regionalny po globalny. Odbывается się to poprzez regulacje i działania w zakresie promocji równości genderowej i „sprawiedliwości środowiskowej” w połączeniu z szukaniem alternatywnych modeli ekonomii.

W tej transformacji ogromną rolę odgrywa edukacja transformatywna. Zgodnie z podejściem UNRISD, podkreśla się integrację polityki gospodarczej, społecznej przy jednoczesnym zwiększaniu zrównoważenia środowiskowego, praw człowieka i „równości genderowej”. Niezwykle ważna jest mobilizacja różnych ruchów społecznych działających na rzecz szeroko rozumianej sprawiedliwości społecznej.

WZMACNIANIE RUCHÓW SPOŁECZNYCH PRZEZ LEWICOWE OŚRODKI WŁADZY

Warto zauważyć, że inicjatywa Black Lives Matter, którą eksperci od zmiany społecznej uważają za najbardziej udany ruch współczesny o największym zasięgu, próbowała zaistnieć dekadę wcześniej, przed 2020 r. ale pierwotnie nie stała się tak popularna. Późniejsze wzmocnienie przez instytucje władzy sprawiło, że jej postulaty stały się znacznie bardziej nośne.

Wydarzenia z 25 maja 2020 roku związane z pojmaniem przez białego amerykańskiego policjanta Dereka Chauvina czarnoskórego George’a Floyda i śmierć tego drugiego (początkowo jej przyczyny przypisywano temu, że policjant miał klęczeć na szyi Floyda przez dziesięć minut) wywołały falę szeroko zakrojonych, brutalnych protestów w całym kraju dewastujących własność prywatną, także czarnoskórych osób.

Paliwem dla nich stała się domniemana opresja policji wobec kolorowych, ale także szersza niesprawiedliwość, brak równości społecznej. Black Lives Matter często odnosi się do współczesnego rasizmu już nie tylko w policji, ale także w całych Stanach Zjednoczonych. Ta niesprawiedliwość ma się ciągnąć od czasów niewolnictwa przez segregację rasową, wojny z narkotykami prowadzonej przez administrację Nixona i Reagana, po brutalne taktyki policji. Ma to być historycznie trwający ucisk Afroamerykanów przez elitarne konsorcjum *status quo*. Organy ścigania mają być opresyjne, brutalne, uprzedzone i niebezpieczne.

Mimo wcześniejszych głośnych śmierci kolorowych w wyniku interwencji policji np. w 2014 r. Michaela Browna w Ferguson, ruch Black Lives Matter nie znalazł takiego odzewu społecznego jak po śmierci George'a Floyda w 2020 roku. Wówczas to w protestach wzięło udział od 15 do 26 milionów ludzi. W opinii „New York Timesa”, był to największy ruch społeczny w historii Ameryki. Ponadto zapoczątkował transformację społeczną, rewolucjonizując sposób postrzegania rasy, władzy i polityki przez wielu, głównie białych Amerykanów, upowszechniając hasła „antyrasizmu” i „likwidacji policji”.

Wielu obserwatorów zagranicznych zdziwiło, że do tego swoistego ludowego powstania przeciwko władzy, własności prywatnej, autorytetom i hierarchii przyłączyły się najpotężniejsze, autorytarne i hierarchiczne instytucje, w tym Wells Fargo, Facebook, Bank of America, czy Exxon. Hasła BLM popierali przedstawiciele wszystkich sfer władzy, a korporacje same organizowały transport, by dowozić protestujących w określone miejsca.

Wraz z nasilaniem się grabieży czy morderstw BLM wysuwało coraz to nowsze postulaty radykalnego wyzwolenia spod nadzoru i wyzysku, zbudowania alternatywy dla obecnego „systemu rasistowsko-kapitalistycznego”.

Tak, jak pierwotnie BLM, gdy powstał w 2014 r. i nie wzbudził aż takiego odzewu, tak samo ruch MeToo zainicjowany już w 2006 r.

przeciwko drapieżnej „kulturze męskiej opresji”, stał się głośny dopiero dekadę później, gdy zajmowano się sprawą licznych oskarżeń o gwałty i napaść seksualną ze strony hollywoodzkiego potentata Harveya Weinsteina.

Pod koniec dekady zaś upowszechniły się ruchy „sprawiedliwości klimatycznej” za sprawą szwedzkiej uczennicy Greta Thunberg, która promowała „piątki dla klimatu” i strajki klimatyczne.

Wszystkie te ruchy wzywały do systemowej zmiany, a ludzie protestowali od Ameryki po Chile i Hongkong, przez Sudan po Liban.

Protesty miały być wyrazem sprzeciwu wobec wszelkich nierówności, represji, bigoterii, seksizmu, korupcji, niszczeniu środowiska i rękoma zmierzaniu w kierunku katastrofy klimatycznej.

To swoiste nasilenie protestów w ostatniej dekadzie zainteresowało niektórych uczonych, którzy dostrzegli pewne prawidłowości. Na przykład autorzy artykułu w „Harvard Law Review” (*Occupy Justice: Introducing the Injustice Framework* z 2022 r.), w którym sporo miejsca poświęca się niejasnej – z punktu widzenia autorów: Jona D. Hansona i Jacoba Liptona – definicji sprawiedliwości, zwracają uwagę, że nasilenie pojawienia się ruchów społecznych od czasu Occupy Wall Street wiąże się ze zmianą w publicznym postrzeganiu niesprawiedliwości. Ma to odzwierciedlać dysonans istniejący pomiędzy postrzeganą nierównością i władzą, nierównością i sprawiedliwością wskutek upowszechnienia przez prawników terminologii i tematyki poświęconej różnym nierównościom (*wealth inequality*, *income inequality*, *economic inequality* i *racial inequality*). Badania Westlaw sugerują, że użycie tych terminów od 2012 r. do 2022 r. w porównaniu z latami 2002 – 2012 wzrosło dwukrotnie (w latach 2002 – 2012 użyto ich w badaniach 4 997, a w latach 2012 – 2022 użyto ich 9 486 razy). W tych samych latach liczba artykułów naukowych poświęconych *economic injustice*, *racial injustice* i *social injustice* wzrosła trzykrotnie z 1 958 do 6 016. Uczelni wnioskuje, że znacznie więcej prawników poświęca tym kwestiom uwagę od czasu Occupy Wall Street niż przed tymi protestami. Po

prostu znacznie więcej się mówi o różnego rodzaju nierównościach, pisze i agituje, przekonując o destrukcyjnej niesprawiedliwości rasowej, społecznej itp.

To swoiste uświadamianie nieuświadomionych na temat niesprawiedliwości – już nie tylko pewnego systemu ekonomicznego, społecznego, ale także samej rzeczywistości i świata stworzonego (*gender*) – sprzyja mobilizacji przeróżnych ruchów, które miałyby doprowadzić do obalenia istniejących struktur i zastąpić je innymi, egalitarnymi oraz sprawiedliwymi.

Occupy Wall Street występował przeciwko nierównościom ekonomicznym i korupcji. Miał być odpowiedzią na wielką recesję spowodowaną kryzysem finansowym z lat 2007 – 2008. Zainicjowany 17 września 2011 roku w Nowym Jorku, miał przynieść nowe podejście do nierówności majątkowych w amerykańskiej polityce.

Pomysł protestu na Dolnym Manhattanie zrodził się podczas rozmowy Kalle Lasna, współzałożyciela i redaktora naczelnego antykonsumpcyjnego magazynu „Adbusters”, z Micą White’em, starszym redaktorem tego magazynu. Inspiracją dla nich była liczna obecność Egipcjan na placu Tahrir w styczniu 2011 roku. Tłum protestował przeciwko reżimowi Hosniego Mubaraka. Lasn zarejestrował ruch OccupyWallStreet.org 9 czerwca i wybrał 17 września, dzień urodzin swojej matki, jako datę wydarzenia. Zapowiedź protestu w e-mailu „Adbusters” z 13 lipca szybko rozeszła się po Twitterze i Reddicie. Grupa doświadczonych „organizatorów społecznych” z Nowego Jorku – w większości anarchistów – utworzyła organizację o nazwie Zgromadzenie Ogólne Miasta Nowego Jorku (NYCGA), którego zadaniem było planowanie i kierowanie protestem.

Wkrótce w Zuccotti Park koczowało średnio od 100 do 200 osób – maksymalnie około 1 000. Zorganizowano obóz, który obejmował szereg udogodnień takich, jak: darmowe posiłki, bezprzewodowy internet i wypożyczalnię książek, gdzie pracowali profesjonalni bibliotekarze

jako wolontariusze. Firmy i lokalni mieszkańcy udostępniali toalety i pralki, dawali datki.

Occupy Wall Street zainspirowało podobne grupy i obozy protestacyjne nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale na całym świecie, tworząc ruch Occupy.

Weterani Occupy Wall Street brali udział w kolejnych projektach wymierzonych w budowę rurociągu naftowego Keystone XL, strajku pracowników nowojorskich *fast foodów*, w akcjach na rzecz wprowadzenia płacy minimalnej w wysokości 15 dolarów za godzinę i innych inicjatywach koncentrujących się na nierównościach. Inspirowali się wcześniejszymi ruchami antyglobalistycznymi z lat 90. ubiegłego wieku, kładącymi nacisk na facylitację, demokrację partycypacyjną i działania bezpośrednie, a co najważniejsze – na inkluzję.

Ruchy te zaczęły budować wspólną tożsamość inkluzywną, lansując za pomocą narzędzi mediów społecznościowych demokratyzm „bez przywódców”. Obecne ruchy przedstawiane są jako ruchy bez struktury, bez przywódców i bez hierarchii, które mają wykorzystywać inkluzywny, partycypacyjny i oparty na konsensusie zestaw zasad i praktyk, by kierować procesem decyzyjnym i działaniami ruchu.

Powstają jednak mniejsze komitety/grupy robocze, które podczas szerszych spotkań przedstawiają bardziej szczegółowo postulaty. Nie są to „ruchy bez steru”. Są „agenci zmian” i jest wsparcie instytucjonalne, które pcha je w określonym kierunku.

PROJEKT NOWYCH CYWILIZACJI

Zadziwia wręcz sprzężenie sił różnych podmiotów. Weźmy na przykład pod uwagę koncentrację Klubu Rzymskiego na transformacji społecznej. Gremium to, wraz z przedstawicielami niemieckiej i kanadyjskiej komisji UNESCO, za sprawą prof. Benno Werlena w marcu 2021 r. zainicjowało obok liderów Światowej Akademii Sztuki i Nauki, Academia Europaea i Międzynarodowej Unii Geograficznej projekt Deklaracja z Jany w sprawie przyspieszenia działań zmierzających do budowy

Nowych Cywilizacji. Zaczęto lansować „nowe podejście kulturowe”, które przyspieszy proces transformacji społecznej. Kluczową rolę w nim mają odgrywać nauki społeczne i humanistyczne, kształtujące politykę zrównoważonego rozwoju. Twórcy Deklaracji z Jeny postulowali powołanie nowych interdyscyplinarnych instytucji badawczych, które zajmą się analizą nowych sposobów uczenia się oraz wpływania na ruchy oddolne. Młodzi ludzie mieliby ustanowić „kulturowo i regionalnie zróżnicowane sposoby życia zrównoważonego” dzięki swojej „kreatywności i nowej estetyce”, przekraczając granice tabu.

„Sztuka we wszystkich jej formach, wraz z naukami humanistycznymi i społecznymi, ma kluczowe znaczenie dla poszerzenia sposobu myślenia, zapewnienia nowych perspektyw, by ludzkość mogła przejść od epoki eksploatacji do kultury regeneracji, osiągając szybciej cele zrównoważonego rozwoju” – czytamy w Deklaracji.

Dlaczego potrzebne są Nowe Cywilizacje i jak mają one wyglądać? Jak zaznacza Klub Rzymski, by wprowadzić racjonalne zarządzanie zasobami, konieczna jest „zmiana paradygmatu podstawowej matrycy przekonań, złożonych systemów ekonomicznych, finansowych i społecznych, które stanowią podstawę naszych codziennych interakcji”.

Nowe Cywilizacje wyłonią się dzięki m.in. czerpaniu wiedzy o trybalizmie i uczeniu się na nowo, jak stać się człowiekiem (*Learning New Ways of Becoming Human*).

Źródłem inspiracji mają być rdzenne wierzenia, subsaharyjska filozofia *ubuntu*, chiński taoizm czy współczesna cybernetyka, myślenie złożone i neodarwinizm. Należy uczyć się od kobiet, młodych, radykałów i wszelkich grup zmarginalizowanych, ponieważ to one muszą radzić sobie w życiu codziennym z wieloma wyzwaniami. Tylko dzięki nim możliwa będzie „radykalna przebudowa społeczeństwa dokonująca się w ludzkich umysłach i duszach”.

Klub Rzymski wraz z platformą *#LearningPlanet*, siecią setek instytucji zaangażowanych w nowe sposoby uczenia się dla lepszej przyszłości,

uruchomił program działań pod nazwą „Piąty element – życie dla nauki, nauka dla życia”. Wszystkie te inicjatywy mają prowadzić do „dekolonizacji umysłów i wspierania zmiany kulturowej, której ludzkość potrzebuje, aby uciec od wyzysku i destrukcji”.

Klub propagujący budowę Nowej Cywilizacji (*de facto* cywilizacji ekologicznej) i tzw. Rewolucję Ludzką nawiązuje do postulatów swojego założyciela Aurelia Peccei oraz lansowanych od lat 70. ubiegłego wieku raportów wskazujących na ograniczenie zasobów naturalnych, przez co nie wszyscy mogą się bogacić. Transformacja, jaką proponuje, dotyczy zmiany wartości i tego, co należy rozumieć pod pojęciem dobrostanu.

Postuluje przebudowę ekonomii i nauki. Odrzucenie prawdy i obiektywizmu. Należy porzucić wskaźnik Produktu Krajowego Brutto (PKB) oraz w ogóle ideę wzrostu na rzecz wskaźników mierzących wyczerpywanie się zasobów i dobrostan.

Nowe sposoby uczenia się zakładają odrzucenie obiektywizmu i prawdy. Obiektywizm jest „kamieniem węgielnym nauki i częścią paradygmatu separacji”, a tego typu paradygmat ma być zastąpiony. „Konwencjonalne znaczenie obiektywności musi zostać zmienione, jeśli chcemy ułatwić pojawienie się nowych sposobów stawiania się człowiekiem w XXI wieku”, czytamy w opracowaniu Klubu Rzymskiego dotyczącym *Emerging New Civilisations*. W związku z tym mamy wyjść poza „uniwersalność” perspektywy, zaakceptować, że możemy uczyć się od rdzennych kultur, osób zmarginalizowanych itd. Sama edukacja nie może być konwencjonalna. Oświata ma zapewniać „narzędzia transformacji kulturowej”. „Zamiast powielać istniejące ramy, dążymy do stworzenia warunków i narzędzi przydatnych do zmiany naszej epistemologii” – zaznaczają członkowie Klubu Rzymskiego.

Klub Rzymski wraz z siecią uczelni na całym świecie promuje „programy odpowiedzialnych badań i innowacji”. Zakładano stworzenie w ciągu kilku lat sieci organizacji na całym świecie, które pomogłyby

rozpalić zapał do kulturowej transformacji. Transformacja kulturowa ostatecznie przyniesie zmiany w pozostałych dziedzinach życia.

9 września 2021 r. odbyło się uroczyste podpisanie Programu Działań Deklaracji z Jeny (TJD) przez przedstawicieli kolejnych organizacji z udziałem artystów z Afganistanu, Iranu i RPA. Jak zaznaczył wówczas Garry Jacobs, szef Światowej Akademii Sztuki i Nauki, globalny ruch społeczny pomoże „zmienić sposób myślenia i działania tak, by przejście do globalnie sprawiedliwego, inkluzywnego i zrównoważonego życia było możliwe”.

Uznano, że stworzenie globalnego ruchu jest najwyższym priorytetem, a zmiana ma dotyczyć wszystkich dziedzin życia. W praktyce uzgodniono, że będą realizowane programy: „Sztuka”, „Edukacja” i „Społeczeństwo obywatelskie”. Ich koordynacją zajmie się Światowy Sekretariat powołany na Uniwersytecie w Jenie we współpracy z Centrum Studiów Zaawansowanych Maxa Webera w Erfurcie i z Akademią Muzyczną im. Franza Liszta w Weimarze. Koordynatorem został wspomniany niemiecki wykładowca prof. Benno Werlen.

W październiku 2021 r. zorganizowano konferencję pt. *Humanities and Social Sciences for Sustainability*. W planie były podobne wydarzenia dla obu Ameryk, Afryki i Azji. Mają pomóc w pozyskaniu do współpracy kolejnych organizacji i liderów opinii.

TRANSFORMACJA DZIĘKI KORPORACYJNEMU („PRZEBUDZONEMU”) ZARZĄDZANIU

Transformację społeczną próbuje się przyspieszyć poprzez programy DEI (Różnorodności, Równości i Inkluzywności), raportowanie pozafinansowe ESG (E – Środowisko, S – Społeczna odpowiedzialność i G – Ład Korporacyjny) już nie tylko w korporacjach, ale w coraz większej liczbie firm, a także samorządach. To ocenianie przedsiębiorstw i wszelkich organizacji w oparciu o czynniki pozafinansowe odnoszące się do polityki środowiskowej, społecznej i ładu korporacyjnego ma wpływ na to, czy dani inwestorzy zakupią akcje, udzielą pożyczek i kredytów albo przekażą darowiznę organizacji

pozarządowej. To także sposób na bojkotowanie i karanie podmiotów, które odrzucają „postępową” agendę.

W kwestii dotyczącej raportowania na temat odpowiedzialności społecznej bierze się pod uwagę to, w jakim stopniu podmioty przyczyniają się do promocji tak zwanych praw kobiet, mniejszości seksualnych, migrantów. Przykładowo w UBS funkcjonują sieci pracownicze: Awareness Network, Wellbeing, Gender, Pride, Ability i Cultural Awareness Network, działające pod egidą Różnorodności, Równości i Inkluzywności. Sieci te przy zaangażowaniu zarządu prowadzą „spotkania uświadamiające”. Odbywają się comiesięczne szkolenia dla pracowników.

Tworzona jest sieć „przebudzonych” firm, które dzięki wpływom na osoby zatrudnione poprzez system zarządzania wewnętrznego, mają przyspieszyć transformację.

Ożywienie ruchów społecznych, wykorzystanie już istniejących albo tworzenie nowych służy także wywołaniu protestów prowadzących do zmiany lub konsolidacji władzy.

„SPRAWIEDLIWOŚĆ RASOWA” BLINKENA SPOSOBEM NA POKONANIE CHIN I REORGANIZACJĘ PORZĄDKU GLOBALNEGO

Wraz z prezydenturą Joe Bidena w USA w maju 2021 r., na kilka dni przed rocznicą śmierci czarnoskórego George’a Floyda, sekretarz stanu nie tylko upoważnił, ale nawet zachęcił placówki dyplomatyczne do promocji tzw. sprawiedliwości rasowej za granicą. Antony Blinken zezwolił amerykańskim ambasadom i konsulatom na wywieszanie flag radykalnego Black Lives Matter – ruchu znanego z wandalizmu i aktów przemocy, nie tylko wobec białych.

Amerykańskie placówki dyplomatyczne były, jak głosiła oficjalna nota szefa dyplomacji, „usiłnie zachęcane” do wykorzystania – 25 maja i przez cały czerwiec – zasobów Departamentu Stanu „do promocji celów politycznych poprzez wspieranie równości rasowej i społeczności wrażliwych”. Sekretarz zasugerował, że należy używać

„terminu *Black Lives Matter* w wiadomościach, przemówieniach i innych działaniach dyplomatycznych w kontakcie z zagraniczną publicznością w celu promocji równości rasowej i dostępu do wymiaru sprawiedliwości”.

Można powiedzieć, że dążenie do promocji sprawiedliwości i równości rasowej stało się kamieniem węgielnym dyplomacji Blinkena, za co nowy sekretarz stanu był ostro krytykowany przez swojego poprzednika Mike’a Pompeo. Demonstracje przeciwko „niesprawiedliwości rasowej” zostały szybko przeniesione za granicę do dziesiątek innych krajów, koncentrując się na lokalnych wyzwaniach i specyfice walki o tzw. sprawiedliwość społeczną.

W zamierzeniu Departamentu Stanu, BLM miał symbolizować nie tylko walkę z rasizmem, ale w innych regionach świata także walkę z „opresją policji”, „białą supremacją”, zakazem aborcji, walkę z wszelkimi ograniczeniami „praw” mniejszości seksualnych, walkę o prawa pracownicze, czyste powietrze, powszechny dostęp do opieki zdrowotnej itp. W renomowanych pismach upowszechniano głosy sugerujące, iż „antyrasizm” może pomóc Ameryce w pokonaniu chińskiej potęgi, siejąc ferment wśród społeczeństwa i rozbijając spójność społeczną. Sekretarz Blinken sugerował w mediach, że walka o „prawa człowieka” na świecie znów może pomóc Ameryce stać się „wiarygodną potęgą”, ale tylko wtedy, gdy ta zmierzy się z „realiami rasizmu i nienawiści u siebie”. – *Nie możemy zamieść naszych niedociągnięć pod dywan ani udawać, że one nie istnieją. Musimy stawić im czoła otwarcie i szczerze, nawet jeśli jest to brzydkie, nawet jeśli jest to bolesne* – komentował.

Amerykańska ambasada w Bogocie 25 maja 2021 roku opublikowała na swojej stronie internetowej następujący komunikat: „W rocznicę zabójstwa George’a Floyda potwierdzamy, że tym co wyróżnia Stany Zjednoczone nie jest doskonałość, ale otwarte stawianie czoła naszym wadom i wyzwaniom, by iść naprzód, bronić podstawowych wartości i demonstrować odporność naszej demokracji”. By dać przykład innym, prezydent Joe Biden rozpoczął proces dywersyfikacji szeregów Departamentu Stanu, zdominowanego kadrowo przez białych

mężczyzn. W kwietniu mianował weterankę dyplomacji Ginę Abercrombie-Winstanley na szefa ds. różnorodności i integracji.

Gdy w czerwcu 2020 r. przez Amerykę przetaczały się protesty w związku ze śmiercią Floyda, ambasador byłego prezydenta Donalda Trumpa w Korei Południowej Harry Harris zawiesił symbol Black Lives Matter i tęczową flagę wyróżniającą „ruch LGBT Pride”. Wkrótce interweniował ówczesny sekretarz stanu Mike Pompeo, nakazując natychmiastowe ich zdjęcie. Za czasów sekretarza Blinkena wszystkie placówki były zachęcane do ostentacyjnych działań i prowokacyjnych wpisów podsycających wojnę kulturową. Wojna ta miała pomóc w przebudowaniu porządku światowego i obaleniu „autokratycznych reżimów”.

LIBERALNY PORZĄDEK MIĘDZYNARODOWY I BÓJ PRZECIWKO „NACJONALIZMOWI RASOWEMU”

Zoltán I. Búzás w pracy *Racism and Antiracism in the Liberal International Order*, która ukazała się 29 grudnia 2020 r. nakładem wydawnictwa Cambridge University Press, podkreśla, że chociaż mamy „formalną równość rasową”, będącą kluczowym aspektem obecnego liberalnego porządku międzynarodowego (LIO), to jednak w praktyce trudno o niej mówić. W kontekście zaś odradzającego się „nacionalizmu rasowego” i „istotnej nierówności rasowej” kluczowa staje się walka dwóch ponadnarodowych koalicji: transformacyjnej koalicji faworyzującej „reżim różnorodności rasowej (RDR)” i tradycyjnej, broniącej nierówności rasowej. Stawka tej rywalizacji jest wysoka, bo zadecyduje o tym, czy „będziemy żyć w bardziej rasistowskim, czy bardziej antyrasistowskim świecie”. Dodaje, że kluczowa jest walka z „rasizmem systemowym” i „suwerennością” państw „chroniących krajowy rasizm przed zagraniczną ingerencją”.

Autor przypominał, że na konferencji w San Francisco w 1945 r. wielu uczestników przypisywało wybuch II wojny światowej rasizmowi i uznało włączenie równości rasowej do Karty Narodów Zjednoczonych za kwestię kluczową dla pokoju w nowym porządku międzynarodowym. Kolejne zaś inicjatywy na forum międzynarodowym

formalnie wzmocniły równość rasową. Przykładowo, Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych wydało ponad 220 rezolucji związanych z równością rasową. Pierwszym prawnie wiążącym traktem dotyczącym praw człowieka była Międzynarodowa konwencja w sprawie likwidacji wszelkich form dyskryminacji rasowej (1969). „Formalna równość rasowa” jest też zapisana w wielu międzynarodowych prawach, normach, instytucjach i praktykach.

A jednak – według uczonego – „materialna równość rasowa” jest trudna do uchwycenia. Ponadto interpretuje się ją wąsko, jako równość szans, a nie rezultatów. Przez to ograniczona jest zdolność do kwestionowania „rasizmu systemowego”. Kraje oparły się też kluczowym przepisom dotyczącym równości rasowej, stosując „doktrynę jurysdykcji krajowej”, ograniczającej możliwość ingerencji organizacji międzynarodowych w system normatywny poszczególnych państw. Ma to sprzyjać odradzaniu się „nacjonalizmu rasowego”, gdzie o przynależności do narodu decydują takie naturalne atrybuty, jak wspólne pochodzenie krwi. To z kolei ma być przyczyną dyskryminacji cudzoziemców i obywateli „niewłaściwej” rasy lub pochodzenia etnicznego.

Autor łączy „nierówność rasową” z „niesprawiedliwością społeczną”, a obecną walkę z rasizmem uważa za kontynuację wysiłków dekolonizacyjnych wymierzoną w białych nacjonalistów i tradycjonalistycznych sojuszników. Jej celem jest pozbycie się „zakorzenionego rasizmu” poprzez zwalczanie „białego nacjonalizmu i białej supremacji”. Nie uznaje jednak tego za walkę cywilizacji. Podkreśla, że to nie jest zderzenie „Zachód kontra reszta” w rozumieniu Huntingtona, ponieważ ponadnarodowa koalicja antyrasistowska ma przekraczać „cywilizacyjne” granice.

Podczas gdy Huntington traktuje cywilizacje jako względnie niezmiennie, Búzás uznaje rasę za „zmienny konstrukt społeczny”. Postuluje więc zdecydowaną walkę z „niepokojem etnokulturowym”, który napędza „biały protekcjonizm od Zachodu po Rosję i Europę Wschodnią”. Jednocześnie wskazuje na „nieliberalizm” Komunistycznej Partii Chin, która wskutek „rasistowskiego podejścia” narusza prawa

człowieka. Píše, że „rasowe aspekty chińskiej wizji są szczególnie niepokojące”, Dodaje, że chińska konstytucja mówi o „państwie wielonarodowym”, ale jest w niej obecny „nacjonalizm rasowy”, ponieważ uprzywilejowuje „naród rasowy” Han kosztem mniejszości np. uigurskiej. Ponad milion Ujgurów jest internowanych w „obozach reedukacyjnych”, co określa się mianem „apartheidu z chińskimi cechami”.

Autor twierdzi, że „znaczący postęp rasowy zwykle ma miejsce w następstwie tragicznych wydarzeń, takich jak wielkie wojny”. Czy obecna sytuacja wystarczy, aby przyspieszyć postęp? – pyta. I odpowiada: „Jest możliwe, że siły transformacyjne wykorzystają globalne protesty Black Lives Matter i nierówności rasowe, ujawnione oraz wzmocnione przez pandemię, aby ożywić nowe ruchy na rzecz praw obywatelskich i zdobyć władzę polityczną”.

KOMISJA EUROPEJSKA ORAZ WALKA Z „SYSTEMOWYM RASIZMEM”

Na walkę z „systemowym rasizmem” nacisk położyła także Komisja Europejska. Jej szefowa, Ursula von der Leyen, podkreśliła 19 marca 2021 r., że „rasizm jest wokół nas, w naszych społeczeństwach. Nie zawsze trafia na nagłówki gazet. Ale jest”. – *Jest w rasistowskich obelgach przeciwko czarnym piłkarzom. Przejawia się w dyskryminacji osób pochodzenia romskiego. Jest w teoriach spiskowych wymierzonych przeciwko Żydom. To przemoc i nieufność wobec migrantów i uchodźców* – dodała. – *Rasizm jest na naszych ulicach, w naszych miejscach pracy, a czasami nawet w naszych instytucjach. Czasami jest w nas, w sposobie myślenia, nawet jeśli nie zdajemy sobie z tego sprawy* – kontynuowała von der Leyen.

– *W traktatach założycielskich naszej Unii złożyliśmy sobie nawzajem obietnicę. Obiecaliśmy walkę z dyskryminacją w Europie. I walkę o prawdziwą równość między wszystkimi, którzy dzielą ten wspólny dom. Wierzę w tę obietnicę. Z tego powodu w ubiegłym roku Komisja przyjęła pierwszy w historii Plan działania UE na rzecz zwalczania rasizmu. Zainspirowało nas wielu Europejczyków, którzy wyszli na ulice, krzycząc, że „Czarne życie ma znaczenie”. Także tutaj w Europie Black Lives Matter było wezwaniem do działania. Sprawilo, że spojrzeliśmy w lustro i zastanowiliśmy się, kim jesteśmy i kim chcemy być jako społeczność*

wolnych ludzi. Wtedy zdecydowaliśmy się przedstawić Plan działania UE na rzecz walki z rasizmem – podkreśliła szefowa Komisji Europejskiej.

Komisja przeniosła tę kwestię na „wyższy poziom, mobilizując wszystkie dostępne narzędzia”. W ruch poszły „przepisy, fundusze europejskie, współpraca policyjna, polityka edukacyjna, działania zewnętrzne i wiele więcej”. W marcu 2021 r. zorganizowano pierwszy w historii Europejski Szczyt Antyrasistowski w przededniu Międzynarodowego Dnia Walki z Dyskryminacją Rasową. Powołano nowego koordynatora ds. walki z rasizmem – Michaelę Moua. KE zleciła przegląd służby cywilnej. Bruksela planuje także wprowadzić istotne zmiany w prawie karnym.

Propagowanie haseł BLM i plan zwalczania rasizmu na lata 2020–2025 zakładał współpracę z administracją Bidena i eliminację nie tylko „uprzedzeń” opartych na stereotypach. „Oprócz religii lub przekonań rasizm można również łączyć z dyskryminacją i nienawiścią z innych powodów, w tym płci, orientacji seksualnej, wieku i niepełnosprawności, ale także działaniami przeciwko imigrantom” – czytamy w unijnym Planie zwalczania rasizmu. Dodano w nim, że „należy to uwzględnić poprzez *skorelowane podejście*”, by „zbudować prawdziwą unię równości”.

PRZYWRÓCIĆ „DUSZĘ AMERYKI” I KOALICJA ANTYRASISTOWSKICH PAŃSTW

7 listopada 2020 roku prezydent-elekt Joe Biden, nawiązując do teorii głoszonych przez czarnoskórego protestanta Martina Luthera Kinga ogłosił, że jego administracja „przywróci duszę Ameryki”. Oświadczył, że wyborcy dali mu mandat „do osiągnięcia sprawiedliwości rasowej i wykorzenia systemowego rasizmu”. Planował też wykorzystać „przywrócone moralne przywództwo narodu do stworzenia międzynarodowego konsensusu wokół wartości amerykańskich, wezwać inne narody i instytucje międzyrządowe do przyjęcia antyrasistowskich programów”.

Prof. H. Timothy Lovelace Jr. zastanawiał się, w jaki sposób Stany Zjednoczone mogą na nowo skalibrować międzynarodowy porządek prawny i zająć się „systemowym rasizmem”? Przypomniał, że ponad pół wieku temu Southern Christian Leadership Conference (SCLC) przyjęła motto „Przywrócić duszę Ameryki”. Jej przywódcą był dr Martin Luther King Jr. Organizacja rozkwitła dzięki trudom m.in. czarnej kobiety i czarnoskórego homoseksualisty, odpowiednio Elli Baker i Bayarda Rustina. King sugerował, że Stany Zjednoczone byłyby skuteczniejsze w promocji demokracji za granicą, gdyby praktykowały równość rasową w kraju.

Biden nawiązał do spuścizny SCLC. Przekonywał, że rasistowskie ataki w Charlottesville w Wirginii z 2017 roku zmusiły go do kandydowania na prezydenta, a sama kampania miała być „bitwą o duszę narodu”. 46. prezydent USA zapowiedział zdecydowaną walkę z „rasizmem systemowym” w oparciu o wizję praw człowieka Kinga. Walka ta zakładała także kwestionowanie działań policji. Ekipa Bidena chciała wykorzystać Radę Praw Człowieka ONZ i system sankcji oraz szeroko pojmowany ruch BLM do wzniecania buntów w krajach autorytarnych, by zająć się problemem wszelkiej dyskryminacji, ksenofobii, antysemityzmu, „islamofobii” „homofobii” itp.

Timothy Lovelace Jr. w opracowaniu pt. *To Restore the Soul of America: How Domestic Anti-Racism Might Fuel Global Anti-Racism*, które ukazało się 22 stycznia 2021 r. sugerował, że „historycznie rzecz biorąc, okna polityczne dla reform rasowych były krótkotrwałe w Stanach Zjednoczonych”. Zawsze po „momentach postępu rasowego” następowała „rasistowska reakcja”. I tak po wyborze np. Baracka Obamy rozkwitł „trumpizm”. Wzywał więc, by działać szybko i globalnie, powtórzył za Kingiem, że „niesprawiedliwość jest wszędzie” i „wszędzie zagraża sprawiedliwości”.

Gideon Rachman w artykule „Financial Times” z 5 kwietnia 2021 r. podkreślał, że rasa to nie tylko kwestia wewnętrzna. W czasie, gdy zmienia się globalny układ sił, spory o równość rasową stają się częścią walki geopolitycznej. Walka z rasizmem ma pomóc zmienić

globalny układ sił, uderzając w Chiny. Są one jednym z pięciu uprzywilejowanych krajów, zasiadających w Radzie Bezpieczeństwa ONZ i nie chcą zgodzić się na reformę, by włączyć w skład Rady np. Japonię i Indie. Waszyngton krytykował Pekin za „rasistowskie” traktowanie Ujgurów oraz innych mniejszości w Sinciangu. Rząd chiński także uderzał w podobne tony rasizmu i kolonializmu, przypominając o historycznym znęcaniu się nad ludnością tubylczą w Ameryce i Australii oraz kolonialną przeszłość mocarstw europejskich.

W maju 2021 r. podczas oenztowskich obchodów Międzynarodowego Dnia Walki z Rasizmem doszło do ostrej wymiany zdań między ambasadorem USA Lindą Thomas Greenfield a jej chińskim odpowiednikiem Dai Bingiem. Potomkini niewolników oskarżyła Pekin o stosowanie „rasistowskiej”, „ludobójczej” polityki wobec Ujgurów. Chociaż przyznała, że „niewolnictwo jest grzechem pierworodnym Ameryki”, to jednak istnieje ono w każdym zakątku globu, podobnie, jak rasizm. Przywołała „rasistowską politykę” Birmy, wymierzoną w muzułmanów Rohingja „prześladowanych, maltretowanych i zabijanych w oszałamiającej liczbie”, jak również strategię Chin, gdzie „rząd dopuścił się ludobójstwa i zbrodni przeciwko ludzkości na Ujgurach i członkach innych mniejszości etnicznych oraz religijnych w Sinciangu”.

Zastępca ambasadora Chin przy ONZ, Dai Bing, którego nie było na pierwotnej liście mówców, zabrał głos pod koniec debaty i oskarżył Stany Zjednoczone o ingerowanie w wewnętrzne sprawy jego kraju. Dai odnosząc się do afroamerykańskiego pochodzenia ambasadora USA zaznaczył, że wysłanniczka Waszyngtonu „w bezprecedensowy sposób przyznała się do nikczemnych naruszeń praw człowieka w swoim kraju, ale to nie daje jej prawa do instruowania innych, co mają robić”. Dai poradził Ameryce, by „porzuciła ideologiczne uprzedzenia” i „zaprzestała wykorzystywania praw człowieka do celów politycznych oraz prowokowania politycznych konfrontacji i zakłócania międzynarodowej współpracy”. Ambasador USA wezwała Radę Praw Człowieka do walki z szeroko pojmowanym rasizmem i nienawiścią.

Według Elizabeth Economy ze Stanford University, która w majowo-czerwcowym wydaniu magazynu „Foreign Affairs” z 2021 r. pisała o Chinach, antyrasizm może zniszczyć spójność społeczną Państwa Środka. Wykładowczyni Instytutu Hoovera na Stanfordzie twierdziła, że postępuje fragmentacja chińskiej społeczności i marzenie prezydenta Xi Jinpinga dotyczące „odmłodzenia narodu chińskiego” może okazać się jego „koszmarem”. Napisała, że „blask wczesnego ożywienia gospodarczego w Chinach (...) słabnie”, a prezydent niepotrzebnie „rozwija narrację o chińskiej wyjątkowości i wyższości”. *„Wschód rośnie, a Zachód maleje”* – trąbił w przemówieniu w zeszłym roku. Wyżsi chińscy urzędnicy i analitycy przyjęli i wzmocnili przesłanie Xi, wskazując na względny spadek udziału Europy i Japonii w światowej gospodarce oraz podkreślając rasową i polityczną polaryzację Stanów Zjednoczonych. To jest wielki trend w historii (...) Globalna równowaga sił i światowy porządek będą nadal przechylać się na korzyść Chin, a ich rozwój stanie się nie do powstrzymania” – opisyje Economy.

Autorka dodała, że „za taką triumfalną retoryką kryje się niewygodna prawda: społeczeństwo Chin pęka (...) Szerzy się dyskryminacja ze względu na płeć i pochodzenie etniczne, wzmacniana przez coraz bardziej nacjonalistyczną i pełną nienawiści retorykę w sieci. Klasa kreatywna kłóci się z biurokratami. I nadal istnieją poważne nierówności między obszarami wiejskimi a miejskimi. Te podziały uniemożliwiają pełne uczestnictwo ważnych sektorów społeczeństwa w życiu intelektualnym i politycznym Chin, a jeśli nie zostaną uwzględnione, mogą osłabić vitalność gospodarczą kraju”. Zdaniem Economy, chociaż prezydent Xi próbuje wzmocnić rodzime innowację i krajową konsumpcję, jego sukces zależy od intelektualnego i ekonomicznego wsparcia elektoratu, którego pozbawia praw wyborczych.

Profesor uderzyła przede wszystkim w „praktyki rasistowskie” rządu chińskiego wymierzone w społeczności autonomiczne w Sinciang, Tybecie, a w mniejszym stopniu w Mongolii Wewnętrznej i Hongkongu. Przypomniała, że Pekinowi coraz trudniej zachować stabilność polityczną i odbywa się to dużym nakładem. „W 2019 roku Chiny wydały 216 miliardów dolarów na krajowe bezpieczeństwo publiczne

(...) To ponad trzykrotnie więcej niż rząd wydał dekadę wcześniej i około 26 milionów dolarów więcej niż przeznaczono na Armię Ludowo-Wyzwoleńczą” – zauważyła.

Profesor pisała o różnych formach dyskryminacji rasowej Ujgurów i mniejszości tureckich, które mają zakaz wstępu do hoteli lub niektórych miejsc pracy poza regionem. Najbardziej jednak – jej zdaniem – są uciskane feministki. Dodała, że o ile Xi nie podejmie szybkich kroków, aby uleczyć pęknięcia, jego marzenie o wielkim odmłodzeniu narodu chińskiego pozostanie marzeniem albo – gorzej – może stać się „koszmarem”. Rząd chiński jest zaniepokojony sianiem fermentu i zachęcaniem kobiet, by nie wychodziły za mąż i nie rodziły dzieci teraz, gdy kraj zaczyna odczuwać skutki tzw. polityki jednego dziecka. Pekin krytykuje feministki za działanie na szkodę państwa.

Prezydent ma – zdaniem Economy – także problemy z „klasą kreatywną”, czyli naukowcami i przedsiębiorcami, którzy nie mogą zrealizować swoich pomysłów, gdyż zdaniem partii, naruszałoby to jej interesy. Xi wezwał uniwersytety, aby były „bastionami kierownictwa partii”, a Ministerstwo Edukacji jasno dało do zrozumienia, że „ideologiczne i polityczne wyniki” są najważniejszymi elementami oceny wydziałów uniwersyteckich. Ekonomista Chen Wenling argumentował, że jeśli Chiny mają stać się światową potęgą ideologiczną i intelektualną, potrzebują większej „tolerancji, elastyczności i wolności dla chińskich naukowców”. Jia Qingguo, profesor Uniwersytetu w Pekinie (i członek wyższego organu doradczego KPCh), zaproponował zniesienie niektórych biurokratycznych ograniczeń w kontaktach uczonych z zagranicznymi środowiskami naukowymi. Politykę przekazywania tylko „dobrych wiadomości – w czasie, w którym w Chinach pandemia znajdowała się u szczytu – skrytykował Zhao Shilin, były członek Komitetu Centralnego KPCh. Ostrzegał przed niszczeniem indywidualnej inicjatywy, elastyczności i odpowiedzialności.

PRZEWODNIK WALKI Z KLEPTOKRACJĄ USAID I ZACHĘCANIE DO „WIOSNY LUDÓW”

Amerykańska lewica nie poprzestała na wspieraniu ruchu BLM. We wrześniu 2022 r. Agencja Stanów Zjednoczonych ds. Rozwoju Międzynarodowego (USAID), która wspomagała aktywistów wszczynających powstania przeciwko rządóm autorytarnym na całym świecie, wydała przewodnik walki z korupcją – *DEKLEPTIFICATION GUIDE. Seizing Windows of Opportunity to Dismantle Kleptocracy*.

Licząc na współpracę tak zwanych dziennikarzy śledczych, organizacji pozarządowych i wszelakich aktywistów, wskazuje on, w jaki sposób społeczeństwo może pozbyć się skorumpowanych rządów. Powołano nowy fundusz na walkę z korupcją. Wzorem dla tych, którzy chcą obalić skorumpowaną władzę ma być Euromajdan i reformy państwa ukraińskiego.

Przewodnik jest pokłosiem Szczytu Demokracji, wydarzenia zorganizowanego w 2021 r. przez prezydenta Joe Bidena. Administracja uznała za priorytet polityki bezpieczeństwa walkę z korupcją w innych krajach.

Dokument oferuje pomoc krajóm dążącym do demontażu rządów i systemów politycznych zdominowanych przez skorumpowane elity, a inspiracją są Euromajdan („powstanie ludowe”, które obaliło reżim Wiktora Janukowycza) i reformy podjęte przez Kijów w 2014 r. – tuż po utracie Krymu – wspólnie z USAID.

Przewodnik wskazuje także na inne „inspirowane” przez Waszyngton „działania antykorupcyjne” na całym świecie.

Amerykanie liczyli, że dzięki rewolucyjnym założenióm polityki zagranicznej walki z korupcją, stosunkowo niedużym kosztem uda im się diametralnie zmienić świat, zachęcając lokalne środowiska do czegoś w rodzaju „wiosny ludów”. Sprzyjać temu miały nakładające się na siebie kryzysy (energetyczny, wysokich kosztów życia itd.). Gdy

już uda się obalić korupcyjne reżimy, nastąpi „transformacyjna zmiana polityczna”, która pozwoli budować zrównoważony świat.

W grudniu 2021 r. administracja Joe Bidena opublikowała pierwszą strategię przeciwdziałania korupcji. Skupiała się na ograniczeniu nielegalnego finansowania poprzez zamknięcie luk w amerykańskim systemie regulacyjnym, wzmocnienie wysiłków na rzecz wspierania organizacji społeczeństwa obywatelskiego i dziennikarzy śledczych, tropiących skorumpowanych polityków, biznesmenów, sieci korupcyjne, organizacje zakładane przez oligarchów i dezinformację, chociażby na temat polityki covidowej itp.

USAID, Departament Skarbu i Departament Stanu ściśle współpracowały w tej kwestii. W pierwszej kolejności na celowniku byli rosyjscy i chińscy oligarchowie, politycy, którzy próbowali podważać „demokrację i rządy prawa” w innych krajach.

Amerykanie chcieli przeciwdziałać sytuacji, jaka miała miejsce na Ukrainie, gdy w 2014 r. Rosja najechała wschodnią część kraju oraz anektowała Półwysep Krymski. Zdaniem Waszyngtonu, przejście tych regionów było możliwe wskutek braku oporu zdemoralizowanego i niedoinwestowanego wojska.

Po tych wydarzeniach priorytetem władz w Kijowie stała się reforma sił zbrojnych i policji oraz powszechna cyfryzacja, inwentaryzacja wszystkich zasobów obywateli i integracja baz danych. Zdaniem Amerykanów, Kijowowi udało się zreformować wojsko, dlatego siły rosyjskie napotkały tak zdecydowany opór najeżdżając kraj w 2022 r.

„Dzisiaj strony są odwrócone w wojnie Rosji z Ukrainą: siły kleptokracji walczą w inwazji wojskowej przeciwko wielkiej sile dekleptyfikacji” – czytamy w przewodniku. Dodano także, że gdyby nie korupcja, to sytuacja w Afganistanie także wyglądałaby inaczej a talibowie, którzy przekupywali lokalnych urzędników, nie przejęliby władzy.

Możliwości odsunięcia od sterów „reżimów kleptokratycznych” są bardzo trudne – zauważono. „Takie możliwości” pojawiają się zwykle raz na pokolenie przy okazji powstań ludowych lub fali poparcia dla ruchów reformatorskich.

Przewodnik jest po to, by „pomóc” „reformatorom” i USA w „zręcznym nawigowaniu” zmianami. USAID wskazuje, że kluczem powodzenia powstań jest dobre przygotowanie się do nich. Obejmuje ono zidentyfikowanie potencjalnie skorumpowanych osób, tropienie wszelkich przypadków korupcji, sieci powiązań, współpracowników, wspieranie reformatorów, dziennikarzy i wszelkich aktywistów, organizacji społeczeństwa obywatelskiego, które walczą już nie tylko z dezinformacją i wprowadzającymi w błąd informacjami, ale także z „informacjami szkodliwymi” (*mis-, dis-, mal-information* – MDM), osobami podważającymi demokrację, podstawowe wartości i przede wszystkim z korupcją.

Agencja USAID działa w długich cyklach finansowania. Żeby ułatwić jej pracę i reagowanie na powstania takie, jak na Ukrainie, w Gruzji, Mołdawii, Wenezueli, Egipcie i innych państwach na świecie, rząd USA powołał Fundusz Przeciwdziałania Korupcji. Miał on nie tylko wspierać ruchy reformatorskie, ale także „eksperymentować z nowymi, innowacyjnymi mechanizmami antykorupcyjnymi”.

„Bohaterami dekleptyfikacji są aktorzy społeczeństwa obywatelskiego i inni zaangażowani obywatele, którzy ryzykują wszystko, aby otworzyć okno możliwości, sprawić, by rząd pracował dla ludzi i poprowadził swój kraj ku postkleptokratycznej przyszłości. To przedsiębiorcy, którzy mają dość płacenia łapówek, więc wychodzą na ulice, działacze na rzecz ochrony środowiska, którzy ujawniają prawdę o skorumpowanych koncesjach w przemyśle wydobywczym, dziennikarze śledczy, którzy ujawniają przestępcze działania *nietykalnych* oligarchów, uczciwi prokuratorzy, którzy wnoszą oskarżenia przeciwko najpotężniejszym oszustom, zwolennicy polityki, którzy dążą do przejrzystości i odpowiedzialności, oddolni organizatorzy, którzy cieszą się rekordowym poparciem, nowicjusze polityczni, w których

cały kraj pokłada swoje nadzieje i wszyscy odważni reformatorzy – w rządzie i poza nim – którzy poświęcają się w walce na rzecz dekleptyfikacji” – zaznaczono w przewodniku.

USAID chciała z takimi „agentami zmian” i „reformatorami” współpracować, by pokonać korupcję i opór w budowaniu nowych instytucji władzy. Celem jest także chęć podzielenia się doświadczeniem ze światem.

„Niniejsze wytyczne – czytamy – są źródłem informacji dla personelu USAID pracującego w krajach pogrążonych w poważnej korupcji, zwłaszcza tych, których odważni obywatele otwierają okna możliwości dla reform. Ma również na celu ustalenie programu dla szerszej społeczności darczyńców, partnerów biznesowych, naukowców i innych ekspertów skoncentrowanych na zwalczaniu kleptokracji i korupcji strategicznej. Jest to jeden z elementów pakietu produktów politycznych i programowych, które Grupa Zadaniowa ds. Przeciwdziałania Korupcji opracowuje w celu trwałego podniesienia poziomu walki z korupcją przez USAID i przyspieszenia wdrażania amerykańskiej strategii przeciwdziałania korupcji”.

– Idziemy na całość w sprawie dekleptyfikacji. Dzisiaj ogłaszamy utworzenie nowego przewodnika dekleptyfikacji – podręcznika, który pomoże krajom w trudnym przejściu od kleptokracji do demokracji. Ten przewodnik, bazujący na doświadczeniach wcześniejszych demokratycznych otwarć w Rumunii, Republice Dominikany i RPA zawiera porady dla reformatorów, jak wykorzystać głęboko zakorzenioną korupcję oraz porady techniczne, jak wdrożyć radykalne środki przejrzystości i odpowiedzialności, jak przeciwstawić się nowym strukturom korupcyjnym. Szybkie i agresywne poruszanie się w historycznych oknach możliwości sprawi, że te reformy będą trudniejsze do odwrócenia – mówiła administrator USAID Samantha Power.

„Kiedy wyborcy, protestujący i inni zaangażowani obywatele otwierają okna możliwości zlikwidowania „kleptokracji” – rządu kontrolowanego przez urzędników, którzy wykorzystują władzę polityczną do przywłaszczenia sobie bogactwa swojego narodu – zbyt często

tempo reform zanika w ciągu kilku lat. W tym momencie skorumpowane elementy odzyskują władzę” – czytamy w przewodniku.

By to uniemożliwić, Amerykanie oczekiwali ścisłej koordynacji polityki zagranicznej z innymi krajami w celu rejestru majątku oligarchów, powołania instytucji ścigających i orzekających w przypadkach „wielkich korupcji”, sieci prokuratorów, sędziów, dziennikarzy walczących z korupcją. Chcieli tworzenia szczegółowych rejestrów elektronicznych dotyczących polityków, ich majątków i ich rodzin.

„Budowanie instytucji dekleptyfikacji i wykuwanie postkleptokratycznej umowy społecznej jest możliwe tylko przy najwyższym poziomie woli politycznej. Zwykle domagają się tego główne segmenty społeczeństwa, które mobilizują się, by usunąć kleptokratę od władzy. USAID nie otwiera tych okien. Ale przez cały czas wspiera działaczy obywatelskich, takich jak dziennikarze śledczy i rzecznicy praw obywatelskich. USAID zwiększa również poparcie dla reformistycznego rządu po tym, jak obywatele zakończą legalny proces samostanowienia w celu kontynuowania dekleptyfikacji. A pomoc jest dostarczana w przejrzysty, dobrowolny i bezstronny sposób, co jest całkowitym przeciwieństwem ukrytej, przymusowej i korupcyjnej ingerencji w procesy demokratyczne. Celem wsparcia dekleptyfikacji jest pomoc reformistycznym rządowi w wywiązywaniu się z publicznych zobowiązań na rzecz walki z korupcją (...). Dzięki temu instytucje integracyjne staną się z czasem bardziej skuteczne i popularne, a tym samym bardziej odporne na próby odzyskania władzy i podważenia reform przez zagranicznych i krajowych kleptokratów. Żaden zestaw zaleceń dotyczących zasad nie oferuje prostego przepisu na działanie dekleptyfikacji. Ale proces ma większe szanse powodzenia, gdy USAID i inni darczyńcy udzielą wsparcia w celu otwarcia okien dla reform”.

„Ukraińcy pokazali światu, że dekleptyfikacja może być najintensywniejszą formą walki z korupcją. Wymaga innowacji i wytrwałości. Zdecydowana obrona Ukrainy przed brutalną próbą rekolonizacji i rekoleptyfikacji ze strony Rosji pokazuje, w jaki sposób zdolność do rzędzenia i morale publiczne wynikające z udanej dekleptyfikacji

mogą być kluczem do zachowania demokracji i ochrony suwerenności narodowej. Poleganie na instytucjach antykorupcyjnych stworzonych przez Ukrainę w ciągu ostatnich ośmiu lat i budowanie na nich będzie kluczem do pomyślnego procesu odbudowy” – podkreślono w przewodniku.

Podręcznik USAID definiuje pojęcia korupcji, wielkiej korupcji, korupcji administracyjnej, transnarodowej, strategicznej, dekleptyfikacji itp.

Podkreślono, że „korupcja zagraża bezpieczeństwu narodowemu Stanów Zjednoczonych, sprawiedliwości ekonomicznej, globalnej walce z ubóstwem i działaniom na rzecz rozwoju oraz samej demokracji. Jednak skuteczne zapobieganie i przeciwdziałanie korupcji oraz demonstrowanie zalet i przejrzyste, odpowiedzialne zarządzanie, może zapewnić krytyczną przewagę USA i innym demokracjom” – czytamy w dokumencie.

Agencja postulowała, by skupić się na korupcji wokół takich spraw jak: globalne zdrowie, bezpieczeństwo żywności, czysta woda, równość genderowa, edukacja i klimat. Dodano, że „walka z korupcją to podstawowy interes bezpieczeństwa narodowego USA”, co oznacza, że „partnerstwo z kleptokratami jest sprzeczne z celami polityki zagranicznej USA”.

Amerykanie zapowiedzieli wówczas, że nie odstąpią od wzmacniania krajowych wymiarów sprawiedliwości, administracji wyborczej i mediów. Będą także starali się zbudować sieć krajowych reformatorów połączonych z reformatorami z innych państw i „zagranicznymi ekspertami” od zwalczania korupcji.

USAID miało pilnować, by reformy wprowadzane już po powstaniu ludowym miały charakter włączający, inkluzywny i integracyjny.

USAID przyznało także, że „misje i biura USAID były głęboko zaangażowane” m. in. w powstania na terenie Gruzji (2004 – 2012), protesty

w Rumunii (2004 – 2018), na Ukrainie (2014), w Mołdawii (2021 rok), w Bułgarii (2021) i w wielu innych krajach Afryki, Ameryki Południowej i Azji (np. Brazylia 2013 – 2019, Gwatemala (2015 – 2017), Armenia (2018), RPA (2018 – 2019), Malezja (2018 – 2020), Sudan (2019 – 2021), Dominikana od 2020 roku, Zambia (2021).

Pracownicy USAID mieli szczegółowo badać przyczyny niepowodzeń powstań, identyfikować bodźce i ograniczenia, aby udoskonalić zasady działania rewolucjonistów.

INICJATYWY GLOBALNE I „PEDAGOGIKA UCIŚNIONYCH”

Obecnie na świecie odbywają się liczne spotkania ruchów społecznych, aby zwiększyć ich siłę oddziaływania i sprawczości, poprawić operacyjność itp. Również ONZ w tym roku zaplanowało spotkanie UN Social Forum 2025, ale także na listopad Drugi Światowy Szczyt Rozwoju Społecznego (30 lat od pierwszego szczytu w Kopenhadze) w Dosze, który ma się zająć zwalczaniem nierówności, wspierać postęp społeczny, dbając o to, aby nikt nie został pominięty w globalnej drodze do zrównoważonego rozwoju i lansując umowę eko-społeczną w celu „lepszego zintegrowania zrównoważonego rozwoju środowiskowego ze sprawiedliwością społeczną i prawami człowieka”.

Wszystkie te i inne działania nie byłyby możliwe bez pracy, jaką wykonali marksiści i propagatorzy „pedagogiki uciśnionych” Paulo Freire, który wiele dekad temu zainspirował teologów wyzwolenia i różnych aktywistów społecznych na świecie walczących z „systemem opresji”, jaki by on nie był.

Autor wydanej w 1968 r. „Pedagogii uciśnionych” wskazał na potrzebę ujawnienia opresji, a następnie rozpoczęcia procesu trwałego wyzwolenia z niej. I dziś ten „proces wyzwolenia” wszelkich uciskanych osób – z jakiegokolwiek powodu – właśnie ma miejsce pod pretekstem realizacji polityki inkluzywności/włączenia społecznego.

Odbywa się to tak w instytucjach świeckich, jak i religijnych. Trwa wielka transformacja zgodna z paradygmatem zrównoważonego

rozwoju, mająca doprowadzić do powstania nowej eko-cywilizacji planetarnej z ekocentrycznym poglądem na świat.

Tworzy się gęste sieci różnych „uciskanych” grup: kobiet, „gejów i lesbijek”, transów, czarnych, Latynosów, ludów tubylczych, dzieci, młodzieży itd. Mają oni zbuntować się wobec paradygmatu mechanistycznego Newtona, wobec tradycji, wszelkich instytucji hierarchicznych i doprowadzić do powstania nowej cywilizacji ekologicznej, w której będzie królowała równość materialna i różnorodność kulturowa.

Według Freirego, jedynym sposobem, aby pokonać przepaść między uciskającymi a uciskanymi, jest budowanie solidarności z ofiarami, by zrozumieć ich sytuację i podjąć walkę o zmianę społeczną.

Wszystko zatem sprowadza się do neomarksistowskich kategorii i zawsze jednych można przeciwstawić innym, ponieważ znajdują się uciskani i uciskający.

W konsekwencji budowany jest jeden wszechogarniający system polityczny wraz ze wspólnym poglądem na świat. Neomarksistom tak naprawdę nie wystarcza różnorodność. Przekonują oni, iż trzeba integracji, a tej nie osiągnie się, dopóki nie zostaną zniwelowane wszelkie różnice. Te bowiem wprowadzają hierarchie, generując: wykluczenie, izolację i „tokenizm” („fałszywa różnorodność”).

Metoda Freirego odgrywa kluczową rolę we współczesnej edukacji. Jak wspominał w 2018 roku na swoim blogu Leonardo Boff, jeden z twórców teologii wyzwolenia (który później, wraz z innymi przywódcami świata w latach 80. – gdy szukano alternatywy dla kapitalizmu – przemianował ją na ekologię wyzwolenia), bez Paulo Freire nie byłoby tego wszystkiego, czego świadkami jesteśmy obecnie w postaci wszelakich ruchów ludowych zainicjowanych przez brazylijską lewicę już w drugiej połowie XX wieku. Powstały wówczas grupy walczących z dyktaturą wojskową; Kościelne Wspólnoty Podstawowe; rozległa sieć ruchów ludowych i społecznych, bojowe ruchy

związkowe, CUT (Central Única dos Trabalhadores); ANAMPOS (Articulação Nacional dos Movimentos Populares e Sindicais), a później CMP (Central de Movimentos Populares); PT (Partidos dos Trabalhadores); i MST (Movimento dos Trabalhadores Rurais Sem Terra) i wielu innych.

To Freire miał skutecznie uczyć ludzi patrzeć na historię z perspektywy uciskanych i uczynić ich protagonistami przemian społecznych.

Metoda Paulo Freire, indukcyjnego uświadamiania „uciskanych” za pomocą prostego języka i skojarzeń, pomaga wpajać w długim okresie idee polityczne. Wykorzystuje język popularny, plastyczny, a nie akademicki. Miał on propagować oddolną działalność organizacji i mobilizacji społecznej w kontrze do „fundamentalizmu religijnego”. Freire podkreślał, że nie ma mobilizacji bez uprzedniej świadomości, a tej nie da się szybko zbudować. To jest praca na wiele lat i ludziom trzeba dostarczyć „sznur do bielizny”, na którym mogliby wieszać swoje koncepcje polityczne i klucze do analizy rzeczywistości. „Sznur do bielizny” to postrzeganie czasu jako historii. Dla Freirego, deklaratywnego chrześcijanina i zagorzałego zwolennika marksizmu, „sznur do wieszania bielizny” pełni rolę wizualizacji procesów społecznych i politycznych. Ma to istotne znaczenie w mikrowymiarze naszego życia. Wielu ludziom nie udaje się realizować życiowych planów, ba nie wiedzą, kim chcą być i co chcą robić w życiu, ponieważ – zdaniem myśliciela – za bardzo koncentrują się na tym, co tu i teraz. Nie patrzą zaś na zdarzenia z szerszej perspektywy.

Dlatego tak ważną rolę w metodzie edukacji transformatywnej Freirego pełni perspektywa historyczna oraz praca. Autor tej koncepcji kładzie nacisk na dialogiczną relację między tekstem a kontekstem. Ludzie nie tylko uczą się, ale także podejmują działania, by zmienić swój los, walcząc z wszelkimi nierównościami. Wszak zupełnie inna jest interpretacja rzeczywistości z perspektywy ciemniejącego, a inna formułowana przez ciemzonego. Inny też świat obydwaj sobie wyobrażają. Ciemniony buntuje się już nie tylko przeciw temu, jak jest zorganizowane społeczeństwo, ale przeciwko naturze człowieka

i stworzonemu światu. W rezultacie stale mamy do czynienia z gnostyką i egalitarną rewolucją toczoną od wielu stuleci. Przyjmuje ona różne formy i o różnym stopniu natężenia na przestrzeni lat.

Jak wyraził się Ernst Bloch, niemiecki filozof marksistowski żydowskiego pochodzenia i teolog ateistyczny – którego myśl miała wpływ między innymi na studenckie ruchy kontestacyjne w 1968 r. i na ukształtowanie się teologii wyzwolenia – prawdą nie jest to co poznajemy, lecz to co przekształcamy, to co zwycięża. Myśliciel mawiał, że potrzebujemy „bieguna nienawiści”, który będzie napędzał nas do działania i przekształcania rzeczywistości. Potrzebujemy wojny kulturowej.

Obecnie znajdujemy się w okresie katalizowania przemian mających prowadzić do przebudowy systemu społecznego po raz kolejny w historii dziejów. Podsycana jest wojna kulturowa, przekraczane są kolejne granice tabu, by doprowadzić do wyniesienia społeczeństwa na „wyższy poziom postępu” – wbrew logice i naturze, czyli mierze zawartej w świecie stworzonym. Trwa przebudowa globalnego układu sił i rywalizujące strony sięgają do arsenału wszelkich, także barbarzyńskich środków, nie licząc się z kosztami społecznymi. Jak zwykle ucierpią kolejne pokolenia, którym przyszło żyć w burzliwych czasach.

↶
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI

REWOLUCJA EGALITARYZMU W KOŚCIELE

Nie ma współcześnie słowa, które cieszyłoby się większą estymą niż równość. Wszyscy chcą być równi – mieć równe możliwości, a co za tym idzie, równe uroszczenie do sprawowania władzy. Herezja egalitaryzmu gnębi cywilizację Zachodu już prawie 250 lat. Kościół katolicki długo opierał się temu błędowi, ale w ostatnich dekadach tama zaczęła pękać. Duchowni i świeccy, mężczyźni i kobiety – odrębne powołania i różnice stanów ulegają zatarciu w świecie, w którym zamiast służby ideałem jest wyłącznie nieskrępowane dążenie do realizacji marzeń i własnej woli. Dla kondycji Kościoła ma to zgubne konsekwencje. Żeby walczyć z herezją egalitaryzmu, trzeba ją najpierw dobrze rozpoznać, diagnozując obszary, w których fałsz zajął miejsce prawdy.

ŹRÓDŁA EGALITARYZMU

CHRZEŚCIJAŃSKA (NIE)RÓWNOŚĆ

Chrześcijaństwo jest głęboko hierarchiczne – istnieje bezkresna różnica między Bogiem a stworzeniem. Zarazem myśl chrześcijańska ma aspekt „egalitarny”, ale wyłącznie w porządku antropologicznym. Wszyscy ludzie zostali stworzeni przez Boga na Jego obraz i podobieństwo. Różnice płci, wieku, stanu, majątku, hierarchii – są wtórne względem zasadniczej ontologicznej równości wobec Boga. Apostoł mówi, że w Chrystusie Jezusie nie ma Żyda ani Greka, co oznacza przekreślenie jednego z najbardziej fundamentalnych podziałów funkcjonujących w mentalności świata żydowskiego jego czasów.

Chrześcijaństwo formułuje tylko ograniczone roszczenia egalitarne względem struktury społecznej. Antropologiczny egalitaryzm ontologiczny chrześcijaństwa zakłada, że władza świecka nie może dyskryminować w sposób rażący – na przykład godząc się na swobodne i bezkarne zabijanie niewolników albo chłopów, penalizując jedynie zabijanie arystokracji et cetera. Większość przypadków mniej

skrajnej dyskryminacji przez władzę świecką jest jednak przez chrześcijaństwo dopuszczana. Apostoł wyraźnie akceptuje istnienie panów i niewolników, zalecając, by każdy podług swojego stanu troszczył się o spełnianie wymogów Ewangelii. Akceptuje też istnienie silnej władzy świeckiej uprawnionej do karania winnych przestępstw nawet śmiercią.

Ojcowie i pierwsi myśliciele Kościoła nie kwestionują hierarchicznego porządku cesarstwa, w którym funkcjonują. Klemens Rzymski i Justyn Męczennik, choć funkcjonują w nieprzychylnym klimacie państwowym, domagają się od wyznawców Chrystusa posłuszeństwa wobec władz świeckich. Euzebiusz z Cezarei domaga się wręcz maksymalizacji władzy cesarskiej, tak, by jej hierarchiczna wyższość stanowiła analogiczne odzwierciedlenie hierarchicznej wyższości Boga wobec stworzenia. Augustyn ściśle wiąże istnienie władzy państwowej z Bożym zamysłem.

Chrześcijaństwo jest zatem od początku nacechowane egalitarnym napięciem, co towarzyszy mu przez kolejne wieki. Cywilizacja średniowieczna łączy ontologiczny egalitaryzm z rozbudowanym systemem hierarchii społecznej, co nie znajduje u myślicieli chrześcijańskiej krytyki, ale jest w duchu pism Apostoła aprobowane jako naturalny status rei.

OŚWIECENIOWA ÉGALITÉ

Myśl oświeceniowa kulminująca w rewolucji francuskiej dokonuje z perspektywy chrześcijańskiej nieuprawnionego rozszerzenia egalitarnego nurtu obecnego w chrześcijaństwie. Po pierwsze, dokonuje absolutyzacji egalitaryzmu ontologicznego. O ile chrześcijaństwo głosiło egalitaryzm ontologiczny jedynie wobec człowieka, rewolucja francuska posuwa się dalej i likwiduje przepaść pomiędzy Bogiem a stworzeniem. Wprowadzony przez jakobinów kult Istoty Najwyższej jest narratywno-propagandową próbą przykrycia tego radykalnego zamachu na Boga. Robespierre nie decyduje się na proklamację republiki jako podmiotu ateistycznego. Usuwa jednak Boga jako Osobę, wprowadzając na Jego miejsce mglisty byt postulatyczny – Istotę

Najwyższą. Istota Najwyższa jest raczej symbolem opisującym wyobrażoną potęgę ludzkiego rozumu. W sumie, kult Istoty Najwyższej jest zakamuflowanym kultem ludzkiej sprawczości. W ten sposób rewolucja francuska ogłasza absolutny egalitaryzm kosmologiczny, co jest zaprzeczeniem prawdy naturalnej i Objawienia.

Od strony filozoficznej najlepiej ujmuje rzecz Immanuel Kant, który wprowadza kategorię autonomii moralnej. Człowiek nie może przyjmować Bożej etyki na zasadzie biernej akceptacji zewnętrznego prawa – taką postawę Kant nazywa heteronomią, czyli „legalizmem zewnętrznym”. Kant postuluje autonomię, czyli, jeżeli można tak powiedzieć, „legalizm odjednostkowy”. W jego ujęciu człowiek własnym rozumem ustala moralność. Rozum jest wprawdzie obiektywny, to znaczy odkrywa uniwersalne i niezmiennie prawo moralne, niemniej jednak to właśnie on, a nie Bóg, jest podmiotem, w którym zakotwiczona jest słuszność tego prawa. W ten sposób Kant wprowadza egalitaryzm moralny.

Równocześnie rewolucja francuska dokonuje ekstrapolacji chrześcijańskiego egalitaryzmu antropo-ontologicznego. To zabieg konieczny i zrozumiały zwłaszcza na gruncie rewolucyjnej praktyki, nakierowanej na przebudowę relacji społecznych we Francji. Jeżeli nie ma Boga, nie ma źródła kosmicznej nierówności. Źródłem jakichkolwiek nierówności mogą być tylko ludzie. Są nimi król, szlachta, duchowni. Jako że wszystkie te podmioty stanowią istotę społecznego status quo, które rewolucja chce zmienić, muszą zostać zlikwidowane – usunięcie istniejącej hierarchii ma zrobić miejsce dla ludzi nowych, pragnących poszerzenia własnego majątku kosztem zgromadzonego przez wymienione podmioty.

Realizacja planu likwidacji wymaga uzasadnienia propagandowego, które zostaje znalezione właśnie w radykalnym egalitaryzmie społecznym. Wszystkie hierarchie społeczne zostają napiętnowane jako co do zasady nieuprawnione, a ci, którzy je podtrzymują, jako przeciwnicy rewolucji niosącej na sztandarze społeczny egalitaryzm. W ten sposób zostaje otwarta droga do pożądanej likwidacji króla,

szlachty i duchowieństwa a w dalszej konsekwencji do przejęcia ich majątku przez ludzi nowych. Rewolucyjna propaganda mająca uzasadnić mord i grabież urasta do rozbudowanej ideologii, podchwytana w kolejnych latach przez myślicieli rodzącego się socjalizmu.

AMERYKAŃSKI RELATYWIZM

Dodatkowo rewolucyjny egalitaryzm znalazł swoje zastosowanie w warunkach rodzącego się państwa amerykańskiego. Egalitarystyczna jest już „Deklaracja niepodległości”, która uzasadnia niezależność amerykańskiej wspólnoty politycznej od Europy. Społeczny egalitaryzm „Deklaracji” pełnił praktyczną rolę propagandowego uzasadnienia zerwania związków ze Starym Kontynentem. Odrzucenie hierarchii społecznej ma swoje konsekwencje dla postrzegania władzy. Podczas gdy tradycja chrześcijańska widzi w ustabilizowanej władzy państwowej wyraz woli Bożej i odzwierciedlenie boskiego porządku, Amerykanie rząd jedynie tolerują. Wyraźnie podkreśla to na przykład Thomas Paine w broszurze „Common sense” domagającej się niepodległości Amerykanów, twierdząc, że rząd, nawet najlepiej skonstruowany, jest wyłącznie „koniecznym złem”. To fundamentalna różnica. Podczas gdy chrześcijańska tradycja mówi, że władza jest sama w sobie słuszna i sprawiedliwa, amerykańska rewolucja twierdzi, że władza jest sama w sobie niesłuszna i niesprawiedliwa, jakkolwiek technicznie niezbędna dla zapewnienia społeczeństwu możliwości funkcjonowania.

Wynikają z tego poważne konsekwencje. Skoro w tradycji chrześcijańskiej władza jest dobra, pożądany status *rei* będzie chcieć istnienia władzy. W koncepcji amerykańskiej władza jest zła, dlatego pożądany status *rei* nie chce istnienia władzy.

W tradycji chrześcijańskiej immanentne jest dążenie do tworzenia stabilnej, sprawiedliwej władzy. Z kolei w ujęciu amerykańskim immanentne jest dążenie do umniejszania i ograniczania władzy.

Jako że władza państwowa jest w konieczny sposób odwzorowaniem władzy panującej w domu, tradycja chrześcijańska szanuje

i wzmacnia władzę *pater familias*. Koncepcja amerykańska tę samą władzę destruuje i podważa. Być może dlatego tak znakomicie rozwinęła się w Stanach Zjednoczonych po II wojnie światowej tzw. szkoła frankfurcka. Walka z „osobowością autorytarną” prowadzona przez frankfurtczyków była wymierzona zarówno we władzę państwową jak i rodzinną; w Ameryce koncepcja ta znalazła podatny grunt pod zakorzenienie i wzrost.

„Deklaracja niepodległości” jest też głęboko egalitarystyczna religijnie. Amerykańską wspólnotę współtworzyli wyznawcy różnych odłamów protestantyzmu oraz masoni. Nie mogli zgodzić się co do jednej prawdy w dziedzinie religijnej, stąd przyjęli zasadę relatywizmu. O Bogu mówi się w „Deklaracji” na tyle neutralnie, by każdy mógł Go dookreślić pod własnej wiary. W ten sposób „Deklaracja” rezygnuje z uznania istnienia obiektywnej prawdy religijnej. Odległą, ale logicznie uprawnioną konsekwencją tego paradygmatu są roszczenia, jakie do obecności w przestrzeni publicznej zgłaszają dziś tzw. wspólnoty satanistyczne.

BŁĄD AMERYKANIZMU

Amerykańskie błędy egalitarystyczne rozwinęły się do tego stopnia, że zainfekowały myśl katolicką za oceanem. Przybrało to charakter kompleksowy, okreśłany przez katolicką apologetykę jako „herezja amerykanizmu”. Przeciwko temu błędowi wystąpił Leon XIII w liście „Testem benevolentiae nostrae” z 1899 roku, który wysłał do kardynała Jamesa Gibbsona, arcybiskupa Baltimore. Amerykańscy katolicy próbowali dokonać swoistej religijnej absolutyzacji egalitarystycznych założeń politycznych i społecznych swojej „Deklaracji” i stojącego za nią systemu ideowego. W przełożeniu na wiarę oznaczało to *de facto* protestancką indywidualizację relacji między wiernym a Bogiem i związaną z tym demokratyzację sposobu sprawowania władzy w Kościele.

Największym zagrożeniem herezji amerykanizmu było jednak uznanie relatywistycznego liberalizmu religijnego „Deklaracji” za miarodajny dla katolickiego podejścia do innych religii. Konsekwentnie

musiałoby to doprowadzić do zanegowania powołania Kościoła katolickiego do głoszenia Chrystusa całemu światu i uznania, że Kościół jest tylko jednym z potencjalnie nieskończonej liczby podmiotów religijnych, tak samo prawdziwym jak inne – a co za tym idzie, ostatecznie tak również tak samo fałszywym.

Pomimo potępienia przez Leona XIII herezji amerykańizmu, nie udało się jej wytępić, bo błędy, na których jest oparta, stanowią zasadniczy kręgosłup całego amerykańskiego systemu politycznego. Dlatego kiedy po 1945 roku świat został podzielony na dwa wielkie bloki, amerykański i sowiecki, pomimo wszystkich różnic doszło do globalnego upowszechnienia egalitaryzmu – albo w liberalnym wydaniu amerykańskim, albo w marksistowskim wydaniu sowieckim. Nie mogło to pozostać bez wpływu na Kościół katolicki.

Nota bene, w tej analizie celowo pominąłem egalitaryzm sowiecki, bo nie należy go rozpatrywać samego w sobie: to tylko partykularna aplikacja zasad wypracowanych przez myśl oświeceniową. W sensie źródłowym sowiecki egalitaryzm nie wnosi nic nowego.

EGALITARNE UKĄSZENIE PO II SOBORZE WATYKAŃSKIM

ODRZUCENIE WYŻSZOŚCI DZIEWICTWA

Jednym z ciekawszych, a rzadziej dostrzeganych przejawów egalitaryzmu posoborowego, jest odejście od tradycyjnego nauczania Kościoła na temat wyższości dziewictwa nad małżeństwem. Ta wyższość jest sama w sobie oczywista. „Dobrze jest człowiekowi nie łączyć się z kobietą”, mówi Apostoł (1 Kor 7, 1). „Człowiek bezżenny troszczy się o sprawy Pana, o to, jak by się przypodobać Panu. Ten zaś, kto wstąpił w związek małżeński, zabiega o sprawy świata, o to, jak by się przypodobać żonie. I doznaje rozterki. Podobnie i kobieta: niezamężna i dziewica troszczy się o sprawy Pana, o to, by była święta i ciałem, i duchem. Ta zaś, która wyszła za mąż, zabiega o sprawy świata, o to, jak by się przypodobać mężowi”, wskazuje (1 Kor 7, 32–34).

Dla Ojców Kościoła wyższość dziewictwa nie pozostawiała wątpliwości, czemu najszerszy wyraz dał Hieronim, ale co głosili również inni, jak Augustyn, Ambroży czy Grzegorz Wielki. Dlatego Pius XII może napisać w encyklice „*Sacra virginitas*”, że „słusznym jest twierdzenie – jak Kościół przepięknie naucza – że święte dziewictwo wzniosłością przewyższa małżeństwo”.

Wyższość dziewictwa nad małżeństwem jest jednak nieznośna dla umysłu nowoczesnego, który przyjął pryncypia egalitarne. Dlatego po II Soborze Watykańskim o tej prawdzie już się praktycznie nie słyszy. Problem zaczyna się zresztą już na samym soborze. Dokumenty nie zaprzeczają wprowadzenia nauczania o wyższości dziewictwa. Konstytucja „*Lumen gentium*” oraz dekrety „*Presbyterorum ordinis*” i „*Perfectae caritatis*” idą za Apostołem, wskazując na możliwość pełnego oddania się Panu przez osoby wybierające dziewictwo. Teksty soborowe unikają jednak języka, który wskazywałby na hierarchiczną wyższość celibatu. Są otwarte na interpretację zrównującą dziewictwo z małżeństwem.

W okresie posoborowym doszło do praktycznego zanegowania prawdy poprzez nieustanne podkreślanie rzekomej równorzędności dwóch dróg. Typowym zabiegiem stało się mówienie, że nie można jednego drugiemu przeciwstawiać i każdy ma „swoje powołanie”, co wobec przytoczonego wcześniej nauczania stanowi obiektywny fałsz. Istnieje przecież powołanie do dziewictwa, ale nie ma powołania do małżeństwa, które jest co do zasady naturalnym stanem życia. Chrystus Pan uszlachetnia małżeństwo i wynosi je do godności sakramentu, ale nie daje to małżeństwu nowej natury ani nie znosi to zasadniczej wyższości dziewictwa.

Odnosnie samego małżeństwa pokutuje w okresie posoborowym jeszcze drugie egalitarystyczne zafałszowanie – zrównanie celów małżeństwa. Kościół nauczał tradycyjnie, że pierwszym celem małżeństwa jest spłodzenie potomstwa, hierarchicznie istotniejszym niż kultywowanie miłości małżeńskiej. Konstytucja soborowa „*Gaudium et spes*” mówi: „Z samej zaś natury swojej instytucja małżeńska oraz

miłość małżeńska nastawione są na rodzenie i wychowanie potomstwa, co stanowi jej jakby szczytowe uwieńczenie”; zdanie to trafiło też do Katechizmu Kościoła Katolickiego (pkt. 1652). Teoretycznie mówi się o „nierozdzielności” celów prokreacyjnego i jednoczącego (miłosnego); nie ma to jednak przełożenia na praktykę. Lwia część małżeństw katolickich realizuje cel prokreacyjny jedynie w ograniczonym stopniu, silnie ograniczając liczbę dzieci i de facto skupiając się głównie na realizacji celu jednoczącego (miłosnego). Przyczyną pomieszczenia w tej dziedzinie nie jest jednak tylko ideologia egalitarystyczna, dlatego o problemie jedynie wspominam.

EGALITARNE WYJAŁOWIENIE KAPŁAŃSTWA

Deprecjacja celibatu wiąże się z deprecjacją kapłaństwa. W tym aspekcie korzeni można dopatrywać się w myśli Marcina Lutra. Oparcie życia chrześcijańskiego na zasadzie *sola fide* – zbawienia otrzymywanego wyłącznie dzięki wierze – doprowadziło Lutra do odrzucenia sakramentalnego kapłaństwa. Pełniący funkcje kapłańskie stał się w koncepcji luterńskiej delegatem wspólnoty chrześcijan, a nie naśladowcą i swoistym uobecnieniem Chrystusa-Najwyższego Kapłana (kapłan jako *alter Christus*).

Ten egalitarny mit antyklerykalny stał się niezwykle silny po II wojnie światowej również w przestrzeni katolickiej. Kapłan jest w istotowy sposób wyższy hierarchicznie nad świeckich, co jest oczywiście nieakceptowalne dla umysłowości egalitarnej. Twierdzi się zatem, że kapłaństwo hierarchiczne jest wynalazkiem doby konstantyńskiej – kiedy Kościół zdobył możliwość legalnego funkcjonowania i rozpoczął tworzenie struktur władzy, pojawiło się kapłaństwo jako elitarny klub celibatariuszy roszczących sobie uprawnienie do rządzenia całą wspólnotą chrześcijańską. Taką wizję kapłaństwa promuje na przykład niemiecki uczonec, zresztą sam ksiądz, Martin Ebner; opisał ją w głośnej za Odrą i wydanej również w Polsce książce pt. „Czy Kościół potrzebuje księży?”. Niezależnie od stojącej za tym teorii, podobne konsekwencje praktyczne co tezy Ebnera miałyby też zrealizowane wizji przebudowy kapłaństwa w ujęciu zmarłego w 2025 roku Fritza Lobingera, biskupa z RPA. Lobinger proponował swoiste

uwspólnotowanie kapłaństwa: obok wyświęconych księży-celibatariuszy mieliby funkcjonować również wyświęceni żonaci księży, wspierani przez szereg świeckich spełniających różne posługi. Ciężar pracy kapłańskiej zostałby rozparcelowany na grupę – już nie jeden ksiądz, ale zespół kapłański pełniłby wszystkie funkcje wcześniej realizowane przez kapłana.

Koncepcje Lobingera zrobiły międzynarodową karierę w okresie tzw. Synodu Amazońskiego, bo aprobatywnie wypowiedział się na ich temat sam Ojciec Święty. Ostatecznie nie zostały w żaden sposób wdrożone w życie, ale egalitarny duch odnośnie kapłaństwa znalazł swoje miejsce w wypowiedziach Synodu o Synodalności nakierowanych na „nawrócenie” hierarchicznego kapłaństwa w kierunku synodalnego wsłuchiwania się w głos całego Ludu Bożego. Póki co trudno o bardziej precyzyjne sformułowania, jako że wypowiedzi własne dokumentów synodalnych utrzymane są na wysokim poziomie ogólności i nie pozwalają się konkretyzować ani szczegółowo interpretować, jeżeli chce się uniknąć popadania w nadmierne spekulacje.

RÓWNOŚĆ KOBIET – AŻ PO KAPŁAŃSTWO?

W pełni egalitarystyczne z ducha jest postulowanie diakonatu oraz kapłaństwa kobiet, obecne w Kościele od co najmniej kilkudziesięciu lat. Zaczynem ruchu na rzecz kapłaństwa kobiet stało się wprowadzenie przez papieża Pawła VI diakonatu stałego otwartego dla żonatych mężczyzn. Jako że w Kościele katolickim diakon jest wyświęcany „nie do kapłaństwa, ale do posługi”, to zmiany Pawła VI zostały odebrane jako otwarcie możliwości wyświęcania kobiet na diakonisy. Większość zwolenników takiego kroku traktuje rzecz jako punkt pierwszy na drodze do pełnego równouprawnienia kapłańskiego, to znaczy wprowadzenia w przyszłości prezbiteratu oraz episkopatu kobiet, tak, jak stało się to już w niektórych wspólnotach protestanckich, na przykład anglikanizmie.

W przyjętym w listopadzie 2024 roku „Dokumencie Finalnym” Synodu o Synodalności stwierdzono, że „kwestia dostępu kobiet do diakonatu pozostaje otwarta i wymaga dalszego rozeznania”. Papież

Franciszek powołał już kilka komisji, które przyglądały się tej sprawie, jak dotąd bez rezultatu. Niezależnie od decyzji, które mogą zostać podjęte przez Stolicę Apostolską w kwestii żeńskiego diakonatu, w ostatnich latach obserwujemy w Kościele dążenie do maksymalizacji liczby stanowisk kierowniczych piastowanych przez kobiety. Papież Franciszek powierzył na przykład w ręce kobiety stery Dykasterii ds. Zakonów, a papież Leon XIV przydał szefowej tej dykasterii dodatkowo żeńską sekretarz, tym samym przekazując urząd pod większościową władzę kobiet. Obserwator nie może mieć wątpliwości, że narracja ta wiąże się z przeniesieniem na rzeczywistość chrześcijańską ideologii płciowego egalitaryzmu, tak zwanego równouprawnienia, forsowanego przez ruch feministyczny zrodzony na fali marksistowskiej rewolty XIX wieku.

Wiąże się to z niemal całkowitym odrzuceniem zasady hierarchicznego ułożenia stosunków w rodzinie. Rola ojca jako *pater familias* została kategorycznie zanegowana; w miejsce władzy ojcowskiej promuje się ideę równego partnerstwa małżonków. Podstawą umożliwiającą krzewienie tej ideologii jest rewolucja antykonceptyjna – wynalezienie i upowszechnienie chemicznej antykoncepcji całkowicie rozwarło związek między aktem płciowym a zachodzeniem w ciążę, co umożliwiło kobiecie nieporównywalnie swobodniejszy niż w przeszłości udział w życiu społecznym i realizację zadań zawodowych. W nowoczesnej sytuacji kobieta może tyle samo, co mężczyzna, zarówno w rodzinie jak i w społeczeństwie – wolna od konieczności zachodzenia w ciążę, wychowująca dzieci na modłę partnerskiego podziału ról i korzystająca z państwowej infrastruktury wspomagającej wychowanie, podejmująca aktywności polityczne i społeczne wcześniej sprawowane wyłącznie przez mężczyzn. W naturalny sposób rodzi się oczekiwanie, że płciowy egalitaryzm, który przeniknął już życie rodzinne oraz życie społeczne, będzie obowiązywać również w Kościele.

Przeszkody teologiczne są postrzegane jako nieistotne. W „*Ordinatio sacerdotalis*” św. Jan Paweł II napisał, że święcenia kapłańskie mogą być udzielane wyłącznie mężczyzną, a jego rozstrzygnięcie powinno

być uznawane przez następców za ostateczne. Feministyczni i egali-tarystyczni zwolennicy kapłaństwa kobiet uważają jednak, że orze-czenie św. Jana Pawła II było bezpodstawne i arbitralne, a jako takie nie ma mocy zobowiązującej. Innymi słowy, kwestionują zasadność tradycyjnych argumentów przeciwko kapłaństwu kobiet.

Zasadniczo są to następujące argumenty: – Chrystus Pan wybrał na Apostołów wyłącznie mężczyzn; – w Tradycji ten wybór nie był nigdy kwestionowany i kobiet nie poświęcano do kapłaństwa; – kapłaństwo w Kościele jest osadzone w kapłaństwie żydowskim, które było zawsze kapłaństwem męskim; – płeć jest konstytutywnym wymia-rem człowieczeństwa, a kapłan jak *alter Christus* musi odzwierciedlać męską płeć Chrystusa. Argumentu z woli Chrystusa nie da się obalić, bo zasadza się na stwierdzeniu faktu. Można jedynie argumentować, że Jezus wprawdzie powołał na Apostołów tylko mężczyzn, ale sko-ro nie zakazał powoływania na ich następców kobiet, to oznacza to, że pozostawił tę kwestię Kościołowi do swobodnego rozstrzygnięcia. W konsekwencji argument z Tradycji byłby nieistotny – należałoby wskazać, że w przeszłości nie postulowano kapłaństwa kobiet, bo nie było takiego zapotrzebowania społecznego ze względu na inny kontekst kulturowy niż dzisiejszy. To samo musiałoby dotyczyć argu-mentu trzeciego. W ten sposób nie tyle obala się trzy pierwsze argu-menty, co raczej je omija.

Problem generuje zwłaszcza fakt, że świat starożytny znał instytucję żeńskiego kapłaństwa. Skoro ani Żydzi, ani Chrystus Pan, nie wpro-wadzili nigdy kapłaństwa kobiet, wydaje się, że należałoby ten wy-bór uszanować i go nie zmieniać – choćby ze względu na argument czwarty, czyli troskę o zachowanie analogiczności osobowej pomię-dzy Chrystusem samym a kapłanem jako *alter Christus*.

Udzielenie kobietom sakramentu kapłaństwa, pozbawione jakichkol-wiek podstaw nie tylko w Tradycji Kościoła, ale również w całej histo-rii Objawienia, byłoby ze strony pasterzy Kościoła aktem niezwyklej i bezprecedensowej odwagi ku samostanowieniu, by nie rzec aktem hybris, popełnionym w imię wierności nie wobec tożsamości Kościoła,

ale zgodności funkcjonowania Kościoła z aktualnymi normami społecznymi wyznaczanymi przez ideologię egalitarystyczną.

ZRÓWNANIE WŁADZY RZĄDZENIA

Impet egalitarystyczny silnie daje o sobie znać w dziedzinie sprawowania w Kościele władzy. Propozycja demokratyzacji struktur władzy kościelnej pojawiła się bezpośrednio po II Soborze Watykańskim, najpierw w Holandii (Niderlandzki Synod Duszpasterski 1966–1970), a później w Niemczech (Synod Würzburski 1971–1975). Zaczęto podważać tytuł kapłanów do wyłącznego rządzenia Kościołem. Przez wiele lat znajdowało to odzwierciedlenie tylko na szczeblu bardzo lokalnym, poprzez tworzenie różnego rodzaju rad przy parafiach czy diecezjach, poza kontekstem germańskim o często dość znikomym faktycznym wpływie na zarządzanie Kościołem.

Sprawy zaczęły się zmieniać zwłaszcza za pontyfikatu papieża Franciszka, który postanowił potraktować roszczenie świeckich do sprawowania w Kościele władzy poważnie. W 2022 roku przeprowadził reformę Kurii Rzymskiej za sprawą konstytucji apostolskiej „*Praedicate Evangelium*”. Dotąd urzędami kurialnymi kierowali biskupi z racji na związanie władzy rządzenia w Kościele z sakramentem kapłaństwa. Na gruncie „*Praedicate Evangelium*” tej związek został rozerwany. Władza w kurii została zaprezentowana jako „delegacja” wypływająca z wyłącznej władzy papieskiej; delegację tę mogą wykonywać w efekcie już nie tylko biskupi czy choćby prezbiterzy, ale również świeccy. Przykładem praktycznym jest opisane wcześniej oddanie sterów Dykasterii ds. Zakonów w ręce zakonnicy. Egalitarystyczny impet demokratyzacji władzy w Kościele znalazł swoje jeszcze silniejsze odzwierciedlenie podczas Synodu o Synodalności w latach 2021 – 2024, zwłaszcza przy okazji obrad w Rzymie dwóch Synodów Biskupów (2023 i 2024). Choć rzecz formalnie nadal nazywano Synodem Biskupów, udział w zgromadzeniach brali również świeccy, w tym kobiety, mając równorzędne prawo do głosu względem samych biskupów. W październiku 2024 taki „Synod Biskupów”, *de facto* zgromadzenie katolików różnych stanów, przegłosował

„Dokument Finalny”, który papież włączył następnie do Magisterium Kościoła katolickiego.

Wprawdzie formalnie dokonał tego aktu na mocy swojej własnej najwyższej władzy wynikającej z prerogatyw papieża jako powszechnego pasterza Kościoła i w tym sensie Tradycja monarchicznej władzy kościelnej została zachowana; z drugiej jednak strony włączenie do zbioru oficjalnych i zobowiązujących magisterialnie dokumentów Kościoła tekstu, który został przyjęty na drodze głosowania przez kolektyw złożony z biskupów, księży i świeckich – jest aktem o charakterze stricte rewolucyjnym. Dalszy rozwój tej sytuacji jest niejasny i pozostaje w gestii obecnego papieża.

Litera „Dokumentu Finalnego” Synodu o Synodalności zobowiązuje Kościół do dalszego postępowania na drodze demokratycznego egalitaryzmu partycypacyjnego, jako że domaga się tworzenia w całym Kościele katolickim różnego rodzaju struktur „doradczych” i de facto wiążącym dla biskupa charakterze. Dokument mówi na przykład o „szerszym udziale świeckich mężczyzn i kobiet w procesach rozeznawania eklezjalnego i we wszystkich fazach podejmowania decyzji (wypracowywanie i podejmowanie decyzji)” (pkt. 77a). Postulat tego rodzaju jest w różnych formach powtarzany w dokumencie w sumie kilkanaście bądź nawet kilkadziesiąt razy (sic). W praktyce może to prowadzić do podważania władzy biskupa. W pkt. 92 czytamy na przykład, że w Kościele „kompetencja decyzyjna biskupa, Kolegium Biskupów i Biskupa Rzymu jest niezbywalna”, ale z drugiej strony „nie jest ona bezwarunkowa” i nie może „ignorować kierunku, który wyłania się z procesu konsultacyjnego jako wynik właściwego rozeznania, zwłaszcza jeśli jest przeprowadzone przez organy partycypacji”. Dokument wprost wzywa do rewizji Kodeksu Prawa Kanonicznego tam, gdzie mówi on o „jedynie doradczym” charakterze różnych ciał partycypacyjnych. Innymi słowy, biskup rządzi – ale jeżeli rządziłby w sposób niezgodny z konsensusem wyłaniającym się z synodalnych procesów decyzyjno-doradczych, wyobcowałby się z synodalnego modelu sprawowania władzy w Kościele i w ten sposób naruszył jeden z konstytutywnych elementów eklezjalności, jakim

w ujęciu papieża Franciszka jest synodalność (przemówienie z 2015 roku z okazji 50. rocznicy ustanowienia przez Pawła VI Synodu Biskupów).

Demokratyczny egalitaryzm w ujęciu synodalnym może też prowadzić do ograniczenia zakresu apostolskiej władzy biskupa poprzez głosowanie kolektywnego ciała episkopalnego, jakim jest Konferencja Episkopatu. W pkt. 125 „Dokumentu Finalnego” mówi się o „dokreśleniu wiążącego charakteru decyzji podjętych przez konferencję biskupów w stosunku do każdej diecezji, której biskup brał udział w tych decyzjach”. Innymi słowy, jeżeli większość biskupów zrzeszonych w ramach konferencji episkopatu podejmą jakąś decyzję, każdy poszczególny biskup obecny na głosowaniu byłby zobowiązany do jej wdrożenia w życie.

W ten sposób faktyczna władza przeszłaby z biskupa jako następcy Apostołów na kolektywne gremium biskupów mające swoją podstawę w kluczu narodowym, co jest nieuzasadnione z perspektywy chrześcijańskiej Tradycji, ale co znajduje swoje zakorzenienie w demokratyczno-narodowym modelu funkcjonowania współczesnych państw.

LOCI THEOLOGICI. OPINIE WSPÓŁCZESNYCH RÓWNE PISMU ŚWIĘTEMU

Demokratyzacja ma również znaczenie dla stanowienia wykładu wiary. Znaczącą zmianę w tym zakresie zaproponowała niemiecka „Droga Synodalna”, czyli reformistyczny proces obradujący od 2019 roku. Kluczowy dokument pod omawianym kątem został ogłoszony w 2022 roku na tak zwanym „III Zgromadzeniu Synodalnym”. W tekście pt. „Tekst orientacyjny” zawarto uwagi na temat *loci theologici* – miejsc teologii. Chodzi o źródła, z których Kościół poznaje Objawienie i które pozwalają na odkrywanie głosu Boga.

„Do najważniejszych miejsc teologii należą Pismo Święte i Tradycja, znaki czasu oraz zmysł wiary Ludu Bożego, Urząd Nauczycielski oraz teologia. Żadne z miejsc nie może zastąpić innego; wszystkie potrzebują wzajemnego rozróżniania i wiązania. Wszystkie te

miejsca trzeba w każdym czasie odkrywać i wiązać na nowo” – głosi dokument. Kościół katolicki za miejsca teologiczne charakteryzujące się pewnością uznaje Tradycję, Pismo Święte i Urząd Nauczycielski. Droga Synodalna proponuje tymczasem poszerzenie tej listy o naukę teologiczną, znaki czasu i *sensus fidei* (zmysł wiary) – w tym sensie, że nadaje im pewność właściwą tylko trzem wymienionym wcześniej, choć wydawałoby się, że w oczywisty sposób jest to karkołomne.

Ma to nie tylko teoretyczne, ale również w pełni praktyczne zastosowanie. Przykładem jest wprowadzanie w różnych miejscach na świecie błogosławienia par tej samej płci. Drogę wytyczyła Belgia przyjmując specjalne wytyczne we wrześniu roku 2022. Stolica Apostolska wydała następnie w grudniu 2023 roku deklarację „*Fiducia supplicans*” wprowadzającą pewne ramy dla tych błogosławieństw, węższe niż przyjęte przez Belgów. Niemniej już w lipcu 2025 roku kilku biskupów w Niemczech przyjęło wytyczne dalece bliższe belgijskim niż watykańskim, co wiąże się z organizacją ceremonii błogosławieństwa na sposób analogiczny do ceremonii udzielania sakramentu małżeństwa. Zarówno Belgowie jak i Niemcy bronią swoich rozwiązań argumentując z partykularnego kontekstu kulturowego, co jest zakorzenione właśnie w koncepcji znaków czasu i *sensus fidei* jako źródeł teologicznych.

Zgodnie z wizją papieża Franciszka przedstawioną w adhortacji „*Evangelii gaudium*” i rozwijaną przez cały jego pontyfikat, podobnych wyjątkowych rozwiązań motywowanych szczególnym kontekstem kulturowym mogłoby być w Kościele więcej, co nazywa się „jednością w różnorodności” – w tym różnorodności doktrynalnej. „Nie wszystkie dyskusje doktrynalne, moralne czy duszpasterskie powinny być rozstrzygane interwencjami Magisterium. Oczywiście, w Kościele konieczna jest jedność doktryny i działania, ale to nie przeszkadza, by istniały różne sposoby interpretowania pewnych aspektów nauczania lub niektórych wynikających z niego konsekwencji” – pisał Franciszek w adhortacji „*Amoris laetitia*” (pkt. 3) co powtórzył w swojej „*Nocie*” dołączonej w listopadzie 2024 roku do „Dokumentu Finalnego” Synodu o Synodalności”. Czy Leon XIV podtrzyma ten kierunek, pokaże dopiero czas. Jak dotąd nic nie wskazuje na próbę powstrzymania

uczynienia katolickiej doktryny i moralności bardziej „różnorodną”, zależnie od lokalnej kulturowej oceny danej kwestii.

DOCZESNOŚĆ ZAMIAST ZBAWIENIA

Szczególnym przejawem idei egalitarystycznej stała się teologia wyzwolenia, skupiająca się na użyciu chrześcijaństwa do transformacji struktur społecznych. Za ojca teologii wyzwolenia uchodzi ks. Gustavo Gutiérrez, autor fundamentalnej pracy pt. „Teología de la liberación” z 1971 roku (pol. „Teologia wyzwolenia”). Według Gutierrezza nie można mówić o autentycznie chrześcijańskiej miłości bliźniego, jeżeli nie wyraża się ona „w dążeniu do zmiany struktur ucisku”. Ekstremistyczna forma teologii wyzwolenia, która po prostu instrumentalizowała Ewangelię dla celów społecznych, została potępiona przez Kongregację Nauki Wiary w dokumencie „O niektórych aspektach teologii wyzwolenia” z 1984 roku. Nie zatrzymało to jednak upowszechniania w Kościele swego rodzaju immanentystycznej interpretacji Ewangelii, czemu dał wyraz na przykład sympatyzujący z teologią wyzwolenia kardynał Carlo Maria Martini, prominentny członek grupy z Sankt Gallen. Swego czasu przedstawiał Zbawiciela tak, jakby zamiast Ewangelii niósł raczej odezwę protomarksistowską. Jezus „był niezwykle głęboko oddany sprawiedliwości i chciał zmienić świat. Kościół Jezus Chrystusa powinien wnieść wkład w czynienie świata bardziej sprawiedliwym i pokojowym miejscem” – mówił pod koniec życia Martini w książce „Night conversations with Cardinal Martini” napisanej wspólnie z jezuitą Georgiem Sporschillem. „Sprawiedliwość musi pilnować, czy prawo, tak jak jest formułowane, pozwala wszystkim ludziom mieć dobre życie. Jezus oddał swoje życie za sprawiedliwość. [...] Jezus obudził najgłębszą siłę biednych i uczynił z tego kwestię polityczną. Polityczna strategia Jezusa zaczyna się wtedy, kiedy dostrzega potrzeby ludzi. [...] Życie Jezusa ma swój punkt szczytowy na krzyżu. Za swoje aktywne zaangażowanie zapłacił życiem” – dodawał. Ten immanentystyczny kierunek sprowadzający posłannictwo Jezusa Chrystusa do przekształcania świata doczesnego w ocenie wielu krytyków znalazł swój wyraz również w niektórych dokumentach pontyfikatu Franciszka, zwłaszcza w encyklice „Fratelli tutti” z 2020 roku. Chrystus Pan został tam

zaprezentowany bez wyraźnego odniesienia do Jego zbawczej misji, raczej w kontekście miłości bliźniego, tak, jak jawi się w przypowieści o dobrym Samarytaninie. Tymczasem jak pisała Kongregacja Nauki Wiary we wspomnianym wcześniej dokumencie o teologii wyzwolenia, Ewangelia Jezusa Chrystusa jest wprawdzie orędziem wolności ma moc wyzwalającą, ale wyzwolenie to dotyczy „przede wszystkim i w pierwszym rzędzie największej niewoli grzechu”, a dopiero w swoich następstwach daje się rozumieć jako „wezwanie do wyzwolenia z różnorodnych zniewoleń na polu kulturalnym, ekonomicznym, społecznym i politycznym, które ostatecznie wywodzą się z grzechu, a które równocześnie stanowią przeszkody utrudniające ludziom życie odpowiadające ich godności”.

Wynika z tego prosty wniosek krytyczny o teologii wyzwolenia, która jest błędna o tyle, o ile odwraca porządek Ewangelii – troszczy się w pierwszej kolejności nie o wyzwolenie z grzechu, ale o przekształcenie struktur społecznych, podczas gdy logika Ewangelii jest dokładnie odwrotna. Jak pisała Kongregacja, „niektórzy byli skłonni do jednostronnego położenia akcentu na wyzwoleniu ze zniewoleń typu ziemskiego i doczesnego, do tego stopnia, że odnosi się wrażenie, że na drugi plan odsuwają wyzwolenie z grzechu, a tym samym praktycznie nie przyznają mu naczelnego znaczenia, jakie posiada”. Ta pokusa wraca do Kościoła zawsze, kiedy swoje siły zaczyna koncentrować nie na głoszeniu Chrystusowego orędzia o zbawieniu, ale na trosce o polepszenie materialnych warunków funkcjonowania człowieka w świecie. To drugie nie jest złe samo w sobie, ale staje się takim, kiedy przysłania pierwsze; mamy wówczas do czynienia ze swoistym egalitaryzmem teleologicznym w dziedzinie antropologii – celem życia ludzkiego nie staje się już spełnienie w eschatonie, czyli zbawienie w Chrystusie, ale osiągnięcie „dobrego życia” doczesnego.

EGALITARYZM RELIGIJNY PRZEKREŚLA MISJĘ

Jeżeli wszystkie religie są równe, niesienie narodom Chrystusa nie ma żadnego sensu, a pochodzący od Zbawiciela nakaz misyjny jest bezcelowy. Dlaczego ktoś miałby potrzebować zbawienia w Kościele, skoro jego własna religia wytycza mu ścieżkę do osiągnięcia pełni

życia w Bogu? II Sobór Watykański wyłożył bardzo specyficznie ujętą naukę na temat wolności sumienia i religii, która w ocenie wielu krytyków implikuje przyjęcie zasady relatywizmu religijnego. Konsekwencje tego ujęcia były dość oczywiste. W 1986 roku w Asyżu zorganizowany został Dzień Modlitw o Pokój, gromadząc przedstawicieli różnych religii z całego świata. Globalne media obieły obrazki przedstawiające Jana Pawła II oraz wyznawców różnych fałszywych kultów, którzy modlą się w tym samym miejscu – teoretycznie każdy modlił się osobno, ale siła obrazu sugerowała coś przeciwnego. Wprawdzie w 1990 roku papież Wojtyła ogłosił encyklikę „Redemptoris missio” o zbawczej misji Chrystusa, stanowiącej w pewnym sensie proklamację katolickiej prawdy w kontrze do indyferentyzmu religijnego; nie zdało to się jednak na wiele. Błędna teologia szerszyła się coraz bardziej. W 1995 roku potępiony szwajcarsko-niemiecki teolog Hans Küng założył fundację „Weltethos”, stawiając jej za cel wypracowanie uniwersalnej etyki bazującej na różnorodnych systemach religijnych, zakładając, że jest między nimi zasadnicza równość. Z kolei w 1997 roku belgijski jezuita Jacques Dupuis ogłosił książkę pt. „Vers une théologie chrétienne du pluralisme religieux” (pol. „W stronę chrześcijańskiej teologii pluralizmu religijnego”). Autor niedwuznacznie sugerował, że inne religie są równoprawnymi drogami do zbawienia. Jego poglądy zostały skrytykowane przez Kongregację Nauki Wiary. W 2000 roku urząd ten ogłosił deklarację „Dominus Iesus” o jedyności zbawczej Jezusa Chrystusa i Kościoła katolickiego, co znowu zatrzymało jednak szerzenia się wśród teologów indyferentyzmu religijnego. Silnie widoczne jest to w Polsce, gdzie od wielu lat obchodzi się tak zwane „Dni Judaizmu” oraz „Dni Islamu” w Kościele. Takie ujęcie jest oczywiście pokłosiem specyficznego dialogu ekumenicznego oraz międzyreligijnego, nakierowanego na podkreślanie wyłącznie punktów wspólnych między wyznaniem czy zgoła religiami, przy unikaniu zwracania uwagi na jakiegokolwiek różnice, choćby nawet fundamentalne. Znalazło to swój szczególny wyraz po 2013 roku.

Franciszek już w roku 2016 opublikował w sieci nagranie promujące dialog międzyreligijny, gdzie zestawiono ze sobą na równym poziomie symbole buddyzmu, judaizmu, chrześcijaństwa oraz islamu.

W 2019 roku ten sam papież ogłosił w Abu Zabi „Dokument o ludzkim braterstwie” razem z imamem ahmadem Al-Tayyebem z prominentnego uniwersytetu Al-Azhar w Kairze. Napisano tam, jakoby pluralizm i różnorodność religii były wyrazem mądrej woli Boga. Owocem dokumentu stało się powołanie specjalnej organizacji – Wysokiego Komitetu na rzecz Ludzkiego Braterstwa. Komitet patronował budowie „Domu Rodziny Abrahmowej” w samym Abu Zabi. To oddany w 2023 roku do użytku kompleks trzech świątyń – kościoła, meczetu oraz synagogi. Projekt wyraźnie sugeruje równorzędność trzech religii. W 2019 roku w Watykanie odbył się też tak zwany Synod Amazoński, podczas którego Indianie oddawali w obecności papieża kult boginie Pachamamie, a jej figura prezentowana była w kościołach – rzekomo jako pogańska „figura” Matki Bożej.

Wreszcie w 2024 roku Franciszek udał się w podróż do Azji Południowo-Wschodniej. W Singapurze powiedział, że „wszystkie religie są drogami dojścia do Boga”. „Są – dokonuję porównania – jak różne języki, różne wyrażenia, aby tam dotrzeć” – stwierdził. „Jest tylko jeden Bóg, a my, nasze religie, są językami, ścieżkami prowadzącymi do Boga. Ktoś jest sikhem, ktoś muzułmaninem, ktoś hinduistą, ktoś chrześcijaninem, ale to są różne ścieżki” – dodał.

Wszystkie te działania i wypowiedzi są zakorzenione w dziełach teologicznych XX wieku, między innymi w koncepcji „anonimowego chrześcijaństwa” jezuita Karla Rahnera. Ostatecznie jednak nawiązują do religijnego egalitaryzmu, który pojawił się w przestrzeni chrześcijańskiej w dobie Oświecenia, czemu dobitny wyraz dał w słynnym poemacie „Natan Mędrzec” Gotthold Ephraim Lessing, sugerując, że judaizm, chrześcijaństwo oraz islam są religiami w pełni równoprawnymi.

EGALITARYZM JEST HEREZJĄ

Fałszywa równość, która znosi wszelkie różnice w społeczeństwie i Kościele, prowadzi do stanu anarchii a dalej do wojny domowej. Kto ma rządzić, jeżeli władza jest sama w sobie jakoby nieuprawnioną do dominację jednych nad drugimi? Brak mocnej władzy rodzi powszechne

uroszczenie do jej sprawowania, a to z kolei wywołuje starcia. Dotyczy to każdej dziedziny życia – wszędzie tam, gdzie zakorzenia się kłamstwo egalitaryzmu, dochodzi do anarchii a następnie wojny wszystkich ze wszystkimi. Ten stan rzeczy nigdy nie jest jednak ostateczny. Wojna totalna to totalna słabość, co daje pożywkę dla wyrośnięcia tyranii – brutalna siła ogarnia chaos i narzuca swój własny porządek. Skoro wewnętrzny chaos dotyka całej cywilizacji Zachodu, jest logiczne, że despotia kładąca kres postanarchicznej wojnie, będzie pochodzić z innego źródła. Kandydatów nie brakuje – od świata islamu aż po komunistyczne Chiny. Na samym Zachodzie coraz wyraźniejsze roszczenie do sprawowania niekontrolowanej władzy nad tym wielkim bałaganem wysuwają cyfrowi giganci, posługujący się bynajmniej niecywilizowanymi kategoriami antropologicznymi. Jaki los te zjawiska przyniosą Kościołowi katolickiemu? Jeżeli wyznawcy Chrystusa na Zachodzie pozostają bierni, nie potrafiąc zdobyć się na kontrrewolucję ładu i hierarchicznego porządku, los ten będzie fatalny. Chrystus Pan zapowiedział, że bramy piekielne nie przemogą Jego Kościoła – ale nie dał żadnej gwarancji, że nie przemogą go w Polsce, Europie czy na Zachodzie w ogóle. Cywilizacja chrześcijańska jest w najwyższym stopniu zagrożona, chwiejąc się pod ciężarem głupoty i błędów, jakie nałożyła na nią Rewolucja. Egalitaryzm jest jednym z większych z nich. Dlatego trzeba zrobić wszystko, co możliwe, by walczyć z błędem równościowym i wzmacniać oraz odbudowywać tradycyjne hierarchie, oparte na naturalnym ładzie i odzwierciedlające Boży, zróżnicowany porządek władzy.

↶
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI



NIE TAKA RZECZPOSPOLITA STRASZNA JAK JĄ MALUJĄ

„Jeżeli dom mój spłonie, jeżeli bydło wymrze, zostanę zrujnowany i umrę z głodu, gdy tymczasem w Polsce mój pan odbuduje mój dom, a jeśli zdechnie mi krowa albo świnia, da mi inne. Zależy mu na moim życiu, podczas gdy nowy pan [w Galicji], dla którego nie znaczę nic, pozwoli mi umrzeć nie zatroszczywszy się o mnie.”¹

Usłyszał Francuz, Alphonse Fortia de Piles, od polskich chłopów, którzy uciekli z austriackiej Galicji do wciąż istniejącej Rzeczypospolitej. Francuza zdziwiło to niepomniernie a nawet zbulwersowało, bo zupełnie nie pasowało do jego postrzeganie świata. Wiedział bowiem, że w Austrii, która w 1772 r. zagarnęła część ziem polskich, cesarz Józef II Habsburg nadał chłopom wolność osobistą. O jaki wielki triumf oświeconego monarchy! Jak nic tylko wychwalać go za tę decyzję! Alphonse Fortia de Piles uznawał to za wielki postęp, co widzimy po jego uwadze:

„Szczęśliwi [są ci] Polacy, których los [po pierwszym rozbiórze Polski] rzucił pod panowanie pruskie, a zwłaszcza austriackie!”²

Ale ten sam Francuz widział także co ze swoją wolnością uczynili polscy chłopci:

„A jednakowoż, w co trudno uwierzyć [...] cesarz zmuszony był ustawić kordon wojska na granicy, celem zapobieżenia ucieczce Polaków [włościan], którzy zniechęceni do świeżo

1 Alphonse Fortia de Piles, Boiseglin de Kerdu, *Podróż dwóch Francuzów*, [w:] *Polska stanisławowska w oczach cudzoziemców*, opr. Wacław Zawadzki, t. II, Warszawa 1963, s. 724.

2 Tamże.

nabytej wolności, tłumnie wracali do Polski, by sprzedać się szlachcie i ponownie podjąć jarzmo niewolnictwa.”³

Alphonse Fortia de Piles zupełnie tego nie pojmował, więc swe obserwacje podsumował:

„Oto argument dla tych, którzy utrzymują, że ludzie stworzeni są po to, by być wolnymi.”⁴

Ludzie naszej epoki zdają się być jak ten Francuz, więc nadanie chłopom wolności osobistej, czyli zwolnienie z pańszczyźnianej zależności, jawi się im jako postęp. Nie mają jednak świadomości, że w oczach samych włościan, nie była to wcale zmiana na lepsze. Bo ich pojmowania postępu nie sprowadzało się do tego, czy bez zgody pana będą mogli sobie zmienić miejsce zamieszkania, ale do tego, czy będą mogli lepiej napełnić swoje i swoich rodzin brzuchy. W nowym, „lepszym” świecie, stawало się to trudniejsze. Zerwano bowiem istniejące dotąd powiązanie chłopą z panem, które służyło im obu. I dlatego to uwolnieni chłopci starali się powrócić do dawnych stosunków, czyli „sprzedać się szlachcie i ponownie podjąć jarzmo niewolnictwa”, co mogli zrobić tylko poprzez emigrację do Rzeczypospolitej.

A jak ta „niewola” wyglądała w praktyce?

Weźmy na przykład rok 1740, czyli ten czas, gdy gwałtowne i długotrwałe ochłodzenie dotknęło Europę, gdy w Irlandii masowo umierali ludzie. W owym to roku proboszcz Jazowska notował:

„Zima była strasznie ciężka, mroźna, w śniegi zbyteczne obfita, tak dalece, że na potkaniu z ciężkością rozminąć się było. Ta zima trwała przez długi czas z wielkiem uprzykrzeniem ludziom, dla wyzimowania bydła, którego wiele i w wielu miejscach od głodu pozdychało. [...] Dla długiej zimy, ludzie

3 Tamże.

4 Tamże.

karmiąc bydłętą ziarnem, sami potem jak siał, tak i jeść nie mieli co.

Osobliwa tylko łaska stała się w tym roku [...] Adam Komorowski [...] będąc dzierżawcą wsi tutejszej Jazowska, *in supplementum* gromady dał złp. 2000. Z tych tedy pieniędzy wielu poddanych utrzymało się zasiawszy sobie.”⁵

Rzeczpospolita Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego była państwem, do którego, przez cały okres jego istnienia, przybywało więcej chłopów, niż je opuszczało. Nawet pod koniec wieku XVIII, czyli w okresie, który postrzega się jako czas największego ucisku feudalnego, obserwowano ten trend. Dlatego na przykład Jan Potocki, podczas Sejmu Czteroletniego pisał:

„Kto kiedy widział naszych chłopów porzucających swój kraj dla przejścia w prowincje nowozabrane, a każdy wie to dobrze, ile to praw trzy sąsiedzkie potencje [Austria, Prusy, Rosja] ustawicznie publikują przeciw ich państw emigrantom.”⁶

Podobnie Tadeusz Morski w swych „Uwagach o chłopach” z 1789 r. podał, iż „teraz nawet są częste przykłady, że się [chłopi spoza Polski do tejże Polski] cisną, choć do niewoli [...]”⁷.

Ano właśnie. Kto widział uciekających z Rzeczypospolitej chłopów? Owszem i tacy się czasem zdarzali, ale skala tego zjawiska była nieporównywalna do odwrotnego – ucieczki chłopów z ziem zabranych przez Austrię, Prusy i Rosję do Rzeczypospolitej. To nie Polska broniła się przed wielką emigracją włościan, ale państwa zaborcze! Czas

5 *Roczniki do dziejów Podtatrza i Śpiża z lat 1680–1748 spisane przez XX Jana i Stanisława Owsińskich, proboszczów Jazowska*, opr. Józef Jerzmanowski, Kraków 1858, s. 43–44.

6 Jan Potocki, *Ne quid detrimenti Res Publica capiat*, [w:] *Materiały do dziejów Sejmu Czteroletniego*, opr. Janusz Woliński, Jerzy Michalski, Emanuel Rostworowski, Wrocław 1955, s. 9.

7 Tadeusz Morski, *Uwagi o chłopach*, [w:] *Materiały do dziejów Sejmu Czteroletniego*, opr. Janusz Woliński, Jerzy Michalski, Emanuel Rostworowski, Wrocław 1955, s. 109.

więc skończyć z powielaniem bzdur o tym, że reformy państw zaborczych poprawiły los polskiego chłopca. Z całą pewnością go zmieniły. Ale w oczach samych chłopów, była to zmiana na gorsze. I nie chodziło tylko o kwestie bytowe.

Rzeczpospolita, przez znakomitą większość swojego istnienia (1569–1789) była państwem, w którym nie obowiązywał przymusowy pobór do wojska. Uchwalono go dopiero w trakcie Sejmu Czteroletniego (w grudniu 1789 roku), ale nawet wtedy objął on minimalną ilość włościan (1% w dobrach prywatnych, 2% w dobrach królewskich i duchownych), a czas służby był stosunkowo krótki (6–8 lat)⁸. Tymczasem w zaborze austriackim:

„Wprowadzono służbę wojskową dla chłopów. Początkowo trwała ona dożywotnio, a następnie została skrócona do 20 lat. W armii austriackiej, w czasie wojen napoleońskich służyło około 100 tys. polskich chłopów.”⁹

Było to aż 13–14% nadających się do noszenia broni włościan. Jeśli któryś z nich miał „szczęście”, to wracał do domu jako kaleka. Pechowców grzebano w przydrożnych rowach. Trzeba przyznać, że to perspektywa niezbyt wesoła...

Do Rzeczypospolitej – póki jeszcze istniała – uciekali nie tylko polscy chłopci z okupowanych przez zaborców ziem. Wspomniałem już, że przez cały okres swojego istnienia, państwo to było krajem imigrantów. Jak skrupulatnie policzono:

„W samej Wielkopolsce, która zresztą była głównym terenem tego [olęderskiego] osadnictwa, w XVIII wieku powstało około 800 takich osad. Zaludnione były one mniej więcej po

8 Katarzyna Bucholc-Srogosz, *Departament Wojskowy Rady Nieustającej w latach 1775–1789 i 1793–1794*, Poznań 2007, s. 104.

9 Andrzej Jezierski, Cecylia Leszczyńska, *Historia gospodarcza Polski*, Warszawa 1999, s. 100.

połowie przez przybywających do Polski chłopów niemieckich oraz polskich.”¹⁰

Czyli w okresie największego ucisku feudalnego, w jednej tylko Wielkopolsce powstało około 400 nowych wsi zaludnionych przez niemieckich, chłopskich imigrantów. Jak to w ogóle możliwe, że chłopci z zachodniej Europy emigrowali do Polski, by wchodzić w układy zależności od polskich panów – właścicieli ziemskich? To się zupełnie nie mieści w głowie tym, którzy patrzą na dawną Rzeczpospolitą jako na kraj chłopskich niewolników. A jednak...

Pomijając już wcale niemałe grono chłopskich dezterterów z armii państw ościennych (tu warto dodać, że choć ówczesny dryl wojskowy był wyjątkowo brutalny w Prusach, to i Austria, i Rosja utrzymywały dyscyplinę wśród poborowych niezwykle brutalnymi metodami), podstawowym powodem dla którego emigrowano do Polski były względy ekonomiczne. To w Rzeczypospolitej bowiem było więcej ziemi niż ludzi do jej uprawy. Dla głodującej ludności chłopskiej przedludnionych państw europejskich oznaczało to, iż może ona znaleźć odpowiednią ilość ziemi dla wyżywienia siebie i swoich rodzin. Mówiąc krótko – do Rzeczypospolitej emigrowali Niemcy, Holendrzy, Szkoci i przedstawiciele innych nacji, za przysłowiowym chlebem. A ich nadzieje na poprawę losu musiały pokrywać się z rzeczywistością, bo choć nikt im nie bronił wracać do siebie, to jednak osiadali tu, żyli i prosperowali. Często, gęsto lepiej nawet niż spora część szlachty polskiej, co widać choćby po domostwach, w których mieszkali. Jak pisał ksiądz Jędrzej Kitowicz, w XVIII w. na Mazowszu:

„Małej szlachty mieszkanka nie różniły się od chłopskich chałup, snopkami częstokroć poszywane [mające słomiane dachy]. W tym tylko różnica była, iż przed szlacheckim dworkiem musiały być konieczne wrota wysokie, choć podwórze całe było płotem chruścianym ogrodzone, i druga, że dworek

¹⁰ Jerzy Topolski, *Polska w czasach nowożytnych. Od środkowoeuropejskiej potęgi do utraty niepodległości (1501–1795)*, Poznań 1999, s. 734.

szlachcica miał dwie izby po rogach, a sień w środku, gdy przeciwnie, u chałupy chłopskiej sień jest z czoła, za nią izba, a w tyle komora. Lecz ta różnica dworzków szlacheckich od chałup chłopskich tylko służyła w Mazurach [na Mazowszu], w województwach bowiem wielkopolskich chłopi, sołtysi i olendrzy [chłopscy imigranci z zachodniej Europy i ich potomkowie] mają porządniejsze dworki niż drobna szlachta mazowiecka.”¹¹

Wielu chłopów żyło lepiej niż szlachcice? Cóż za herezja! A jednak...

Wszelkiej maści eksperci od ludowej historii Polski, skrzętnie ukrywają fakt, że zamożność i położenie chłopów w Rzeczypospolitej były tak różnorodne jak zamożność i położenie szlachty. Wśród tej ostatniej byli i analfabeci nie posiadający własnej ziemi, i magnaci dysponujący fantastycznymi fortunami. Dla porządku dodam, że tych pierwszych było wielokrotnie więcej niż tych drugich. Porównując los ubogiej szlachty do ubogich chłopów, Jacques-Henri Bernardin de Saint-Pierre pisał:

„Los ubogiej szlachty nie jest szczęśliwszy. Jedynym środkiem utrzymania jest dla niej służba u magnatów, gdzie używana bywa do najczarniejszych robót; wielu spośród szlachty pełni funkcje stajennych lub lokajów. Pracując tak, zaledwie mają z czego żyć: śpią na ziemi w kuchni albo na schodach, panowie ich bowiem nie dają im ani sypialni, ani łóżek. Szlachectwo ich polega na noszeniu szabli oraz na przywileju odbierania chłosty na kobiercu. Są to jedyne ich prerogatywy i dowody szlachectwa, niewiele bowiem rodzin posiada dokumenty świadczące o ich szlacheckim pochodzeniu.”¹²

11 Jędrzej Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, opr. Zbigniew Goliński, Warszawa 2003, s. 270.

12 Jacques-Henri Bernardin de Saint-Pierre, *Podróż po Polsce. Opowiadanie o tym, co się wydarzyło od czasu mego wyjazdu z Warszawy 1764*, [w:] *Polska stanisławowska w oczach cudzoziemców*, opr. Wacław Zawadzki, t. 1, Warszawa 1963, s. 203.

Podobne zróżnicowanie było i wśród chłopów. Byli tacy, którym dokuczająca skrajna bieda, żyjący kątem u innych mieszkańców wsi, a byli i zamożni kmiecie, którzy w porywie serca, wspomagali swego pana pożyczkami. Tego typu przypadek opisałem szerzej w swojej książce¹³. Otóż jak wspominał urodzony i wychowany na polskiej Ukrainie szlachcic, Wacław Borejko, jeden z chłopskich poddanych jego teścia, Jana Hańskiego, gdy tylko usłyszał o tym, że Hański potrzebuje pieniędzy, to z własnej inicjatywy przyszedł do swojego pana oferując mu olbrzymią pożyczkę na której nie miał zamiaru zarobić ani grosza! Kwota udzielonej pożyczki (20 tys. ówczesnych złotych) była naprawdę imponująca. W połowie XVIII w. można było za nią kupić około 600 wołów. Takie to oszczędności miała jedna tylko rodzina włościańska. Kłóci się to z innym stereotypem. Tym mianowicie, że wszystko co posiadał poddany należało do pana oraz że chłopom zostawiano do życia jedynie tyle, by mogli wegetować.

Oczywiście jedna anegdota nie jest dowodem na znakomite życie wszystkich polskich (czy jak w tym przypadku ruskich, żyjących na polskiej Ukrainie) chłopów. Tak jak nie jest dowodem na beznadzieję egzystencji całego polskiego chłopstwa anegdota opowiedziana przez Ulryka Werduma. Podróżował on po Rzeczypospolitej w latach 1670–1672. Wówczas to nasłuchiwał się mrozących krew w żyłach historii o ówczesnym kasztelanie krakowskim Stanisławie Warszyckim. Nie omieszczał zamieścić ich w swojej relacji. A pisał między innymi:

„Barbarzyńskie okrucieństwo tego pana Warszyckiego tak dla swych poddanych, jak domowników, a nawet dla własnej żony, jest okrzyczane w całej Polsce. Opowiadają o nim takie bajeczki, że przejezdnym nie chciałoby się wierzyć w nie, gdyby ich powszechnie wszyscy bez wyjątku i wszędzie jednogłośnie nie potwierdzali, zaklinając się na nie uroczyście, jako na rzeczy znane w całym kraju.”¹⁴

13 Radosław Sikora, *Dawna Rzeczpospolita na nowo odkryta*, t. 1, s. 344–347.

14 Ulryk Werdum, *Dziennik podróży 1670–1672*, tłum. Dalia Urbonaitė, opr. Dariusz Milewski, Wilanów 2012, s. 107.

Po tym wstępie opisał karygodne postępowanie pana kasztelana wobec żony, by następnie przejść do jego obchodzenia się z chłopami:

„Kiedy polskim sposobem kazał chłopów kłaść na brzuch na ziemię i bić ich niemiłosiernie po gołym ciele kijami, grubymi jak ręka, stawał zawsze dla przyjemności tuż obok, licząc baty, na które ich skazał. Kiedy zaś liczba zbliżała się już prawie do końca, udawał, jakoby się w liczbie omylił, kazał więc na nowo od początku zaczynać i tym sposobem bił czasami ludzi na śmierć. Przy tym jeszcze szydził z nich, napominając stojących naokół, by mu pomogli prosić Pana Boga za tymi biednymi ludźmi, aby im dał cierpliwość do stałego wytrzymania kary, równie dobrze obmyślonej, jak koniecznie potrzebnej, by ich poprawić.”¹⁵

Nie ma potrzeby zaprzeczać temu postępowaniu, by wykazać, że ta historia, nawet jeśli w stu procentach prawdziwa, była odchyłką od zupełnie innej normy. Jak sam bowiem Werdum zaznaczył, Warszyci cieszył się ogólnopolską, fatalną reputacją. A że nasz podróżnik obracał się głównie wśród szlachty, to oznacza, że pozostali przedstawiciele tego samego co Warszyci stanu nie zachowywali się tak jak on, lecz uważali takie zachowanie za skrajnie karygodne.

Sęk w tym, że bazując na anegdotycznych opowieściach można „udowodnić” niemal wszystko. Bo w ciągu 226 lat istnienia Rzeczypospolitej, którą zamieszkiwało miliony ludzi, zdarzały się naprawdę skrajnie odmienne wypadki. Z jednej strony mamy biedaka zabitego przez sadystycznego pana. Z drugiej zaś strony chłop pańszczyźnianego, który wyemigrował do Polski, gdzie został nobilitowany i dorobił się magnackiej fortuny¹⁶. Więc gdy nad takim materiałem usiądzie człowiek nieobiektywny, to do każdej swojej tezy znajdzie potrzebne mu źródła. A że ostatnimi czasy znów dobrze się pochylać nad „biednym losem polskiego chłopą”, to jak grzyby po deszczu powstają różnego

¹⁵ Tamże, s. 107–108.

¹⁶ Sikora, *Dawna*, t. 1, s. 286–288.

typu „dzieła”, które w krzywym zwierciadle pokazują rzeczywistość dawnej Rzeczypospolitej. A jaka ona naprawdę była? Tak samo różnorodna jak nasza dzisiejsza. Bo tak jak w dzisiejszej Polsce można się dorobić fortuny i żyć długo, i szczęśliwie, tak i można zostać pobitym, zgwałconym, czy nawet zabić własne dziecko. Żyjąc tu i teraz czujemy jednak, że prawdopodobieństwo zajścia którejs z tych rzeczy jest stosunkowo niewielkie. Nasza codzienność wygląda inaczej. Mało kto robi oszałamiającą karierę, zdobywa wielki majątek, a życie upływa mu w niczym niezmaconym poczuciu szczęścia. Ale też i przypadków napaści, pobicia, gwałtu, czy tym bardziej zabójstwa, nie ma aż tylu, by drżeć na samą myśl o wyjściu z domu. Tak samo było i dawniej. Rzeczywistość była daleka od tych skrajności, które jakimś zrzędzeniem losu (często w postaci zeznań świadków na rozprawach sądowych) zostały zapamiętane przez historię. Ta ostatnia ma niestety tendencję do odnotowywania przypadków niezwykłych, czyli właśnie skrajnych. Przecież wspomniane przed chwilą sądy nie zadawały sobie trudu opisywania zwykłego wiejskiego życia, lecz rejestrowały przypadki odchyłek od normy. Tak samo i ówcześni pamiętnikarze nie poświęcali zwykłym sprawom specjalnej uwagi, za to odnotowywali wypadki bulwersujące, czy z jakiś innych powodów niezwykle. Taka już jest natura człowieka. Trzeba więc wielkiej uczciwości wewnętrznej oraz odpowiedniego aparatu naukowego, by wychwycić i odpowiednio opisać szarą rzeczywistość żyjących dawniej włościan. To dzisiaj. A kiedyś? Opisanie tej rzeczywistości łatwiej czasem przychodziło obserwatorom z zewnątrz, bo dla nich stosunki polskie były czymś nowym a już przez to samo czymś niezwykle. Notowali więc nieraz swoje uwagi o stanie polskiego chłopstwa. Ale nawet ich – wydawałoby się bardziej bezstronnych, a często dość bystrych obserwatorów – opinie, czy to pod wpływem osobistych doświadczeń, czy też w zależności od czasów i miejsca lub od warstwy chłopskiej, którą widzieli i opisywali, były również bardzo zróżnicowane.

Byli cudzoziemcy, którzy polskim chłopom zazdrościli ich losu. Do nich należał Francuz, Charles Ogier, który znalazł się w polskich Prusach Królewskich w 1635 roku. Pisał zaś tak:

„Widzieliśmy tam z wielką przyjemnością dojrzałe już świeżego pokoju owoce: jak mianowicie odnawiano chaty, naprawiano i ogradzano stajnie, jak z zamków i miast ściągano z powrotem sprzęty, kury i gęsi. To pewna, że dość często sobie życzyłem, jako najwyższego szczęścia, aby kiedyś móc stać się wieśniakiem w Prusiech [Królewskich], tak bardzo los ich wydał mi się szczęśliwy.”¹⁷

Byli też ludzie, którzy ze zgrozą opisywali położenie włościan polskich. Do nich z kolei należał wspomniany już wcześniej Francuz, Jacques-Henri Bernardin de Saint-Pierre, który był w Rzeczypospolitej w 1764 roku:

„Rzeczywiście nędza chłopów jest nie do opisania. Śpią oni na słomie razem ze swoim bydłem. Są tak brudni, że niechlujstwo ich stało się przysłowiowe. Nie noszą bielizny, nie mają krzeseł ani stołów, ani żadnych, choćby najniezbędniejszych, sprzętów. Przez cały rok pracują na swoich barbarzyńskich panów, którzy mają nad nimi prawo życia i śmierci.”¹⁸

Jeszcze inni plasowali się gdzieś między tymi skrajnymi opiniami. Widzieli i dobre, i złe strony; dostrzegali różnorodność postaw i relacji. Do nich należał podróżujący po Mazowszu w 1770 roku Joseph Marshall:

„Przejeżdżaliśmy obok dworu pewnego szlachcica. [...] Jest to człowiek godny uwagi ze względu na pilność i rozsądek z jakimi gospodaruje swoimi dobrami, a również z powodu ojcowskiej opieki, jaką otacza chłopów. Rzadki to w Polsce przykład, gdyż jak już zauważyłem, szlachta polska bardzo surowo obchodzi się ze swymi chłopami. Skutki ludzkiego traktowania chłopów przez tego szlachcica rzucają

17 Charles Ogier, *Karola Ogiera dziennik podróży do Polski 1635–1636*, cz. 1, tłum. Edwin Jędrkiewicz, Gdańsk 1950, s. 281.

18 Jacques-Henri Bernardin de Saint-Pierre, *Podróż*, s. 203.

się w oczy. Chociaż bowiem jego posiadłość ziemska w porównaniu z innymi jest stosunkowo mała, na skutek jednak dobrego traktowania poddanych i wielkiej troski o gospodarstwo był w stanie osiągnąć tak znaczny dochód, że część jego obrócił na umocnienie dworu (zapewniając dzięki temu bezpieczeństwo sobie, swoim poddanym i ratując majątek), część zaś oszczędności złożył do banku w Gdańsku.”¹⁹

Do nich też należał kolejny Francuz, François Paulin Dalerac, który pozostawił obraz Rzeczypospolitej 1679 roku. O ile zewnętrzny stan polskich wsi i chłopstwa wydał mu się niemal odrażający, o tyle potrafił jednak dostrzec coś, co nie bardzo chcą zauważać dzisiejsi, gońcący za sensacją publicyści od ludowej historii Polski. Dalerac pisał bowiem:

„A jednak wieśniacy tutejsi mają się tu lepiej, niż w innych państwach. Ogrzewani są oni, karmieni, tanim bardzo kosztem, drzewa mają bez liku, a domy i spichrze obficie są zawsze zaopatrzone. Pięć garnków stoi zwykle przy ich ognisku.”²⁰

Dalerac sprzeciwił się także popularnemu wśród obcokrajowców pogładowi, że chłop polski był niewolnikiem:

„Nie ponoszą żadnych podatków [czynszu], płacąc jedynie szlachcicowi podatek w robociźnie [pańszczyznę], trzy lub cztery razy tygodniowo, poczem korzystają bez przeszkód ze swojej chudoby. Umyślnie rozszerzyłem się nad tem, aby przekonać ogół, iż źle sądzi, jakoby chłop był w Polsce niewolnikiem. Prawda, że tu obliczają dochód dziedzica stosunkowo do ilości dusz, lecz dzieje się to jedynie z powodu

19 Joseph Marshall, *Podróż przez Polskę 1770*, [w:] *Polska stanisławowska w oczach cudzoziemców*, opr. Waław Zawadzki, t. I, Warszawa 1963, s. 320.

20 François Paulin Dalerac, *Pamiętniki kawalera de Beaujeu*, tłum. Alexander Kraushar, Kraków 1883, s. 87.

ciężarów i danin, jakie dziedzic pobiera, co zwalnia go od potrzeby trzymania służących. [...] Prawda, że chłop nie może tu porzucić swego pana i przesiedlać się do innego. Postępującego w taki sposób ścigają tu jako dezertera, a pan może bezkarnie zabić chłopą, płacąc nawiązkę jego rodzinie, gdyż sądzą, że on tylko traci na tem najwięcej, zmniejszając swój dochód i swoją wieś o jednego poddanego i że tym sposobem ma większy interes w zachowywaniu ich, aniżeli w nadużywaniu życia i śmierci swych poddanych. Te dwie okoliczności, połączone z samowolą niektórych panów tyranizujących bezkarnie swych poddanych, nasunęły cudzoziemcom mniemanie, że chłopci są niewolnikami w Polsce; lecz to jest raczej samowola, aniżeli prawo, a wypadki takie [tyraństwa nad chłopami] zresztą są rzadkimi. Zdarzają się i tu panowie, jak zresztą wszędzie, gwałcący żony i córki swych poddanych i uciskający tych ostatnich samowolnie; lecz gorzej daleko dzieje się w Czechach, gdzie pan sprzedaje swoich poddanych jak bydło.”²¹

Tylko człowiek mający odpowiednią bazę porównawczą mógł uczciwie ocenić rzeczywiste położenie chłopą polskiego. Miał ją Dalerac. I choć dostrzegał nędzę polskiej wsi i nadużycia niektórych panów, był dla miejscowych stosunków pobłażliwy. A co mamy my, w XXI wieku?

W dobie, gdy każdy może napisać i wydać co mu przyjdzie do głowy, proponuję mniej ufać samozwańczym ekspertom od historii polskiego chłopą, a bardziej samoocenie tychże chłopów, którzy „głosowali” własnymi nogami, pokazując tym samym co w ostatecznym rozrachunku było dla nich najważniejsze i najlepsze.

 WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI

²¹ Tamże, s. 87–88.

HISTORIA LUDOWA, CZYLI LUD UDAWANY

Im bardziej współczesna polska lewica nie umie być politycznym reprezentantem polskiego ludu, tym chętniej szuka ucieczki w kolejnych odsłonach ludowej historii Polski.

Zacznijmy od tego, że w samym zjawisku ludowej historii nie widzę niczego złego. Przeciwnie. Sam lata już temu chętnie przeszczepiałem na polski grunt prace takich ludowych historyków jak Amerykanin Howard Zinn. To ten od „Ludowej historii Stanów Zjednoczonych”, który pokazał, że dzieje Ameryki to nie tylko pisane piękną angielszczyzną manifesty ojców założycieli USA, ale także posyłanie przez nich (oraz ich następców) wojska do tłumienia słusznych postulatów płacowych górników z miasteczek środkowego zachodu czy rzeźników w wielkich sortowniach mięsa w Chicago. Albo Włoszka Sylvia Federici, której książka „Kaliban i czarownica” pokazuje jak kapitalizm rodził się w ogniu stosów, na których płonęły kobiety niegodzące się z wywłaszczeniową filozofią „akumulacji pierwotnej” w XVI czy XVII-wiecznej Europie. Powiem więcej. Z zapalem futbolowego skauta wyłuskiwałem przez całą poprzednią dekadę zaczyny wszelkiej ludowej syntezy dziejów z prac Jana Sowy („Fantomowe ciało króla”), Kacpra Pobłockiego („Kapitalizm. Historia krótkiego trwania”), Wiktora Marca („Rebelia i reakcja”) czy Jarosława Urbańskiego „Prekariat i nowa walka klas”). A w wolnych chwilach niczym stary zezowaty antykwariusz z wątą w uchu przypominałem upierdliwie, że ci nasi nowi „ludowi historycy” prochu tak zupełnie nie wymyślają. Bo przecież rewizję kanonicznej historiografii w duchu ludowym proponowali nam już starsi badacze Witold Kula, Marian Małowist czy Henryk Słabek.

Ludowa historia zawsze zdawała mi się warta grzechu. I to w dwójnasób. Po pierwsze dlatego, że jest zwyczajnie ciekawa – rozpatruje te same i dobrze znane zdarzenia historyczne z nowej nieoczekiwanej

perspektywy. Pyta gdzie w tej całej „historii królów i książąt” pisanej rytmem dynastycznych interesów, bitew będących wypadkową rodzinnych koligacji albo pałacowych przewrotów było miejsce zwykłego człowieka: chłopu czynszowego, bezrolnego robotnika najemnego czy kobiety wyzutej z prawa do dziedziczenia majątku. A ponieważ proporcje klas pracujących oraz posiadających układały się zazwyczaj (tak samo było i w feudalizmie i w kapitalizmie) jak mniej więcej dziewięć do jednego, to nawet statystycznie rzecz ujmując właśnie ludowa historia jest przecież autentyczna historią prapraprzodków znacznej większości każdego czytającego teraz ten tekst. Bo wprost od Łokietka albo Czarnieckiego wywodzi się nas pewnie niewielu.

Na dodatek żyjemy w czasach przenikniętych (przynajmniej teoretycznie) wiarą w ducha demokracji. A w demokracji suwerenem jest (a przynajmniej powinien być) każdy obywatel – bez cenzusu wysokiego pochodzenia czy zgromadzonego majątku. Jak więc w tych warunkach negować potrzebę ludowej historii? W imię jakich racji upierać się, że tylko historia możliwych winna być jedynie obowiązującą wersją dziejów demokratycznego narodu? Ja takich przyczyn zwyczajnie nie widzę.

Ktoś mógłby więc powiedzieć, że mam co chciałem. Bo przecież ludowe historie pisane przez takich autorów jak Adam Leszczyński czy Joanna Kuciel-Frydryszak osiągnęły w ostatnich latach sukces nie tylko publicystyczny. Ale także czysto komercyjny. Z bardzo wysokimi nakładami oraz sporymi pieniędzmi zarobionymi przez wydawnictwa, co zdecydowały się na ludowego konia postawić.

W czym więc problem? Dlaczego ta moda na historie ludowe mnie nie cieszy? A mówiąc całkiem szczerze to momentami wręcz martwi i oburza?

Odpowiem chętnie i to na kilku piętrach jednocześnie. Powiem wam dlaczego uważam nasz najnowszy wystrzał ludowych historii za zjawisko – po pierwsze, plastikowe i bardzo powierzchowne. Po drugie, zawłaszczone przez jedno (choć bardzo wpływowe) środowisko, co

musi się przecież przełożyć na kłującą w oczy antywspólnotowość całego projektu. A po trzecie zaś niszczące nawet tych, którzy chcieli wokół ludowej historii zbudować swoją polityczną tożsamość. Czyli szkodliwe dla samej polskiej lewicy, która dziś ludową historię tak bardzo się kontentuje myśląc, że wszystko jest już załatwione i że znowu to oni mają rację i tylko te prawaki przebrzydłe jak zwykle się czepiają.

Nie chcę oczywiście oceniać prac Leszczyńskiego czy Kuciel-Frydryszak od strony literackiej, bo to nie Kochanowski ani nie konwersatorium z gramatyki historycznej. Chodzi o realny kontekst polityczny. Bo trudno nie zauważyć tu pewnej prawidłowości. Oto moda na „ludowe historie” wybucha w Polsce akurat po roku 2015. Czyli dokładnie w tym dziejowym momencie, gdy polscy liberałowie i lewica zaczynają rozumieć, że wojnę o lud przegrali. I że to prawica rozumie dziś tego ludu potrzeby: socjalne, godnościowe, aspiracyjne. Na dodatek to prawica umie te potrzeby ubierać w konkretne, wspólnotowe i egalitarystyczne programy polityczne: 500/800+, krytykę federalizmu UE czy sprzeciw wobec „narodowej mikromanii”. Lib-leftowi zostaje zaś obsługiwanie projektów elitarnych, globalistycznych i indywidualistycznych: LGBTQ+, klimatyzmu albo obrony unijnego centralizmu. Im bardziej ten podział stawał się w ostatnich latach oczywisty, tym bardziej intensyfikowała się na lewicy (a w mniejszym stopniu także u liberałów) moda na ludową historię. Przypadek? Nie sądzę.

Ale punktem wyjścia było oczywiście rozczarowanie. Rozczarowanie Polską. Oraz – pożał się Boże – polskim wyborcą, który od lat głosu je nie tak jak trzeba. Pytanie brzmi oczywiście czy ta moralna wyższość jest przyczyną czy skutkiem oderwania lewicy od zwykłego człowieka i jego potrzeb oraz pragnień? Ja bym powiedział, że jednak skutkiem. Lewica nie reprezentuje ludu, bo ją z tym ludem od dawna nic nie łączy. Kolejne badania pokazują, że wyborca lib-leftu należy do klasy średniej lub wyższej i ma ponadprzeciętny poziom dochodów oraz wykształcenia. A nawet jeśli tego nie ma, to do tego właśnie aspiruje. Taki wyborca ciągnie lewicę w kierunku swoich tematów: lęków o klimat, wypalenie zawodowe czy zdrowie psychiczne, do

walki z ksenofobią i homofobią albo snucia obaw o reputację Polski w Europie. Łaskawe zainteresowanie przyszłością usług publicznych czy postulat dostępności mieszkań (bo mieszkania są za drogie dla wszystkich klas społecznych!) to maksimum wychylenia liberałów w kierunku trosk socjalno-bytowych. Jeśli już coś z problemów świata pracy to raczej w wąskim sektorowym wydaniu dla części spauperyzowanej inteligencji – klasy nauczycielskiej albo drobno urzędniczej. Pod tym względem dzisiejsza Lewica jest słabsza nawet od lewicy SL-Dowskiej sprzed roku 2001, która cieszyła się poparciem szerokich mas. W regionie, z którego pochodzę (dawne województwo częstochowskie) widać to bardzo dobrze. Na przełomie wieków wygrywał tu Kwaśniewski i Miller. Teraz wygrywają PiS i Konfederacja.

Dlaczego tak jest? Literaturę przedmiotu mamy obfitą. Ja skupię się celowo tylko na jednej interpretacji. Pochodzi ona od amerykańsko-chińskiej autorki Catherine Liu i wyrażona została najpełniej w (przetłumaczonej niedawno na polski) książce „Luminarze postępu i cnoty” z roku 2021. W koncepcji Liu światem w którym żyjemy rządzą elity, których najważniejszą ideą przewodnią od dawna nie jest już żaden „postęp”, „wolność”, „równość” ani „dobrobyt”. To są puste slogany i nie o nie chodzi. Tak naprawdę luminarzy interesuje dziś już tylko jedno. Oni żywią się kompulsywnym „gromadzeniem cnoty”. Ale nie jest to „cnota” ani w rozumieniu antycznym ani nawet chrześcijańskim. Współcześni luminarze postępu wypracowali własną koncepcję „virtu”. Jest ona ulepiona z poczucia wyższości wobec ludzi pochodzących z „gorszych” (niższych, uboższych) klas społecznych oraz z narcystycznego pragnienia bycia z powodu tej wyższości non stop podziwianym. Ów podziw płynąć ma właśnie z troski, którą taki luminarz otacza to gorsze od siebie społeczeństwo. Uwaga!!! Patrzcie na mnie!!! Patrzcie jak, ja się troszczę o dobro wspólne!!! A przecież mógłbym tego nie robić!!! A nie nie jest wszystko jedno!!!

Jeżeli tak spojrzeć na ostatnie lata to wiele zaczyna się wyjaśniać. Te wszystkie mniejsze i większe wojny kulturowe o gender czy LGBTQ+. Cała ideologia antyrasistowskiego przebudzenia czyli tzw. woke. Albo wojujący klimatyzm i ratowanie „płonącej planety”. Wszystko

to idealna wręcz scena na której „luminarz postępu” może w pełni rozwinąć swój pawie ogon. Najpierw wskazuje TEN NAJWAŻNIEJSZY problem społeczny. A potem bohaterstwo rzucają się do jego rozwiązania. A że większość zwykłych ludzi tych strachów nie podziela? Tym lepiej. Jeszcze bardziej dodaje to całej misji prometejskiego dreszczyku i mesjanistycznego vibe’u.

Liu nie skręca na szczęście w zbiorowe psychologizowanie. Bo to nie o osobiste przypadłości tutaj chodzi. Sprawa ma bardzo wyraźny wymiar klasowy. To nie jest tak, że luminarzy spotkać można na wszystkich szczeblach społecznej drabiny. To luminarstwo to naturalna postawa pewnej konkretnej społecznej klasy, która wykształciła się w ramach współczesnego kapitalizmu. Liu nazywa tę klasę „profesjonalną klasą menedżerską” – termin pożyczony od Johna i Barbary Ehrenreichów, którzy opisali jej istnienie już w połowie lat 70-tych na przykładzie USA. To klasa składająca się z „wynarodowionych, licencjonowanych profesjonalistów, takich jak twórcy przemysłu kulturowego, dziennikarze, inżynierowie oprogramowania, naukowcy, profesorowie, lekarze, bankierzy i prawnicy, odgrywający istotne role przywódcze w dużych organizacjach”. Przez ostatnie pół wieku to właśnie oni byli faktycznym establishmentem dominującym życie polityczne, medialne, kulturalne, społeczne i ekonomiczne najbogatszych i najbardziej rozwiniętych krajów bogatego Zachodu. Wielokrotnie zmieniali kostium ideologiczny. Kiedyś bywali piewcami „modernizacji”, „neoliberalizmu” czy „globalizacji”. Gdy to przestało być sexy przerzucili się (jako klasa) na „ekologizm”, „antyfaszyzm” czy „wokizm”. „Czasy się zmieniają, a wy zawsze w komisjach” – można by w tonacji polskiej klasyki filmowej opisać naturę tej hegemonii „profesjonalnej klasy menedżerskiej” we współczesnym świecie

A ja ośmielam się postawić naszą ludową historię w tym samym dośkładnie trendzie. Bo polityka historyczna realizowana wokół postulatów ludowych historii nadaje się do tego przecież idealnie. Naszemu lib-leftowi moda ta pozwoliła nie dostać po roku 2015 kompletnej depresji. Poczucie utraty patentu na reprezentowanie szerokich mas społecznych „tu i teraz” zostało zrekompensowane poczuciem

historycznej słuszności. Im bardziej nie wiedzieli co zaproponować dzisiejszemu ludowi – pracownikom za płacę minimalną, bieda-samozatrudnionym albo ledwo utrzymującym się na powierzchni francyzobiorcom – tym radykalniejsi stawali się w tropieniu wyzysku pańszczyźnianego w czasach Zygmunta Augusta albo Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Rewizja historii w ramach ludowego trendu była dla nich w zasadzie bezkosztowa. Przecież w ogóle nasza historia zawsze była dla większości lewicy i liberałów czymś wstydliwym i podejrzanym. Obawa, że oto majstrują tu przy filarach wspólnotowej tożsamości narodu nie zachodzi tu więc w zasadzie wcale.

Oczywiście był w tym wszystkim również rodzaj zemsty na wrażliwych prawakach. W ten sposób ludowa historia stawiała się czymś więcej niż tylko opisem dawno domkniętych dziejów. Odwrotnie. Tu historia została jakby „odemknięta” (w myśl popularnej na lewicy tezy o tzw. długim trwaniu) trendów) by pokazać, że pewne schematy przetrwały i funkcjonują do dziś. W ten sposób wrzucono więc do debaty pojęcia takie jak „kultura folwarczna” czy „sarmacka mentalność” które odpowiadać miały za wyzysk oraz naganne stosunki pracy w dzisiejszych polskich firmach III RP. A zwłaszcza w firemkach rządzonych przez „Januszów Biznesu” stanowiących przecież w prostej linii dzieciów tradycji polskiego pana folwarcznego niczym z serialu „1670”. W rolę spadkobierców tej tradycji lewica najchętniej chciałaby wepchnąć właśnie swoich prawicowych rywali. I robi to na całego. Raz dlatego, że mikroprzedsiębiorczy komponent dzisiejszego polskiego ludu nigdy polskiej lewicy szczególnie nie interesował i już dawno został oddany prawicy walkowerem (dzisiejsza dominacja Konfederacji w tych rewirach jest tylko konsekwencją tego stanu rzeczy). A dwa, to przecież prawica częściej domaga się, by jednak wobec dorobku takiej na przykład I RP znaleźć stosunek bardziej zniuansowany niż tylko moralne odrzucenie wynikające z obrzydzenia pańszczyzną.

Tak naładowana ludowa historia jest projektem politycznym, z którym ciężko się zidentyfikować. Zwłaszcza komuś, kto z ludową historią wiązał spore nadzieje związane z egalitarnym i wspólnotowym potencjałem takiego ujęcia dziejów. Tymczasem w praktyce nie jest to

żadna próba poszerzenia szerokiej narodowej tożsamości o nowy ludowy filar. Tylko odwrotnie. To raczej rodzaj przemocy symbolicznej polegającej na podbiciu i zawłaszczeniu ludowej historii jedynie po to, by obsłużyć własny polityczny narcyzm i zemścić się na politycznym wrogu.

I niewiele w zasadzie więcej. By nie powiedzieć, że nic.

 WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI



RYCERSKOŚĆ POLSKIEJ KULTURY

Rycerscy Polacy – jeszcze w czasach II wojny światowej określenie to, wypowiedziane niezwykle często pod adresem polskich żołnierzy walczących na niemal wszystkich jej frontach, nie budziło szczególnych kontrowersji. Czy jednak nadal pasuje do narodu mieszkającego między Odrą, Bugiem, Tatrami i Bałtykiem? Na pierwszy rzut oka, kiedy spojrzymy na wygląd, sposób ubierania się, zachowanie, maniere współczesnych Polaków, szczególnie tych należących do młodszych pokoleń, wydaje się, że znacznie, ale to znacznie mniej. Jednak gdy sięgniemy głębiej, możemy dojść do wniosku, że polskość tak mocno zrosła się z rycerskością, że właściwie nie da ich się rozdzielić.

W każdej kulturze istnieje pewien zespół cech wspólnych dla wojowników i archetyp idealnego żołnierza. Jednak czymś zupełnie wyjątkowym jest etos europejskiego rycerstwa, który swe korzenie ma jeszcze w czasach archaicznej Grecji i w germańskich eposach heroicznych, a wykształcił się ostatecznie pod wpływem doktryny chrześcijańskiej i w dojrzałej formie, dla przybrania której decydujące znaczenie miał ruch krucjatowy i nauka św. Bernarda z Clairvaux, zaistniał w czasach rozwiniętego Średniowiecza. Zrazu dość prymitywny, odwołujący się wyłącznie do brutalnej siły, odwagi i szlachetnego pochodzenia, z czasem – wysublimowany światłem nauki Kościoła przybrał formę systemu cnót, z których na plan pierwszy wysunęło się zwłaszcza siedem: pobożność, męstwo, wierność, roztropność, a także szczodrość, uprzejmość i honor będące niejako przeciwieństwem siedmiu grzechów głównych.¹

1 Dariusz Piwowarczyk odnosi je również do siedmiu cnót (czterech kardynalnych i trzech teologicznych) siedmiu sakramentów i siedmiu darów Ducha Świętego. Por. D. Piwowarczyk, *Poczet rycerzy polskich XIV i XV wieku*, Warszawa 2004, s. 122.

Budowana na bazie owych cnót kultura i obyczajowość rycerska przez długie wieki wpływała na życie i zachowanie europejskich elit, w jakimś stopniu oddziałując na nie także do dziś. Była niezbywalnym komponentem kultury całej Christianitatis, stąd też wraz z wprowadzeniem chrześcijaństwa na naszych ziemiach, Polska, która – jak inne kraje należące do „młodszej Europy” – weszła na dziejową scenę w czasach, gdy rodziło się już pełne, dojrzałe Średniowiecze, w naturalny sposób przyjęła kulturę rycerską.

EWOLUCJA WZORCA

Nic więc dziwnego, że pierwsze dzieło traktujące o naszej najdawniejszej historii, będące jednym wielkim panegirycznym na cześć władcy – Bolesława Krzywoustego i jego przodków, sławi przede wszystkim rycerskie czyny panującego, opiewając również *gestae* jego pradziada – Bolesława Chrobrego, prezentowanego jako niedościgniony ideał monarchy. Niewątpliwie dla anonimowego kronikarza, zwanego Gallem, nieodrodnego syna swoich czasów, podobnie jak dla innych pisarzy politycznych Średniowiecza, największe znaczenie miały cnoty władcy bezpośrednio związane ze sprawowaniem rządów w państwie, takie jak sprawiedliwość, bezstronność (okazywana zarówno możnym, jak i prostemu ludowi) i pobożność, dzięki którym Chrobry – jak pisze – „wzniósł się na szczyty wielkości”². Jednak to właśnie czyny wojenne największych – do czasów Anonima Galla – polskich władców, ich odwaga i męstwo, dzielność w walce, a także rycerski honor – budzić ma u czytelnika szczególny podziw. Sławiąc czyny i cechy charakteru Bolesława Krzywoustego, kronikarz nazywa go nie tylko „walecznym”, „dzielnym”, „wojowniczym”, „odważnym”, na plan pierwszy wysuwając „bojowe” cechy rycerza, ale również „niestrudzonym”, „przezornym”, „zacnym”, „wielkodusznym”, które to cnoty również wchodziły w poczet szeroko rozumianego rycerskiego etosu.

Nie mógł być bowiem władcą dobrym, kto nie był prawym rycerzem. Nawet pisząc o Kazimierzu Odnowicielu, który wszak nie zapisał się w historii jako wojownik, a wręcz nazywany bywa „mnichem na

2 Gall Anonim, *Kronika Polska*, s. 29, Diepholz 2010.

tronie”, kronikarz nie omieszkiał napomknąć, że gdy bawił w ziemi niemieckiej, *pozyskał tam uznanie w czynach rycerskich jako nieulękły rycerz*³. Zaś wspominając Bolesława II, zwanego przezeń Szczodrym, w takiej kolejności przytacza jego cechy: *Był tedy rycerzem odważnym i dzielnym, łaskawym gospodarzem dla gości i najhojniejszym ze szczodrych*⁴.

Agnieszka Klawinowska analizując trzy najstarsze polskie kroniki (Galla, Kadłubka i Kronikę wielkopolską) stwierdza, że kanon zachowań i postaw rycerskich rysujących się na podstawie kronikarskich zapisów odzwierciedla dokonującą się w trakcie wieków średnich ewolucję postrzegania rycerzy. Początkowo widziano w nich bowiem przede wszystkim wojowników charakteryzujących się siłą fizyczną i odwagą. *Z czasem – w wyniku oddziaływań Kościoła, wpływu literatury i zachodnioeuropejskich trendów – wzorzec rycerski zaczął ewoluować w kierunku wyższych wartości, jak sprawiedliwość, religijność, hojność, odwaga, waleczność, honor czy miłosierdzie wobec słabszych i ubogich*.⁵

Jak dowodzi, *obyczajowość rycerska, rozumiana jako ideologia, kanon zachowań stawiających rycerza ponad wojownika, rozpowszechniała się na ziemiach polskich dość powierzchownie i powoli, głównie poprzez kontakty z rycerstwem zachodnioeuropejskim oraz ruchem krucjatowym, co zapewne wiąże się z faktem, że turnieje oraz inne formy kultury rycerskiej praktykowane na zachodzie Europy w Polsce zagościły dopiero w XIII wieku*.

Przy okazji polska badaczka wskazuje specyfikę kultury rycerskiej w Polsce odróżniającą ją od zachodnioeuropejskiej, polegającą na tym, że *popularne we Francji chanson de geste, powieści dworne, pieśni i wiersze liryczne, podobnie jak towarzysząca rycerstwu tzw. miłość dworna, nie zyskały większej popularności na ziemiach polskich, choć odnajdujemy w kronikach elementy opowieści rycerskiej, jak np. opowieść o Helgundzie i Walterze*

3 Tamże, s. 41.

4 Tamże, s. 47.

5 A. Klawinowska, *Spółczesność trwogi? Zachowania niezgodne z etosem rycerskim w najstarszych kronikach polskich* [w:] *Ethos rycerski w kulturze. Tradycje i kontynuacje*, t. I, Katowice 2017, s. 199.

w *Kronice wielkopolskiej*. Opisywane przez badaczy średniowiecznej Europy łacińskiej przejawy rycerskości wobec kobiet czy dobre maniere w relacjach damsko-męskich w rodzimych kronikach stanowią jedynie epizody. Na koniec badaczka zauważa, że autorami najstarszych kronik dziejów ziem polskich byli duchowni, nie dziwi zatem fakt, iż wzorunek wzorowego rycerza oparty był przede wszystkim na religijności, męstwie i honorze.⁶

Z pewnością wiele jest racji w stwierdzeniu, że duchowni autorzy kronik, jako reprezentanci Kościoła pełniący rolę wychowawcy młodego narodu, krzewiciela cywilizacji i kultury chrześcijańskiej, mieli tendencję do przedstawiania monarchów jako reprezentantów preferowanego przez siebie ideału kultury i obyczajowości rycerskiej. Jednak badaczka uchwyciła tu specyficzny rys, który kultura rycerska przyjęła na naszych ziemiach, wyróżniający później przez stulecia Polaków w wielkiej rzeszy rycerstwa chrześcijańskiego. Jest nim właśnie położenie szczególnego nacisku na miłość Boga i Kościoła jako pierwszą i naczelną z triady najważniejszych cnót rycerskich, obok dzielności i prawości.

RYCERZ DOSKONAŁY

Vive Deo, patriam cole, regem dilige fidus, Et pro iustitiae causa mori esto paratus. Haec tua, Zauissza, fuit semper sententia vitae ⁷ – takimi słowami, zanotowanymi przez Jana Długosza w *Rocznikach, czyli kronikach sławnego Królestwa Polskiego*, ks. kanonik Adam Świnka, autor epitafium poświęconego Zawiszy Czarnemu, charakteryzował maksymę życia najśłynniejszego polskiego rycerza żyjącego na przełomie XIV i XV wieku. W wolnym przekładzie: *Żyj dla Boga, czcij ojczyznę, miłuj wiernie króla i dla sprawiedliwości umrzeć bądź gotów – taką była, Zawiszo, twoja dewiza życiowa*. Tak więc ten najdzielniejszy z dzielnych i najbardziej prawy z prawych przede wszystkim kochał Boga, ojczyznę i króla. Dowiódł tego najlepiej chyba, jak można – ponosząc śmierć w walce z Turkami podczas obrony odwrotu wojsk chrześcijańskich pod

⁶ Tamże, s. 200.

⁷ K. Weyssenhoff (red.), *Adami Porcarii: Epitaphium Zavissi Nigri, Bibliotheca Latina medii et recentioris aevi*, t. II, Warszawa 1961, s. 29–32.

serbskim Golubacem. Czyż można sobie wyobrazić lepszą śmierć dla chrześcijańskiego rycerza?

Zawisza Czarny z Garbowa herbu Sulima zapisał się w pamięci potomnych jako przykład niesłuchanej odwagi, niezłomnej wierności i niezbywalnego honoru. Stawał w pierwszym rzędzie w każdej potrzebie na wezwanie swego władcy, wsławiając się dzielnością, siłą i sprawnością rycerskiego rzemiosła. Nie mogło zabraknąć go pod Grunwaldem – w najważniejszej bitwie polskiego Średniowiecza, gdzie walnie przyczynił się do triumfu polskiego rycerstwa. Zwycięski w pojedynkach wojennych i turniejach, odznaczał się szlachetnością w stosunku do pokonanych. Znany był również z rozsądku i rozważności oraz elokwencji i uprzejmości okazywanej nawet przeciwnikom, stąd też wielokrotnie wybierano go do udziału w rozmaitych misjach dyplomatycznych. Wręcz legendarne stało się jego dotrzymywanie danego słowa, które sprawiło, że w języku polskim zagościło na wieki powiedzenie *polegać jak na Zawiszy*.

Jego postać, spopularyzowana przez Długoszowe dzieło, trafiła do wielu dzieł literackich. Jan Kochanowski w *Pieśni o nocio*, a Wacław Potocki – w *Transakcji wojny chocimskiej* wspominali Zawiszę jako wzór cnót rycerskich. Później odwoływali się do jego postaci Adam Mickiewicz (w *Konradzie Wallenrodzie* i *Panu Tadeuszu*), Maria Konopnicka w *Pieśni o domu naszym* czy Aleksander Kamiński w *Kamieniach na szaniec*. Juliusz Słowacki poświęcił mu swój niedokończony dramat, Karol Bunsch – powieść, a Kazimierz Przerwa-Tetmajer poemat *Zbroja Zawiszy*. Jako uczestnik wielkiej wojny z Zakonem Krzyżackim, Zawisza pojawia się też oczywiście w *Krzyżakach* Henryka Sienkiewicza i w powieściach historycznych Józefa Ignacego Kraszewskiego. Nie będzie więc chyba przesadą stwierdzenie, że postać Zawiszy stała się archetypicznym wzorem cnót rycerskich, którego żywotność w kulturze polskiej można uznać za jeden z dowodów trwałości kultury rycerskiej w naszym kraju.

PIĘKNE JEST KOŁO RYCERSKIE

Wiek, w którym żył Zawisza, był kulminacyjnym okresem formowania się polskiego rycerstwa jako osobnej warstwy społecznej, jego obyczajowości i odrębności. To właśnie bitwa pod Grunwaldem, w której brał udział, była przez wieki istnienia Królestwa Polskiego wspominana jako jedno z największych osiągnięć militarnych naszego państwa zarówno przez autorów wybitnych dzieł historycznych i literackich (Długosz, Strykowski, Potocki, Krasicki), jak i zwykłą brać szlachecką. To właśnie z dzieł Długosza i innych powstałych w tym czasie źródeł wywodziło swoje chwalebne tradycje wiele rodów szlacheckich, które niedługo później utworzyły stan dominujący w Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Specyfika ustrojowego rozwoju połączonych zacieśniającą się unią Polski i Litwy sprawiła, że stan szlachecki, którego przywileje ekonomiczno-polityczne ukształtowały się zasadniczo pomiędzy wiekami XIV a XVI, stanowił jakość wyjątkową na mapie całej chrześcijańskiej Europy. Posiadał on nie tylko przemożną pozycję prawną, decydując o losach państwa i stanowiąc jego naród polityczny, ale był również najliczniejszy. W krajach Europy Zachodniej szlachta zwykle nie stanowiła więcej, niż 2–3 procent ogółu społeczeństwa. Tymczasem w roku 1791 szlachty w Polsce w stosunku do całej ludności państwa było 8 procent, a jeśli uwzględnić wyłącznie ludność etnicznie polską (rzymsko-katolicką) wskaźnik ten wynosił aż 16 procent!⁸.

O ile jeszcze do końca Średniowiecza większość twórców znaczących dzieł kultury wywodzi się spoza kręgów rycerskich, nawet ich prace w dużej mierze powstawały na zamówienie lub na potrzeby szlachetnie urodzonych, to w miarę upływających stuleci zwiększa się udział już nie tylko mecenatu szlachty, ale i jej bezpośredniego zaangażowania w twórczość, co szczególnie widoczne jest na polu literatury, której autorzy (także ci spośród kleru) w większej części wywodzą się ze stanu szlacheckiego. Nawet w obszarze twórczości religijnej daje o sobie znać dominacja szlachty, uzewnętrzniająca się

8 A. Zajączkowski, *Szlachta polska. Kultura i struktura*, Warszawa 1993, s. 10.

choćby w XVIII-wiecznych zbiorach kazań, wydawanych na terenie Rzeczypospolitej, w których część właściwą poprzedza często nie tylko obszerna dedykacja poświęcona możnemu patronowi duchownemu – biskupowi lub opatowi, wywodzącemu się z rodu magnackiego lub – rzadziej – średnioszlacheckiego, ale również co najmniej kilkunastu-stronicowy wywód na temat historii rodowej znamienitego mecenasa. Także kultura mieszczańska i kultury mniejszości narodowych tworzących Rzeczypospolitą nie mogły nie pozostawać pod wpływem sarmackiej kultury, jednoczącej wciąż jeszcze wielojęzyczną i wielowyznaniową szlachtę rozległego państwa.

A trzeba tutaj dodać, że kultura sarmacka była wręcz przepełniona wątkami rycerskimi, co z pewnością po części tłumaczy genealogia i rodowe tradycje polskiej szlachty, po części też – stosunkowo duże militarne zaangażowanie mas szlacheckich. Instytucja pospolitego ruszenia, pomimo słabnącego z czasem militarno-użytkowego znaczenia tej formacji, sprawiała, że każdy szlachcic służył lub mógł służyć jako obrońca zagrożonej ojczyzny, nawet jeśli szablę wyjmował z pochwy wyłącznie w celach paradnych czy gardlując na sejmikach. Kariera wojskowa była poza tym uświęconą tradycją stanową i – co najważniejsze – nadal skuteczną drogą kariery politycznej, czego najlepszym przykładem jest casus Jana Sobieskiego, który tron obejmował jako odpowiadający na zapotrzebowanie „króla-Piasta” zwycięzca spod Podhajców i Chocimia. Sarmaci w niewielkim stopniu żyli z wojny, wszak stałe wojska Rzeczypospolitej były, jak na jej potencjał demograficzny, bardzo szczupłe liczebnie. Jednak żyli wojną i wojskowością, która oddziaływała w bardzo mocny sposób na ich życie codzienne, strój, przedmioty codziennego użytku, sztukę, jaką się otaczali, i obyczaje.

Szabla była nieodłączną towarzyszką i kochanką szlachcica, stroił ją też i ozdabiał jak kochankę – pisał Władysław Łoziński. – Inna też była broń do boju, inna do stroju: za panem, który przypasał bogatą karabelę, chadzał wyrostek z drugą szablą, by ją podać zaraz, gdyby zaszła potrzeba użyć broni na serio.⁹

9 W. Łoziński, *Życie polskie w dawnych wiekach*, Warszawa 2006, s. 141.

A przecież ekwipunek szlachcica nie ograniczał się do białej broni. Rzędy końskie, zbroje, szyszaki, karwasze, kałkany, sajdaki, czekany, buzdygany, wreszcie rozmaita broń palna, towarzyszyły członkom „rycerskiego stanu” przez całe życie – od pierwszych młodzieńczych ćwiczeń i polowań, przez służbę wojskową, wszystkie uroczystości i wystąpienia publiczne, jako wystrój ścian domu i wreszcie ozdoby pogrzebowych mar.

Cóż może być piękniejszego nad człowieka rycerskiego? – pyta Adam Czahrowski, autor wydanej w 1599 r. *Dumy ukraińskiej*. Tekst utworu nie pozostawia wątpliwości, iż miano rycerstwa dotyczyć ma szlachty walczącej w obronie Rzeczypospolitej, reprezentowanej tu przez husarza, który *pod świetnymi chorągwiami, głośny trąbą i bębniemi, bieży pochylony lasem, dla sławy, dla zysku czasem*. Charakterystyczne jest ukazanie religijności wojującej szlachty w słowach: *Rycerstwo zaś spracowane obraca się z trudu swego, dając chwałę Bogu z tego, dziękując czasem z wygrania, a podczas też więc przegrania. Na jakąż więc stronę stanie, Bądź zawsze pochwalon, Panie*. Podobny duch obecny jest w *Pieśni o kole rycerskim* – jednej z najstarszych polskich pieśni żołnierskich, której zapis znaleziony został na okładce książki wydanej w 1584 r., zaczynającej się od słów *Piękne jest koło rycerskie, komu dał Bóg serce męskie*. Również ta pieśń opowiada o bitwie: *A gdy już się potkać mieli, Jezu Chryste zawołali: „Jezu Chryste Nazareński! Wyrzyj na lud chrześcijański”*. (...) *A ci, co w mogiłach leżą, do pewnego kresu bieżą*.

Twórcy tych i innych sławiących stan rycerski pieśni wiedzieli, o czym piszą, parali się bowiem wojennym rzemiosłem na co dzień, jak choćby wyprawiający się na Moskwę i pod Chocim Samuel ze Skrzypny Twardowski czy weteran spod Beresteczka i Mątew – służący dziesięć lat w chorągwi husarskiej – Wespazjan Kochowski i jego towarzysz broni Wacław Potocki, przelewający krew w walkach z Kozakami, Szwedami i rozmaitych wewnętrznych awanturach. Nawet ci jednak spośród szlacheckich literatów, którzy nie spędzili sprawnych lat w siodle, jak dworzanin Jan Andrzej Morsztyn czy polityk Andrzej Maksymilian Fredro, władali szablą nie gorzej niż piórem.

SARMACKI STAN RYCERSKI

Czy jednak za posługiwaniem się przez Sarmatów terminologią rycerską szło podobnie jak w Średniowieczu rozumienie etosu rycerskiego? Potwierdza to ks. Szymon Starowolski (1588–1656), kanonik krakowski, niezwykle płodny pisarz polityczny i historyk, w swoim *Prawym rycerzu* z 1648 roku, gdy tak opisuje szlachtę: *Żadne królestwo, cni synowie koronni i żadna Rzplta nie może być bez stanu rycerskiego (...). Prawych tedy rycerzów, którzy przedniejszym sposobem religii katolickiej i chwały bożej, a potem ojczyzny i swych majątności bronią, ztąd najpierwsza zacność pochodzi, iż miłością chrześcijańską zapaleni, zdrowie swoje w niebezpieczeństwo podają, za kościół ś., za wiarę chrześcijańską, za bracią swoją i wszystkę rzpltą. (...) Powtórę zacny i sławny jest stan prawych rycerzów, iż od samego pana Boga postanowiony i zalecony, tak w starym, jak i w nowym zakonie. (...) Nakoniec stan rycerski jest chwalebny i czci wszelkiej godny, iż żadne państwo, żadna rzplta bez niego obejść się nie może, bo, że swawolność ludzka złotorodzący pokój i życie szczęśliwe świata wydziera, krzywdy sąsiadom zadając i cudze sobie przywłaszczając, tedy (...) stan rycerski stanowimy, aby gwałt gwałtem opędzali, a męstwem swoim pokój w ojczyźnie zachowali.*¹⁰

Dziełko księdza Starowolskiego charakteryzuje więc tytułowego „prawego rycerza” jako wojownika posiadającego następujące intencje: *Pierwsza, aby ojczyźnie swojej, w której się urodził i w której chrzest święty przyjął, szczerze służył, jako prawdziwy syn korony (...). Druga – aby wiary i ewangelii świętej bronił, kiedy albo poganie, albo sprośni bluźniercy sekt rozmaitych przeciwko powszechnemu kościołowi powstają (...). Trzecia: aby na wojnie sławy dobrej nabywał i przysługi u króla swego (...). Gdy bowiem chrześcijański człowiek według przykazania bożego żyjąc, królom i urzędom służy, na obronę dobra pospolitego miecza swojego dobywając, zasługuje sobie koronę Pana Boga – pisze Starowolski.*¹¹ Dalej wymienia cnoty rycerskie pośród których najważniejsze są cnoty kardynalne. Na ich czele stoi sprawiedliwość – *vinculum societatis humanae*. Następnie męstwo, które pozwala, *by rozkosze cielesne i miękkości pomiatał, a sam siebie i złe skłonności zawojuował pierwej, niżeli nieprzyjaciela ojczyzny wojować zechce, sprawia też,*

¹⁰ S. Starowolski, *Prawy rycerz*, wyd. K. J. Turowski, Kraków 1858, s. 3, 6–8.

¹¹ Tamże, s. 9–10.

że rycerz pogardza własnym zdrowiem, oddając życie za ojczyznę i Kościół katolicki. Męstwo też – zdaniem kanonika krakowskiego – objawia się w posłuszeństwie, bez którego się *nic dobrego na wojnie sprawić nie może*. Wreszcie ważną cnotą rycerską jest roztropność, która nakazuje kształcić się zarówno w kwestiach obywatelskich, koniecznych do kierowania sprawami publicznymi, do których wszak rycerze są powołani, jak i wojskowych. Czwartą z najważniejszych cnót jest umiarkowanie, *aby żołnierz chrześcijański i w obyczajach pomiarkował się afekty swoje temperując*.¹²

Widać wyraźnie, że wyliczony katalog zalet stanu rycerskiego i cnót, jakimi powinni legitymować się poszczególni jego przedstawiciele, nie odbiega od tego, co składało się na średniowieczny etos rycerski, który – uzupełniony jedynie o typowy dla Rzeczypospolitej komponent „obywatelski” – był już wówczas (w połowie XVII wieku) udziałem znacznie szerszych niż w wiekach średnich warstw społecznych.

ŚWIAT ŚREDNIOWIECZNY, O MIEDZĘ LEŻĄCY

Wraz z rozbiorami Rzeczypospolitej szlachta straciła swój absolutnie wyjątkowy status narodu politycznego, a w wyniku represji politycznych poszczególnych mocarstw zaborczych wielka jej część pozbawiona została praw stanowych. Jednak warstwa ta nadal posiadała dominującą pozycję społeczną, która nie tylko z powodów ekonomicznych, ale również wykształcenia, tradycji i powiązań rodzinnych oraz uczestnictwa w życiu publicznym, daleko wykraczała poza jej formalny status prawny. Przez cały XIX wiek to nadal przede wszystkim z kręgów szlacheckich wywodzili się wybitni twórcy kultury: poeci, pisarze polityczni oraz – choć w znacznie mniejszym stopniu – malarze i architekci. Nośnikiem kultury szlacheckiej wciąż było też duchowieństwo, którego najwyżsi dostojnicy i elity intelektualne nadal wywodziły się w przeważającej mierze spośród ziemian, a nawet arystokracji.

¹² Tamże, s. 25–30.

Obok ziemiaństwa i mieszczan rosnący wpływ na kulturę narodową zdobywała ukształtowana w XIX wieku nowa warstwa społeczna – inteligencja, która, choć wywodziła się przede wszystkim z ludności miejskiej, składała się w dużej mierze z przedstawicieli rodzin drobno-szlacheckich przenoszących się ze wsi do miast. *Struktura stanu szlacheckiego sprawiała, że w mieście znajdowała się od dawna spora grupa szlachty w swym statusie majątkowym i społecznym nie różniąca się istotnie od mieszczan* – stwierdza Ireneusz Ilnatowicz.¹³ *Drobni urzędnicy, konduktorzy kolejowi, nauczycielki gry na fortepianie, kasjerki w sklepach czy administratorzy kamienic, chwytający się najrozmaitszych zajęć zdeklasowani posiadacze ziemscy, nieśli za sobą obyczaj szlachecki, sposób bycia, pojęcia czy relacje ekonomiczne, etyczne i towarzyskie, właściwe dla dawnego stanu*.¹⁴ Nic dziwnego więc, że wpływ ideałów rycerskich wciąż żywych w tradycji rodzin szlacheckich na kształtującą się kulturę nowoczesnego narodu był olbrzymi.

Wzmacniał go jeszcze przemożny wpływ, jaki wywarła na nią polska odmiana romantyzmu, której specyfika polegała na odkryciu dawnej, utraconej, szlacheckiej Polski w miejsce fascynacji odległą, średnio-wieczno-mityczną przeszłością, jaka stała się udziałem romantyków Europy Zachodniej.¹⁵ Z początku krytyczni wobec tradycji sarmackiej, obwinianej za upadek Rzeczypospolitej, po powstaniu listopadowym romantycy, jak Adam Mickiewicz czy Juliusz Słowacki, zaczęli zmieniać swój stosunek do szlacheckiego dziedzictwa. W *Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego* i *Prelekcjach paryskich* Mickiewicz czynił szlachtę polską kontynuatorem ideałów chrześcijańskiego rycerstwa, powołując się m.in. na *L'histoire de l'anarchie de Pologne* Claude-Carlomana Rulhiere'a, którego autor w konfederatach barskich widział „bohaterów *Iliady* i rycerzy wieków średnich”.¹⁶

13 I. Ilnatowicz, A. Mączak, B. Zientara, J. Żarnowski, *Spółczesność polska od X do XX wieku*, Warszawa 1988, s. 530.

14 Tamże.

15 Zjawisko to opisuje Andrzej Waśko w pracy *Romantyczny sarmatyzm. Tradycja szlachecka w literaturze polskiej lat 1831–1863*, Kraków 1995.

16 Tamże, s. 39, 53.

Słowacki pozytywnie odniósł się do sarmatyzmu już w *Beniowskim*, a w *Parabazie Złotej Czaszki* odkrył dwór szlachecki, który, jak pisze Andrzej Waśko, *otoczony cudowną opieką Matki Bożej i szacunkiem sąsiadów jest miejscem zgodnego współżycia ludzi wyznających tradycyjną wiarę, miłosiernych, krzewiących cnoty rycerskie i gospodarskie*.¹⁷ Dwór szlachecki, którego ściany zdobiła broń i portrety antenatów, jawił się zresztą jako siedziba rycerskiego ducha i pomnik minionej chwały pisarzom takim jak Adam Gorczyński, Ignacy Chodźko czy Aleksander Groza, a nieśmiertelność zapewnił tej idei wspinały Mickiewiczowski obraz dworu Sopliców w *Panu Tadeuszu*.

Dla Zygmunta Krasińskiego w *Trzech myślach Ligenzy* szlachta reprezentowała sarmacki stereotyp chrześcijańskiego rycerstwa, również innym polskim autorom romantycznym konfederaci barscy i kontynuujący ich tradycję bojownicy powstań narodowych przypominali rycerstwo wieków średnich. Na przykład powstanie listopadowe postrzegane było jako współczesne ogniwo rycerskiej tradycji narodu przez Wincentego Pola, który w *Pieśni Janusza* stworzył analogię pomiędzy powstaniem a konfederacją barską.¹⁸ Julian Ursyn Niemcewicz sławił wielkich rycerzy z dawnej historii Polski, ale również sobie współczesnym przypisywał ich cechy, pisząc np. o księciu Józefie Poniatowskim: *Tu leży rycerz, co walczył bez trwogi i żył bez skazy*.

Również drugi – obok emigracyjnego romantyzmu – nurt dominujący w umysłowości XIX wieku, jakim był krajowy konserwatyzm, eksponował rolę rycerskich wartości jako ostoji tradycyjnego ładu, zagrożonego narastającymi rewolucyjnymi trendami. Polska starszlachecka stanowiła w ich rozumieniu – jak ujął to Michał Grabowski – *nasz świat średniowieczny, chociaż o miedzę leżący*.¹⁹ Wspominany list pisany był do Henryka Rzewuskiego, którego fenomenalne *Pamiętki Soplicy* zapoczątkowały cały nurt neosarmackiej literatury gawędowej i pseudo-pamiętnikarskiej.

¹⁷ Tamże, s. 31.

¹⁸ Tamże, s. 13.

¹⁹ M. Grabowski, *Listy literackie*, Kraków 1934, s. 223.

Co ciekawe, charakterystyczne dla XIX-wiecznej umysłowości zainteresowanie Średniowieczem i dawną Polską nie ustało wraz z opadnięciem fali romantycznych uniesień po tragedii Powstania Styczniowego. Nadal na potęgę wydawano na poły zapomniane źródła, nadal powstawały powieści i obrazy historyczne. Niech zobrazują to zainteresowanie dwa drobne fakty. W opowiadaniu dla młodzieży z 1874 r. Aleksandra Borkowska opowiada o przedstawieniu, jakie urządzają dzieci spędzające wakacje w dworze dziadków, którego tematem jest powrót rycerza z wyprawy wojennej do domu.²⁰ Bardziej symptomatyczne może być to, że aż trzy tłumaczenia *Pieśni o Rolandzie* na język polski ujrzały światło dzienne w stosunkowo krótkim czasie na przełomie XIX i XX wieku.²¹

RYNGRAFY POD STRZECAMI

I to właśnie twórcy kolejnego, już nie romantycznego, a wyrosłego na konserwatywnym realizmie pokolenia stworzyli przekaz patriotyczny, dzięki któremu staropolska kultura rycersko-szlachecka stała się udziałem całego nowoczesnego narodu polskiego. Spośród nich pierwszeństwo należy się Henrykowi Sienkiewiczowi, którego powieściom zawdzięczamy fakt, że Polska inteligencja początku XX wieku, zarówno ta wynosząca tradycje szlacheckie z domu rodzinnego, jak i ta mieszczańskiego i chłopskiego pochodzenia, ukochała swą pradawną Ojczyznę, a postaci Zbyszka z Bogdańca – romantycznego rycerza bez skazy, Jana Skrzetuskiego – czystego, szlachetnego i gotowego do najwyższych poświęceń w służbie Ojczyzny, a także Michała Wołodyjowskiego i Andrzeja Kmicica, stały się bohaterami jej zbiorowej wyobraźni. Więcej – już najmłodsi czytelnicy Sienkiewicza byli adresatami jego programu wychowawczego, będąc pod wpływem postaci Stasia Tarkowskiego z *W pustyni i w puszczy* – syna powstańca i zesłańca, szlachetnego, przejawiającego wszystkie elementy rycerskiej formacji młodzieńca, cechującego się nie tylko prawością, odwagą

20 M. Łozińska, *W ziemiańskim dworze*, Warszawa 2020, s. 284.

21 M. Kacprzak, „...znana jest u nas zaledwie z imienia...”. Polskie XIX-wieczne edycje przekładów „Pieśni o Rolandzie”, [w:] *Ethos rycerski w kulturze. Tradycje i kontynuacje*, t. 1, Katowice 2017, s. 33–73.

i prawdomowością, ale również lojalnego i opiekuńczego, do końca broniącego powierzonych mu słabszych.

Sienkiewicz nie był zresztą sam – cała masa pisarzy poematów i powieści historycznych, z najpłodniejszym z nich i najpopularniejszym Józefem Ignacym Kraszewskim na czele, tworzyła patriotyczne dzieła, które miały sprawić, że czytelnicy pokochają wyidealizowaną dawną Polskę, że wzruszą się jej wielkimi, choć tragicznymi dziejami. I tak rozmaite grupy społeczne – od elit intelektualnych po prostych ludzi, którzy dzięki powszechnemu szkolnictwu posiedli naukę czytania, przyjmowały wzorce niegdysiejszych elit za swoje. Pracę literatów uzupełniali również pracujący ku pokrzepieniu serc plastycy, wśród których wyjątkową pozycję zajmuje oczywiście Jan Matejko – twórca naszego narodowego imaginarium historycznego. To stworzone przez niego wizerunki naszych władców i sceny historyczne, powielane na przeróżne sposoby, trafiały do ludu choćby w pierwszych podręcznikach historii.

Tak dokonało się przejście do nowych, znacznie bardziej zdemokratyzowanych czasów, w których świadomość narodowa stawała się udziałem całego społeczeństwa, w większości wszak plebejskiego pochodzenia. Wraz z nią przyjmowano nauczany przez niemal wszystkie instytucje, z Kościołem na czele, wzorzec patriotyzmu, w ramach którego mieścił się szacunek dla dawnej Polski Chrobrych, Jagiellonów, Batorych i Sobieskich, a także cześć oddawana zwycięzcom spod Grunwaldu i Chocimia z ich rycerską kulturą i – rozumianym jako ich kontynuatorzy – bohaterom powstań narodowych.

Tak więc dokonana przez romantyków recepcja szlacheckiego dziedzictwa, której kluczowe wątki podchwycił i rozwinął posiadający już znacznie większą skalę oddziaływania autor *Potopu*, walenie przyczyniły się nie tylko do zachowania przez Polaków narodowej tożsamości, ale również rozciągnięcia kultury niegdyś elitarnej na warstwy społeczne nie partycypujące wcześniej w pełni tej tożsamości. – *Kult „Pana Tadeusza” i wzorce przekazane pokoleniom przełomu wieków przez Sienkiewicza wpłynęły zasadniczo na podstawowy model wychowawczy*

II Rzeczypospolitej – twierdzi Andrzej Waśko i trudno się z nim nie zgodzić.²²

Zapewne dlatego, a może również dzięki kultywowaniu w społeczeństwie i armii odrodzonej Rzeczypospolitej tradycji powstańczych, w których tak żywe pozostawały wątki staropolskie, etos rycerski zachował swą żywotność również w latach II wojny światowej, a nawet – powojennej walki podziemia niepodległościowego z reżimem komunistycznym. Młodzież „Szarych Szeregów” nie podejmowała swojej działalności wyłącznie wiedzioną romantycznym mitem powstańczym, ale starała się wzorować na staropolskim rycerstwie, choćby przywołując postać Zawiszy Czarnego. Spójrzmy na pseudonimy żołnierzy konspiracji – iluż tam „Kmiciców”, „Laudańskich”, „Zagłobów”, „Porajów” i innych imion historycznych lub literackich rycerzy. Już same wizerunki „żołnierzy wyklętych”, noszących ryngrafy z wizerunkiem Matki Bożej Ostrobramskiej czy Częstochowskiej, wskazują, w kim upatrywali oni swoich poprzedników.

Warto również nadmienić, że etos rycerski realizowany był w praktyce w działalności polskiego wojska, które – wszędzie tam, gdzie było to możliwe, starało się prowadzić działania zgodnie z zasadami rycerskości – nie dobijając rannych wrogów, nie mordując jeńców, a zapewniając im warunki umożliwiające przeżycie, co przecież w okrutnych realiach II wojny światowej było rzadkością. O ile zasady te nie zawsze mogły być przestrzegane w sytuacji walki konspiracyjnej z wrogiem dokonującym fizycznej eksterminacji elit narodowych, to już bezwzględnie stosowały je polskie formacje działające w ramach Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie w czasie działań frontowych.

Tradycji, którą przyjął jako swoją cały polski lud w latach, w których stał się narodem, nie udało się wyplenić władzom komunistycznym. Wykasowanie rycerskości i szlacheckości z naszej kultury nie było możliwe, trzeba by bowiem zastąpić ją całą jakimś nowotworem, jakimś socrealistycznym symulakrum, którego stalinieści nie byli

22 A. Waśko, op. cit., s. 209.

w stanie wytworzyć pomimo podejmowanych intensywnych prób. Symbolem ich porażki jest piękna scena odśpiewania *Bogurodzicy* – pierwszego hymnu Królestwa Polskiego – przez rycerstwo zebrane pod Grunwaldem w ekranizacji *Krzyżaków* wyreżyserowanej wszak przez podpułkownika Aleksandra Forda, który do Polski przyjechał na sowieckim czołgu. Propagandowe, antyzachodnie i antykatolickie konteksty filmu uległy z czasem zatarciu i przez dziesięciolecia oglądany on był jako piękny, patriotyczny obraz przede wszystkim sławiący męstwo dawnych polskich rycerzy.

Czy rycerskie tradycje nadal są istotną treścią polskiej kultury? Z pewnością tak dalece, jak dalece żyjemy dziś, oddychamy naszą autentyczną tradycją, jak dalece kultywujemy polskie obyczaje, propagujemy patriotyczne wzorce, a przede wszystkim – czerpiemy z wielkiego skarbcza naszej kultury to, co w niej największe i najpiękniejsze, nie dając sobie wetknąć plastikowej papki oferowanej przez międzynarodowy showbiznes. Przynajmniej starsze pokolenia Polaków są nadal przecież wychowane przez *Pana Tadeusza* i *Potop*, a i młodsze okazuje się bardzo podatne na żywe – nawet jeśli dość powierzchowne – zainteresowanie tak rycerstwem, jak i historią I Rzeczypospolitej, angażując się w działalność rozmaitych bractw, grup rekonstrukcyjnych, inicjatyw muzycznych i religijnych, eksplorujących to przebogate dziedzictwo.

Swoisty hołd rycerskości polskiej kultury składają przecież również jej przeciwnicy, szczególnie ci wywodzący się z „postępowych” i kosmopolitycznych kręgów, nienawidzący jej wsteczności czy wręcz reakcyjności oraz zaściankowości i podejmujący ogromne wysiłki, by ją wypłenić. Tych zwolenników egalitarnej rewolucji, upatrujących nadziei w promowaniu „historii ludowej”, mającej sprawić, że Polacy, w większości przecież mający chłopskie korzenie, opowiedzą się za jakąś nową rabacją, jakimś rodzimym BLM-em, musi niezwykle drażnić fakt, że polska kultura nie dość, że odwołująca się do szlacheckich, a więc z pewnością nierównościowych i nieinkluzywnych, średniowiecznych ideałów, to jeszcze pozostaje wciąż tak bardzo katolicka. Z pewnością nie mogą oni znieść tego, że wciąż tak wielu

naszych rodaków nie poddało się modernistycznym prądom w łonie katolicyzmu i trwa w wierności idei Kościoła Walczącego, która wręcz implikuje odwołania i analogie do rycerstwa, które tak pięknie wyraził niegdyś ks. prymas August Hlond, wzywając wiernych do gorliwego oddania się Najświętszej Maryi Pannie słowami: *Niech jako Wspomożycielka wiernych powiedzie do zwycięstwa nad bezbożnictwem i niewiarą zbrojnych duchem rycerzy Chrystusowych.*

↩
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI



„CUDZE CHWALICIE, SWEGO NIE ZNACIE”. DLACZEGO WSTYDZIMY SIĘ POLSKIEJ KULTURY LUDOWEJ?

Dlaczego wchodząc do przeciętnego polskiego przedszkola coraz częściej widzimy na tablicach ogłoszeń reklamy zajęć z zumby bądź innego obcego kulturowo tańca, a coraz rzadziej albo wcale – promocję naszej własnej, rodzimej, pięknej i bogatej tradycji ludowej?

Fenomenem, który poruszył w ostatnich miesiącach uczestników życia kulturalnego, był cykl wystaw poświęconych twórczości Józefa Chełmońskiego. Okazało się, że wciąż chcemy chłonąć prawdziwe malarstwo, oddające piękno polskiej ziemi i historycznych zwyczajów. Okazało się, że wciąż jest w nas niezaspokojony głód piękna i kontaktu ze źródłami własnej, a nie zapożyczonej tożsamości.

Na drodze stają jednak: brak dostępności, ogólne wykorzenienie, a także szereg szkodliwych i nieprawdziwych stereotypów. Im właśnie poświęcam tę refleksję na temat miejsca w naszym życiu kultury ludowej – ze szczególnym uwzględnieniem pieśni i tańców. Co stało się z kulturą ludową w dobie PRL-u? Czy jest ona w nas na tyle zakorzeniona, że możemy liczyć na jej ponowne zagospodarowanie „pod strzechami” polskich domów?

„LUDOWIZNA” TWARZĄ POLSKI LUDOWEJ

*Cudze chwalicie,
Swego nie znacie,
Sami nie wiecie,
Co posiadacie.*

Te cztery wersy z wiersza *Wieś* Stanisława Jachowicza są nam dobrze znane, ale czy wyciągamy z nich wnioski? To, na co zwracał uwagę XIX-wieczny poeta, autor bajek i pedagog, w bardziej obyczajowym

i nieco politycznym kontekście ujął w *Panu Tadeuszu* Adam Mickiewicz. Włożył on w usta Podkomorzego ten oto, równie znany dwuwersz wieńczący tyradę o tym, co dziś nazywamy „oglądaniem się na Zachód”:

*Bo Paryż częstą mody odmianą się chlubi,
A co Francuz wymyśli, to Polak polubi.*

Pomimo działalności zasłużonych zbieraczy tekstów kultury ludowej, jak Zorian Dołęga-Chodakowski, Oskar Kolberg czy Zygmunt Gloger, widzimy, że już na długo przed nastaniem sowieckiej okupacji mieliśmy problem z docenieniem swojej odrębności w tej sferze. Nałożyły się na to błędy szlachty polskiej. Po pierwsze, z uporem godnym lepszej sprawy nie chciała zrozumieć, że oświecenie i wzbudzenie w ludzie ducha obywatelskiego jest nieuchronną koniecznością, jeżeli chcemy uniknąć zgubnych skutków rewolucji. Po drugie, z nie mniejszym uporem odrzucała myśl o tym, że powinniśmy – akurat w tym wypadku słusznie naśladując resztę świata – kłaść nacisk także na industrializację, a nie tylko handel zbożem. Z tą ostatnią kwestią wiąże się nieadekwatna do czasów rola rolnictwa w życiu gospodarczym i idący za tym styl życia.

Dopiero po przezwyciężeniu kolejnych kryzysów w II Rzeczypospolitej zaczęliśmy proces uprzemysłowienia, którego symbolem jest stworzenie nowoczesnego portu w Gdyni. Jednak trzeba ze smutkiem przyznać, że dopiero Polska Rzeczpospolita Ludowa rozpoczęła planową industrializację kraju. Oczywiście, była ona sterowana ideologicznie i nie znajdowała proporcjonalnego przełożenia na zyski poszczególnych Polaków. Ale dlaczego jest to istotne? Bo przez to kilkuwiekowe zaniedbanie proces ten stał się inwazyjny dla struktury społecznej. Rozpoczęła się masowa migracja do miast, zasiedlanie ohydnych blokowisk i wyrabianie norm pracy w państwowych zakładach.

Natomiast co do tożsamości narodowej chłopstwa, to – nie licząc epizodycznych prób, takich jak mobilizacja podkrakowskich chłopów

przez Naczelnika Kościuszkę – szlachta zrobiła wszystko, by przegapić jakąkolwiek okazję do zrozumienia, że świat ulega zmianom i nie ma odwrotu od powinności uczynienia z chłopów Polaków i wolnych ludzi. Dopiero II Rzeczpospolita podjęła próby reformy rolnej czy też oświaty wiejskiej, ale – jak wszelkie inne starania narodowo – i państwowotwórcze – zostały one przerwane przez wojnę.

W PRL, obok innych rewolucyjnych zmian, nastąpiła też modyfikacja stylu życia. Ludowe rzemiosło przestało być dochodowe, a kultura utraciła swój tradycyjny, czyli rolniczy grunt. Władza potrzebowała jednak symbolicznego umocowania. Dlatego sięgnęła po „ludowiznę”, wspierając powstawanie stylizowanych na ludowe zespołów pieśni i tańca, z najbardziej znanymi – „Mazowszem” i „Śląskiem”. Powołano też do życia Centralę Przemysłu Ludowego i Artystycznego, popularnie zwaną Cepelią. Profesor Błażej Brzostek w wywiadzie dla portalu Dwutygodnik zauważa: *Miasto próbowało wypręparować z kultury wiejskiej atrakcyjne wzory – temu służyła Cepelia i zespoły folklorystyczne. A władza potrzebowała ornamentu ludowego dla swej legitymizacji.*

I dodaje: *Miasto miało pomysły na wieś, ale raczej nie vice versa. Wieś wiedziała, że do miasta można wyjechać, żeby poprawić swój byt, ale też miasta się obawiała jako siedliska występku i rozwiązłości. To miasto przekształcało wieś, chciało wprowadzać tam „higienę”, brać pod opiekę „przemysł ludowy”, a w latach stalinizmu „kolektywizować rolnictwo”, co oznaczało już po prostu niszczenie dotychczasowych struktur.*

Ponadto, jak wskazuje badacz, *folklor był „narodowy”, tutejszy, swojski. Stawał się ornamentem, mającym usuwać przekonanie, że wszystko w PRL-u jest importem z Moskwy.*

I tu widzimy skutki drugiego z wymienionych błędów szlachty, jakim było zaniedbanie formowania chłopów. Oto władza „ludowa” postawiła sobie ambicję stworzenia „nowego człowieka”. I przeciwskuteczne byłoby twierdzenie, że co nas obchodzi jakiś *homo sovieticus*. Bo, niestety, z powodu wcześniejszych zaniedbań, władza tworzona przez sowieckich spadochroniarzy oraz ich miejscowych

lokajów – podobnie jak na polu struktur społecznych, tak i na polu tożsamościowym – miała „używanie” do woli, ponieważ trafiła na grunt niemal dziewiczy.

Na polu kultury oznaczało to nieraz całkowite porzucenie dotychczasowego stylu życia, w którym prosta sztuka użytkowa i ozdobna, a także śpiewy i tańce na różne okazje nadawały niepowtarzalny koloryt naszej codzienności. *Ogólnoświatowe przemiany społeczno-kulturalne lat pięćdziesiątych silnie wpłynęły na kształt muzyki popularnej w Polsce, na wsi zaś nastąpił gwałtowny koniec rodzimych tradycji muzycznych, które odtąd były już marginesem spontanicznego życia kulturalnego* – konstatuje Antoni Beksiak w tekście *Ludowa bez wiochy*.

POLAK NA BAŁKANACH, POLSKA – W SKANSENIE

Jak zwróciła uwagę Marta Wolff-Zdzienicka, dyrektor Zespołu Pieśni i Tańca Uniwersytetu Jagiellońskiego „Słowianki” (z którą miałem przyjemność rozmawiać na naszym kanale PCh24 TV), zjawisko kulturowej ojkofobii jest specyficzne dla Polski po okresie swoistego upolitycznienia folkloru w PRL-u (choć lepiej pod tym względem jest u naszych górali czy Kaszubów). Zupełnie inaczej natomiast wygląda sprawa przykładowo na Bałkanach, gdzie – w krajach takich jak Bułgaria czy Rumunia – przywiązanie do własnej kultury jest czymś naturalnym. Ludzie przywdziewają stroje ludowe, znają i śpiewają pieśni, tańczą tańce, a gdy gdzieś odbywa się festiwal folklorystyczny, to jest on wydarzeniem, którym żyje całe miasto.

Nasze nieszczęsne „cudze chwalicie, swego nie znacie” doczekało się kolejnego epizodu w PRL-u. Wybuchło ze szczególną siłą w latach 90., gdy „otworzyliśmy się na Zachód”. Antoni Beksiak pisze: *Zapatrzenie na Zachód spowodowało, że nie wykształcono takich oryginalnych adaptacji tradycyjnego przekazu jak w krajach Wschodu, gdzie – słusznie – zakorzenienie wiązano z tożsamością, ale i oryginalnością*. I dodaje: *Bułgarskim zespołom pieśni i tańca, w których zresztą w dużo większym stopniu niż w polskich zatrudniano wiejskich muzykantów z ich autentycznym stylem gry, nie można odmówić bardzo oryginalnej szkoły kompozytorsko-aranżacyjnej; w porównaniu z nimi „Mazowsze” jest raczej sentymentalno-pretenjonalne*.

Dotyczy to zresztą nie tylko Bałkanów. Zwróćmy uwagę na silne tradycje choćby w hiszpańskiej Andaluzji, gdzie flamenco jest wciąż sposobem na organizację wielu spontanicznych imprez. Intrygujące i arcyważne dla powrotu do korzeni jest pytanie, dlaczego w Polsce nie przetrwały takie nurty? Innym jeszcze pytaniem jest, dlaczego rodzima kultura nie inspirowała u nas nurtów popkulturowych wykwitających po okresie PRL-u? Remigiusz Mazur-Hanaj w artykule *Orient i orientalność we współczesnej muzyce inspirowanej tradycją w Polsce* zwraca uwagę: *Inaczej niż np. na Węgrzech czy we Włoszech polska kontrkultura nie odwołała się wtedy do źródeł własnego folkloru, który został niejako przechwycony przez państwową kulturę i w zdeformowanej postaci wykorzystany przez oficjalną propagandę.*

Kulturowo nasze społeczeństwo przedstawia obraz swoistego Frankensteina. Kultura ludowa – jak mówi prof. Brzostek – *była ornamentem życia oficjalnego. Występowała stale jako dopełnienie zasadniczego przesłania: przebudować, zmienić, unowocześnić. Folklor zaś oznaczać miał jakąś trwałość, zakorzenienie.* Było to składanie nowej tożsamości z rozproszonych i oderwanych od właściwego kontekstu elementów.

Okazuje się jednak, że ten Frankenstein bynajmniej nie jest wolny od dawnych wad. *Polska mentalność ukształtowana została przez silnie utrwalony w społeczeństwie podział na chłopów i panów – podział, który utrzymuje się do dzisiaj. W tę „folwarczną mentalność” wpisane jest zarówno „pańskie” poczucie wyższości, jak i pogarda dla „chama”* – zauważa Joanna Kordjak w artykule *Polska – kraj folkloru?* Czy nie znamy tego dobrze, obserwując dziś stosunek lewicowo-liberalnych „elit”, dzielących nasz kraj na „Polskę A” i „Polskę B”?

Ponadto, w PRL-u, jak wskazuje Kordjak, *„doszło do mezaliansu młodopolskiej chłopomanii z socrealizmem”.* Stało się to jednak głównie na polu estetyki. Elementy tożsamościowe – w drodze do stworzenia „nowego człowieka” – należało bowiem usunąć, ze szczególnym uwzględnieniem religii. *Folklor wykorzystywano ideologicznie i estetycznie. Neutralizując jego aspekty światopoglądowe (przede wszystkim „sakralny”), wprzęgano go w eklektyczny repertuar nowej świeckiej obrzędowości* – czytamy.

Końcowy efekt oddano nam do użytkowania „po bardzo precyzyjnym oddzieleniu elementów «wstecznych»” – jak dodaje Antoni Beksiak.

Trudno się zatem dziwić, że „ludowizna” stała się dla nas symbolem czegoś sztucznego, robionego „na pokaz”, a czasem wręcz „obciachu”. Ale z drugiej strony, skoro w krajach, które również pozostawały pod butem sowieckim przechowało się przywiązanie do rodzimych tradycji, to wypada uczynić trudny i być może bolesny rachunek sumienia i zadać pytanie, czy to naprawdę komuniści odpowiadają za to, że nasza kultura ludowa została zepchnięta do poziomu skansenu?

Cytowany na początku prof. Błażej Brzostek dzieli się z nami bardzo pesymistycznym wnioskiem, stwierdzając: *Nie ma ludu, więc nie ma już sztuki ludowej. Nie wróci. W jakiejś mierze zastąpiła ją tzw. sztuka naiwna, a – w sferze masowej – kultura popularna*. Trudno nie zgodzić się z tą diagnozą. Ale czy prawdą jest, że nie da się już zastosować leczenia?

POWRÓT POD STRZECHY

To, co ludowe, przenikało się z tym, co narodowe. Tańce wiejskie wkraczały na dwory, skąd – o czym warto pamiętać – były eksportowane na europejskie salony (tak, były czasy, że na mitycznym Zachodzie tańczono polskie tańce). Ale w pewnym momencie nastąpił zwrot. Wszystko, co ludowe, nazwano „narodowym” w myśl nowej, XIX-wiecznej (rewolucyjnej w swojej proveniencji) definicji narodu. Ta nowa definicja jest sztuczna, nieorganiczna. Nie odzwierciedla faktycznego stanu utożsamienia warstw społecznych z ideą narodową, lecz jedynie w sposób życzeniowy wrzuca wszystkich do jednego worka. Co z tego – w praktyce post-peerelowskiego życia – że mamy ową kulturę narodową i że nazywamy się narodem, jeżeli większość owego „narodu” została wykorzeniona, a wcześniej nigdy miała okazji, by dojść do pełni narodowej samoświadomości?

Jest to pewna trudność, gdy mówimy o ewentualnym powrocie do korzeni. Musimy bowiem najpierw zdefiniować nasze słabości i pozbyć się złudzeń. Rzućmy jednak okiem na to, co tracimy, gdy przestajemy dbać o polskie tradycje. Tym bardziej, że są one dziś kulturowane nie

tylko w formie stylizowanej przez zespoły pieśni i tańca. Coraz częściej pojawiają się również jako rekonstrukcje bliższe oryginału. Są nawet organizowane imprezy i potańcówki, na których wracają pierwotne kroki tańców, przy których bawili się nasi przodkowie.

Po pierwsze, oduczyliśmy się śpiewać. Jeszcze do niedawna nie wstydziliśmy się przynajmniej kolędowania przy wigilijnym stole, natomiast pieśni „świeckie” nie towarzyszą nam od dawna. Jeżeli już – to zepchnięte do kategorii utworów „biesiadnych”, które śpiewamy mniej lub bardziej „dla beki”, a ich repertuar ogranicza się do kilku pozycji, takich jak *Hej, sokoły*. Najsmutniejszy obraz przedstawiają jednak momenty stawania do hymnu przy rozmaitych oficjalnych okazjach. Jest już właściwie nagminnym zwyczajem, że hymn jest puszczany z głośników, natomiast zgromadzeni uczestnicy wydarzenia jedynie poruszają ustami (a czasem nie robią nawet tego). Nawet jeżeli próbują śpiewać, to i tak zagłusza ich dźwięk nagrania. Jeżeli nie jesteśmy w stanie wykonać wspólnie własnego hymnu (niezależnie, co sądzimy o Bonapartem i całej tej pieśni legionów Dąbrowskiego), to jak możemy mówić o jakimkolwiek nieniszowym pielęgnowaniu tradycji śpiewaczych?

Po drugie, oduczyliśmy się tańczyć. Z zapalem rzucamy się na wszelkie tańce zagraniczne, a ich szkoły wyrastają jak grzyby po deszczu. I znów: „cudze chwalicie, swego nie znacie”. Spójrzmy na tych kilka tańców zaklasyfikowanych jako narodowe. Po pierwsze, najbardziej dostojny z nich: polonez. Wciąż jest tańczony na studniówkach, a coraz częściej pojawia się również na weselach, co cieszy i jest dobrym symptomem. Ale czy kiedykolwiek zdarzyło się Państwu tańczyć do utworu innego niż wałkowany w kółko polonez Wojciecha Kilara?

Na polonezie jednak świat polskich tańców się nie kończy. Mamy krakowiaka, który jest tańcem żywym, ale mającym swoją powagę, choć rzadko bywa adaptowany do warunków imprezowych. Gdy jednak przejdziemy dalej, to okaże się, że oberek czy poleczka (choć wywodząca się z Czech, ale powszechnie tańczona w Polsce) jak najbardziej nadają się na różne okazje. Ponadto, są to tańce wymagające niezłej

kondycji, a nawet tężyzny fizycznej, co jest nie bez znaczenia, gdy porównamy je do rozmaitych wygibasów, jakie robimy do muzyki popowej czy disco. Ten aspekt fizyczny i konieczność dyscypliny oraz samodyscypliny – jak przy sporcie – są też argumentem za nauką tańców ludowych w przedszkolach i szkołach.

Idąc dalej, mamy siarczystego mazura, kojarzącego się raczej z kręgami szlacheckimi i wymagającego już niemałych zdolności. Ale na końcu dochodzimy do kujawiaka, któremu warto poświęcić więcej uwagi. Jest to najbardziej nastrojowy, w pewnym (specyficznym) sensie nawet zmysłowy taniec. Służy do wyrażania uczuć. Zauważyliśmy jednak, że nie ma on w sobie nic z grubiańskiej śmiałości czy wyuzdania. Jest tańcem miłosnym, a jednak – zachowuje godność i skromność. Jest po prostu piękny. Mając w uszach molowe tony posuwistego kujawiaka, a przed oczyma spokojne, lecz misterne układy, w których panowie „popisują” się, prezentując jednocześnie wdzięk partnerek, stajemy jak wryci, myśląc o tym, co stało się z naszym charakterem? Co się stało, że od czegoś tak wspaniałego i tak naszego doszliśmy do momentu, w którym „wolny taniec” kojarzy nam się głównie z dyskotekową „pościelówką”, przy której obściskujemy się, bez większej inwencji?

Weźmy też pod uwagę różnice kulturowe. To, co dla innych jest naturalne, dla nas stanowi przekroczenie granic. Mam tu na myśli głównie śmiałe i namiętne tańce latynoskie. Nawet dla dzisiejszego Polaka zatańczenie bachaty wydaje się czymś, co onieśmiela czy wręcz napawa niesmakiem, gdy mamy ruchy już dosłownie „pościelowe” przenosić na salę taneczną w obecności innych ludzi. Dlatego też warto zastanowić się, czy na pewno dobrze robimy posyłając dzieci na rozmaite zumby, a ukrywając przed nimi skarby własnej kultury, zgodne z głębszymi duchowymi uwarunkowaniami składającymi się na naszą narodową specyfikę.

Jak przekonuje Antoni Kroh w książce *Sklep potrzeb kulturalnych*, kultura ludowa jest „odwieczna”, a także „rodzima i wolna od zapożyczeń”. To oczywiste i jeszcze nie załatwia sprawy – o tej cesze kultury

ludowej trąbili przecież polscy romantycy, garściami czerpiący z motywów wiejskich. Ale autor dodaje, że jest ona „emanacją ducha narodu, krynicą polskości, odbiciem naszego charakteru narodowego”. Dlatego pytanie o sposób na ponowne odnalezienie naszych własnych korzeni, jakkolwiek może się to wydawać pretensjonalne lub nawet niewykonalne, pozostaje żywotne dla naszej tożsamości – o ile chcemy w ogóle być Polakami, a nie wykorzenionymi, osamotnionymi kulturowo jednostkami w spolaryzowanym społeczeństwie.

Na koniec ostatni, obrazowy argument. Przywołana wcześniej Marta Wolff-Zdzenicka podzieliła się doświadczeniem, jak dziewczęta wstępujące do „Słowianek” po raz pierwszy przywdziewają barwne i bogato zdobione, a jednocześnie godny i skromny, strój ludowy. Towarzyszy temu nieraz uczucie swoistego olśnienia własną urodą – niejako odmienioną, a tak naprawdę „wydobytą” na światło dzienne dzięki strojowi podkreślającemu polskie rysy i polski charakter.

Skoro dziewczyna, która zakłada strój, patrzy w lustro i doświadcza dziwnego paradoksu – czuje się jakby kimś innym, ale jednocześnie bardziej sobą – to może jednak tkwią w nas jakieś korzenie, których nie zniszczyła dzisiejsza kulturowa homogenizacja? I pytanie praktyczne: skoro władza już musi podawać nam przymusową edukację, to czy nie powinniśmy zawalczyć, by w „podstawie programowej” znalazły się zajęcia promujące tożsamość narodową i patriotyzm? Nie w formie pretensjonalnych „akademii ku czci”, ale właśnie poprzez utożsamienie z ludową barwą, krojem, rytmem i melodią, a wreszcie – ruchem. Ruch bowiem wchodzi w krew. Kroki zapadają w pamięci ruchowej. To nas kształtuje fizycznie. Gdy dołożymy do tego formację duchową – poprzez rozum poznający zdrowe pojęcie miłości Ojczyzny – i umysłową, poprzez kontakt z ojczystą kulturą, to przecież jakiś zwrot w końcu będzie musiał nastąpić...

Pamiętajmy tylko, że system szkolny i podejście władzy do edukacji obywatelskiej nie uwzględniają tego celu. Od nas zależy, czy znajdzie się on na „agendzie” naszego życia rodzinnego, wspólnotowego i publicznego. A jest o co walczyć, bo naród, który gubi korzenie, traci

również poczucie solidarności i staje się podatny na wszelkie machinacje władzy. Żeby stawić temu opór, nie wystarczy świadomość polityczna czy religijna. Tożsamość kulturowa – duma z własnych tradycji, przywiązanie do ich piękna – to nasza broń w walce o to, byśmy byli Polakami i byśmy nie dali sobie wmówić, że mamy się tego wstydzić.

↩
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI



POP-HISTORIA LUDOWA, CZYLI UZASADNIANIE NIENAWIŚCI

Historia ludzi, również tych najprostszych jak przodkowie wielu z nas, jest warta i godna opisania. Problem zaczyna się, gdy przeradza się w proces oskarżycielski wobec innych. A dzieje się tak gdy nie używamy dostarczanych przez historiografię środków zabezpieczających, ukazujących wszelkie konteksty. Wówczas historia prostych ludzi przejawia się w ideologiczny nurt *historii ludowej*. Tak jak demokracja kiedyś przekształcona została w *demokrację ludową* a Rzeczpospolita Polska w *Polską Rzeczpospolitą Ludową*. Tu nie ma przypadków.

To się zaczyna niewinnie, bez złej woli. Ktoś po prostu chce pokazać historię życia swoich dziadków, którzy żyli na wsi, byli biedni, obok zdarzali się ludzie bogaci, dziadkowie nie zapamiętali ich jako do-
brzych. Ileż to historii, któż z nas nie zna takiej?

Pisze się więc dzisiaj książki wspomnieniowe, z sympatią dla własnych przodków – ciężko odmówić ludziom prawa do takiej aktywności. Niektóre z tych pozycji czyta się z czystą przyjemnością, inne z bólem, jak to literaturę. Z niektórych spośród nich można się czegoś dowiedzieć, inne jednak zaciemniają prawdę – nawet jeśli przedstawiają prawdziwą historię, nie uwzględniają szerszego kontekstu geograficznego, społecznego, kulturowego i historycznego. Nie uwzględniają, bo nie mogą, to nie zła wola autora, on posiada taką a nie inną pamięć rodzinną, a nie każdy podchodząc do pisania powieści, scenariusza, albo wspomnień musi uprzednio odbyć pogłębione studia.

MAGICZNY REALIZM NIKE

Mamy takich powieści niemało. Przemysław Czapliński, w jednym z wydań publikowanego przez Gazetę Wyborczą „Magazynu Książki” wymienia ich kilka. Na uwagę autora zachwyconego „ludowym zwrotem w literaturze” zasługują między innymi „Pióropusz” Mariana

Pilota z 2010 roku czy późniejsza o cztery lata powieść „Sońka” Ignacego Karpowicza.

Pierwsza z wymienionych to historia osadzona w czasach powojennych, z perspektywy chłopskiego domu. Główny bohater to chłopiec pochodzący z ubogiej, wiejskiej rodziny. Ojciec niepiśmienny, wpada w konflikt z nauczycielem, dokonuje kradzieży i zniszczenia szkolnej tablicy i za to zostaje uznany za „wroga ludu” a w końcu osadzony w stalinowskim więzieniu. Matka i syn muszą zmierzyć się ze skutkami tej sytuacji – dochodzi do pisania licznych podań, starania się o sprawiedliwość, a to doświadczenie buduje w chłopcu kult słowa pisanego i chęć awansu społecznego wbrew wiejskim i innym, mniej tradycyjnym, elitom.

Powieść Karpowicza z kolei to narracja z dużym ładunkiem emocjonalnym, historii splecione wojną, pamięcią i relacjami między pokoleniami. Tytułowa Sońka to kobieta z wiejskich stron Podlasia, która przetrwała wojnę, ale jej życie od „tamtej chwili” zostaje naznaczone: wojna i trauma sprawiają, że dużo tego, co było jej codziennością, przestaje istnieć. Akcja rozwija się przez przypadkowe spotkanie Igora – reżysera z miasta – który niespodziewanie znajduje się „poza zasięgiem”, w wiejskim otoczeniu. Igor staje się słuchaczem Sońki: ona opowiada mu swoją historię – miłość, jej konsekwencje, przeszłość, wojna, tradycja. Opowieść miesza teraźniejszość z przeszłością, realia z refleksją, pamięć z obrazami, emocje z milczeniem.

Jak widać, są to opowieści jakich wiele, ale dzisiaj już przez krytyków „wiedzących jak jest”, wliczane w właśnie w nurt „zwrotu ludowego w literaturze”. Skupieni wokół „Gazety Wyborczej” krytycy od lat promują ów zwrot, dostrzegając go z nadzieją również w miejscach, w których raczej go nie ma. Ośmielam się bowiem sądzić, że zaskakująca nominacja a potem główna nagroda **NIKE 2020 dla Radka Raka** miała być właśnie taką nadzieją. Autor reprezentuje bowiem wyśmiewaną i marginalizowaną do tej pory w mainstreamie gałąź literatury, a więc fantastykę, dziś – uczeniej – określaną mianem realizmu magicznego. Rak napisał grube tomszcze zatytułowane „**Baśń**

o węzowym sercu albo wtóre słowo o Jakóbie Szeli” i to właśnie ono sprawiło, że autor fantastyki po raz pierwszy w dziejach III RP zdobył tak prestiżową w kręgach literackich nagrodę.

Powieść ta balansuje między historią a mitem, snując wizję losów Jakóba Szeli (pisownia jak w omawianej powieści) – przywódcy rabacji galicyjskiej z 1846 r. I jest to rzeczywiście, zgodnie z tytułem, baśń. Realia życia chłopca – w tym rzecz jasna obowiązkowe bicie pańskim batem, praca na roli, nierówności społeczne, relacje między panem a podległym ludem – przeplatają się z elementami fantastycznymi: gadającymi węzami, podziemnymi krainami, legendami i magią.

W „Baśni” obserwujemy młodego Kóbe Szelę – jego dzieciństwo, wychowanie przez dziadka, marzenia, fantazje, pierwsze cierpienia – i to wszystko zanim stał się ikoną chłopskiego buntu. Pojawia się wątek miłosny: Malwa, której Koba oddaje serce, oraz Żydówka Chana – ich losy wpisują się w kontekst społecznych i kulturowych napięć ówczesnej Galicji. Rak daje czytelnikowi przestrzeń interpretacji – nie narzuca jednej wersji, budując raczej atmosferę pełną sprzeczności, bestii ludzkiej natury, konfliktu klasowego i siły buntu.

Nie sądzę, by zamiarem autora było wybielanie Szeli ani tym bardziej stawianie go na piedestał, nie odebrałem tak tej opowieści. Ani ów Szela Radka Raka nie jest jednoznacznie pozytywnym bohaterem, ani jego ciemieźcy nie są jednoznacznie źli. I w ogóle nie chodzi tu o rabację, ale o fantastykę, złe duchy, złe moce. Jestem jednak przekonany, że rozumowanie jury musiało podążać następującą drogą: fantastykę czytają masy, a skoro ktoś zechciał masom przypomnieć o Sezli, wspomnieć i przywrócić jakiejś części Polaków tę postać i związaną z nią ideę, środowisko NIKE musiało wyzbyć się uprzedzeń i przyznać nagrodę autorowi spoza własnego kręgu wzajemnej adoracji.

TĘSKNIĄC ZA JAKUBEM S.

A Jakub Szela rzeczywiście stanowi doskonały przykład dla tych, którzy chcieliby dzisiaj wzniecić społeczne niepokoje i nastawić ludzi przeciwko sobie, ewentualnie przeciwko własnej, narodowej

tożsamości. Bo przecież nasza tożsamość wiąże się z zakorzenioną głęboko w kulturowym genotypie Polaków tęsknotą za pałacami, zamkami, dworakami, szlachtą, porządkiem, hierarchią, przyrodą, gospodarstwem. To o takich sprawach do tej pory czytaliśmy, to z nich wyrastamy, nawet jeśli w naszej rodzinie w poprzednich pokoleniach nikt nigdy obok dworku nawet nie przechodził. Tęsknimy do dziś, choć tamten świat dawno umarł, każdy z nas potrafi wymienić szlacheckie imiona bohaterów Sienkiewicza. A gdy chcemy pośmiać się sami z siebie, ze swoich przodków, miejsce akcji komedii umieszczamy – owszem – na wsi, ale takiej, której właścicielem jest właśnie szlachcic z ambicjami, Jan Paweł Adamczewski z **serialu „1670”**.

Jakub Szela, wiele lat po tej dacie, osobiście rznął i nawoływał do rżnięcia potomków takich Adamczewskich jak i Kmiciców, Wołodzyńskich czy Zagłobów.

Musiał więc doczekać się swojego spektaklu w naszych czasach. I owszem, w 2014 roku w jednym z krakowskich teatrów wystawiono sztukę: **„W imię Jakuba S.”. Napisał ją Paweł Demirski, reżyserowała Monika Strzępka**. Później spektakl pokazywała również telewizja.

Tu znów nie chodzi o zwyczajną biografię Szeli czy przypomnienie haniebnego, bratobójczego epizodu rabacji. Tytułowa postać staje się w tym dramacie symbolem chłopskiego buntu, ale rozciąga ten motyw w kierunku współczesności. Jak czytamy w opisach tego dzieła, „spektakl stawia pytania o tożsamość, klasę społeczną, korzenie, wstyd z powodu chłopskiego pochodzenia, oraz o to, na ile współczesne problemy – zadłużenie, kredyt, eksmisje, nierówności – są w jakimś sensie kontynuacją starych form zniewolenia (pańszczyzny)”. Tak, nie da się ukryć, sztuka stanowi krytykę klasowego wstydu, prób odrzucenia chłopskiego pochodzenia przez aspirującą klasę średnią. Spektakl pokazuje, że własnego pochodzenia nie da się łatwo odrzucić, i że w strukturze społecznej nadal istnieją napięcia wynikające z dziedzictwa pańszczyzny. Można się tylko zastanawiać, jak się skończą.

Jakub Szela u Strzępki/Demirskiego nie jest może wprost apostołem przemocy, lecz figurą oporu – symbolem możliwości sprzeciwu wobec opresyjnych struktur. W komentarzach do sztuki twórcy pisali, że chodzi o „odzyskanie Szeli z *czarnej legendy szkolnej*”, w której miał być „przedstawiany jako prymitywny morderca”.

A nie był nim?

„ROBILIŚMY STRASZNE RZECZY”

W tym samym roku, w którym w Krakowie odbyła się premiera wspomnianego spektaklu, ukazała się również powieść – w kilka lat później nagrodzona Noblem – **Olgi Tokarczuk**. Mowa rzecz jasna o „**Księgach Jakubowych**”, w których autorka co prawda nie tyle pochyla się nad biednym losem polskiego chłopstwa, ile nad specyficzną gałęzią polskich Żydów. Pisarka znana jest z wielu wypowiedzi wpisujących ją w nurt buntu przeciw temu co tradycyjnie uważamy za polskie, z czego czujemy dumę – między innymi z historii I Rzeczypospolitej.

Głośnym echem odbiła się między innymi ta jej deklaracja: „Wymyśliśmy historię Polski jako kraju tolerancyjnego, otwartego, jako kraju, który nie splamił się niczym złym w stosunku do swoich mniejszości. Tymczasem robiliśmy straszne rzeczy jako kolonizatorzy, większość narodowa, która tłumiała mniejszość, jako właściciele niewolników czy mordercy Żydów.”

Autorka nie napisała jeszcze powieści o Polakach kogokolwiek kolonizujących ani o właścicielach niewolników, za to napisała powieść afirmującą mniejszość żydowską – zestawiając ją z polską szlachtą. I oto w „**Księgach Jakubowych**” kreśli obraz polskiej szlachty z wyraźną niechęcią: jako warstwy stojącej ponad innymi stanami, czerpiącej z ogromnych przywilejów politycznych i ekonomicznych, dominującej w życiu publicznym, a jednocześnie odpowiedzialnej za stagnację i rozpad państwa. Kontrastuje jej wygodne życie, oparte na „prawie pańskim” i wyzysku, z losem chłopów pozbawionych podmiotowości oraz z traktowanymi z pogardą Żydami czy frankistami. Pokazuje

zarówno bogatych magnatów, jak i zubożałą szlachtę, groteskowych pijaków i zadłużonych utracjuszy, którzy żyją iluzjami dawnej wielkości. Tokarczuk pragnie rozbicia mitu „złotej wolności”, przedstawiając szlachtę nie jako elitę narodową, lecz pasożytniczą klasę konserwującą nierówność i trzymającą się pustych rytuałów.

To w jej narracji ostatecznie ma obnażać fałsz idyllicznego obrazu „Polski szlacheckiej”.

WYKLĘTY POWSTAŃ LUDU!

Na początku tekstu wspomniałem, że pisząc „historie ludowe” swych dziadków czy dalszych przodków, nie każdy powieściopisarz musi przestudiować rozmaite konteksty. Olga Tokarczuk nie pisała o swoich przodkach, sięgnęła dużo dalej w przeszłość niż tylko dwa czy trzy pokolenia, i dokonała ogromnego researchu pisząc równie ogromne dzieło. Mimo to, postanowiła przedstawić szlachtę mniej więcej tak, jak widział ją Jakub Szela. I być może Jakub Frank.

Dobrej znajomości dziejów, subtelności kontekstów kulturowych i społecznych, oczekujemy za to od ludzi publikujących na tematy historyczne opracowania naukowe, popularnonaukowe czy eseje. Nie sposób w tym tekście nie wymienić przynajmniej części z nich, które – w dziedzinie „historii ludowej” – powstały w ostatnich latach.

A lista jest doprawdy imponująca. Zacznijmy od **Jana Sowy i jego „Fantomowego ciała króla”** z roku 2011. Autor stawia tezę, że Polska nigdy nie przeszła pełnej nowoczesności, bo jej fundamenty społeczne i ekonomiczne oparte były na pańszczyźnie – systemie, który nazywa rodzimą formą niewolnictwa. Analizując dzieje od XVI wieku do rozbiorów, próbuje udowodnić, że potęga Rzeczypospolitej opierała się na wyzysku mas chłopskich i eksporcie zboża na Zachód, co z jednej strony tworzyło iluzję bogactwa, a z drugiej blokowało rozwój miast, mieszczaństwa i przemysłu. Krytycy zarzucali Sowie, że przedstawia dzieje Polski w sposób jednostronny, oparty na marksistowskich kliszach, redukując całą historię do walki klas i wyzysku, a w poszukiwaniu analogii z teoriami postkolonialnymi zbyt łatwo

wpisuje Polskę w logikę kolonizatora. Mimo tej krytyki książka została szeroko uznana za przełomową i do dziś pozostaje jednym z kluczowych punktów odniesienia dla badań i dyskusji o historii ludowej w Polsce.

Niemal dekadę później ukazuje się **„Ludowa historia Polski” Adama Leszczyńskiego** (2020). Autor śledzi losy „ludzi pracy” od średniowiecza aż po XXI wiek, pokazując, jak ich życie kształtowały niemal wyłącznie przemoc, wyzysk i podporządkowanie. Szczególną uwagę poświęca pańszczyźnie, którą interpretuje jako system bliski, a jakże, niewolnictwu. Może się wydawać, że Leszczyński sprowadza całą historię Polski do opowieści o opresji i krzywdzie, pomijając pozytywne aspekty kultury szlacheckiej czy osiągnięcia państwowości. Dużo lepiej ode mnie opisuje uwagi do tej książki profesor Andrzej Nowak – naszą rozmowę na ten temat mogą Państwo przeczytać w niniejszym wydaniu naszego kwartalnika.

Rok później ukazuje się **„Chamstwo” Kacpra Pobłockiego**, w którym autor chce udowodnić, że fundamentem relacji między polskim panem a chłopem nie był patronat czy rodzaj opiekuńczej władzy, ale brutalna siła – bicie, chłosta, upokarzanie i kontrola nad ciałem poddanego. W jego ujęciu polska wieś przez stulecia była areną systematycznego zniewolenia, a przemoc stała się czymś tak codziennym i oczywistym, że po prostu wrosła w kulturę. Tu też pojawiają się zestawienia z niewolnictwem i kolonizatorami. I niezrozumiały brak dostrzeżenia innych kontekstów społecznych i historycznych.

W tym samym roku również **Kamil Janicki** publikuje pozycję zatytułowaną **„Pańszczyzna. Prawdziwa historia polskiego niewolnictwa”**. Tu już sam tytuł mówi wszystko. Co prawda co poniektórzy historycy wskazywali, że ta popularno-naukowa książka – choć atrakcyjna literacko – upraszcza złożone procesy społeczne, by wzmocnić tezę autora, ale mimo tych głosów „Pańszczyzna” stała się bestsellerem.

Warto po raz kolejny podkreślić rolę nieocenionej „Gazety Wyborczej” w tej sprawie. Zanim bowiem zaczęły masowo ukazywać się zwarte publikacje o „polskim niewolnictwie”, dziennik Michnika (już ponad dziesięć lat temu) publikował cykl artykułów Arkadiusza Pacholskiego na ten temat – tytuły mówią same za siebie: „Jak Polak zhańbił Polaka”, „Chata wuja chama”, „Obrócenie w ludzkie bydło”.

To tylko niektóre spośród pozycji jakie warto tu wymienić. Z nieco innym natężeniem promocyjnym – bo i traktujące o nieco innych sprawach, niekoniecznie z równą wrogością wobec panów” – niemało mówiło się również, w kontekście „historii ludowej” o następujących publikacjach:

- **„Nowy matecznik” Mariana Pilota** (2012), esej o wsi jako „macierzy” polskości opartym m.in. XVII-wieczne *Liber chamorum* Waleriana Nekandy-Trepki.
- **„Prześniona rewolucja” Andrzeja Ledera** (2014) – analiza nieuświadomionej rewolucji lat 1939–1956, gdy Holocaust i reforma rolna otworzyły przestrzeń dla awansu klasowego. Leder twierdzi przy tym, że współczesna klasa średnia wypiera swoje chłopskie korzenie.
- **„Bękarty pańszczyzny. Historia buntów chłopskich” Michała Rauszera** (2020), opowieść o formach chłopskiego oporu, od codziennych aktów sprzeciwu po otwarte bunty i protorewolucje. Warto wspomnieć także o dwóch innych książkach tego samego autora – **„Siła podporządkowanych”** (2021), opis strategii przetrwania i oporu grup podporządkowanych, głównie chłopów oraz **„Ludowy antyklerykalizm”** (2023), opisujący „chłopski sprzeciw wobec dominacji Kościoła i jego opresyjnej roli na wsi”.
- **„Obrońcy pańszczyzny”**, kolejna książka wspomnianego już **Adama Leszczyńskiego** (2023), o ludziach i instytucjach, które „legitymizowały pańszczyznę, budując jej ideologiczne fundamenty”.

- „Śladami Szeli, czyli diabły polskie” Piotra Korczyńskiego (2020), książka rabacji galicyjskiej i jej przywódcy, widzianych jako element tradycji ludowej i oporu.
- „Upiór. Historia naturalna” Łukasza Kozaka (2021), studium ludowych wierzeń o upiorach jako metaforze społecznego wykluczenia i pamięci chłopskiej.

Trochę tego było, nieprawdaż?

„ANTYPOTOP”

Takie książki czytają powieściopisarze i biorą ustalenia historyków za dobrą monetę. Ale pamiętajmy, żyjemy w XXI wieku i to nie książki stanowią najważniejszą ze sztuk, ale film. To on prawdziwie dociera do mas, to on na nie rzeczywiście oddziałuje!

Autorzy filmów to jednak przecież – w pewnej mierze – również pisarze. Żeby bowiem powstał film, zanim ktokolwiek pomyśli o włączeniu kamery, musi pojawić się scenariusz, a scenariusze się pisze. I też opiera się o to, co przeczytało się w uczonych książkach.

Tak też uczynili autorzy filmu „Kos”. Oddajmy głos reżyserowi, **Pawłowi Maślonie**, cytując fragment jego wywiadu z tygodnika „Polityka”: *„Kos”* *narodził się w wyobraźni Michała A. Zielińskiego, który zaczął mnie na premierze pewnego filmu historycznego i powiedział, że chce zrobić „western kościuszkowski”. Miał napisane streszczenie filmu i główne założenia – przede wszystkim świat bohaterów i najważniejsze zdarzenia. (...). Czułem, że jest tam ogromny potencjał na to, by zmierzyć się w kinie z tematem, który po prostu domagał się wypowiedzenia – systemowej, utrwalonej przez setki lat przemocy, jakiej doświadczali polscy chłopci. Dlatego często, gdy ktoś mnie pytał, jaki film robię, to pierwsze moje skojarzenie było takie, że to „Antypotop”, bo w pewnym sensie nasz film jest tamtego filmu odwrotnością, zderzeniem czołowym z polskim mitem o Polsce szlacheckiej, którym nas latami karmiono.*

Jaką wiedzę wyniesie widz z seansu „Kosa”, który reklamowany był jako obraz o Kościuszcze? Otóż wcale nie pozna on historii powstania

kościuszkowskiego, nie dowie się, jak potoczyły się losy insurekcji, ale z pewnością zobaczy, że wszystko to, co dotąd w jego kodzie kulturowym rymowało się ze słowem „szlachta”, zostaje w filmie całkowicie zakwestionowane. Owszem, bohaterowie noszą takie same kontusze jak w „Trylogii” Hoffmana i używają podobnych słów jak postaci Sienkiewicza, ale nie mają z nimi nic wspólnego. Nie są ani pobożni, ani rycerscy, ani patriotyczni – to banda pijaków, którzy z bożego nakazu nienawidzą chłopów i pastwią się nad nimi w najgorszy z możliwych sposobów.

„Kos” to więc rzeczywiście „Antypotop”. Te same stroje, fryzury i szable, które kiedyś każdemu Polakowi kojarzyły się z Kmicicem, Wołodyjowskim czy Zagłobą, odtąd mają kojarzyć się z pijaństwem, brutalnością, podłością, nikczemnością i zezwierzęceniem. Tak właśnie salon widzi Polskę i Polaków – utożsamiając ich z ohydą, samemu nie czując się związanym ani z narodem, ani z jego tradycją.

W „Kosie” nie znajdziemy ani jednego porządnego szlachcica. Cała ta warstwa społeczna myśli wyłącznie o jedzeniu i pieniądzach, chłopów bije, gwałci chłopki, strzela do nich dla zabawy. Nawet gdy próbuje się porozumieć „dla dobra wspólnego”, robi to jak skończona banda idiotów. Dopiero człowiek światowy, przybyły z zagranicy, próbuje nimi pokierować i nadać ich wysiłkom sens. I to jest właśnie szczególnie wymowne: u Maślony bardziej rozumni od jakiegokolwiek Polaka okazują się Kościuszko – przedstawiony niemal „pół-Amerykanin” – oraz rotmistrz Dunin, oficer rosyjski. O szlacheckim pochodzeniu samego Kościuszki film milczy, bo nie pasowałoby to do tezy, że każdy „herbowy” to w prostej linii potomek Lucyfera albo w najlepszym razie jakiegoś małpiszona.

A wiemy, że narracja Sienkiewicza o szlachcicach gotowych oddać życie za ojczyznę uczyniła kiedyś z chłopskiej masy Polaków. Znamy świadectwa chłopów, którzy wyraźnie to podkreślali. Filmowe adaptacje tych opowieści krzepiły serca kolejnych pokoleń. Dziś jednak nie czas na żadne krzepienie – dziś czas na wyrwanie z serc polskości i wypełnienie ich nienawiścią.

SZUBIENICZKA STOI, KTÓŻ TAM BĘDZIE WISIAŁ?

Na długo przed tym, zanim temat Jakuba Szeli i buntu chłopskiego zagrościł się w centrum debaty intelektualnej w Polsce za sprawą książek, filmów i spektakli, pojawił się **zespół R.U.T.A. (Ruch Utopii, Transcendencji, Anarchii)**. Już w 2011 roku wydał album „**Gore – Pieśni buntu i niedoli XVI–XX wieku**”, na którym sięgnął po autentyczne chłopskie pieśni buntu, m.in. związane z rabacją galicyjską. Te dawne teksty, pełne gniewu i żądzy odwetu, zostały zagrane w niepokojącej, punkowo-folkowej aranżacji – z ostrością gitar, perkusji, ale i z wykorzystaniem tradycyjnych, rzadko dziś używanych, instrumentów.

Na płycie znalazły się pieśni, których tekstów strach się nie bać. Oto fragmenty niektórych z nich:

„Z batogami na panów, hajdukowie precz! / Każdy cham dzisiaj panu w łeb batogiem strzelić chce.”

„Nie boję się pana, ni jego dworu, / Pan sam dziś się boi chłopskiego oporu.”

„Orałbym ja wami, panowie, nie rolę, / Wół wam za mało – niech pan idzie w jarzmo!”

„Kiedy krwią panów spłynie wieś, / To cham się śmiać będzie, pan płakać też.”

„Gore, gore, chłopska dola, / Już się pali dworska rola.”

„Oj za dworem, za dworem/ Szubieniczka stoi / Któż tam będzie wisiał / Ekonom z karbowym”.

Gdyby mieli Państwo jakieś wątpliwości, służę tytułami piosenek z tej płyty: *Zew Hord, Jak to dawni dobrze było, Gore!, Szubieniczka stoi, Ksiądz z kazałnicy zrucić, Lament chłopski, Będą panowie sami łąki kosić, Na przystawcę, Nie boję się pana, Orałbym ja wami, Hej wielebny bracie, Związali mnie*

w powróż, Precz!, Z batogami na panów, Zabij nam, panie, jałowicę, Pieśń o Jakubie Szeli, Pieśń robotników leśnych Warmii.

Album „Gore”, jak podkreślali twórcy i krytycy, był nie tylko projektem muzycznym, lecz także gestem polityczno-artystycznym: przypominał, że w polskiej kulturze istnieje „nieoswojona tradycja gniewu klas niższych, a historia chłopskiej krzywdy to nie margines, lecz fundament dawnego społeczeństwa”.

Ruch przywracania pamięci o rabacji galicyjskiej, jak widać, zatacza bardzo szerokie kręgi.

RESZTKI STAREGO ŚWIATA?

To wszystko coraz bardziej przypomina przygotowywanie nas – całego narodu – do odrzucania własnej przeszłości. A skoro zaczniemy nienawidzić własnej historii, to prędzej czy później nauczymy się nienawidzić samych siebie. Bo przecież nie mamy innej przeszłości niż ta, którą próbuje się dziś tak mocno obrzydzić.

Ale może chodzi o coś jeszcze?

Może nie tylko o wywołanie wstydu, ale i o rozbudzenie jakiejś niejasnej tęsknoty za buntem? W końcu pieśni z czasów Szeli brzmią do dziś jak wezwanie – ich radykalizm, ich prosty gniew mogą inspirować współczesnych. Może wcale nie chodzi tylko o literacką modę czy muzyczny eksperyment, ale o to, żeby narodziła się społeczna potrzeba buntu: **chłopskiego buntu XXI wieku**. Czymże innym jest wywołany dokładnie w ten sposób w Ameryce **ruch Black Lives Matter**? Czymże innym jest kajanie się innych państw Zachodu za kolonialną przeszłość?

Problem w Polsce jest tylko jeden – nie mieliśmy kolonii (więc trzeba wmówić nam, że kolonizowaliśmy Ukrainę) i nie biliśmy murzynów (zatem trzeba nam łopatologicznie udowodnić, że mieliśmy swoich własnych, swojskich, chłopskich murzynów, tylko że białych).

No dobrze, ale przeciwko komu miałyby się zbuntować dzisiejszy polski lud? Dawnej szlachty już nie ma, nie ma Kmiciców ani Zagłobów. Dzisiejsza władza jest wybierana demokratycznie, nie ma charakteru dziedzicznego. Bogacze, banki i wielkie korporacje – owszem, istnieją – ale w znakomitej większości nie są polskie, nie wyrastają z naszego porządku społecznego. Trudno więc, by bunt polskich chłopów czy szerzej – polskiego ludu – skierował się przeciw nim.

Ale czy naprawdę nic ze starego świata nie przetrwało? Czy nie ma instytucji, która trwała w czasach Szeli i trwa do dziś? Która wciąż ma pieniądze, budynki, ziemię? Która w każdym calu kojarzy się z polskością i tradycją?

Ależ jest – Kościół. Ksiądz. To ta figura, która przewija się w pieśniach R.U.T.A., w książkach „historii ludowej”, w spektaklach i filmach. Ksiądz, który wciąż ma autorytet, który wciąż wiąże się z polskością, który przypomina o wielkiej przeszłości narodu. To właśnie on staje się dziś najłatwiejszym celem. Jest bowiem ostatnim wspomnieniem starego porządku.

I faktycznie, każdego dnia jesteśmy bombardowani informacjami, które mają obrzydzić nam Kościół i duchowieństwo. W tej narracji ksiądz to już nie kapłan, duszpasterz, nie strażnik tradycji, ale agresor, hipokryta, bogacz żyjący kosztem wiernych, relikw starożytności.

Czy to tylko moje mniemanie? Pewnie tak. Może ta cała „historia ludowa” to tylko przejściowa moda? Kto wie, być może. Jakoś jednak prześladuje mnie tekst jednej z piosenek zespołu RUTA, który poznałem pracując nad tym esejem. Oto on:

*Księdza z kazalnicy zrucić
Księdza z kazalnicy zrucić
Księdza z kazalnicy zrucić
Księdza z kazalnicy zrucić
Księżu, księżu, cóż to za kazanie?
Jak zobaczysz ładne dziewczę, ciągle patrzysz na nie*

*Księżę, księżę, cóż to za kazanie?
 Jak zobaczysz małe dziecię i ciągle patrzysz na nie
 Księdza z kazalnicy zrucić
 Księdza z kazalnicy zrucić
 Księdza z kazalnicy zrucić
 Księdza z kazalnicy zrucić
 Księdza, księdza z kazalnicy zrucić
 Ano dać mu ciężkie cepy to stodoły młócić
 Księdza, księdza z kazalnicy zrucić
 Ano dać mu ciężkie cepy to stodoły młócić
 Księdza z kazalnicy zrucić
 Księdza z kazalnicy zrucić
 Księdza z kazalnicy zrucić
 Księdza z kazalnicy zrucić
 Ano dać mu ciężkie cepy to stodoły młócić*

W trakcie rabacji galicyjskiej zabito ok. 1500 osób, w tym kilkudziesięciu księży.

Gdy „zbuntowany lud” niegodzący się na hierarchiczność społeczeństwa przejął władzę we Francji, główną ofiarą owych ludowych siepaczy, oprócz arystokratów, byli księża oraz wspierający ich katolicy.

Gdy wywołana przez „nierówności społeczne” rewolucja bolszewicka doprowadziła do władzy komunistów we wschodniej Europie i innych częściach świata, zginęły tysiące kapłanów i miliony ludzi pragnących obecności kapłana.

↩
 WRÓĆ
 DO SPISU
 TREŚCI



WALCZYMY O DOBRO DZIECI, RODZIN I WIARĘ. TO JEST PRZYSZŁOŚĆ POLSKI!

„Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie” – to dość oczywiste. Dlatego dziś, wobec lewicowego rządu, trzeba nam walczyć o edukację dzieci i młodzieży. Nie możemy beczynn timer patrzeć jak ze szkół stopniowo wyrzucana jest religia, a w miejsce tematów traktujących o rodzinie wprowadzana jest edukacja zdrowotna, promująca „nowinki” świata gender, konstrukty społeczne udające rodzinę... Rewolucja chce świata bez Boga... My, z wiarą w zwycięstwo walczymy o lepsze jutro dla dzieci, dla rodzin. Chcemy katolickiej Polski!

Choć za nami czas wakacji, a zatem wytchnienia i odpoczynku, to ani przez chwilę nie schodziliśmy z posterunku. Przez cały ten okres nie ustawała batalia o to, by dotrzeć do rodziców z informacją o zagrożeniu jakie niesie ze sobą edukacja zdrowotna.

Przedmiot, dzięki wielkiemu społecznemu ruchowi oporu, w tym roku szkolnym nie jest obowiązkowy. Ale, by nie brać w nim udziału, należało do 25 września wypisać dzieci z zajęć. To bardzo ważne. MEN zapowiedziało bowiem za rok ewaluację przedmiotu. Zatem skala rezygnacji musiała być jak największa, by z jednej strony nie dawać rządowi argumentów frekwencyjnych, z drugiej zaś – i co ważniejsze – uchronić dzieci przed sączeniem w ich umysły treści o ideologicznym zabarwieniu, demolującym w głowach dzieci sposób patrzenia m.in. na odpowiedzialność w sferze seksualnej, czystość, czy życie rodzinne...

BY DOTRZEĆ Z INFORMACJĄ

Ileż to razy z z troskaniem patrzymy na przyszłość Polski, ile razy słyszymy, że mamy problem z demografią, że młodzi nie chcą mieć dzieci... Co nam serwuje resort edukacji? Promocję tego, co jedynie utrwala negatywne trendy. A przecież m.in. to poczucie stabilności

związku budowanego na wzór Prawdziwej Miłości daje nadzieję na to, że młodzi będą decydowali się na budowanie rodzin...

Dlatego walczymy, wspieramy działania Koalicji na Rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły, publikujemy informacje i eksperckie opracowania dotyczące edukacji. Ale nie tylko. Jako Stowarzyszenie im. Ks. Piotra Skargi – przy wsparciu Darczyńców – zorganizowaliśmy ogólnopolską akcję bilbordową zachęcającą rodziców do zapoznania się z zagrożeniami idącymi za edukacją zdrowotną oraz zachęcającą do wypisania dzieci z zajęć.

Szczegóły akcji „Rodzicu, ratuj swoje dzieci przed deprawacją” można sprawdzić na stronie: <https://akcja.wobroniepolskieszkoły.pl/?ka=005022>

Dość dodać, że wielkoformatowe bilbordy pojawiły się w województwie: małopolskim, podkarpackim, lubelskim, podlaskim, mazowieckim, łódzkim, świętokrzyskim, opolskim, śląskim, dolnośląskim, wielkopolskim, zachodniopomorskim, kujawsko-pomorskim i lubuskim.

PREZYDENT RP I MARSZAŁEK SEJMU RP DOCENILI MARSZ!

Tuż na początku września ulicami Krakowa przeszedł Marsz dla Życia i Rodziny, któremu towarzyszyło hasło „Demoralizacja to nie edukacja”. Z wielką radością przyjęliśmy informację, że Krzysztof Bosak, wicemarszałek Sejmu objął naszą inicjatywę honorowym patronatem, zaś prezydent Karol Nawrocki zapewnił, że darzy tę inicjatywę swoją sympatią.

W liście przesłanym na adres organizatora Marszu – Stowarzyszenia Kultury Chrześcijańskiej im. Księdza Piotra Skargi, Prezydent napisał:

„Dziękując za wspaniałą inicjatywę, jaką jest XI Krakowski Marsz dla Życia i Rodziny, pragnę przekazać Państwu szczególny dar: flagę państwową Rzeczypospolitej Polskiej. To

symbol obecny wszędzie tam, gdzie żyją, kształcą się, tworzą i pracują Polacy. Wszędzie, gdzie rozbrzmiewa polska mowa i pielęgnowana jest pamięć o dokonaniach naszych przodków. Białe-czerwone barwy przypominają o ponadtysiącletnim dziedzictwie narodowym oraz o serdecznych więziach łączących rodaków w kraju i za granicą”.

„Flaga towarzyszy od wieków nam, Polakom zarówno w chwilach sukcesów, jak też podczas zmagania o wolność, niepodległość i dobro wspólne. Budzi w nas dumę i inspiruje do stawiania sobie nowych, ambitnych celów. Niech także dzisiaj jej widok ożywia w nas ducha jedności i solidarności. Niech zachęca do ofiarnej służby bliźnim i pokojowej walki o poszanowanie wartości, na fundamencie których zrodziła się, wzrosła i trwa polska kultura, tożsamość narodowa i suwerenna państwowość” – napisał Prezydent Karol Nawrocki.

OD EDUKACJI DO DEMOGRAFII?

Tak! Ten związek jest dość oczywisty. To na poziomie kształcenia młodego człowieka należy pokazać mu świat wartości i przekazać mu wzorce godne naśladowania. Zmiany wymaga jednak – między innymi – cała sfera „kultury” jaką jesteśmy obecnie zatruwani – gdzie ośmieszana jest wierność, wielodzietność, rodzicielstwo, gdzie „bąbelki” są tylko powodem do wstydu, źródłem kłopotów rodziców, a za wzorec stawiana jest rozwiązłość, niestałość w związku, częsta zmienność partnerów, homo – bi-trans – seksualizm, albo hedonistyczna samotność... Zaś na końcu tej wyliczanki, jeśli już, to zamiast dziecka pojawia się „psiecko”... Czy trzeba jeszcze podkreślać jak ważna w tym miejscu staje się wiara w Boga, który jako prawdziwy Stwórca daje właściwą odpowiedź na wszystkie bolączki świata...?

Zatroskani o przyszłe losy dziś wyludniającej się Polski, przygotowaliśmy film dokumentalny, w którym oddajemy głos ekspertom zarówno z prawej, jak i lewej sceny politycznej. Ludziom, którzy dostrzegają, że kurcząca się populacja naszego kraju jest dużym problemem, na który – póki co – nie wdrożono recepty. A jest to konieczne, bo czas nam się szybko kończy...

Zachęcamy do sięgnięcia po cały film „Polska umiera. Bez dzieci, bez jutra” – można odnaleźć go na kanale PCh24.TV i podzielić się linkiem ze znajomymi: https://www.youtube.com/watch?v=AFc_r8qNYvc

Walczmy razem o przyszłość Polski. Któż uczyni to za nas?

↩
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI



JEŚLI PRZEGAPIŁEŚ NA PCH24.PL...

WYBRANE PUBLIKACJE



ANDRZEJ DUDA SIĘ NIE UDAŁ

Pan prezydent Andrzej Duda nie mógł się udać w tym systemie. Jego słaby charakter został bowiem skonfrontowany z ogromnymi oczekiwaniami. Poległ na wielu polach, a ostatnie dni tej prezydentury uzupełniają jedynie ponury obraz mijającej dekady.

Andrzej Duda miał pecha. Gdyby został prezydentem w kraju, gdzie w ramach systemu parlamentarno-gabinetowy istnieje jeden ośrodek władzy wykonawczej, zapewne całkiem nieźle wypełniałby obowiązki głowy państwa. Poszukiwałby kompromisu, unikał włączania w ostre spory polityczne, błyszczał przemówieniami, budował relacje z przywódcami innych krajów, reprezentując Polskę na zewnątrz.

Ale Polska jest krajem innym niż wszystkie. Tutaj rząd ma konkurencję w postaci ośrodka prezydenckiego, z silnym mandatem i niewielkimi w istocie kompetencjami, z których większość sprowadza się do przeszkadzania premierowi i jego ministrom. Na to nakładają się społeczne oczekiwania wobec prezydenta, niesłusznie postrzegane go niczym przywódca amerykańskiego państwa – władca zdolny do szarpnięcia lejcami i odegrania ważnej politycznie roli.

W tych butach, uszytych polskiemu prezydentowi przez konstytucję i poprzedników, Andrzej Duda nie mógł się odnaleźć. Był prezydentem dobrych intencji i beznadziejnego wykonu. Ikarem, który tak bardzo zachwycił się lataniem, że wzniósł się zbyt wysoko, by na końcu runąć z hukiem na ziemię. Wreszcie: był prezydentem niespełnionych nadziei na dobrą zmianę. Takim, jakim byłby zapewne John Fitzgerald Kennedy, gdyby jego prezydentury nie uświetcił w oczach amerykańskiej opinii publicznej Lee Harvey Oswald.

„Andrzej Duda to się uda” – krzyczano na wiecach w 2015 roku, ale dzisiaj już wiemy, że jednak nie, to się nie udało. I chyba nie mogło się udać. Dlaczego?

CZŁOWIEK-PARADOKS

Andrzej Duda jest politykiem, który wszystko robi w połowie. To typ człowieka pełnego najlepszych intencji, ale niezdolnego by cokolwiek przeprowadzić do końca. Jeszcze w 2015 roku, zaraz po wyborze na prezydenta Rzeczypospolitej, napisał w „Gazecie Wyborczej” (sic!) tekst, stanowiący symboliczny gest wyciągniętej dłoni do „tej drugiej” części Polski. Obiecywał w nim z grubsza, że będzie „prezydentem wszystkich Polaków”, co – rzecz jasna – mieści się w logice prezydentury systemu parlamentarno-gabinetowego, ale nijak się ma do polityka, pełniącego swoją funkcję za sprawą powszechnych wyborów. Tu zwyciężą ostatecznie proste kalkulacje: czyje interesy ów polityk obsługuje i w jaki sposób powinien się w związku z tym politycznie pozycjonować. Można, rzecz jasna, markować prezydenturę społecznego pojednania, ale to kłamstwo osadzone na krótkich nogach. Kiedy pięknie się kłamie, jak robił to Aleksander Kwaśniewski, to można zejść nawet całkiem daleko, ale kiedy jest się kiepskim kłamcą, jak Andrzej Duda, to niewiele z tego wynika.

Duda od początku bowiem zmagał się przede wszystkim ze swoim partyjniactwem i siatką zależności, w jakich tkwił jako polityk frakcyjny. To prawda, że Jarosław Kaczyński, nominując Dudę na kandydata na prezydenta, potrafił schować swoje ambicje i obsesyjną potrzebę kontroli do kieszeni, ale myli się ten, kto twierdzi, że zrobił to wiedziony przekonaniem, że tak będzie dobrze dla Polski. Kaczyński doskonale znał profil Dudy, wiedział, że to typ urzędnika znakomicie odnajdującego się przede wszystkim w sytuacji, gdy ktoś inny przejmuje dowodzenie. Specjalista nauczony bardziej wykonywania poleceń niż wyznaczania kierunków czy nadawania tonu. Kiepski zarządzający, o czym mówi jego otoczenie, charakteryzując go jako przesadnie impulsywnego szefa, niepanującego nad swoim otoczeniem. Ugrzeczniony inteligent z profesorskiej rodziny, który niedługo

po wyborze na prezydenta uznał za stosowne wygłosić pań na cześć prezesa Jarosława Kaczyńskiego.

Nie zrobił tak dlatego, że tak mu się opłacało, że uznał to za opłacalne w danym miejscu i czasie, lecz dlatego, że tego wymagał szacunek wobec „wielkiego człowieka”, z zachwyty którym leczył się co najmniej dwa lata, gdy zawetował kluczową dla PiS reformę sądownictwa. Ale, żeby było jasne, tu znów motywacją nie była chęć rzucenia wyzwania patronowi. Przyczyny były prozaiczne: presja protestów oraz opinii międzynarodowej. Podobnie nawiną wydawała się próba zamachu na Jacka Kurskiego w TVP, gdy prezydent zapragnął na moment zmienić się w makiawelicznego księcia i przehandlować dotację dla mediów publicznych w zamian za ścięcie niesławnego prezesa Telewizji Polskiej. Kaczyński przystał na to po to, by za kilka miesięcy przywrócić swojego wiernego propagandzistę na ten sam stołek.

Wiem skądinąd od osób znających prezydenta Dudę, że w pierwszych latach prezydentury z trudem znosił ostentacyjny brak szacunku okazywany mu przez PiS-owską starszyznę. Prezes to jedno, ale prezydenta lekceważyli też Antoni Macierewicz czy Witold Waszczykowski. Duda nie umiał sobie z tym poradzić, obawiał się rzucić wyzwanie ludziom, których považał i uznawał zapewne za godnych szacunku.

A przecież polityka nie polega na duserach. To twarda gra interesów, wymagająca równie twardych charakterów. I sprawnej armii, gotowej do walki za przywódcę, której pan prezydent nigdy się nie dorobił. Pewnie, że armia to nie wszystko, o czym w historii przekonywali się tacy wojownicy jak Jeremi Wiśniowiecki, nie otrzymawszy godności hetmańskiej pomimo posiadania oczywistych talentów militarnych. Spryt i polot to cenne artefakty w politycznych machinacjach, ale jednak zaplecze odgrywa ważną rolę. Duda nie miał się na kim oprzeć trochę na własne życzenie, wszak sam pokpił sprawę zatrudnienia w Pałacu wiernego Marcina Mastalerka z obawy przed... prezesem Kaczyńskim.

Prezydent Duda równie bardzo chciał być wielkim prezydentem, co nie potrafił nim być. I w istocie na tym polega tragizm tej postaci. Był w swoich działaniach głęboko niekoherentny. Wielkie ambicje rozbu-
dzone świetną kampanią w 2015 roku, napotykały blokadę w postaci
raczej nikczemnych rozmiarów osobowości, niezdolnej wprowadzać
w czyn swoich planów. Ta sprzeczność stała się lajtmotivem prezy-
dentury Andrzeja Duda, wszak sprawiała, że jego działania można
było często sprowadzać do prostej konstatacji: plan świetny, wykona-
nie kiepskie.

Jak inaczej, jeśli nie konfliktem wewnętrznym, można nazwać nie-
spójność działań Andrzeja Dudy w kwestiach światopoglądowych?
Oto zdeklarowany katolik oraz człowiek który powstrzymał marsz po
prezydenturę progresywnego liberała Rafała Trzaskowskiego; który
niedługo po tym, jak został wybrany prezydentem z autentycznym
przejęciem podniósł w trakcie Mszy Świętej Hostię, by zanieść ją ka-
płanowi i który później wziął udział w oddaniu Polski pod panowanie
Chrystusa Króla, uległ w 2020 roku czarnym protestom proponu-
jąc powrót do „kompromisu aborcyjnego”. Z tego, co radowało serce
wszystkich ludzi dobrej woli, czyli zakazu zabijania chorych dzieci
w prenatalnej fazie rozwoju, uczynił targ polityczny i ofertę dla libe-
ralnej Polski. Sprzedawca wartości? Iluzjonista? Nie, raczej zbudo-
wany z obawy przed zmianą i doprowadzeniem istotnych spraw do
końca, chwiejny polityk.

Paradoks? Oczywiście. Podobnych było znacznie więcej w innych
kluczowych momentach, jakimi były pandemia COVID-19 oraz woj-
na na Ukrainie.

CHCIAŁ, ALE MU NIE WYSZŁO

Te dwa kluczowe wydarzenia w najnowszej historii Polski wiążą się
rzecz jasna z poważnymi kryzysem, stanowiącymi zazwyczaj pro-
bierz jakości przywództwa politycznego.

Andrzej Duda w obydwu tych przypadkach poniósł porażkę. W cza-
sie pandemii właściwie zniknął z pola widzenia, choć przecież miał

szansę stać się rzecznikiem interesów obywateli, krzywdzonych przez potężną machinę państwową. Stugębna plotka głosiła wówczas, że osobiście poprosił ministra Jarosława Gowina, by pozostawił otwarte stoki narciarskie na jakiś czas, bo brakowało mu zażycia choćby odrobiny ulubionej pasji. Czy to pomówienia czy prawda – trudno rozsądzić, dość powiedzieć, że, niestety, bardzo pasuje to do charakteru prezydenta Dudy.

Nieco inaczej sprawy mają się z wojną na Ukrainie. Tutaj Duda szybko przejął inicjatywę, jak gdyby poczuł, że to „jego temat”. Nic dziwnego, wszak jest uczniem prezydenta Lecha Kaczyńskiego, dla którego piłsudczykowska idea „wolnej Ukrainy” stanowiła arcyważny polityczny kierunek. Duda zresztą dbał o relację z prezydentem Wołodymyrem Zełenskim, świadom różnic dzielących obydwu narody. Stąd próba – jeszcze przed wojną – rozładowania atmosfery w prezydenckiej rezydencji w Wiśle, w trakcie wspólnej popijawy delegacji polskiej i ukraińskiej.

W pierwsze miesiącach wojny Andrzej Duda również zrobił wiele, by ratować zagrożoną upadkiem Ukrainę. Dzisiaj, w obliczu napięć na linii Warszawa-Kijów, zapominamy już, że pierwsze tygodnie tamtej wojny Ukraina przetrwała w dużej mierze dzięki polskiej akcji wysyłania sprzętu, amunicji a wreszcie: udanej próbie umiędzynarodowienia tego konfliktu. Nie zapominajmy, że kiedy Rosjanie ruszyli na Kijów, świat stanął, oczekując niemo na wynik konfrontacji. Powszechnie sądzono wtedy, że „druga armia świata” opanuje stolicę Ukrainy, a Zachód stanie przed koniecznością uznania faktów dokonanych. Polska właściwie jawiła się jako ostatni bastion nadziei, że jednak można Ukrainę obronić, co oczywiście nie wynikało z altruizmu, ale z właściwego zdefiniowanie naszego interesu.

Andrzej Duda odegrał tutaj istotną rolę, udzielając wsparcia Zełenskiemu i apelując do opinii międzynarodowej. Działał bardzo sprawnie, wspierając wschodniego sąsiada bez oglądania się na sojuszników. To robiło wrażenie i był to – przynajmniej – gwiazdny czas Dudy.

Kłopot w tym, że i tu niebawem ujrzeliśmy paradoks jego osobowości. Kiedy bowiem mieliśmy już pewność, że rosyjski blitzkrieg zmieni się w wojnę pozycyjną, należało dokonać szybkiej korekty w relacjach z Ukrainą. Niestety, ani polski rząd, ani prezydent Duda, nie byli w stanie przestawić się na „politykę transakcyjną”, czyli wymianę interesów między Kijowem a Warszawą. Prezydent Duda wręcz stał się mentalnie niezdolny do gry ze stroną ukraińską. Relacje międzynarodowe, w których czynnie brał udział, jako reprezentant interesów polskiego państwa, bałamutnie przyrównywał do międzyludzkich relacji, przywołując analogię z płonącym domem sąsiada, potrzebującego szybkiej pomocy, a nie rozmowy o interesach.

Skutki takiego mentalu okazały się tragiczne. Ukraina uznała, że skoro polski rząd i prezydent Duda stali się rzecznikami ich interesu, to nie należy specjalnie angażować zasobów w budowanie obustronnych relacji. Warszawa ponosiła więc kolejne porażki: na polu polityki pamięci o ofiarach ludobójstwa na Wołyniu czy gospodarczym, jak w przypadku otwarcia granic na zboże dla Ukrainy czy dopuszczenia do unijnego rynku ukraińskich przewoźników.

Pan prezydent właściwie do końca swojej kadencji bronił tej polityki, zawzięcie dowodząc, iż postąpił w jedynie słuszny sposób. Pytania o Wołyń zbywał opowieściami o tym, że Ukraińcy nie znają tej historii i trudno w związku z tym oczekiwać od nich jakiś gestów czy decyzji w kwestii ekshumacji ofiar tamtej zbrodni. Duda tak bardzo zżył się z tym modelem uprawiania polityki, że obrażał nawet zasłużonego dla walki z komuną i sprawy pamięci o Wołyniu ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego.

Krótko mówiąc: prezydent miał dobre intencje i do pewnego momentu działał bardzo skutecznie, by wreszcie całkowicie pogubić się w relacjach ze znacznie bardziej przebiegłym partnerem. Blokował go charakter, ów paradoks nikczemnego charakteru i wielkiego stanowiska.

Czy zdecydowała tutaj chęć przejścia do historii? A może zwykła naiwność? Wydaje mi się, że raczej niezdolność do zmiany polityki.

By dokonywać zwrotów, trzeba mieć w sobie rys wizjonera, umiejętność przekonywania innych a wreszcie: siłę charakteru. Duda, jak już wyżej napisałem, nie miał żadnej z tych cech. Wszystko realizował w połowie, a kiedy pojawiły się przeszkody lub potrzeba stanięcia w poprzek społecznym nastrojom czy dokonania zmiany politycznego planu, stawał się bierny, niezdolny do podjęcia wyzwania. Ambicje nie wytrzymywały próby konfrontacji z trudną, polityczną rzeczywistością. Twierdził, że broniąc Ukrainy, broni polskiego interesu, ale przecież dzisiaj gołym okiem widać, że skutecznie wytrącił Polsce argumenty do stawiania twardo polskich spraw w relacjach z Kijowem.

KIEPSKI OBROŃCA UCIŚNIONYCH

Prezydentura Andrzeja Dudy pełna była takich właśnie paradoksów. Deklarował, że stoi na straży konstytucji, ale sam ją złamał przyjmując przysięgę od pięciu sędziów Trybunału Konstytucyjnego, bezprawnie wybranych przez PiS. Poszedł na wojnę z Donaldem Tuskiem, domagając się respektowania prawa łaski wobec Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika, ale gdy przyszedł moment konfrontacji, prędko wycofał się, przechodząc do porządku dziennego nad wtargnięciem policji do Pałacu Prezydenckiego. Duda nie potrafił obronić spójności swoich działań i ostatecznie musiał uznać wyższość rządowej narracji, stosując kolejny raz – zgodnie z życzeniem ministra sprawiedliwości Adama Bodnara – prawo łaski.

Jak na rzecznika obywateli, odwiedzającego z pasją wszystkie powiaty, kiepsko angażował się też w obronę wolności obywatelskich. Podpisał ustawę inwigilacyjną, wziął w obronę wspomnianych Kamińskiego i Wąsika, skazanych przecież za nadużycie władzy w czasach pierwszy rządów PiS, których kordialnie witał w Pałacu Prezydenckim, angażując tutaj cały swój autorytet, jak gdyby walczył o dobre imię polskich bohaterów narodowych, a nie niesfornych kolegów partyjnych.

O bierności w czasach COVID-19, czyli najbardziej spektakularnego w okresie rządów PiS łamania prawa i ingerencji w wolność obywateli, już pisałem, dość jeszcze powiedzieć, że prezydent szybko przeszedł

do porządku dziennego nad tamtymi wydarzeniami, za nic mając chociażby skandaliczne procesy lekarzy, ciągnanych po sądach za to, że mieli odwagę zaprezentować inne zdanie niż Horban czy Sutkowski. Na końcu tej wyliczanki wymienić wypada jeszcze zgodę prezydenta na tzw. komisję ds. badań wpływów rosyjskich, która de facto była partyjnym straszakiem, dającym ówczesnej władzy możliwość rozkręcenia spirali podejrzeń i prześladowań dla inaczej myślących w sprawie konfliktu rosyjsko-ukraińskiego na nielimitowaną skalę. Prezydent Duda tym samym wziął udział w budowaniu swoistego macchartyzmu w polskiej polityce. Na czele tej komisji stanął – co warto odnotować – prof. Sławomir Cenckiewicz, mianowany szefem BBN-u przez prezydenta-elekta Karola Nawrockiego.

Zresztą, to już na marginesie, efekty tamtego szalonego pomysłu PiS odbiły się rzecz jasna w polityce Donalda Tuska, który postanowił powołać – tym razem rozporządzeniem – nieco podobną komisję, mającą stanowić straszak nie tylko dla polityków opozycyjnych partii, ale także dla konserwatywnych organizacji i mediów. Na szczęście całkiem niedawno Tusk zdecydował o rozwiązaniu komisji, być może z prozaicznego powodu: jej ustalenia były na tyle kompromitujące, że bardziej opłacało się ją „zniknąć” niż trzymać przy życiu.

Prezydent nie tylko lekcewał wolności obywatelskie, ale nawet na polu zdawałoby się tak komfortowym jak polityka historyczna – cóż jest piękniejszego niż udział w uroczystościach i przecinanie wstęg? – niewiele zdziałał. Sprawę ludobójstwa na Wołyniu, jako się rzekło, oddał Ukrainie bez walki, ale przecież nie wyszedł z absolutnie żadną inicjatywą ani z okazji stulecia niepodległości Polski, ani stulecia Bitwy Warszawskiej. I tu już nawet nie chodzi o zwykłe wypomnienie braku aktywności. To po prostu jeden wielki skandal, który jest udziałem zresztą nie tylko ośrodka prezydenckiego, ale także i ówczesnego rządu. Pokazuje on, jak wiele jeszcze mamy do zrobienia, by Polska stała się normalnym państwem, którego władze czują potrzebę wyrażenia dumy z wielkich dokonań poprzednich pokoleń, a nie jedynie odfajkowania udziałem w jakimś wydarzeniu czy akademii z okazji kolejnej rocznicy.

Na koniec tej listy zażaleń do pana prezydenta można wymienić, to co działo się w końcówce jego kadencji. Andrzej Duda w ostatnich tygodniach prezydentury zaczął nagle ochoczo nagradzać odznaczeniami polityków, publicystów, celebrytów itd. Robił to bez ładu i składu. Wśród tych nominacji błysnęły te „polityczne”, jak przyznanie odznaczeń braciom Karnowskiemu czy Magdalenie Ogórek, ale też oburzające, jak przypięcie orderu do piersi postkomuniście Jackowi Majchrowskiemu, politykowi odpowiedzialnemu za degrengoladę samorządowej polityki. Co ciekawe, kilkanaście lat temu ostro krytykował go sam... Andrzej Duda, ale zapewne na starość tępieją nieco i charakter, i pamięć.

BEZ GWARANCJI

Jedynymi wielkimi sukcesami Andrzeja Dudy były tak naprawdę dwa zwycięstwa wyborcze w 2015 i 2020 roku. Faktycznie, pan prezydent potrafił zaskarbić sobie sympatię Polaków. Jest typem everymana, człowieka, który – jak większość z nas – pracuje, dba o rodzinę, ma swoje drobne słabości, nie wstydzi się potknąć. Dość powiedzieć, że wysyp prześmiewczych memów porównujących Andrzeja Dudę do Maliniaka – komicznej choć przewrotnej postaci z serialu Jerzego Gruzy „Czterdziestolatek” – raczej wzbudził dla niego sympatię niż niechęć.

Nie zmienia to jednak faktu, że ta prezydentura zostanie zapamiętana, jako czas zmarnowany dla Polski. Andrzej Duda zostawał prezydentem w dobie rozbudzonych ambicji, gdy Polacy chcieli dalszego rozwoju i szybszego awansu, a żegna się ze swoją funkcją, gdy są wściekli na całą klasę polityczną i rozczarowani także „dobrą zmianą”, obiecaną przez PiS.

Andrzej Duda wpadł w pułapkę paradoksu – jego słaby charakter musiał zmierzyć się z wielkimi oczekiwaniami. Dlatego obydwie kadencje Dudy należy uznać raczej za porażkę. We wstępie tego tekstu porównałem oczekiwania wobec Andrzeja Dudy z oczekiwaniami, jakie Amerykanie wiązali z Kennedym. Z całą pewnością było ono przesadzone na potrzeby dobrze czytającej się frazy, ale trzeba przyznać,

że i prezydentura Dudy, i prezydentura Kennedy'ego nie były niczym szczególnym w historii odpowiednio Polski i Ameryki. Nadzieją dla nas jest to, że po Kennedy'm prezydentem został niezwykle sprawczy – choć niestety progresywny – Lyndon Johnson. Czy konserwatyista Karol Nawrocki okaże się również politykiem sprawczym? Nie wykluczone, choć pamiętajmy rzecz jasna, że prezydentura w Polsce to instytucjonalny potworek, który naprawdę nie gwarantuje sukcesu czy natychmiastowego przejścia do historii.

↩
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI

Powyższy artykuł znajdziesz również tu:

<https://pch24.pl/andrzej-duda-sie-nie-udal/>



CANTERBURY. W OBRONIE KATOLICKIEJ DUSZY ANGLII I EUROPY

Rzymianie opuścili Brytanię w końcu IV wieku, ale pozostawili tam dostatecznie dużo ludzi, instytucji i wiedzy, żeby uczynić później z wyspy punkt startu dla odnowy kultury europejskiej. Bo przez kilka stuleci wyspy nie dotknął wywołany ekspansją germańską regres cywilizacyjny, a zwłaszcza kulturowy – mówi prof. Tomasz Panfil w rozmowie z PCh24.pl.

Szanowny Panie Profesorze, Wielka Brytania to wyspa, której Rzymianie nigdy do końca nie zdobyli. Jak w związku z tym dotarło tam chrześcijaństwo?

Rzymianie zdobyli Brytanię, ale nie zdobyli Kaledonii, czyli część dzisiejszej Szkocji. Po rzymskiej stronie Muru Hadriana pozostawało 2/3 wyspy – z współczesnymi Edynburgiem i Glasgow – niezależna pozostała północna 1/3. Wiele brytyjskich miast z Londynem na czele to miasta założone przez Rzymian. Kiedy w IV wieku potęga Rzymu zaczęła się kurczyć, to metropolia najpierw likwidowała swoje najdalej wysunięte przyczółki i prowincje peryferyjne. Rzymianie opuścili Brytanię w końcu IV wieku, ale pozostawili tam dostatecznie dużo ludzi, instytucji i wiedzy, żeby uczynić później z wyspy punkt startu dla odnowy kultury europejskiej. Bo przez kilka stuleci wyspy nie dotknął wywołany ekspansją germańską regres cywilizacyjny, a zwłaszcza kulturowy.

To jest wersja bardzo uproszczona, oczywiście. Między V a VII wiekiem Brytania zapomniała, że Rzymianie byli zdobywcami, ale pamiętała, że byli przodkami elit kulturowych i twórcami systemów społecznych. Historia Brytanii jest do XI wieku tak skomplikowana, że łatwo się zaplątać w nawarstwiających się wątkach...

W każdym razie Rzymianie plemiona miejscowe albo zlatynizowali i podnieśli na zdecydowanie wyższy poziom kulturowy i cywilizacyjny, albo – jak tajemniczych dosyć Piktów i wojowniczych Kaledonczyków – wyparli na północ za Mur Hadriana i – na krótko – jeszcze dalej, za Mur Antonina. Sercem późniejszej Wielkiej Brytanii czy kultury angielskiej była zlatynizowana Walia.

Walia do dziś z dumą nawiązuje do swojego rzymskiego pochodzenia. Dafydd Iwan napisał porywający, nieoficjalny hymn Walii, fantastycznie śpiewany po walijsku przez kibiców piłkarskich. W hymnie tym jest wzmianka o Macsenie, czyli Magnusie Maksymusie, cesarzu w latach 383-388, który wyruszył po władzę nad imperium właśnie z Walii. I – uwaga – był on gorliwym katolikiem dosyć ostro zwalczającym ponownie – po porażce na soborze nicejskim – rosnącą w siłę herezję arianąską.

Ale Sarmaci też mówili, że są potomkami Rzymian...

Tyle tylko, że Walijszczyki mają rację. Oni faktycznie są – oczywiście w jakiejś, genetycznie rzecz ujmując, części – potomkami Rzymian. Z pewnością byli potomkami kulturowymi, nawet jeżeli nie mówimy o genetyce, ale kulturalnie Walia, serce wczesnośredniowiecznej kultury brytyjskiej, ma rzymskie korzenie.

Skoro Rzymianie nie zdobyli Szkocji, to skąd się wzięli mnisi iroszkoccy?

Tu znowu jest tutaj pomieszanie z poplątaniem...

No to może inaczej: jak chrześcijaństwo trafiło do Szkocji, skoro Szkocja jest niezdobyta?

Moment, Panie redaktorze. Najpierw trzeba to wszystko naprostować. W tamtych czasach Szkocję nazywano Irlandią. A potem chrześcijanie z Irlandii zaczęli wpływać na wyspę angielską i zasiedlać pogańską północ tej wyspy. I tę część północną wyspy angielskiej

zaczęto nazywać Szkocją Mniejszą, a potem Irlandię zaczęto nazywać Hibernią, a Szkocja Mniejsza została Szkocją.

Teraz już wszystko jasne?

Chyba tak, ale na wszelki wypadek powiem, że nie...

No właśnie... Trudno jest w lapidarnym skrócie opisywać zjawiska, które się działy przez wieki na wielkich obszarach. Siłą rzeczy musimy stosować uproszczenia i ryzykujemy, że pominiemy coś istotnego, przez co łańcuch przyczyn i skutków będzie cokolwiek niezrozumiały, albo nam się splącze.

Iroszkoci to tak naprawdę irlandzcy, schryścianizowani Irowie, którzy zasiedlili Szkocję.

Bo ci oryginalni „Szkoci” to, tak jak się rzekło, Kaledończycy i Piktowie, którzy zostali zepchnięci już całkiem na północy skraj wyspy.

Chrześcijaństwo zatem docierało na Wyspę w wielu falach, w dodatku z wielu kierunków. Nie było jakiegoś jednego, pojedynczego aktu chrystianizacji wysp brytyjskich. Misjonarze przyprawali z różnych kierunków, przeprowadzali chrystianizację – albo ginęli z polecenia miejscowych władz i kapłanów. Św. Patryk był rzymskim Walińczykiem – albo walijskim Rzymianinem – chrystianizował Irlandię w V wieku i wytępił wszystkie węże przy okazji.

Słyszę dzwony, ale nie wiem z którego kościoła... Irlandia jest jedyną częścią Europy, gdzie nie żyją węże?

Tak, i wszyscy się zastanawiali, jak to jest możliwe i Ach! Jaka to piękna, zielona wyspa, nie ma tu żadnych węży. Cud! Zatem przypisano zabicie wszystkich węży modlitwie Świętego Patryka. Węże syczały głośno i przeszkadzały mu się modlić, no więc św. Patryk zaniósł modlitwę do Boga, żeby przestały mu przeszkadzać. I tym oto sposobem w Irlandii nie ma węży, ale jest za to dużo klasztorów. Podobna legenda

istnieje również w Anglii, tyle tylko, że tam pustelnikowi w medytacjach przeszkadzały śpiewające skowronki. Puentę już znamy.

W III i IV wieku cesarstwo zachodniorzymskie pogrążone jest w kryzysach, pod naciskiem wrogów wewnętrznych i z powodu zaburzeń wewnętrznych zaczyna słabnąć i kurczyć się. Proces zwijania imperium zaczyna się oczywiście od peryferii. Centrum trwa najdłużej.

Powolne zwijanie władzy imperialnej może mieć również pozytywne aspekty, bo jeśli proces zmian nie jest gwałtowny, tylko stopniowy, to owszem: ewakuują się instytucje państwowe i struktury armii, ale pozostają lokalne elity, zachowujące kulturę rzymską i chrześcijańską. I właśnie na brytyjskich peryferiach w spokoju trwały klasztory chrześcijańskie, w których nadal modlono się do Boga i przepisywano teksty liturgiczne, hagiograficzne i rocznikarskie.

Chrześcijaństwo dotarło na wyspy brytyjskie wcześniej i mocno się zakorzeniło, ale potem z kolei na wyspy brytyjskie dotarli germańscy pogańscy. Elity nowej władzy były znów pogańskie, ale dość szybko się chrystianizowały: czy to pod wpływem misjonarzy czy po prostu przejmując wyższą kulturę społeczności lokalnych.

Ale żeby znowu nie mieszać sobie i nie tworzyć tego przekładańca chronologiczno-wyznaniowego, no to możemy przyjąć, że ostateczna chrystianizacja wyspy – z wyjątkiem krańców północnych przebiega w ciągu wieku VII, na co wpływ mają klasztory z Irlandii.

W 529 roku powstaje pierwszy zakon świata, czyli benedyktyni. Niecałe 70 lat później powstaje zaś opactwo świętego Augustyna w Canterbury...

Wówczas jeszcze nie świętego. Założycielem był Augustyn, który później został świętym i to jego imię później związało się z najważniejszym, benedyktyńskim opactwem Canterbury, a właściwie w Durovernum, bo takiej łacińskiej nazwy również używano. Kilkaset lat później, w XII i XIII wieku w Canterbury swoje placówki założyli templariusze, dominikanie i franciszkanie. Warto również dodać, że

Canterbury była również stolicą królestwa Kentu: św. Augustyn najpierw ochrzcił króla Etelberta, a potem z pomocą władcy – o tego typu współpracy, niezbędnej dla powodzenia fundacji, już rozmawialiśmy – założył klasztor (597 r.) Pierwotnie opactwo było pod wezwaniem świętych Piotra i Pawła.

70 lat to w tym wypadku dużo? Mnie się wydaje, że nie... Rzym upada, komunikacja jest jaka jest, dopłynąć do Wielkiej Brytanii to też nie taka prosta sprawa...

Przy okazji jednej z poprzednich rozmów wyraziłem swój sceptycyzm wobec Pańskiego twierdzenia o upadku Cesarstwa Rzymskiego. No więc teraz ponownie, Panie Redaktorze, powtarzam: Cesarstwo Rzymskie nie upadło. Ono dalej trwało. Ono trwało w mentalności ludzi. Ono wcale nie upadło. Ono się po prostu zmieniło.

Rzym nadal jest... Jasne, centrum władzy nie jest już w Rzymie, bo przecież już wcześniej cesarze wynieśli się z Rzymu do Rawenny, a potem do Chorwacji, a potem do Konstantynopola, czyli następowała migracja centrum władzy i jej stolicy. Natomiast stolicą jest siedziba władcy Rzymu, czyli stolica Imperium Rzymskiego jest w Rawennie, stolica Rzymu jest w Splicie, stolica Rzymu jest w Konstantynopolu, ale to wciąż pozostaje Rzym, to wciąż pozostaje to samo państwo, to wciąż pozostają te same tworzące je idee, trwają kultura a także cywilizacja. Drogi rzymskie istnieją do dzisiaj, możemy zobaczyć fragmenty muru Hadriana. Nie możemy wprawdzie wziąć kąpieli w termach w Rzymie, ale można było zorganizować w nich koncert trzech tenorów. Koncerty operowe, rockowe, italo disco oraz mecze siatkówki wciąż odbywają się w amfiteatrze w Weronie.

Będziemy rozmawiać o kulturze, więc pojęcie idei nam się tutaj bardzo przyda, zwłaszcza, że będziemy rozmawiać o kulturze chrześcijańskiej, dla której filozofia Platona jest metodologicznym fundamentem. Czyli: w platońskiej i świętego Augustyna filozofii idealistycznej, idea jest bytem najważniejszym, nie zaś rzeczy istniejące. Platon zresztą i jego zwolennicy powątpiewali w realność rzeczy. Dla Platona i jego

zwolenników istota zawierała się w ideach, to idee były prawdziwe, a świat materialny i rzeczywistość były tylko bladymi odbiciami idei. Przykład: o człowieczeństwie i wartości jednostki ludzkiej decyduje nieśmiertelna, idealna dusza, nie zaś ułomne, podatne na zniszczenie ciało.

A zatem: Rzym też jest taką swoistą ideą. To, że on w swej postaci materialnej przeżywa kryzysy, pozornie nawet upada, to nic. Istotą jest idea Imperium Rzymskiego. Idea, której najważniejszymi elementami jest Pax Romana – rzymski pokój – oraz prawo rzymskie oparte na „Ius” i „Lex”, czyli prawach naturalnych, niezbywalnych oraz na prawie stanowionym.

Te wszystkie pojęcia tworzą pewną ideę, która jest żywa. To, że politycznie państwo upada, kurczy się, przeżywa kryzysy, dzieli, no to taki jest los materii, ważne jest to, co się dzieje z nieśmiertelnymi ideami.

Wróćmy do Pana pytania... 70 lat to wcale nie tak dużo, jakby komuś się mogło wydawać.

Przepływ informacji jest tak szybki, jak przemieszczają się wędrujący ludzie...

Benedyktyni, przemierzali właściwie całą Europę, zakładali swoje klasztory propagujące nowy, atrakcyjny styl pobożności, nieuchronnie musieli dotrzeć również do Brytanii. Proszę pamiętać, drogi zbudowane przez Rzym wciąż istnieją. To, co przez wieki zapewniało komunikację wewnątrz Imperium Rzymskiego, czyli wspaniałe, brukowane rzymskie drogi, one w wieku VI wciąż istnieją w dobrym stanie. Nimi można jechać, wędrować, przemieszczać się. Oczywiście bywa na nich niebezpiecznie, bo zabrakło legionów pilnujących porządku, ale drogi są, więc szybkość przenoszenia się koncepcji, idei, wzorców kulturowych wcale nie jest dużo mniejsza niż w czasach imperialnego Rzymu.

Wprawdzie wędrowni filozofowie czy mnisi z pewnością nie maszerują w tempie 30 kilometrów dziennie, tak jak maszerowali

legioniści. Niemniej jednak cały czas są w stanie pokonywać kilkadziesiąt kilometrów dziennie. Więc co to jest dotrzeć z Rawenny do Mediolanu, czy do Paryża? Zwłaszcza, że można przyłączyć się do jakiej kupieckiej karawany. Wprawdzie wprawny piechur idzie szybciej niż woły w jarzmie, ale za to one są bardziej wytrzymałe. Wprawdzie między Normandią a Brytanią wciąż jest kanał, ale, jak możemy wnioskować z częstotliwości podróży, przepłynięcie go nie jest wielkim problemem. Rzymianie pokonywali te niespełna 40 kilometrów w te i z powrotem, to dlaczego nie mieliby dać rady przepłynąć ludzie wczesnego średniowiecza?

Dlaczego właśnie w Canterbury Augustyn zdecydował się założyć klasztor, powołać opactwo?

Wspomniałem już o przychylności lokalnego władcy. To warunek niezbędny.

To nie jest tak, że jeden człowiek w habicie samodzielnie czy nawet w towarzystwie kilku współbraci podejmuje dzieło fundacyjne. Nie, absolutnie niezbędna jest przychylność lokalnego władcy i jego wsparcie materialne.

Akurat opactwo w Canterbury powstało prawdopodobnie dzięki temu, że żona miejscowego króla była chrześcijanką i dlatego władca otoczył opieką tych przybyszy, nadał im ziemię, nadał im prawo wybudowania kościoła, przyznał im prawo głoszenia nauk etc. Tak samo 350 lat później działo się w Polsce: pogański władca, chrześcijańska księżna małżonka, pierwsi mnisi, pierwsza kaplica, pierwsze nauki. Dobrawa i Mieszko I. Proces inepcji religii chrześcijańskiej, a zwłaszcza tworzenia struktur kościelnych odbywał się we współdziałaniu z władzą świecką. Przykładów tego typu zdarzeń można znaleźć dużo więcej. Nie można separować dwóch sfer władzy, duchownej i świeckiej. Przecież monarchowie są pomazańcami, jak biskupi.

No i oczywiście przeciwnie: kiedy władca świecki ma pretensje do lokalnego biskupa czy do papieża, no to robi się z tego rzeczywiście

starcie, , starcie cywilizacyjne, wręcz gigantomachia, jak na przykład chociażby w wieku XIII, kiedy cesarz Fryderyk II toczył długoletni, wielowątkowy spór z papieżem Grzegorzem. Jedyne wydarzenie w dziejach, kiedy papież oficjalnie nie tylko cesarza ekskomunikuje, ale jeszcze nazwie go Antychrystem... To dopiero było wydarzenie.

A kiedy władza lokalna współpracuje z mnichami, z kościołem, to wszystko się układa harmonijnie.

Jeszcze jedna mała wycieczka naokoło, Panie profesorze. W związku z tym, co Pan powiedział o sporze cesarza Fryderyka z papieżem Grzegorzem... Jakbyśmy przeszli do czasów Innocentego III, to okazałoby się, że papież potrafił cesarzy i królów zrzucić z tronów...

Ależ oczywiście, że tak... I odwrotnie.

No to gdzie ta harmonia między władzą duchową a władzą świecką?

Skoro właśnie wyszliśmy z klasztoru na Monte Cassino, to przypomnę, że cesarz Fryderyk II złupił Monte Cassino, bo chciał pokazać papieżowi, że on jest mocniejszy. Wcześniej, za Grzegorza VII Rzym złupili Niemcy oraz walczący z cesarskimi Normanowie.

Dlatego powiedziałem, że starcie tych dwóch największych potęg – bo przez wiele set lat i cesarstwo i papieństwo były największymi potęgami świata – zawsze wywoływało wstrząsy cywilizacyjne. Cywilizacja chwiała się wówczas w posadach, cierpiała też odporniejsza na perturbacje polityczna kultura.

A przecież takich starć, takich kryzysów mamy całe mnóstwo. Okres walki o prymat w Europie, jak historycy nazywają właśnie te spory toczone przez cesarstwo i papieństwo, trwał kilkaset lat, a jednym z punktów walki o prymat było to, czego się najczęściej w szkołach uczy, czyli tzw. spór o inwestyturę. Zapomina się dodać, że spór o inwestyturę był tylko takim drobnym elementem walki o prymat. Walka o prymat miała znacznie szerszy zasięg niż tylko spór o inwestyturę,

czyli wprowadza na stolicę biskupów, od koga są zależni, czyje są biskupie majątki, kto komu co daje i na jakiej zasadzie.

Czy opactwo powstałoby, gdyby nie papież Grzegorz I – wychowanek benedyktyński?

Pewnie by powstało, bo nie ma się chyba co przywiązywać za bardzo do imion i do nazwisk, raczej identyfikujemy prądy kulturowe, z którym łączą się konkretni ludzie.

Szerzy się idea, a jak ma na imię, czy jak się nazywa ten, który jest jej aktualnym i doczesnym promotorem, orędownikiem, to mniej istotne. Jak nie jeden, to drugi. Siła idei benedyktyńskiej była bardzo duża, a na wyspach brytyjskich spotkała się ona właśnie z tą wcześniejszą tradycją chrześcijańską, tą z końca IV, początku V wieku, tradycją Rzymu chrześcijańskiego i świętego Patryka i jego apostolskiej akcji misyjnej.

No bo właśnie: Anglia to nie jest teren dziewiczy. Wcale nie jest częstym zjawiskiem, że chrześcijańscy misjonarze ruszają ewangelizować kraje zupełnie chrześcijaństwa nie znające, jak w wieku X państwo Mieszka, a w wiekach późniejszych ziemie wnętrza Afryki czy wyspy Japonii. Wyspy Brytyjskie znały już chrześcijaństwo i to dobrze. Skądś się przecież ta żona króla, chrześcijanka wzięła, prawda? Walijski Macsen – cesarz Magnus wychował się w Brytanii w domu chrześcijańskim. Co oznacza, że kiedy Augustyn przybywa ze swoją misją, to chrześcijaństwo jest tam już od wieków znane. I – co ważne – nie jest to chrześcijaństwo charakterystyczne dla pierwszych dwóch wieków, czyli religia niewolników i ludzi ubogich.

Wyznawczynią Chrystusa jest żona króla. Czyli to już jest religia ceniona i chrześcijanie w żaden sposób nie są dyskryminowani. Są ludźmi wpływowymi. I mamy powodzenie tej akcji misyjnej czy reemisyjnej, czyli założenie klasztoru w Canterbury. Wprawdzie papież Grzegorz zachwycał się sukcesami misyjnymi Augustyna i jego 40 towarzyszy, pisał o cudach godnych apostołów, gdy pod wpływem

Augustyna nawracali się dziesiątki tysięcy Angolów, ale nie ma wątpliwości, że benedyktyni działają w środowisku znającym już religię chrześcijańską i przychylnym. Klasztory iroszkockie przechowujące, i to bardzo skrupulatnie, zdobycze późnego antyku są na Wyspie centrami kultury i wiedzy, również tej użytkowej...

A skąd je wzięły?

No jak to skąd? Przecież św. Patryk to jest IV wiek...

Ale co ma Pan profesor na myśli mówiąc o zdobyczach? Chodzi o myśl, o ideę, czy o jakieś księgi, ikony, bądź inne artefakty?

O wszystko, Panie redaktorze, o wszystko. O koncepcje i refleksje, obserwacje i teorie zawarte w manuskryptach, a chociażby o samą technikę ich spisywania. Na przykład w IV wieku w Imperium wykształca się piękne, wyraźne pismo kodeksowe, tak zwana uncjała. I właśnie tą uncjałą posługują się mnisi, którzy w IV-V wieku zakładali klasztory w Irlandii, a później w Szkocji. Oni są odcięci od tego co się dzieje na kontynencie, nie ulegają ówczesnej barbaryzacji kultury, tylko zachowują to, czego się nauczyli. Przekazują to kolejnym adeptom, oblatom, nowicjuszom w skryptoriach klasztornych. Mnisi iroszkockcy piszą pięknie, starannie i cały czas tak samo.

Ówczesny świat – czyli ulegające defragmentacji Imperium podlega niustannym wstrząsom związanym z zaburzeniami politycznymi, jak Pan mówi, z procesem upadania Cesarstwa Rzymskiego. W klasztorach iroszkockich czas jakby się zatrzymał. Mnisi niezmiennie siedzą w swoich skryptoriach i przepisują piękną uncjałą dawne teksty. I nie tylko przepisują teksty, ale również je iluminują.

Miniatury w tych rękopisach, manuskryptach iroszkockich są przepiękne, ale co ciekawe, podlegają podobnym zasadom, jak w późniejszym czasie ikony prawosławne. One nie ulegają zmianie. Przez dziesięciolecia i stulecia jest ta sama ornamentyka, te same barwy, te same techniki malowania, te same wzorce ikonograficzne etc.

Europa kontynentalna zmienia wzorce i techniki – niekoniecznie na lepsze. Odkrywają się nowe perspektywy, nowe spojrzenia, a u Iroszkotów wszystko trwa, jak trwało i to na szczęście dla nas, ponieważ te zmiany, które zachodziły na kontynencie, wcale niekoniecznie były zmianami na lepsze. To w odniesieniu do wytworów tego okresu stosuje się określenie barbarzyńskich naśladownictw.

Na przykład, skoro jesteśmy przy piśmie: od VI wieku Europa kontynentalna bazgrze coraz bardziej. To jest okres tak zwanych pism szczepowych. Oczywiście nie są szczepy, tak jak rozumie je antropologia dzisiejsza, ale taka się nazwa przyjęła. Pisma szczepowe to znaczy, że Merowingowie piszą po swojemu, Longobardowie piszą po swojemu, Kuria Rzymska, papieska pisze jeszcze inaczej etc. I wszyscy piszą coraz mniej czytelnie. To są chyba najtrudniejsze do odczytania teksty. A przecież zadaniem Benedyktynów, tą misją, którą wymyślił święty Benedykt jest zachowywanie dorobku wieków poprzednich. Mnisi mają się modlić i pracować, ale mają również utrzymywać poziom kultury przepisując, kolportując i odnawiając.

Tutaj jeszcze taka dygresja. Wiek piąty, szósty, siódmy, ósmy na kontynencie to są wieki, kiedy chrześcijaństwo jest już mocne, bardzo mocne. I chrześcijaństwo tych lat oczywiście nie uważa pism autorów pogańskich. Natomiast bardzo uważa antyczny pergamin. No więc co robią mnisi, żeby móc pisać nowe, zresztą nie najwyższych lotów teksty teologiczne czy filozoficzne?

Wywabiają teksty Cyserona i innych filozofów rzymskich czy greckich. Usuwają z pergaminu stary tekst, ich zdaniem bezwartościowy, pogański, czyli gorszy i w to miejsce umieszczają tekst nowy, często nikłej wartości rozważania teologiczne. No i dzięki temu, do naszych czasów, dzięki właśnie tej pracy mnichów przetrwały teksty Cyserona, łącznie z najważniejszym *De Re Publica*. To właśnie dzieło przetrwało w postaci tak zwanego palimpsestu, czyli wyskrobanej karty pergaminowej. Inaczej by się nie zachowało. Dzięki technologii da się palimpsesty odczytać.

A zatem na kontynencie rzeczywiście zapada mrok. Nie jest to ciemność, ale mrok. Nie będziemy teraz dyskutować na ile wieki do ósmego były ciemne, na ile mroczne, na pewno całkowita ciemność nie zapadła, bowiem rozświetlały ją płonące w klasztorach kaganki czy świece. Dzięki chrześcijaństwo jakieś światelka się w tej ciemności pogańsko-germańskiej paliły...

Ale zwracał Pan kiedyś uwagę, że rządzący królestwem Frankonii, Merowingowie, nie potrafili ani czytać, ani pisać...

I może Karolingowie również, na przykład Karol Wielki...

W historii toczy się taki spór, czy Karol Wielki umiał pisać, czy nie. On opanował podpis, to znaczy znamy z dokumentów cesarza Karola bardzo ozdobny monogram, który stawiał na dokumentach jako uwierzytelnienie postanowień (dyspozycji), ale po prostu się tej kaligrafii uwierzytelniającej nauczył. Prawdopodobnie umiał czytać. Nie umiał pisać, ale umiał czytać.

Merowingowie to najpotężniejsza dynastia w ówczesnej Europie, lecz są jak to Germanie – trzeba pamiętać, że Frankowie to Germanie – ich zajmuje głównie wojna i władza. Pergaminy specjalnie ich nie interesują, bo nawet się tym rozpałić w kominku nie da, czy ogniska w czasie wojennej wyprawy. A jak są jeszcze zabazgrane, to tym bardziej są w ich oczach nieistotne. Bardziej dbają o swe piękne długie włosy, symbol królewskości niż o wiedzę.

Europa pogrąża się w licznych, lokalnych, ale nieustannych wojnach, wojenkach, a poza tym staje w obliczu rosnącego zagrożenia, najpierw arabskiego, a później muzułmańskiego. I jak to zwykle bywa: wspólny wróg jednoczy. Zagrożenie ze strony wschodu sprawia, że zachód zaczyna się jednoczyć, ale zostawmy politykę.

Karol to jest niesłychanie ciekawa postać, bo choć nie miał wykształcenia, to żywił olbrzymi szacunek dla nauki, słusznie dostrzegając w niej – i w kulturze – narzędzie władzy i spoiwo państwa.

Karol uważał, że nauka jest ważna i potrzebna dla efektywnego rządzenia, natomiast żeby przywrócić nauce jej część dawnego blasku, musiał współpracować z Kościołem jako depozytariuszem dawnej wiedzy, musiał współpracować z benedyktynami i współpracował również z Iroszkotami, czyli z przybyszami z Wysp brytyjskich, którzy docierają do Europy i odkrywają ku swemu zdumieniu, że to oni zachowali tę dawną kulturę wysoką, a Europa kontynentalna się zdegradowała.

To coś, co nazywamy renesansem karolińskim, jest w znacznej części autorstwa duchownych przybywających do Królestwa Franków z Wysp brytyjskich. I tu znowu powraca na scenę opactwo w Canterbury, chociaż nie ono jedno, bo podobnych ośrodków jest znacznie więcej. Alcuin, czyli najbliższy współpracownik Karola Wielkiego z opactwem w Canterbury nie miał nic wspólnego, Beda Venerabilis, czyli Beda Czcigodny też nie był z Canterbury. Istnieje kompleks złożony z wielu klasztorów południowo-brytyjskich, które zaczynają promieniować na kontynent.

W Canterbury przechowywano naukę na dobrym, wysokim poziomie. Fundacja klasztorów Canterbury obejmowała oczywiście skryptorium, obejmowała dobrą szkołę przyklasztorną. System oświaty budował się wówczas w oparciu o klasztory, bo tam są ludzie umiejący pisać, czytać i nauczać, więc stopniowo społeczności koncentrujące się wokół ośrodków klasztornych również opanowują umiejętności czytania, pisania i rachowania.

Z tych przyklasztornych skryptoriów wyrastają szkoły, potem koncepcja systemowej edukacji zostaje przejęta przez państwa. Alcuin, bliski współpracownik Karola zakłada szkołę nie klasztorną, nie katedralną, tylko pałacową przy siedzibie cesarza Karola w Akwizgranie. Ze względu właśnie na patronat państwa i mecenat cesarski mówimy o renesansie karolińskim, a nie np. o renesansie benedyktyńskim, czy renesansie iroszkockim, aczkolwiek oczywiście i benedyktyni, i Iroszkoci duży wpływ na ten renesans mieli.

I wracając do pisma, które stało się czynnikiem istotnym w upowszechnianiu wiedzy. Taka anegdota pokazująca jak piękne, jak czytelne, jak klasyczne w swojej formie było przechowywane w klasztorach pismo uncjalne, a potem karolińskie pół-uncjalne. Kiedy zaczęła działać ta szkoła pałacowa w Akwizgranie, tam opracowano kolejną wersję półuncjały, którą nazywamy minuskułą karolińską.

Minuskuła nawiązuje do wzorców klasycznych, ale dzięki oparciu na uncjale kodeksowej jest jeszcze ładniejsze. Gdybyśmy popatrzyli na kursywę starorzymską, to zobaczymy niemal nieczytelny tekst, jakby kura pazurem bazgrała. Kursywa minuskułna wcale nie była bardzo pięknym w swojej formie pismo.

Uncjała i później półuncjała są szczytowym osiągnięciem w rozwoju pism antycznych. To było tak piękne w swoim charakterze, w proporcjach, w dukcie, pismo, że kiedy w wieku XVI ludzie kolejnego renesansu chcieli odnawiać wzorce antyczne, odkryli pisma z czasów Karola Wielkiego i powiedzieli, o to jest najpiękniejszy przykład kultury antyku. Tak pisali ludzie antyku, więc my utworzymy nowe pismo właśnie na podstawie tych klasycznych – jak oni sądzili – tekstów.

No i nawet nie bardzo wiedzieli, że tworząc nowe pismo, tak zwaną antykwe humanistyczną, sięgali wcale nie do wzorów starorzymskich, tylko do pisma pochodzącego z pogardzanych przez siebie „wieków ciemnych”, ze średniowiecza i to tego karolińskiego. Więc antykwa humanistyczna, pismo okresu renesansu, które stało się również pismem druków, bo czcionki miały formę antyki humanistycznej, w rzeczywistości nawiązywało do minuskuły karolińskiej. I tak renesans, sądząc, że sięga do wzorców antycznych, sięgnął do wzorców średniowiecznych. I nie jest to jedyny taki przypadek, historia technologii zna ich wiele.

Sugeruje Pan, że gdyby nie Canterbury, nie byłoby kontrrewolucji, odnowy kościoła Cluny? Widzę, że to wszystko są po prostu naczynia połączone i historia długiego trwania...

Nie bez przyczyny pojęcie „historii długiego trwania” stworzył Jacques Le Goff, francuski historyk, który obserwował istnienie i funkcjonowanie struktur społecznych. Wprawdzie Jacques Legoff, Marc Bloch Ferdynad Braudel i cała szkoła Annales nadmiernie skupili się właśnie na strukturach, zapominając trochę o ludziach, czy jakby odsuwając na plan dalszy ludzi. Ich zainteresowało trwanie struktur, co oczywiście w przypadku Kościoła jest metodą całkiem dobrą, bo to struktury Kościoła i funkcjonujący w ich ramach ludzie Kościoła zapewniali przetrwanie wzorców kulturowych, idei czy nawet technik.

A przecież pisanie jest techniką, więc koncepcja długiego trwania, czyli metoda badania funkcjonowania struktur i idei jest metodą użyteczną. Oczywiście my nie zapominamy również o ludziach, bo ja wprawdzie na początku naszej rozmowy powiedziałem, że gdyby to nie był Grzegorz, to może byłby to kto inny, gdyby nie Benedykt, to pewnie kto inny. Ale to jest gdybanie, bo w rzeczywistości był to do-
kładnie Benedykt i w rzeczywistości był to Grzegorz.

Są oczywiście pewne idee, prądy kulturowe, koncepcje, które muszą się ziścić, niezależnie od tego, kto je wprowadzi w życie. Takim przykładem jest chociażby coś, co do dzisiaj niesłusznie nazywane jest rewolucją kopernikańską. W rzeczywistości nie była to rewolucja, nagła, niespodziewana erupcja intelektualna. Kopernik był tylko – albo aż – ostatnim człowiekiem w szeregu wielkich badaczy, mędrców, filozofów przyrody, którzy po kolei odkrywali różne cechy rzeczywistości, cechy natury. Kopernik niczego nie odkrył. Kopernik jedynie nadał wcześniejszym już koncepcjom filozoficznym formę matematyczną.

Ani Kopernik nie postawił Słońca w centrum, ani nie puścił Ziemi w ruch, bo to już wiadano wcześniej. Kopernik tylko ujął to w formę matematyczną, więc nie ma tu żadnej rewolucji. To jest trwająca łądnych kilkaset lat ewolucja poglądów, odkrywanie krok po kroku struktury rzeczywistości.

Oczywiście nie powiem, że możemy wykreślić Kopernika, że on nie był ważny, bowiem to on zwieńczył istotny wątek wielowiekowej refleksji

nad światem. Niemniej jednak z ustaleń Kopernika zawartych w „De revolutionibus orbium celestium”, bardzo niewiele się ostało. Można zaryzykować twierdzenie, że był znacznie lepszym ekonomistą niż astronomem. Być może i lepszym lekarzem niż astronomem, zwłaszcza, że się kształcił na ekonomistę i na lekarza, a astronomia była pasją pozazawodową.

Z całego „odkrycia” Kopernika do dzisiaj zostało tylko to, że jego dzieło „O obrotach sfer niebieskich” trafiło na Indeks Ksiąg Zakazanych i tyle. Nikogo dzisiaj nie obchodzi, że Kopernik w swojej pracy również popełnił błędy...

I to jakie!

Na przykład, że Słońce jest „centrum Wszechświata”...

Rzeczywiście, układ heliocentryczny był znany dużo wcześniej. Święty Albert, chociażby bezpośrednio przed Kopernikiem twierdził to samo, będąc biskupem i nikt go na nic nie skazywał. Kopernikowi się nie zgadzały obliczenia z rzeczywistością, bo Kopernik przyjął, że planety mają orbity kołowe, podczas kiedy dzisiaj wiemy, że są one eliptyczne.

Kiedy Kopernik przyjmuje, że orbity są kołowe, to próbując wyliczyć te kołowe orbity, nie może trafić w to, co się rzeczywiście dzieje na niebie, bo dla jego obliczeń Mars powinien być „TU”, a jego nie ma. Wenus powinna być „w tym miejscu”, a jej też nie ma, bo to wszystko biegnie po innych orbitach niż przyjął Kopernik. Teoria nie pasuje do empirii.

Więc Kopernik wprowadzał więc oryginalne – co nie znaczy, że prawdziwe – hipotezy, mianowicie swoiste „pętelki” dodawał, ponieważ gdyby planeta obiegała po orbicie kołowej, to już powinna być w tym miejscu, na które nasz fromborski kanonik spogląda, a jej nie ma. A więc Kopernik zakłada, że ona po drodze jeszcze robi taką małą pętelkę i dlatego się spóźnia.

Dzisiaj się wydaje dość śmieszne, ale istotą opowieści o Koperniku jest stwierdzenie, że ta idea heliocentryczna dojrzewała od kilku wieków. Ludzie, filozofowie dokładali kolejne cegielki do zrozumienia obrazu świata i teoria ta po prostu musiała się objawić, niezależnie od tego, jak nazywał się ten, który czynił kolejny krok na drodze poznania wszechświata. Poznanie rzeczywistości rozwija się wysiłkiem wspólnym wielu wybitnych umysłów, a następcy korzystają z dorobku poprzedników. Ludzie średniowiecza często myślą o sobie jak o karłach, gdy porównują się z poprzednikami, ale śmiało wspinają się na ramiona tych olbrzymów i nie wahają się ich krytykować. To nie rewolucja, to ewolucja.

Rewolucja przecież polega na niszczeniu starego, by podjąć próbę – z reguły nieudaną – zbudowania. Nowego. To nie było tak, że Kopernik powiedział: „Słuchajcie to nie jest tak, że świat ma postać dysku, który jest ulokowany na grzbietach czterech słoni, które stoją na skorupie żółwia i razem płyną przez ocean eteru, tylko Ziemia krąży wokół Słońca!”. To byłaby rewolucja. Ale Kopernik wcale nic takiego nie mówił. Kopernik tylko obliczał coś, co już filozofowie wiedzieli wcześniej, czyli że Ziemia i inne planety krążą wokół Słońca.

A to, jakie miejsce ma Słońce we Wszechświecie, to już jest jeszcze kolejne wieki ewolucyjnego postrzegania i procesu zrozumienia Wszechświata.

To bardzo ciekawy wątek, ale wróćmy do Canterbury. Dlaczego opactwo wpadło w tak potworne długi w XIII wieku?

Bo mnisi w Canterbury po prostu szaleli...

Każdy może popaść w długi, jeżeli żyje ponad stan, prawda? Czyli wydaje więcej niż ma się dochodów. Opactwo w Canterbury duże dochody miało cały czas, tylko zaczęło wydawać trochę więcej, chcąc pokazać wspaniałość, chcąc podnieść prestiż i swój, i królestwa.

To chyba nie spodobałoby się papieżowi Franciszkowi... Podnoszenie prestiżu... Wydawanie pieniędzy... Przecież Kościół ma być ubogi...

Kościół przede wszystkim ma głosić chwałę Boga i przypominać nieustannie Ofiarę Chrystusa.

Święci mogli chodzić w najskromniejszych łachach, ale na Mszę Świętą zawsze ubierali najpiękniejszy ornat, zawsze brali najpiękniejsze naczynia liturgiczne.

Skąpili sobie, a nie skąpili na Kościół, którego Chrystus jest Głową.

Oszczędzanie na chwałę Bożą – nawet brzmi dziwnie.

Chodziło o skromność i pokorę ludzi Kościoła, a nie o zubażanie kościołów, nie o zubażanie tego, co ludzie sami chcieli mieć i do tej pory chcą przecież. Ludzie chcą, żeby ich kościół był piękny, żeby był pięknie zdobiony, żeby ich dzwon dźwięczał lepiej niż dzwon z sąsiedniej parafii etc..

Ludzie nigdy nie oszczędzali na Panu Bogu. To trzeba było dopiero reformacji i protestantów z ich zupełnie surowym, a nawet czasami wypaczonym spojrzeniem na religię i na chrześcijaństwo, żeby dokończyć czegoś, co nazywam Zagładą Sztuki Kościelnej.

Mocne określenia...

Dobrze, spokojnie, bez emocji i po kolei: w ciągu wieku XVI jedna trzecia Europy przechodzi na protestantyzm. I w jednej trzeciej Europy niszczona jest sztuka religijna. Z kościołów i klasztorów przemierzanych przez protestantów wyrzucane są rzeźby, wyrzucane są obrazy, wyrzucane są – i przetapiane – wyroby rzemiosła artystycznego: monstrancje, relikwiarze, kielichy etc. Rzeźby i obrazy płoną na stosach. Część Francji, Szwajcaria, Anglia, połowa Niemiec, znaczna część Polski, Węgry, cała Skandynawia – tam wszędzie wcześniej były świątynie i klasztory, w których dzieła sztuki z wspaniałego,

twórczego, płodnego okresu, czyli gotyku i poprzedzającego go romanizmu, służyły chwale Bożej, opowiadały Historię Świętą i dzieje świętych. W klasztornych skryptoriach i bibliotekach przechowywano manuskrypty przepisywane starannie przez mnichów w ciągu stuleci i wspaniale iluminowane. I to wszystko protestanci niszczą. Nigdy się nie dowiemy, ile unikatowych manuskryptów wówczas zniszczono. Sztuka, dzieła geniuszu i wyobraźni, oraz inkunabuły – świadectwa myśli i geniuszu – przepadły. Bezpowrotnie.

Nawet nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić skali tej Zagłady. Jedna trzecia tego, co stworzyła głęboko pobożna Europa okresu średnio-wieczna, zostaje zniszczone w ciągu kilkudziesięciu lat. No to jak to nazwać?

Czy Wielka Brytania mogła uniknąć reformacji?

I w ten sposób wróciliśmy do frapujących pytań o role jednostek w ludzkich dziejach. O ile skłonny jestem mniemać, że gdyby Martin Luter zszedł był z tego świata na przykład w roku 1515, to wkrótce pojawiłby się inny – może jeszcze bardziej radykalny – herezjarcha. Taki był ówczesny – jak to się dzisiaj mówi – mental. Rzym nazbyt się zeświecczył, zbyt dużo było w nim zepsucia – reakcja musiała nastąpić. Jak nie w 1517 w Niemczech, to w 1519 we Francji, albo rok później w Danii. Im bardziej woda wrze, tym więcej pary, coraz większa potrzebna jest siła do dociskania pokrywy i tym większa na końcu siła wybuchu. Natomiast jeśli chodzi o akceptację luteranizmu, czy innych odmian protestantyzmu, to tu bez wątpienia kluczową rolę odgrywali monarchowie. Przypomnę tylko, że w systemie monarchicznym król jest źródłem prawa. Każdy z panujących indywidualnie, odpowiadał sobie w sercu swoim na pytanie o granice władzy monarszej, o miejsce styku praw ludzkich i boskich. Zygmunt August odpowiedział pięknie: „Nie jestem królem ludzkich sumień”. Odpowiedź Henryka VIII nie była równie godna i szlachetna: „Chcę nową żonę, bo muszę za wszelką cenę spłodzić męskiego dziedzica, porzucam zatem religię i zmuszę do tego samego swoich poddanych”.

Henryk VIII za napisanie traktatu poddającego krytyce nauki Marcina Lutra Assertio Septem Sacramentorum w 1521 r. otrzymał od papieża tytuł „obroncy wiary” Fidei Defensor. Co się stało z tym człowiekiem, że przyłączył się do reformacji?

Zmysły wygrały z rozumem. Żądze, na którymi król nie mógł lub też nie chciał zapanować, ujawniły płytkość jego wiary. Okazało się, że w jego przypadku królewska pobożność była tylko pozorem i pozą, przestrzeganiem zewnętrznych form, nie zaś płynącą z duszy i umysłu wiarą w Boga, w jego miłość do rodzaju ludzkiego, w to, że wolna wola jest największym darem – i największym ciężarem jednocześnie – Boga dla człowieka. W przypadku króla Henryka zwyciężyła pycha duchowa i cielesne żądze.

Czy prawdą jest, że podobne rozwiązanie, czyli ogłoszenie króla głową Kościoła chciano zastosować również w Polsce w XVI wieku?

A tak. I – odwrotnie niż w Anglii – promotorem koncepcji utworzenia polskiego kościoła narodowego był prymas Jakub Uchański, zaś po stronie katolicyzmu mimo wszystko, wbrew silnym przesłankom skłaniającym go do tego kroku, opowiedział się król Zygmunt II August.

Mimo wszystko?

Zygmunt August w roku 1564 jest w gorszej sytuacji niż Henryk VIII w roku 1534. Henryk chce się rozwieść z Katarzyną Aragońską, bo po pierwsze pragnie dziedzica płci męskiej – ma córkę Marię – po drugie, chce kolejną swoją kochankę, czyli Annę Boleyn, uczynić małżonką i królową.

Zygmunt August nie ma żadnego dziedzica, nie ma też szans, bo do czekał się go z aktualną, trzecią żoną, czyli Katarzyną Habsburżanką. I abstrahując od faktu, że to prawdopodobnie Zygmunt August był bezpłodny, nawet nadzieje na przedłużenie dynastii nie skłaniają polskiego króla do zerwania przysięgi małżeńskiej i tej jeszcze ważniejszej, przysięgi złożonej Bogu. Pokornie trwa w związku z niekochaną,

ciężko chorą i prawdopodobnie również bezpłodną żoną, – która w 1566 r. wyjeżdża z Polski – aż do śmierci Katarzyny w lutym 1572 r. Dopiero wtedy rozpoczyna starania o kolejne małżeństwo – ma przecież niespełna 52 lata – które przerywa jego śmierć w lipcu 1572 r.

Zerwanie z Kościołem Katolickim? Taki akt wiarołomstwa panującego monarchy jest w katolickiej Polsce nie do pomyslenia. Król Zygmunt II doskonale wie, król łamiący przysięgi przestaje być wiarygodny. A niewiarygodny król, będący przecież źródłem prawa, relatywizuje prawo, co jest – jak doskonale wiemy z obserwacji rzeczywistości – drogą do anarchii.

Dlaczego reformacja w Anglii była aż tak krwawa? Przecież Henryk VIII „jedynie” wypowiedział posłuszeństwo papieżowi, a nie Panu Bogu... Dlaczego zdecydowano się na krwawe prześladowania katolików?

Oczywiście, że zerwał przysięgę złożoną Bogu. Przysięgał przecież, że będzie dbał nie tylko o dobro lordów, mieszczan i kmiaci, ale również, że będzie przestrzegał praw Bożych, że będzie wierny jednemu, świętemu, apostołskiemu i powszechnemu Kościołowi. Akt Supremacji, w którym król Angielski ogłosił się głową kościoła w Anglii, był zniszczeniem jedności i powszechności Kościoła. Kiedy zrywa się z Bogiem powstaje pustka. Pustka eschatologiczna, pustka aksjologiczna. Taką pustkę po zerwaniu z Bogiem i Jego prawem, trzeba czymś wypełnić, więc wypełnia się ją człowiekiem i jego prawami.

W Polsce XVI w. obowiązuje zasada, że państwo nie zajmuje się egzekucją wyroków sądów kościelnych. Czyli grzesznicy mniejsi i więksi są skazywani na kary kościelne: klątwę, ekskomunikę. Czyli odstępcom od wiary nic nie grozi, bo przecież oni sami wykluczyli się z Kościoła. Chrzest w jakimkolwiek innym obrządku jest równoznaczny z apostazją. Natomiast w Anglii, na mocy pierwszego i jeszcze bardziej drugiego aktu supremacyjnego, wymaga się przysięgi królowi (lub królowej) jako głowie kościoła – czyli de facto zerwania z Rzymem.

Katolik, wierny Kościołowi musi odmówić takiej przysięgi, wtedy wkracza państwo angielskie uznające to za akt zdrady króla. Zdradę króla karze się śmiercią. Sytuacja identyczna jak za Nerona czy Dioklecjana: władza państwowa wkracza w sferę prywatności, w sferę religii, podporządkowując ją sobie przy użyciu autorytetu władzy (która przecież też ma sakralny pierwiastek) oraz przymusu państwowego, będącego przecież immanentnym składnikiem każdej władzy, zawsze i wszędzie.

Czy można powiedzieć, że reformacja angielska i jest „oczkiem w głowie” marksistów? W historiografii są bowiem liczne usiłowania, aby reformację angielską wytłumaczyć czynnikami gospodarczymi i walką klasową mówiąc na przykład w ten sposób, że tam najwcześniej wytworzyła się warstwa społeczna, jaką jest burżuazja, czy klasa społeczna, a więc trzeba było wyjść z feudalizmu szybciej niż w innych państwach, a przecież Kościół jest ostoją feudalizmu.

Mówimy o dwóch zupełnie różnych procesach. Pierwszy: Henryk chce zerwać z legalnie poślubioną żoną i pojąć kochankę. Chce też podreperować skarbiec. Swoją i swoich stronników, więc konfiskuje rzeczywiście ogromne majątki kościelne. To proces tworzenia się królestwa angielskiego „z tego świata” opartego na żądzach i pieniądzach (co często jest jednym) przebiegający w XVI wieku. I druga rewolucja angielska, „rewolucja” burżuazyjna, czyli wedle terminologii historiografii angielskiej „Glorious Revolution”. To złożone procesy ekonomiczne, społeczne, prawne oraz – niestety – wyznaniowe – dziejące się w ostatniej ćwierci wieku XVII z kulminacją w okresie panowania Jakuba II Stuarta. Gwałtowna reakcja protestantów na niezręczne poczynania Jakuba – nie można jednocześnie wprowadzać tolerancji religijnej i dokonywać aresztowań biskupów anglikańskich.

„Chwalebna rewolucja” i objęcie tronu angielskiego przez Wilhelma Orańskiego faktycznie domknęła system, w którym państwo dominuje na kościełem. Znowu zaczęto stosować akt o supremacji w wersji ostrzejszej, tej wprowadzonej w roku 1559 przez Elżbietę I. Problem – oczywiście dla metodologii marksistowskiej – polega na tym,

że „Glorious Revolution” między innymi dlatego była chwalebna, że była praktycznie bezkrwawa. Oczywiście ginęli żołnierze jakobiccy i orańscy, ale to normalne w czasie walki o władzę, giną najemnicy. Społeczeństwo nie jest przeorane żelaznym pługiem rewolucji, nie ma eksterminacji całych grup społecznych. Takie rewolucje zobaczymy dopiero później: w końcu XVIII wieku we Francji i w XX wieku w Rosji i innych nieszczęsnych krajach, do których dotrą bolszewicy niosący pochodnie i kule oświecenia.

Dlaczego próby rekatolizacji Anglii za panowania Marii I Tudor nie powiodły się?

Nie powiodły się wszystkie trzy próby rekatolicyzacji. Pierwsza z nich wyszła z Canterbury zaraz po śmierci Henryka VIII, którego spadkobiercą i dziedzicem był małoletni Edward VI, chorowity syn Henryka i Jane Seymour, trzeciej z kolei żony Tudora. W imieniu Edwarda rządziła rada regencyjna, w której o władzę walczyły rozmaite frakcje powiązane z licznymi liniami Tudorów. Edward był pierwszym prawdziwie protestanckim królem Anglii, wychowanym w nienawiści do katolicyzmu. Zresztą ponoć w swych ostatnich słowach wypowiedzianych na łożu śmierci – a umierał mając niespełna 16 lat – wzywał Boga by obronił Anglię przed papistami. To za czasów Edwarda zaczęły się masowe egzekucje katolików skazywanych na spalenie na stosie. Więc kiedy na początku 1553 r. rozeszła się wiadomość, że król jest ciężko chory, to właśnie w Canterbury rozpoczęto działania na rzecz przywrócenia katolicyzmu, a przynajmniej uchronienia katolików przed prześladowaniami.

Za drugą próbę przywrócenia katolicyzmu należy uznać działania królowej Marii I, córki Henryka VIII i Katarzyny Aragońskiej, która zasiadała na tronie od 1553 do 1558 r. I trzecia próba to czasy Jakuba II, chociaż na katolicyzm przeszedł potajemnie już jego ojciec Karol II. A odpowiedź na pytanie „dlaczego?” może – i powinna – być wielotomowa, na co nie możemy sobie pozwolić. Więc krótko: pieniądze i władza. Jakie były materialne konsekwencje utworzenia kościoła anglikańskiego: Korona skonfiskowała posiadłości Kościoła. A przecież

wiemy, że Kościół we wszystkich krajach Europy – również w Anglii – był wielkim właścicielem ziemskim. Olbrzymie majątki zabrane parafiom, biskupstwom i opactwom wzmocniły w pierwszym rządzie państwo. W drugiej kolejności korzystają ci księża, którzy zgodzili się zerwać z Rzymem, z Thomasem Cranmerem, złowrogim doradcą Henryka VIII, który został arcybiskupem Canterbury i pierwszym zwierzchnikiem kościoła anglikańskiego. I wreszcie z majątków Kościoła Henryk wynagradza tych panów świeckich, którzy stają po jego stronie i wyciszają głosy swoich sumień w czasie licznych królewskich wiarołomstw i skandali. Więc nowy porządek wspiera władza państwowa, podporządkowany jej kościół i wielcy feudalowie. Trudno liczyć na powodzenie w walce z taką koalicją. I jeszcze jedno: na niekorzyść katolicyzmu działają niektórzy jego zwolennicy: królowa Maria I odpowiada okrucieństwem na okrucieństwa anglikanów, co tylko w oczach wielu sprostestantyzowanych Anglików potwierdza tezy propagandy antykatolickiej.

Jaki wpływ na reformację angielską miała promulgacja w kwietniu 1570 przez papieża Piusa V bulli *Regnans in Excelsis*, w której papież ekskomunikował zarówno Elżbietę jak i każdego jej poddanego, który ośmieliłby się wykonywać jej rozkazy?

Rzymskie młyny miały powoli. Niestety. Od aktu supremacyjnego minęło 36 lat, wyrosło i dorosło nowe pokolenie, a biorąc pod uwagę ówczesne zwyczaje prokreacyjne, nawet dwa. Dwa pokolenia wychowane po pierwsze w anglikanizmie, po drugie w nienawiści do papistów, którzy usiłują najechać Anglię, spuścić ze smyczy krwiożerczych inkwizytorów, spalić wszystkich wolnych i anglikańskich Anglików, narzucić na nowo stare podatki. Więc w imię zysków, z pożądania bogactw i będącej ich konsekwencją – władzy, rodzi się opór przeciwko próbom przywrócenia religii katolickiej. Opór zakotwiczony przede wszystkim w strukturach i tworzących je ludziach, bowiem tam, gdzie jest miejsce dla wolnej i spontanicznej refleksji nad kondycją świata i człowieka, katolicyzm przez następne wieki zachowują swą atrakcyjność. Ofiarowuje bowiem człowiekowi coś więcej niż tylko doczesne korzyści.

Czy idea opactwa Canterbury wciąż wówczas żyła?

Mimo stworzenia kościoła anglikańskiego połączonego ściśle z tronem, Canterbury pozostało symbolem i materialnym świadectwem chrześcijaństwa katolickiego (katholikos po grecku znaczy „powszechny”), nieskażonego partykularyzmami, podziałami, polityką. Z tego właśnie powodu Henryk VIII i Cranmer wybrali Canterbury – choć to przecież niewielkie miasteczko – na siedzibę arcybiskupa, zwierzchnika kościoła anglikańskiego. To świadczy o tym, że misja św. Augustyna, jego współpraca z królową Kentu i królem w stworzeniu opactwa, serca chrześcijańskiej Anglii, wciąż miała znaczenie, że Canterbury nawet dla wczesnych – czyli wciąż jeszcze nie bardzo odległych od katolicyzmu – anglikanów pozostawało duchową stolicą Anglii. Poza tym proszę pamiętać, że procesy kulturowe zachodzące w wielkich społecznościach przypominają kręgi powstające na wodzie po wrzuceniu do niej kamienia: rozchodzą się od centrum ku peryferiom i proces ten wymaga czasu. Chrystianizacja Wyspy przebiegała powoli, niekiedy nawet się cofała: Beda Czcigody opisywał, że dwóch królów saskich Sighere i Sebi porzuciło religię chrześcijańską i powróciło do pogaństwa pod wpływem zarazy, która – ich zdaniem – była dowodem na słabość chrześcijańskiego Chrystusa. Więc i anglikanizm rozprzestrzeniał się od centrum, czyli dworu królewskiego, przez dworzan feudałów, londyńczyków w dół piramidy społecznej. Szerokie rzesze jeszcze długo pozostają katolickie – bo od nich nie wymaga się składania przysięgi królowi-głowie kościoła – a Canterbury jest dla nich duchowym centrum kultu i religii.

Co takiego stało się pod koniec XVII wieku, że władze Anglii wstrzymały prześladowania katolików na masową skalę?

Jak powiedziałem wyżej, tron objął Jakub II Stuart, katolik. Oczywiście, że wstrzymał prześladowania katolików, niestety zaczął represje wobec anglikanów, czym raczej pogrzebał szanse na rekatoliczację. Zadziało zjawisko, które przywołałem wyżej: staw jest już anglikański, fale po wrzuceniu kamienia – czyli rekatolicyzacja – są tym słabsze, im dalej od epicentrum. Interesy możnych związane są

z kościołem anglikańskim, ich reakcja na poczynania Jakuba jest więc zdecydowana.

Jak to jest, że mimo tej całej sytuacji Anglia wydała światu wielu wspaniałych katolików? Gilbert Keith Chesterton, J.R.R. Tolkien, kardynał John Henry Newman, Evelyn Waugh to tylko niektóre przykłady...

To są – za wyjątkiem katolickiego od początku do końca Tolkiena – konwertyci. Ludzie, wychowywani w letniej, oportunistycznej atmosferze kościoła anglikańskiego. Nie ma aktualizowanej w każdej Mszy Świętej Ofiary Chrystusa, jest mdła pamiątka Ostatniej Wieczery, nie ma refleksji nad sobą, nad kondycją własnej duszy i rozmowy z sumieniem – bo nie ma spowiedzi, a o indywidualnym zbawieniu nie decydują nie złe lub dobre uczynki, lecz odległe i enigmatyczne miłosierdzie Boga wynikające z Jego nieodgadnionej łaski.

Jedyne, co godne jest zabiegów i starań to doczesne powodzenie. Wielkie i przenikliwe umysły, jak kardynała Newmana czy Chestertona nie mogą znieść nijakości, więc zwracają się ku katolicyzmowi. Wówczas sprzeciwia się on jeszcze ckliwemu humanitaryzmowi oderwanemu od systemu wartości, odrzuca koncepcję równości wszystkich wiar – genialnie tę postawę z nową mocą głoszoną choćby przez papieża Franciszka, wykpił Chesterton pytając, czy dobrze urodzona londyńska socjeta w imię tej równości zaakceptuje odprawiane na Trafalgar Square obrządki kanibali. Dla katolików angielskich ich wiara tożsama jest z wolnością człowieka jako dziecka Bożego, z świadomością nieporównywalnego z niczym uczestnictwa w Kościele będącym Mistycznym Ciałem Chrystusa.

A jak to jest, że wielu wielkich anglikanów nie nawróciło się na świętą wiarę katolicką? Mam tutaj na myśli m. in. C.S. Lewisa, czy T.S. Eliota. Dlaczego zatrzymali się oni u drzwi Kościoła katolickiego, ale nie weszli do środka?

A to dobre pytanie. Thomas S. Eliot był właściwie Amerykaninem, który naturalizował się w Wielkiej Brytanii. Jego poezja... Nie jestem

literaturoznawcą, więc mogę się wypowiedzieć tylko jako amator (a amator po łacinie to kochający, miłośnik) poezji, również Eliota. Akurat dwa moje ulubione wiersze Eliota zawierają chyba odpowiedź na Pańskie pytanie. Wiersz „Hipopotam” kończy się sceną w niebo wstąpienia hipopotama, grubego obżartucha z ciała, krwi i kości, lecz wybielonego ponad śnieg, „While the True Church remanis below/ Wrapt in the old miasmal mist – Gdy w miazmatycznej starej mgle/ Prawdziwy Kościół utkwii w dole”.

Jakże wyraźnie widać tu tak charakterystyczną dla protestantów niechęć do Kościoła instytucjonalnego, Kościoła utożsamianego z hierarchią. I drugi wiersz „Hollow Man”, czyli Próżni ludzie, Ludzie-pałuby. Tu z kolei widzimy pełen rezygnacji pesymizm – objawił go już Luter w swojej alegorii o Bożym miłosierdziu, gdzie ludzka natura jest ohydny błądzeniem, tylko z wierzchu pokryta cienką warstewką śniegu. W końcowej części „Próżnych ludzi” poeta przywołuje „Cień”, który kładzie się między chęciami, planami i myślami, a ich realizacją, „pomiędzy możliwością a istnieniem”. I na przemian padają frazy „kładzie się Cień” oraz „Albowiem Twoje jest Królestwo”. I nie ma ciągu dalszego, nie ma słów o potędze i chwale na wieki, za jest skrajnie pesymistyczne stwierdzenie, że „Oto jak kończy się świat/nie z trzaskiem lecz ze skomleniem”.

Lewis zaś złożył de facto katolickie wyznanie wiary opisując scenę ofiarniczej śmierci Iwa Aslana, a potem jego zmartwychwstania, potężnego, ożywczego ryku i wyzwolenia Narni z okowów zimy. To scena oparta na legendach starochrześcijańskich, w których lew jest symbolem Chrystusa (Lew z pokolenia Judy), w których lew wskrzesza swoje zabite przez jad węża potomstwo rycząc nad nim. Konwersji na katolicyzm Lewis ostatecznie nie dokonał, ponoć nie chciał robić tego kroku, póki żyła jego żona, która z miłości do niego przeszła z judaizmu na anglikanizm, a niedługo po jej śmierci zmarł również Lewis.

Niedawno czytałem badania mówiące, że grubo ponad połowa młodych Anglików w wieku do 25. roku życia uważa się za ateistów. Czy jest to „zasługa” anglikanizmu?

Anglikanizm – jak stwierdził wspaniały Chesterton – toruje drogę modernizmowi, w którym wiara przestaje być wiarą, a staje się „doświadczeniem” o charakterze religijnym. Potem odrzuca się natchnienie biblijne tłumacząc Biblię w sposób naturalistyczny. Wtedy już łatwo uznać równość wszystkich religii i twierdzić, że wiara nie jest ważna, a ważne jest bycie dobrym człowiekiem. Ponieważ po drodze został odrzucony katolicki system wartości, z miłością, godnością i wolnością jako darami Boga, bycie „dobrym człowiekiem” jest de facto deklaracją agnostycyzmu. A od agnostycyzmu już tylko malutki kroczek do całkowitego ateizmu i i postawienia człowieka w miejscu Boga: człowiek miarą wszechrzeczy.

Czy Anglia może się jeszcze nawrócić na świętą wiarę katolicką? Jeśli tak, to czy może w tym pomóc idea Canterbury?

Dla Boga nie ma rzeczy niemożliwych. W roku 2024 w Wielkiej Brytanii Chrzest Święty przyjęła rekordowa liczba osób dorosłych. Podobnie jak we Francji. Ludzie w niepewnym świecie szukają stałości i pewności. I coraz częściej spoglądają na Kościół Katolicki, który trwa od ponad 2 tysięcy lat, i zaczynają rozumieć słowa Chrystusa wypowiedziane do Szymona: „A ja tobie powiadam, że ty jesteś opoką, a na tej opoce zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne nie przemogą go”.

Dziękujemy za rozmowę.

↩
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI

Powyższy artykuł znajdziesz również tu:

<https://pch24.pl/canterbury-w-obronie-katolickiej-duszy-anglii-i-europy/>

[Więcej rozmów z cyklu „Miejsca ginącej cywilizacji” – TUTAJ](#)

TRANSHUMANIZM. TA IDEOLOGIA MA WIELKI POTENCJAŁ... LUDOBÓJSTWA

Elon Musk od kilku tygodni grozi, że założy własną partię, która podważy duopol Republikanów i Demokratów. Czy mu się to uda, pozostaje wątpliwe, ale rosnące wpływy polityczne tego miliardera nie powinny napawać optymizmem. Wszystko za sprawą idei – i konkretnych rozwiązań technologicznych.

Na pierwszy rzut oka Elon Musk to bohater z prawicowej opowieści trzeciej dekady XXI wieku. Dzięki swoim wyborom politycznym podważa dominację lewicy, neguje kłamstwa ideologii LGBT, upomina się o wolność słowa i rzeczywiście zwiększa jej zakres za sprawą swobody wypowiedzi panującej w serwisie X. Musk wyznaje zarazem ideologię, która nie ma nic wspólnego z konserwatyzmem sensu stricto. Jego sukcesy polityczne mogą szybko obrócić się przeciwko porządkowi, jaki dziś zdaje się wspierać – nawet, jeżeli on sam w ogóle o tym nie wie i wcale by tego nie chciał. Idee mają jednak konsekwencje.

„Coraz więcej wskazuje na to, że ludzkość jest tylko biologicznym programem rozruchowym dla cyfrowej superinteligencji”. To zdanie Elon Musk wypowiedział już kilkakrotnie, wskazując na perspektywę właściwego rozwoju AI. Wizja kosmosu, która kryje się za tym zdaniem, jest całkowicie niehumanistyczna. Można ją nazwać „kosmologią teleocyfrową”, czyli przekonaniem, że kosmos „dąży” do wytworzenia super-AI. Ale po kolei.

Chrześcijańska wizja świata mówi, że wszystko zostało stworzone ze względu na Chrystusa. Chrystus przyjął ludzkie ciało, w ten sposób wynosząc człowieka do nowej godności. W całym stworzeniu nie ma zatem nic, co równałoby się z człowiekiem odkupionym w Chrystusie. Cywilizacja chrześcijańska jest teocentryczna zgodnie z nakazem Dekalogu. W porządku społeczno-politycznym można mówić również

o antropocentryzmie, tak, jak ujmował to św. Jan Paweł II wskazujący na konieczność nieustannego stawiania w centrum człowieka. Dziś papieże mówią chętnie o nowym humanizmie. Zgodnie z zasadami nowego humanizmu, doskonale zgodnego z nauką Ewangelii, człowiek nie może być uprzedmiotowiony, zwłaszcza przez państwo. Ta doktryna jest zrozumiałą reakcją na ludobójczy totalitaryzm XX wieku, ale ma wielkie znaczenie również współcześnie. **Człowiek nie może stawać się narzędziem osiągnięcia żadnych celów politycznych ani społecznych. Człowiek sam jest celem każdej sprawiedliwej polityki.** Oczywiście nie w sensie absolutnym, a jedynie względnym; człowiek jako taki również ma cel, a jest nim chwalenie Boga i zjednoczenie z Nim w Chrystusie Jezusie w Królestwie Bożym.

W wizji kosmosu Elona Muska nie może być o tym mowy. Kosmos – niezależnie od tego, czy jest odwieczny, czy miał swój początek – wydaje się w tej wizji nieustannie ewoluować. Antropocentryzm byłby dlatego zrozumiałą ideologią ludzkich społeczności, ale dziś już przebrzmiała, swoistym temporalnie ograniczonym mitem. Jak to możliwe? W tej wizji **w kosmosie istniałoby immanentne parcie do zyskania samoświadomości.** Powstanie ziemi, wreszcie życia na niej, jego rozwoju – wszystko byłoby przez długie eony nakierowane na to, by zaistniał człowiek. Ludzki umysł – o „duszy” nie ma oczywiście mowy – byłby przedmiotem celowej ewolucji kosmosu. **Innymi słowy, cały wszechświat opowiadał o przyszłej chwale istoty ludzkiej i do niej dążył.** Kiedy Protagoras powiedział, że człowiek jest miarą wszechrzeczy – miałoby to znaczenie niemal absolutne – ale tylko w „erze człowieka”. Bo ostatecznie w kosmologii Muska **na-stawienie Wszechświata na wytworzenie ludzkiej świadomości nie byłoby ostatnim tego Wszechświata aktem, ale tylko jednym z kolejnych etapów.**

Kolejnym – który rozpoczyna się za naszych dni – ma być powstanie AI. „Ludzkość jest tylko biologicznym programem rozruchowym dla cyfrowej superinteligencji” – to oznacza, że **tak naprawdę immanentna dążność Wszechświata do samoświadomości byłaby nakierowana na wytworzenie „bytu superinteligencji”.** Nie

na zdolności ludzkie zakotwiczone w biologicznie uwarunkowanym i krótkotrwałym działaniu indywidualnego mózgu, ale na osiągnięcie niezależnego od biologii, bardziej żywotnego i przede wszystkim nieograniczonego przez zdolności jednostkowe „bytu” AI.

Skoro tak, to człowiek w konieczny sposób zostaje pozbawiony własnej wartości. Inaczej niż naucza Kościół, człowiek nie ma żadnej ontologicznej godności, według Kościoła zakotwiczonej w Bogu i „zaciąganej” przez człowieka jako Jego stworzenie odkupione przez Chrystusa. **W teleocyfrowym kosmologizmie człowiek ma godność całkowicie skończoną, a nawet tymczasową. Można ją porównać do godności kurczaka w rzeźni.** Kurczak w rzeźni służy podtrzymaniu przy życiu człowieka. Człowiek służy stworzeniu sztucznej inteligencji. W tym łańcuchu wartości właściwą godność ma tylko to, co znajduje się na jego końcu. **Nie jest to człowiek.**

Elon Musk nie jest ani twórcą, ani nawet najbardziej radykalnym adherentem kosmologizmu teleocyfrowej, czyli rozumienia kosmosu jako nastawionego na wypracowanie cyfrowej inteligencji. Ruch transhumanistyczny, którego kosmologizm teleocyfrowy jest jednym z istotnych elementów, ma wielu członków, od informatyka i futurysty Raya Kurzweila, przez miliardera zaangażowanego na rzecz Republikanów Petera Thiela, aż po ideologów nowego społeczeństwa w rodzaju Curtisa Yarvina (Mencius Moldbug) czy Nicka Landa (autora terminu „The Dark Enlightenment”). Musk jest jednak najbardziej prominentną figurą tego ruchu – i jedyną, która ma potencjalne zdolności do przekucia idei w życie.

Stawiam tymczasem tezę, że **kosmologizm teleocyfrowy ma za datki na stanie się kolejną ludobójczą ideologią**, piątą już z kolei (poprzedziły ją: francuski egalitaryzm, niemiecki nazizm, sowiecki marksizm, liberalny aborcjonizm). Ludobójczy charakter kosmologizmu teleocyfrowego nie musi uwidaczniać się w systemowych akcjach mordowania ludzi tak, jak w przypadku trzech pierwszych ideologii ludobójczych. **W swoich skutkach praktycznych może być o wiele podobniejszy do aborcjonizmu**, jakkolwiek mieć silniejszy

zasięg destruktywny. Podam prosty, teoretyczny przykład, który pokazuje, jak sędzę, naturę problemu.

Kosmologizm teleocyfrowy jako ideologia praktyczna byłby nakierowany na maksymalizację zysków podmiotów gospodarczych, które widzą swój interes w rozbudowie potęgi AI. Te podmioty chciałyby następnie użyć tej potęgi celem poddania swojej kontroli jak największej części ludzkiej populacji. Teoretycznie – dla „dobra” jej samej, „dobra” rozumianego jako wypełnienie swojego właściwego przeznaczenia, **czyli stania się „nawozem” dla AI.**

Aprioryczne, ideologiczne przekonanie gigantów cyfrowych co do prawdziwości przyjętego kierunku, **pozwalaloby na całkowitą instrumentalizację człowieka celem optymalizacji polityki** tak, by zwiększać szansę realizacji wypełnienia tego domniemanego przeznaczenia – stania się faktycznym „nawozem” dla superAI. W praktyce codzienności politycznej cel główny – osiągnięcie superinteligencji – byłby oczywiście nieodróżnialny od celu obiektywnie pobocznego, choć subiektywnie kluczowego jako motor napędowy działań „władców” od AI – czyli wspomnianej maksymalizacji zysków.

Załóżmy, że adherentom kosmologizmu teleocyfrowego udaje się przejąć władzę polityczną i ją ustabilizować, na przykład dzięki wykorzystaniu narzędzia kontroli umysłów, jakim są media społecznościowe w ich rękach.

Pierwszym znamieniem ludobójczej polityki kosmologizmu teleocyfrowego stałoby się być może ***in vitro***. Polityka prowadzona w ramach ideologii nie powinna dopuszczać, by na świat przychodzili **ludzie zbędni z perspektywy realizacji właściwego celu polityki, czyli nastania superinteligencji.** Byłoby to **nieoptymalnym marnowaniem zasobów ziemi, przynależnych z samej swojej natury superinteligencji.** Dlatego należałoby objąć prokreację **powszechnym programem *in vitro***, tak, by rodzić mogli się tylko ludzie posiadający określone cechy, wybrane przez władzę polityczną zgodnie z kluczem celowościowym kosmologizmu teleocyfrowego.

Dodatkowo konieczne stałoby się zbudowanie systemu kastowego i podziału ludzkości na grupy przeznaczone do odrębnych zadań.

Przykład. **Kosmoligizm teleocyfrowy może zakładać, że celem przetrwania cyfrowej superinteligencji konieczne jest jej zakotwiczenie na innej planecie, niż tylko Ziemia. Może być to Mars, o którym chętnie mówi Elon Musk.** Potrzebni są zatem ludzie, którzy dokonają transferu biologicznej podstawy funkcjonowania superinteligencji na Marsa. Wykorzystując opłacone surogatki można byłoby wytworzyć ludzi zaprogramowanych tak, by lepiej znosić warunki podróży kosmicznych; człowiekowi narodzonemu w ramach takiego programu nie przysługiwałaby już wolność osobista, ponieważ poniesione nakłady na jego zaistnienie musiałyby się zwrócić w postaci wysłania go na Marsa.

Sukces takiego programu emisji ludzkiego nawozu na Marsa zależałby oczywiście od optymalnej pracy wielu „elementów nawozu zamieszkujących Ziemię” („ludzi”), ale **dzięki *in vitro* można byłoby optymalizować ich pracę.** Jeżeli potrzebni są tacy, których misją życiową będzie zdobycie pożywienia dla wysyłanych na Marsa, to nie jest wskazane, by posiadali cechy negatywnie wpływające na zdolność do realizacji tego zadania. Mogliby zatem zostać odpowiednio zaprogramowani w ramach *in vitro* – na przykład ogłupieni. Oczywiście *in vitro* ma swoje ograniczenia i nawet w najbliższych dekadach będzie je pewnie mieć, ale niewykluczone, że część z problemów nieprzewidywalnych w fazie programowania pożądanych ludzi udałoby się rozwiązać dzięki zmianie w funkcjonowaniu mózgów tych, którzy narodzili się bez takiego programowania – **na przykład dzięki implementacji odpowiednich czipów.**

W tym nowym świecie istniałaby tylko jedna grupa ludzi prawdziwie wolnych, to znaczy wąskiej kasty quasi-kapłanów AI zarządzającej systemem optymalizacji społecznej. Reszta byłaby dosłownie i w przenośni tylko nawozem.

To wszystko wydaje się być tylko pokrętną i naprędce stworzoną dystopią. Jednak w 1933 roku mało kto był w stanie przewidzieć, że osiągnięta właśnie „niemiecka stabilizacja polityczna” kulminuje w ciągu dekady w bezprecedensowej akcji eliminacji „materiału biologicznego” uznanego przez władze III Rzeszy za zbędny z perspektywy realizacji celów tejże III Rzeszy, czyli zabezpieczenia jej istnienia i maksymalizacji wpływów terytorialnych i politycznych. Ideologia była najważniejsza: władze niemieckie były gotowe zainwestować duże środki materialne i ludzkie, by wymordować jak największą liczbę Żydów czy też znaczną część społeczności Polski i innych krajów podbitych. Zarówno w przypadku masowo mordowanych Polaków jak i masowo mordowanych Żydów, przy wszystkich rozróżnieniach stosowanych przez Niemców, zabijanych uznawano za „podludzi” czyli za byty pozbawione właściwej „prawdziwym” ludziom godności. Potencjalność ludobójstwa istniała w ruchu nazistowskim zawsze, już w 1933 roku, nawet jeżeli mało kto potrafił to dostrzec. Było tak, bo w jego założeniach filozoficznych nie było miejsca dla godności człowieka niezależnej od przypadłości etnicznych, intelektualnych czy zdrowotnych.

Podobnie w ruchu transhumanistycznym istnieje nieusuwalna potencjalność ludobójstwa, bo teleocyfrowy kosmologizm, tak jak nazizm, nie uznaje „absolutnej” ludzkiej godności w sensie kategorycznego odrzucenia wykorzystywania człowieka jako narzędzia.

Tego ryzyka nie wolno bagatelizować.

Zakładam, że Elon Musk jak i wielu innych transhumanistów czy kosmologicznych teleocyfrystów może o tym w ogóle nie wiedzieć; byliby być może poważnie zdziwieni tymi rozważaniami. Fakty są jednak faktami – instrumentalizacja człowieka jest potencjalną drogą do ludobójstwa. Zasiane dziś idee w połączeniu z nowymi zdobyczami technicznymi mogą w przyszłości zrodzić kulturowe monstrum, które zrealizuje piąte ludobójstwo.

Ostatecznie tylko cywilizacja oparta na mocnej, bo objawionej wierze w stworzenie człowieka przez Boga i jego wyniesienie do nowej godności poprzez odkupienie w Chrystusie jest gwarancją (ułomną, bo ludzką, ale jednak gwarancją) sprawiedliwości polityki.

Bez Chrystusa możliwe stają się wszelkie zbrodnie.

↩
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI

Powyższy artykuł znajdziesz również tu:

<https://pch24.pl/transhumanizm-ta-ideologia-ma-wielki-potencjal-ludobojstwa/>



KOBIECOŚĆ BEZ MACIERZYŃSTWA, MĘSKOŚĆ BEZ ODPOWIEDZIALNOŚCI. OTO PRZEPIS NA KATASTROFĘ

„Kobieta, która poddaje się obowiązkom narzuconym przez społeczeństwo, zobowiązania, rodzinę, karierę, zostaje z bardzo małym wpływem na kierunek własnego życia”. Na tyle przyzwyczailiśmy się już do feministycznych komunałów, że podobne słowa nikogo nie dziwią. Problem w tym, że to, co wiarygodnie przypomina wynurzenie wojującej feministki, to delikatnie zmieniony cytat z książki kluczowej dla popularnej „manosfery”. Przekonania, ale i ideał życia, jaki proponował mężczyznom najbardziej chyba znany autorytet ruchu „czerwonej pigułki” – Rollo Tomassi – odpowiadają spojrzeniu dziewcząt spod znaku błyskawicy na klasycznie pojętą kobiecość. Przed manosferą rysuje się poważne ryzyko – zanegowania samego sedna męskiej tożsamości – ponoć w męskim interesie.

ROLLO TOMASSI – JAK NISKO POTRAFI UPAŚĆ MANOSFERA

Wspomniany cytat to fragment z książki „Mężczyzna racjonalny”, jednej z najpopularniejszych publikacji w świecie „czerwonej pigułki” (ang. red pill) – rosnącego w siłę środowiska intelektualnego skupionego na relacjach damsko-męskich. W oryginale fragment – jak nietrudno się domyślić – brzmi: „mężczyzna, który podaje się obowiązkom narzuconym przez społeczeństwo, zobowiązanie, rodzinę, karierę, czy wojsko zostaje z bardzo małym wpływem na kierunek własnego życia”.

Podobne stwierdzenia niektórych przedstawicieli ruchu „red pill” pokazują zbieżność ich sposobu myślenia z feminizmem. Takie spostrzeżenie natrafia często na opór komentatorów utożsamiających się z manosferą, jak inaczej nazywa się to środowisko. Porównanie ma być rzekomo nietrafne. Między innymi dlatego, że ich środowisko ponoć nie formułuje żadnych drogowskazów i modeli życia – a jest

jedynie próbą obserwacji zachowań mężczyzn i kobiet na rynku matrymonialnym.

Być może niektórzy rzeczywiście tak rozumieją ten nurt i w ten sposób starają się myśleć w oparciu o jego refleksje. Byłoby jednak naiwnością powiedzieć, że jest tak w każdym wypadku.

Gdy sięgniemy do książki „mężczyzna racjonalny” Tomassiego, znajdziemy w niej nie tylko oparte o psychologię ewolucyjną diagnozy, ale i wiele subiektywnych przekonań. Dużą rolę w jego myśleniu zdaje się odgrywać na przykład liberalne i płytkie rozumienie wolności. Autor wywodzi z niego ważny dla swojego myślenia wniosek. Władza nad własnym życiem ma być tam, gdzie nie ma zdefiniowanych obowiązków, a przede wszystkim – przywiązania do innych.

Kto namyśli się nad sprawą z łatwością dostrzeże problem. Zobowiązania tyle, co ograniczeniem, są obroną wolności. Wspomniana przez Tomassiego służba wojskowa wprawdzie krępuje samowolę, ale brak sprawnej armii i ryzyko utraty politycznego wpływu przez nadmierny wpływ zagranicznych ośrodków nie gwarantuje podmiotowej pozycji. Małżeństwo ogranicza poszukiwanie nowych i zmiennych relacji – ale ma jednocześnie zapewnić bezpieczną podstawę prokreacji i wzajemnego wsparcia, bez potrzeby wiecznego poszukiwania czasowych i niepewnych związków. Wieczne zobowiązanie daje jednocześnie obu stronom wysoką pozycję negocjacyjną w ustalaniu zasad wspólnego życia.

U Tomasiego świadomości starej zasady „wolność, by była posiadana, musi być ograniczana” w zasadzie nie widać. Pada ona ofiarą spojrzenia na świat, którego zręby streścić można – zdaje się – w taki sposób: Mężczyzna traktując poważnie swoje zobowiązania odbiera sobie wpływ na życie, traci atrakcyjność i jest na prostej drodze do zostania wykorzystanym. Zamiast aspirować do takiej odpowiedzialności, stroń od niej – skupiając się na prywatnych dążeniach i osobistych planach. Do wygrania masz hedonistycznie satysfakcjonujące

i „niezależne” życie. Nie sposób nie widzieć tu analogii do feministycznych haseł wyzwolenia i awersji wobec obowiązków rodzinnych.

KRYZYS MĘŻCZYZN I SFEMINIZOWANE SPOŁECZEŃSTWO

Po co w ogóle o tym pisać? Ruch „czerwonej pigułki” już dawno przestał być anonimowy. Manosfera nabiera na znaczeniu jako kompas, mający pomóc mężczyznom odnaleźć się w sfeminizowanym społeczeństwie. Nie sposób przejść obojętnie wobec „redpilla”, bo pretenduje on do roli remedium na problemy, które rzeczywiście widać na każdym kroku.

Feministyczny sposób myślenia zakorzenił się na w społeczeństwie na tyle mocno, że determinuje oczekiwania wobec relacji – które nie przekładają się na wzajemność między kobietami i mężczyznami. Awersja do obowiązków rodzinnych odgrywa tu pierwsze skrzypce. Zostać w domu z dziećmi? W życiu! Nerozerwalne małżeństwo? Więzienie! Opieka nad ogniskiem domowym? Uwłaczająca. Dla wielu Pań, jakie przejęły się tym feministycznym spojrzeniem, w związku paradoksalnie nie chodzi o obie jego strony – ale o „ja” i samorealizację. Zobowiązania są w tym wypadku zdecydowanie nie na miejscu. Nie na miejscu w domu ma się rozumieć, wobec swojego męża. Wobec przełożonego w korporacji, albo klientów w biurze – to już jak najbardziej.

Ci mężczyźni, którzy w tej atmosferze poszukują trwałych związków, są rzeczywiście w trudnym położeniu. Nie czują się oni wolni od swoich zobowiązań wobec kobiet – ale zabrania się im wypełniać konsekwentnie ich rolę. Męskość klasycznie ujęta traktowana jest jako pretensjonalna i protekcyjna. Opieki nad rodziną i kobietą już nie trzeba, bo ta ma zajmować się sama sobą. O wizji głowy rodziny nie ma mowy. Cięża i dzieci – poza finansami – to kobieca sprawa...

Na miejsce tradycyjnej – toksycznej ponoć – męskości proponuje się dziś „pozytywną”. Gdy poświęcić tej kategorii więcej uwagi okazuje się, że akceptowany powszechnie mężczyzna jest po prostu cieniem. Skupia się na szacunku do kobiet oraz uległości wobec ich dążeń, a nade wszystko stroni od przemocy. Nie sposób pomyśleć, by tak

postrzegana rola w relacji mogła być nagradzająca. To ustawienie się na marginesie i traktowanie własnego potencjału do podejmowania odpowiedzialności za siebie i bliskich jako niebezpiecznego.

Nie tylko feminizm uszkadza jasność co do męskiej roli. Tradycyjnie przypisywane mężczyznom i przynoszące wiele satysfakcji zadanie opanowywania natury w olbrzymiej mierze przejęło państwo. Przestrzeń, którą trzeba „zdobyć” dla pożytku położonej pod swoją pieczę rodziny drastycznie zmniejsza się wraz z postępem technologicznym – ale i coraz bardziej „opiekuńczym” charakterem aparatu władzy.

W tej atmosferze nie brak mężczyzn, którym w związkach i na etapie prób ich zbudowania brakuje kart. Niektórzy z zagubionych posuwają się nawet do przyjmowania upokarzających ról w relacjach. Skrajnym przykładem takiej postawy jest niesławny mit „rogacza” (ang. „cuckold”), o którym ruch czerwonej pigułki mówi bardzo wiele. Oznacza on relację, w której „pozytywnie” usposobiony mężczyzna zgadza się na pozamałżeńskie relacje romantyczne żony.

„WHAT IS A MAN”?

Manosfera w nadziei jej praktyków ma dawać odpowiedzi na podobne zjawiska i potrafić je wyjaśnić, korzystając z aparatu psychologii ewolucyjnej. Wydaje się jednak, że – przy całej różnorodności tego nurtu – część obecnych w nim refleksji jest raczej zagrożeniem dla męskości, niż jej obroną.

Oczekiwania co do relacji i postaw mężczyzny formułowane przez Rollo Tomassiego w „mężczyźnie racjonalnym” są iluzorycznie podobne do porad, jakie dla kobiet miałyby stereotypowa feministka. Znajdujemy tam na przykład stwierdzenie, że męską siłę i panowanie nad własnym życiem – które z całą pewnością autor traktuje jako godne zabiegów – reprezentował Paul Gauguin: malarz, który porzucił swoją rodzinę we Francji, by wieść życie przygody na Polinezji. W swojej pracy Tommasi nie tłumaczy tej decyzji i nie opowiada nawet pełni historii o nieudanym małżeństwie malarza. Zwyczajnie afirmuje jego decyzję.

Swego czasu dużą uwagę skupił również wiele mówiący wpis Tomassiego w mediach społecznościowych, w którym przekonywał, że najszybszą drogą do stania się atrakcyjnym mężczyzną jest wazektomia, brak dzieci i niezawieranie małżeństwa.

Porównanie części postulatów Tomassiego do feminizmu to nie przykra złośliwość – ale ważna przestroga. Szczególne znaczenie ma w tym względzie analogia do feminizmu trzeciej fali. Nowoczesne bojowniczkki „praw kobiet” w emancypacyjnym boju zdecydowały się rywalizować z mężczyznami o ich zadania, a za słabość uznały samą kobiecość – skoncentrowaną na macierzyńskim potencjale i opiece nad domem. By zdystansować się od klasycznego ideału, od dekad środowiska te szermują kategorią płci społeczno – kulturowej. Przykładem jest niesławna Judith Butler – której rola w ekspansji ruchu gender – kwestionującego związek zachowania z płcią biologiczną – jest nie do przecenienia...

W tym kontekście poparcie wielu feministek dla ruchów transpłciowych i przemianowanie proaborcyjnych manifestacji na strajk „osób z macicami” nie dziwą w ogóle. W walce z kategorią „słabszej płci” feminizm posunął się aż do dekonstrukcji tego, kim jest kobieta... na tyle, że czołowi przedstawiciele postępowości nie są już w stanie odpowiedzieć na pytanie „What is a woman”?

W książce Rollo Tommasiego zapisane są tymczasem idee, które sprawiają, że niedługo na pytanie „What is a man?” może nam być podobnie trudno odpowiedzieć. Oczywiście nie chodzi o awersję do biologicznego rozróżniania płci, której w „Mężczyźni racjonalni” nie znajdziemy. Ale jeśli mowa o tradycyjnej wizji męskości – to dla sławnego przedstawiciela ruchu „red pill” jest ona czymś, co trzeba zdekonstruować. Na tyle, że sensowne opowiedzenie o tym, co jest „męskie”, straci kluczowy element treści – odpowiedzialność.

Dla autora „mężczyźni racjonalni” strzeżenie zobowiązań wobec swojej kobiety i potomstwa – a więc patriarchalny porządek relacji – to element „kobiecego matrixu”. Tu zresztą spotykamy kolejną

analogię do feminizmu, która oddala poważnie red pill od katolickiej wiary. Jak pisze Tomassi, przywiązanie do monogamii i dążenie do niej to poddanie się żeńskim dążeniom. Małżeństwo, w którym mężczyzna stawia na wierność i oddanie swojej rodzinie, jest w jego ujęciu sukcesem „kobiecego imperatywu”. Dla Tomasiego taki związek jest co do zasady damską instytucją. Według feministek patriarchalne małżeństwo to więzienie i klatka sformowana przez mężczyzn... W obu wypadkach związek małżeński pojmowany jest jako pole próby sił między sprzecznymi dążeniami dwojga płci.

Tymczasem w ujęciu katolickim małżeństwo jest daną przez samego twórcę natury zasadą wiązania się ludzi, przez Chrystusa Pana podniesiona do rangi sakramentu wraz z zadaniem nie tylko zrodzenia potomstwa, ale właśnie przymnożenia liczby chrześcijan. Cel męża i żony jest więc w nim zupełnie wspólny.

„CUCKSERWATYZM”?

Środowiska „czerwonej pigułki” częstokroć nie rozumieją porównywania ich do założeń do feminizmu i oburzają się, gdy ono pada. Na krytykę ze strony zwolenników tradycyjnego spojrzenia na męskość manosfera odpowiada zarzutem „cuckserwatyzmu” (zlepka ang. słowa cuckold – „rogacz” i polskiego – konserwatyzm). To deprecjonujące określenie ma ułatwić merytoryczne starcie. Sugeruje, że dystansując się od założeń „redpilla” środowiska konserwatywne kierują się przywiązaniem do podrzędnej pozycji w związku – strategii mężczyzny „beta”. Jej sednem ma być przyjęcie na siebie licznych zobowiązań w związku w nadziei na zrekompensowanie braków „samczej energii”. Pożyteczność zamiast atrakcyjności.

Zwolennicy „czerwonej pigułki” wykazują się tu sporą ignorancją. Klasycznie ujęte małżeńskie powinności nie mają ostatecznie na celu zadowalania kobiety, ale obiektywne i obustronne dobro. Upominając się o męskie zobowiązania i tradycyjne role płciowe konserwatyzm nie propaguje wizji, w której obowiązki leżą po stronie mężczyzny, ale broni związku opartego na wzajemnych zobowiązaniach. W chrześcijańskim małżeństwie to nie zdobycie kobiety jest głównym

celem – ale właściwe życie. Dobra związku to wierność, potomstwo i sakrament.

Z tego powodu zarzuty zwolenników manosfery, według których konserwatysta staje w roli „białego rycerza” broniącego dam, są strzałem „kulą w płot”. Tradycyjny wzór relacji i męża i żonę stawia w roli służebnej względem po pierwsze celów związku, po drugie wobec siebie nawzajem. Nie ma tu triumfu kobiecych dążeń – zwycięstwo jest wspólne.

DOBRY, CZY ZŁY REDPILL?

Gdy próbujemy zatem ocenić manosferę – przy całej jej różnorodności – warto jako kryterium postawić jedno pytanie. Czy podstawą „ruchu mężczyzn” ma być podkopanie samego kanonu męskości – w którym odpowiedzialność i służba bliskim odgrywa olbrzymią rolę?

Tak długo, jak dystansujemy się od odpowiedzi twierdzącej, różni twórcy ze spektrum manosfery mogą mieć nam do zaproponowania pożyteczne porady, czy obserwacje. Trzeba jednocześnie z ostrożnością podchodzić do każdej z nich. Ostatecznie czerpią z wizji człowieka, która dla katolika pozostaje nie do przyjęcia i ma w sobie fatalny rewolucyjny potencjał.

 WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI

Powyższy artykuł znajdziesz również tu:

<https://pch24.pl/kobiecosc-bez-macierzynstwa-meskosc-bez-odpowiedzialnosci-oto-przepis-na-katastrofe/>

ROSJA, CERKIEW, KATOLICYZM

Idea unii była podstawowym środkiem realizacji idei jedności chrześcijan w Kościele sprzed soboru Watykańskiego II. Po tym soborze obrządku unijne zachowano, bo też trudno sobie wyobrazić, aby takie wspólnoty rozpędzać. Rzym poszedł jednak daleko w odstąpieniu od idei unii. Znalazło to wyraz w deklaracji podpisanej w Balamand (1993), w której Stolica Apostolska nawet odżegnała się do stosowania unii jako metody działania. Dokument ów operuje neologizmem „uniatyzm”, a zjawisko to krytykuje, zaliczając go do prozelityzmu. Tu oczywiście zaznaczyła swoją obecność ideologia ekumenizmu, jakże groźna. Nie nawracajmy, ale uprawiajmy dialog – tak można streścić to stanowisko. Jednym słowem, ważniejszy jest ekumenizm niż unia – mówi prof. Marek Kornat w rozmowie z PCh24.pl.

Szanowny Panie profesorze, dlaczego Rosja jest prawosławna, a nie katolicka?

Na ten temat można by napisać kilka solidnych książek. Spróbuję odpowiedzieć w maksymalnym skrócie. Jest prawosławna, bo przyjęła chrześcijaństwo od Bizancjum, które zerwało z Rzymem w r. 1054. Rzecz wszakże w tym, że Ruś Kijowska to była jednak cywilizacja europejska, czego o Moskwie nie można powiedzieć. W Europie miał wówczas miejsce dualizm cywilizacyjny, podział na łaciński Zachód i grecki Wschód. Rozwój cywilizacji wschodnio-chrześcijańskiej, do której Ruś Kijowska należała, doznaje straszliwego wstrząsu, jakim jest opanowanie kraju przez Mongołów w pierwszej połowie wieku XIII. Symbolem ówczesnej klęski Rusi jest bitwa nad rzeką Kałką w 1223 roku. Wówczas dopełniła się katastrofa Rusi, a Mongołowie stali się panami ogromnych przestrzeni geograficznych Europy Wschodniej. Dopiero kiedy załamuje się Imperium Mongolskie, Ruś otrzymuje szansę odzyskania wolności. Na gruzach mongolskiego

panowania wybija się Moskwa, gdzie znajduje się najsilniejszy ośrodek aspirujący do zjednoczenia ziem ruskich.

Moskwa bierze początek od Iwana Kality. Jego przydomek nie jest przypadkowy. Słowo „kalita” po rosyjsku znaczy sakiewka. Iwan był wyznaczony na swego rodzaju skarbnika Mongołów w zbieraniu danin, które trzeba było płacić im jako lenno. W Moskwie, w centrum tamtej organizacji państwowej, powstaje Nowa Ruś. Choćby ze względu na położenie geograficzne Moskwy jest bardzo wyraźnie obciążona wpływami Wschodu. Trzeba też pamiętać o ponad dwustu latach panowania mongolskiego. To jest prawie dwa razy tyle, ile trwały rozbiory Polski, które przecież odbiły się mocno na naszej narodowej świadomości i kulturze.

Bitwa na Kulikowym Polu, w której książęta ruscy zadali ciężkie straty armii Mongołów, została stoczona w roku 1380. Wtedy pojawiają się przed Rusią nowe perspektywy. Ruś jednak jest już z zasadniczym centrum w Moskwie, a takie ośrodki jak Kijów schodzą na plan dalszy. Tu oczywiście ogromne znaczenie ma przyłączenie tych terytoriów do Wielkiego Księstwa Litewskiego, które zostanie pod koniec XIV wieku, jak wiadomo, związane z Polską unią personalną.

Oczywiście idea unii po zerwaniu więzi z Rzymem przez schizmę Cereulariusza jest ciągle żywa. Ideę unii mocno wyartykułował najpierw Sobór Lyonński w 1274, a potem Sobór Florencki w 1439, ale carowie moskiewscy nie mieli jakiegokolwiek ochoty rzeczywiście iść w stronę unii, choćby dlatego, że oznaczałoby to zależność od Biskupa Rzymskiego w polityce kościelnej. Pamiętajmy, że Stolica Apostolska nigdy nie odstąpiłaby od prymatu jurysdykcyjnego i prymatu w nauczaniu Biskupa Rzymskiego, chociaż to nie było wtedy formalnie ogłoszone i potwierdzone dogmatami, co zrobił dopiero I Sobór Watykański; nauka pozostawała jednak cały czas w mocy. Trudno dziwić się carowi, że prowadził politykę samowładcy, a więc despotyczną, politykę podbojów. Politykę tę prowadzili carowie przemocą nie tylko wobec potęgi państwowej, jaką była polsko-litewska Rzeczpospolita, ale rozpoczęli ją od zdławienia Nowogrodu Wielkiego, który był republiką

(1470). Ten epizod pokazuje bezwzględność carów w dążeniu do ekspansji za wszelką cenę. Takiemu państwu unia kościelna w oczywisty sposób nie była potrzebna i sędzę, że nie ulegało wątpliwości dla wielkich książąt moskiewskich, zwłaszcza dla Iwana III, Wasyla III czy Iwana IV, że schizma Cerulariusza to było błogosławione zrządzenie losu czy też Opatrzności.

Tworzyła się oczywiście też określona ideologia, uznania Moskwy za „trzeci Rzym”. Zgodnie z tą ideą „pierwszy” Rzym upadł wraz z krachem Cesarstwa Zachodnio-Rzymskiego w 476 roku; „drugi”, czyli Konstantynopol, upadł w 1453, a w tych warunkach przejmie całe dziedzictwo Moskwa jako „trzeci”. „Czwartego Rzymu” już nie będzie.

Czasami Stolica Apostolska – co mówię już na marginesie – przyczyniała się do niechęcy do udzielenia Moskwie pomocy. Na przykład wyraziło się to w naciskach na króla Stefana I Batorego, aby zatrzymał ofensywę polską na wschód, bo car obiecywał Rzymowi unię. Oczywiście kiedy tylko zagrożenie minęło, odstąpił od jakichkolwiek przyrzeczeń. To była już końcowa część XVI stulecia.

Kiedy pojawiła się idea, że prawosławie jest prawdziwą wiarą chrześcijańską? Jak w ogóle ów „trzeci Rzym” miał wyglądać? Dlaczego dzisiaj Rosja wraca do tej koncepcji?

Przede wszystkim operowano tu następującymi argumentami: Zachód jest materialistyczny, nie tak duchowy jak Wschód; chrześcijaństwo na Zachodzie doznało swoistego zepsucia. Papiestwo to nic innego jak po prostu wielki renesansowy dwór książąt świeckich prowadzących doczesne interesy – tymi książętami są oczywiście papieże, którym cały świat Zachodu składa hołd i uznaje wobec nich swoje posłuszeństwo. Kierownictwo Kościoła uznano za skażone i tym samym nieprawowite. Dodawano do tego takie argumenty jak na przykład, że w Kościele Rzymskim doszły sprzeczne z ortodoksją dodatki jak choćby dogmat o pochodzeniu Ducha Świętego od Chrystusa, czego prawosławni nie chcieli przyjąć. Powoływali się na to, że pojawiło się to dopiero w hymnie pochwalnym ku czci Trójcy Przenajświętszej,

jakim jest *Gloria in Excelsis Deo*, który obowiązkowo zaczęto śpiewać we mszach uroczystych dopiero w XI wieku i to podczas koronacji królów niemieckich na cesarzy rzymskich. Doszły argumenty, że ogromną rolę w Kościele odgrywa machina biurokratyczna. Że jest potęgą jezuitów, którzy sprowadzili naukę Kościoła do kazuistyki i do formułek prawnych oraz dystynkcji pojęciowych. W końcu podnoszono, że prawosławie ma świeżą wiarę ludu, nie jest zepsute, nie doznaje tych wszystkich skażeń cywilizacją zachodnią i w związku z tym ma w rękach przyszłość. Oczywiście pomijano to, że Cerkiew prawosławna jest bezwzględnie podporządkowana despotycznemu państwu, że jest narzędziem takiej władzy. To było oczywiście pomijane w narracji propagandowej, która miała uzasadnić słuszność tezy o „trzecim Rzymie”.

Ale z tego co Pan profesor przed chwilą wymienił wychodzi, że Moskwa nie wysuwała praktycznie żadnych argumentów i ataków dogmatycznych, tylko polityczne i administracyjne...

Nikt nie mógł powiedzieć, że Biskup Rzymski nie jest chrześcijaninem. Nie dało się głosić, że w Kościele katolickim nie ma wiary w Boga. Można było za to powiedzieć, że ta wiara jest skażona, obciążona naleciałościami i dodatkami heretyckimi i tak dalej. Należało mówić, że cywilizacja Zachodu wywarła taki wpływ na Kościół, iż ten Kościół jest skażony i tym samym bez przyszłości. Słynna wizja Dostojewskiego w powieści „Bracia Karamazow” coś nam mówi, prawda? Oskarża Inkwizycję o bezdusność, o bycie swego rodzaju machiną polityczną sterowaną rękami przywódców Kościoła. Pisarz ten mówił, że Inkwizycja, gdyby mogła, skazałaby Chrystusa Pana na śmierć, jak uczynił to żydowski Sanhedryn. Wielki Inkwizytor (w wizji Dostojewskiego papież) zwraca się do Zbawiciela w zuchwałych słowach, nakazując mu milczenie i otwarcie mówiąc, że „przyszedł nam przeszkadzać”.

Wobec tego stwierdzić należy, że jedyna, prawdziwa wiara jest w Moskwie, tak?

Może nie tyle w Moskwie, co na Wschodzie. Wschodnie chrześcijaństwo ma przyszłość. Zachodnie – nie. Takie było to rozumowanie.

Na wschodzie, a nie w Moskwie?

Tak, bo jest to chrześcijaństwo wschodnie, greckie. Gdyby ocalał Konstantynopol, to Moskwa nie mogłaby podstawić się w jego miejsce, stosując narrację o swojej misji. Jednak Konstantynopola nie ma od 1453, bo został zlikwidowany przez barbarzyńców. W związku z powyższym w rolę kontynuatora jego misji wchodzi Moskwa, biorąc na siebie obowiązek obrony chrześcijaństwa jako mandatariuszka prawdziwego Kościoła.

Kiedy Cerkiew została podporządkowana państwu?

Od początku w Kościele prawosławnym nie było mowy o tym, żeby tam wystąpił jakikolwiek biskup przeciwko władcy, cesarzowi, księciu, czy carowi, niezależnie od tego, czy była to Ruś Kijowska, czy było to Bizancjum, czy Moskwa jako Wielkie Księstwo, a potem Rosja. Tym właśnie różni się Zachód o Wschodu, że na Zachodzie takie przypadki sprzeciwu wobec władzy w imię zasad moralnych zaistniały. Przypadki św. Stanisława w Polsce (XI w.) czy Tomasza Becketa w Anglii (XII w.) są na to dowodem.

Uzależnienie Kościoła od państwa w chrześcijaństwie wschodnim była praktyką utrwaloną i nie nastąpiły od tego jakiegokolwiek odstępstwa. Warto dodać, że w Bizancjum praktykowana była tradycja mianowania na stolicę patriarszą ministrów. Cerulariusz, który tak wybitnie przysłużył się sprawie schizmy 1054 r., był wcześniej ministrem, a nie duchownym. Z woli cesarza został głową Kościoła w Konstantynopolu. Skoro tak było, to pojawia się pytanie: jakiej idei ktoś taki służy, zajmując tak wysokie stanowisko. Kościołowi, czy państwu? Oczywiście służy temu, kto go mianował. A więc cesarzowi, czyli państwu. Tak mamy do czynienia ze ścisłym podporządkowaniem państwu Kościoła, bo o żadnej niezależności mowy być nie może.

Dalsze podporządkowanie Cerkwi państwu przeprowadził Piotr I. Jego wielka reforma kościelna zniosła, jak wiadomo, urząd patriarchy, czyli głowy Kościoła, degradując w ten sposób Moskwę do roli metropolii. Urząd najwyższy w Kościele przejął tak zwany Najświętszy Synod, a w tym Najświętszym Synodzie zasiadała grupa biskupów wybranych przez cara. Kierował nim minister, którym był człowiek świecki, nie musząc mieć żadnych święceń. Nosił tytuł prokuratora Najświętszego Synodu. Nie miał żadnych święceń, ale wydawał polecenia biskupom. To właśnie pokazuje, na czym polega najściślejsza zależność Kościoła od państwa w Rosji. Oczywiście, kiedy upadł carat, za Rządu Tymczasowego, Cerkiew nie pytając się o zgodę nowej władzy sama się w pewien sposób emancypowała. Zdobyła się na czyn, jakim było zwołanie już nie urzędowego, tylko prawdziwego synodu biskupów i proklamowała wznowienie Patriarchatu Moskiewskiego. Przeprowadzono kanoniczny wybór patriarchy. Potem zakomunikowano to rządowi.

Ale to był tylko przeblýsk wolności Kościoła, bo zaraz go zgasił bolszewizm, który dążył do rozprawienia się z Kościołem prawosławnym tak, aby on po prostu zniknął z horyzontu.

Dzisiaj wiele osób odpowiedziałoby Panu profesorowi, że Cerkiew wcale nie jest podporządkowana państwu, tylko jest współpraca na linii państwo-Cerkiew. Mało tego! Podobno Rosja to modelowe państwo dla teorii dwóch mieczy – świeckiego i duchowego. W związku z tym państwo nie może istnieć bez Cerkwi, a Cerkiew bez państwa. One po prostu siebie potrzebują.

Jakby tak było, to musiałyby się przydarzyć takie fakty, które poświadczałyby, że Cerkiew, choćby broniąc nauki moralnej, wypowiedziała się przeciwko rządowi, albo poddała krytyce takie czy inne jej posunięcia. Tymczasem nie ma o czymś takim nawet mowy. Jest to nie do pomyślenia. Wręcz przeciwnie, mamy najściślejsze uzależnienie Cerkwi od państwa.

Cerkiew korzysta z profitów, także środkami wątpliwymi, jak chociażby słynne uprawnienie, które miał dostać przywódca Cerkwi od rządu na import papierosów na korzystnych warunkach (bez cła). To jest przecież bardzo dobry przykład na to uzależnienie. A że przywódca Cerkwi tak samo myśli o świecie, czy stosunkach międzynarodowych, jak prezydent-dyktator, to rozumiałe, bo jego władza wybrała do rządzenia w Kościele. Potwierdza to tylko to, że istnieje najbardziej ścisła zależność Cerkwi od państwa. Zresztą w Kościele prawosławnym wszystkie stanowiska muszą być obsadzone przez porozumienie z rządem i za zgodę rządu, co oznacza jego decydujący głos. W związku z tym jest niemożliwe, żeby Synod swobodnie uchwalił wybór hierarchy, a potem tylko zakomunikowano to rządowi. Najważniejsze jest to, że Cerkiew nie sprzeciwia się w jakikolwiek sposób polityce rządu, jaki by obrót ta polityka nie przyjmowała. Czasami Cerkiew coś mówi, na przykład wtedy, kiedy była w Rosji sprawa preambuły do konstytucji a chodziło o wprowadzenie do tego tekstu słowa „Bóg” jako ozdobnika. Owszem, wystąpiły środowiska ateistyczne, które podniosły głos, że to jest złe. To jednak nie świadczy o sprzeciwie wobec władzy, tylko raczej o chęci uwiarygodnienia się w społeczeństwie. Powstała dobra okazja, aby powiedzieć, że Cerkiew szczerze broni zasad chrześcijaństwa w sferze publicznej, a nie głosi tylko poglądu, iż wolno się modlić, ale nic poza tym. Cerkiew czasami występuje w obronie prawa do obecności religii w życiu publicznym, ale to nie oznacza niezależności od państwa.

Ludzie, którzy się z Panem nie zgadzają, mają gotową odpowiedź – przecież w kręgu cywilizacji łacińskiej przez wieki władcy wybierali sobie biskupów, a Kościół tylko potwierdzał ich wybór. Mało tego – władcy obsadzali na tronach papieży, albo za sprawą ekskluzywy odbierali możliwość zostania papieżem komuś, kogo uważali za wroga, przeciwnika etc. Dzisiaj podobny mechanizm działa w Rosji, więc co w tym złego?

Tyle tylko, że papieże narzuceni Kościołowi przez cesarzy w XI wieku zdobyli się na sprzeciw wobec nich. Także później św. Pius X, wybrany w drodze ekskluzywy Franciszka Józefa, okazał się wielkim papieżem

i nie słuchał żadnych sił świeckich. Służył Kościołowi z niezwykłym oddaniem..

Dodam tutaj tylko, że ci, którzy bronią w powyższej kwestii Rosji, jednocześnie oburzają się na pakt między Chinami a Watykanem, którego jeden z punktów mówi, że Pekin będzie wyznaczać biskupów, a Watykan będzie przyklepywał ten wybór. W tym wypadku jest to zdrada Chrystusa, herezja, niszczenie Kościoła etc. W przypadku Rosji tak nie jest i jestem przekonany, iż usłyszeliśmy kilkadziesiąt argumentów za tym, że to są w ogóle sytuacje nieporównywalne. No właśnie, Panie profesorze: są czy nie są?

Cóż, to już kwestia oceny stanu rzeczy ze strony tego, kto się jej podejmuje. Kościół prawosławny nie specjalnie – szczerze mówiąc – mnie obchodzi w swojej sytuacji. Skoro on służy państwu – cóż mnie do tego. Bardziej mnie przejmuje Kościół katolicki w Chinach. Oddanie nominacji biskupów w ręce władz komunistycznych jest tragedią. Z upływem czasu powstanie hierarchia, która będzie narzędziem komunistycznego rządu. Nie będzie już możliwości łatwego odwrócenia tego stanu rzeczy. To zresztą jest skopiowanie rozwiązań, które próbował zrealizować bardzo życzliwie nastawiony do ZSRR Paweł VI w swojej *Ostpolitik* na początku lat siedemdziesiątych XX w.

Kolejna kwestia: w roku 2024 mieliśmy do czynienia z de facto likwidacją na Ukrainie prawosławia moskiewskiego. Bardzo wiele osób to oburzyło. Czy słusznie, to już zostawmy czytelnikom. Dlaczego znalazły się głosy w obronie patriarchatu moskiewskiego na Ukrainie, a praktycznie w ogóle nie słychać głosów w obronie księży katolickich, którzy głoszą Słowo Boże na Syberii, którym państwo rosyjskie cały czas rzuca kłody pod nogi?

To jest sprawa poglądów prorosyjskich środowisk w Polsce, które nie chcą stosować jednej miary. Jeżeli chodzi o katolików w Rosji, do tej pory nie było zarządzeń takich, które by prowadziły do zabronienia sprawowania kultu. Tak to wygląda, aczkolwiek władze tego kraju na pewno by sobie gorąco życzyły, żeby doszło do likwidacji struktur

Kościoła katolickiego w Rosji. Były natomiast wprowadzone działania i to niewątpliwie programowe, przemyślane, żeby ograniczyć do absolutnego minimum obecność wspólnot katolickich, nie dążąc jednak do ich likwidacji fizycznej, np. żeby katolików zmusić do przejścia do Cerkwi albo zamknąć w obozach. Myślę, że zwłaszcza obecnie dyktatorowi Rosji zależy na podtrzymaniu jakiegoś kontaktu z Watykanem, a takie prześladowania by na pewno sprawę pogorszyły. Skoro Chiny tolerują jakiś rodzaj obecności katolików w swoim kraju, oczywiście tych prorządowych, to Rosja nie chce iść jeszcze dalej. Rosja dąży na pewno i z całą konsekwencją do depolonizacji katolickich wspólnot na swoim terytorium, tak, żeby one na przykład nie miały Polaka biskupa, czy innego hierarchy polskiego. To się im kojarzy z kulturową ekspansją polskości. W czasie, kiedy był robiony tak zwany reset z rządem Tuska (2007-2010), Rosja wymogła na Watykanie, żeby skierować do Moskwy na metropolitę kogokolwiek, ale nie Polaka. W efekcie został wybrany hierarcha włoski (Pezzi). Więc raczej depolonizacja, a nie likwidacja.

A jeśli chodzi o Ukrainę... No cóż, sytuacja prawnie i jurysdykcyjnie to sprawa bardzo czysta, dlatego, że Ukraina ma zgodę Konstantynopola na autokefalię swego Kościoła prawosławnego. Zgoda ta wyraża się w nadaniu tego samorządu na mocy tak zwanego tomosu. Jest to autokafalia, czyli samodzielność, czy też samorządność. Chodzi o to, że nie może być tak, że jakieś części kraju jurysdykcyjnie zależą od kierownictwa kościelnego, które rezyduje za granicą i to jeszcze w państwie nieprzyjaznym. Rosja jest państwem nieprzyjaznym Ukrainie. To chyba oczywiste. W związku z tym Ukraina chciała przeprowadzić realizację swego planu. W sumie sprawa udała się połowicznie. Część parafii przeszła na autokafalię, a część nie. Część biskupów ukraińskich zaczęła się na przykład obawiać, co będzie wtedy, gdy dojdzie do takich zmian politycznych, które spowodują, że Rosja rozciągnie swoje panowanie nad Ukrainą. Na przykład powstanie na Ukrainie z powrotem prorosyjski rząd i tak dalej. Co wtedy? Pojawiło się więc dużo obaw. Znaczna część parafii nie przeszła na autokafalię. Powstał nowy rozłam w Kościele, a to jest bardzo poważny problem. Ponieważ wojna podsycała nastroje antyrosyjskie, postanowiono ustawą

przeprowadzić zmiany, delegalizując wierny Moskwie odłam Kościoła prawosławnego.

Decyzję podjął patriarcha w Konstantynopolu. Nota bene, z tego powodu doszło do zerwania Konstantynopola z Moskwą. Kiedy odprawia mszę pop rosyjski, nie wypowiada imienia patriarchy Konstantynopola, którego imię wypowiada się we mszy prawosławnej, tak jak u nas imię papieża. My mówimy, że są to msze *sine una cum*, które odprawiają sedewakantyści, twierdzący, że tron papieski jest wolny, wakuje od Soboru Watykańskiego II. Rosja realizuje podobny chwyt, tylko to jest chwyt sprowadzający się do zignorowania istnienia patriarchy w Konstantynopolu. Po prostu według tej teorii patriarchą Konstantynopola jest heretyk, który samowładnie nadużył władzy i przekazał Ukraińcom prawo do autokefalii. Jednak patriarcha grecki w Konstantynopolu, szczerze mówiąc, nie mógł odmówić zgody. Nie mógł zadzwonić do Moskwy i prosić o zgodę na to, bo gdyby to zrobił, podkreśliłby, że pełni rolę marionetkową. Dodam jeszcze jako historyk, że u nas w Polsce też tak było z prawosławiem. Do 1938 roku nie była załatwiona formalnie sprawa autokefalii. Ze względu na katastrofę Cerkwi rosyjskiej sprawa była ułatwiona. Cerkiew działająca w Polsce, do której należeli Rosjanie, Białorusini, Ukraińcy etc. nie miała autokefalii, ale rząd polski wydelegował byłego ministra, niepełniącego już wtedy stanowiska, zresztą wybitnego człowieka, ale jednocześnie wolnomularza, jakim był Henryk Józewski do rozmów z patriarchatem w Konstantynopolu. Pozwoliło to uzyskać zgodę na autokefalię. Od 1938 do dzisiaj nie ma już takiej sytuacji, żeby obsadzać stanowisko biskupa w Polsce za zgodą patriarchy Moskwy.

Jak to nazwać, jeśli nie co najmniej hipokryzją? Rosja, która głosi światu, że tylko ona naprawdę zna prawo, przestrzega go i potępia jego łamanie, tutaj ma problem, że coś stało się zgodnie z prawem...

Kościół jest narzędziem polityki i nic więcej. Pozwolenie Ukraińcom na autokefalię oznaczałoby wzmocnienie niezawisłości tego kraju. Ci, którzy rządzą Rosją – a to oni są mocodawcami Cerkwi – na to nie chcą pozwolić i trudno im się dziwić.

Cerkiew, jak Pan profesor powiedział, jest dzisiaj wykorzystywana politycznie przez Kreml. A czy w Rosji carów w XIX wieku również tak było, czy może oni jednak naprawdę wierzyli w Chrystusa? Chciałbym, abyśmy teraz przeszli do głównego tematu naszej rozmowy, czyli wybudowania Soboru Chrystusa Zbawiciela. Świątynia ta miała być przecież dziękczynieniem za uratowanie Rosji przed Napoleonem w 1812 roku.

W XIX wieku Rosja w stosunkach międzynarodowych osiągnęła bardzo poważną pozycję. Miała ją już za panowania Piotra I – do wojny krymskiej, kiedy to poniosła spektakularną porażkę. Po tej wojnie rola Rosji na arenie międzynarodowej znacznie osłabła, ale rangi mocarstwa nigdy nie utraciła. Rosja w XIX wieku prowadziła politykę kościelną w sposób bardzo prosty, kontynuując niezmiennie kurs oparty o reformy Piotra I. Nie było zmian, które by pozwoliły na emancypację Cerkwi spod władzy państwa. Cerkiew była jego narzędnikiem.

Ideę wzniesienia wielkiego kościoła w Moskwie, który miał przyjąć imię Chrystusa Zbawiciela, nie pochodziła od Cerkwi. Wyszła od cara i rządu. Miała umocnić więź między państwem a Kościołem państwowym i podbudować religijnie potęgę państwa, wykorzystując motyw niezwykłego zwycięstwa nad Napoleonem I. Jego historyczna wyprawa na Rosję zakończyła się katastrofalną klęską jesienią 1812 r. Motyw tego posunięcia był prosty. Chrystus zbawił Rosję. Przyszło ocalenie od Boga w obliczu śmiertelnego zagrożenia. To już nie było zagrożenie papieżem i jezuitami, którzy są chrześcijanami, wprawdzie złymi, ale jednak w optyce moskiewskiej chrześcijanami. W r. 1812 szedł na Rosję rewolucyjny cesarz, który niósł rewolucję, a rewolucja jest dziełem szatana. Ten przekaz był kierowany do Rosjan i z niego wyrosła idea votum w postaci nowej okazałej świątyni w Moskwie.

Przepraszam, ale ciężko się nie zgodzić z tym przekazem. Powiem więcej: chciałbym, żeby któryś ze współczesnych polskich przywódców powiedział słowa, że Chrystus nas uratował i w podzięce za to wybudujmy Mu największy kościół, na jakim nas stać...

Przyjmuję Pana rozumowanie i nie kwestionuję go. Pozwoli Pan jednak, że zreferuję, o co mi chodziło. Rewolucja jest dziełem szatana – to centralna myśl rosyjskiej myśli państwowej tamtego czasu. Mnie takie stwierdzenie nie razi. W rosyjskiej optyce, narzędziem rewolucji było Cesarstwo Francuzów, a obce armie chciały rozpalić pożar rewolucji, żeby doprowadzić do katastrofy i zniszczyć Rosję. Rosja się obroniła zwycięsko, choć nikt nie dawał jej szans, że stanie naprzeciw Wielkiej Armii Napoleona i zdoła zwyciężyć. Udało się to osiągnąć. Był sukces i triumf. Za to należy się dziękczynienie. Tak to uzasadniano.

Możliwe jest, że Aleksander I żywił szczere intencje. Ja bym tego nie wykluczył. Kiedy Aleksander I wznowił państwo polskie pod nazwą Królestwo Polskie, wykonując w ten sposób wolę Kongresu Wiedeńskiego, nasi patrioci, którymi możemy się szczycić jako Polacy, ale którzy byli z reguły ludźmi religijnie obojętnymi i do religii się nie odwoływali w swych wypowiedziach, chcieli wznosić mu Łuk Triumfalny w Warszawie, car odmówił zgody. Powiedział wyraźnie: „Zbudujcie kościół nie mnie, a Chrystusowi”. I tak powstał Kościół świętego Aleksandra. To bardzo piękne słowa.

Aleksander I to był oczywiście człowiek Oświecenia. Do religii pozostawał ustosunkowany z dystansem, jednak po zwycięstwie nad Napoleonem I coraz bardziej oddawał się nastrojom religijnym. Poza tym miał silne wyrzuty sumienia, bo przyłożył rękę do zamordowania swego ojca Pawła I w r. 1801. Choć osobiście tego nie zrobił, to miał wielki problem moralny. Przyczynił się do zamordowania ojca-psychopaty, despoty i szaleńca, ale jednak to czyn zbrodniczy. W efekcie Aleksander czynił różne gesty. Jest wiadome m.in. to, że spod jego pióra wyszły słowa preambuły Aktu Świętego Przymierza. A są wyjątkowo piękne. Mówią m.in., że jest „jeden chrześcijański naród, który ma w istocie jednego Pana, który sam tylko posiada władzę, bo w Nim jedynie tkwią wszystkie skarby miłości, wiedzy i mądrości nieskończonej, tj. Boga, naszego Boskiego Zbawiciela Jezusa Chrystusa, Prawdy Najwyższej, Słowa Życia. Monarchowie polecają przeto swoim ludom z najczulszą troskliwością, aby umacniały się nieprzerwanie w zasadach i wypełnianiu obowiązków, o których Boski Zbawiciel nauczał

ludzi, jako że jest to jedyny sposób korzystania z dobrodziejstw pokroju, który rodzi się z czystego sumienia i który jedynie jest trwały”.

Istnieje też opowieść, że w ostatnich latach życia Aleksander I planował przejść na katolicyzm i zaprowadzić unię ze Stolicą Apostolską. W końcu zmarł w dość niejasnych okolicznościach, przeżywszy tylko 48 lat. Sprawa jest bardzo złożona. W ogóle jest to temat na napisanie rozprawy pod roboczym tytułem „Aleksander I a religia”. Natomiast nie ulega wątpliwości, że kiedy zagarnął władzę jego brat Mikołaj I, i kiedy oficjalną doktryną państwową miało być przyjęcie zasady „narodowość, soborność i prawosławie”, o żadnym szukaniu zbliżenia do Kościoła katolickiego mowy już być nie mogło. To była już ideologia inna, bo trzeba powiedzieć, że Aleksander I prowadził w gruncie rzeczy politykę liberalną, od której odstąpił, idąc twardą drogą konserwatywną jego młodszy brat, czyli Mikołaj I. Wtedy decydowała się kwestia wykonania gestu, jakim był zapowiedziany przez Aleksandra I projekt kościoła wotywnego w Moskwie. Doszło do intensyfikacji prac, ale one się przewlekały. Trzeba pamiętać, że mimo bogatego państwa, które na wojnę zawsze miało pieniądze, to pieniędzy na ten kościół zazwyczaj brakowało... Płynęły lata, a kościoła nie było. Kamień węgielny położono w 1817. Ale dopiero w osiemdziesiątych latach XIX wieku, kiedy rządził już Aleksander III, kościół wotywny ukończono i został on otwarty. Trzeba było oczywiście przeprowadzić jego konsekrację. Dopełnił tego aktu metropolita Moskwy Joannicjusz jako ordynariusz miejsca w r. 1883. Obecny był Aleksander III. Rok wcześniej w świątyni (jeszcze nie udekorowanej wewnątrz) miało miejsce wykonanie uvertury do *Roku 1812* Piotra Czajkowskiego. W sumie można powiedzieć, że realizacja projektu kościoła wotywnego trwała ponad sześćdziesiąt lat.

Z jednej strony Rosja buduje piękny kościół ku czci Chrystusa Zbawiciela, a z drugiej trwają tam prześladowania, inwigilacja i walka z katolikami m. in. w dawnych ziemiach polskich...

Rosja zetknęła się z katolicyzmem za panowania Katarzyny II. Caryca identyfikowała katolicyzm z polskością. Według niej katolicy to są

przede wszystkim Polacy. Oni byli katolikami na terytoriach, które Rosja zagarnęła w wyniku I, II i III. Ale to jeszcze nie spowodowało wytworzenia się stereotypu czy też hasła, głoszącego że Polak jest zdrajcą Słowiańszczyzny przez swój katolicyzm. Rosja w XVIII wieku, będąc na fali wznoszącej jako mocarstwo, odwoływała się raczej do ideałów Oświecenia niż religii. Cesarzowa była monarchinią Oświecenia. Idea Rosji jako obrończyni chrześcijaństwa, to już pomysł Mikołaja I. Panslawizm przyszedł jeszcze później. Ten sztandar podniósł Aleksander III.

Wspomniany już Aleksander I katolików nie prześladował. Kiedy jednak sześć lat po jego śmierci Powstanie Listopadowe zostało zdławione i Rosja ogłosiła, że przyłącza się Królestwo Polskie do swego imperium – zaczął tworzyć się stereotyp Polaka jako wroga Rosji, perfidnego wroga, który porzucił ideały Słowiańszczyzny i podjął trud walki z Rosją przy pomocy katolicyzmu. Katolicyzm jawił się głównym orężem Polaków do walki z Rosją o realizację swoich aspiracji państwowych. W praktyce do odbudowy wielkiego państwa, czyli dawnej Rzeczypospolitej, co Rosja postrzegała jako śmiertelne zagrożenie dla siebie. W związku z tym wszelkie hamulce zostały spuszczone. Katolicyzm obrządku rzymskiego z liturgią łacińską jawił się jako wróg główny, a wróg drugi to jest oczywiście unia. Bo unia to jest polski pomysł na przypodobanie się Watykanowi, aby zlikwidować prawosławie przez jego doprowadzenie do wierności papieżowi. W związku z tym unię likwiduje się siłą najpierw w 1839, a potem w 1875. W niejako w dwóch etapach. Walka z Kościołem katolickim stała się kluczowym elementem składowym rosyjskiej racji stanu. Na szczęście Rosja nie była w stanie zlikwidować unii na tych terytoriach, które przypadły Austrii w wyniku pierwszego rozbioru Rzeczypospolitej, a więc mówię teraz o późniejszej Galicji Wschodniej, jak to nazywano w latach 1919-1920.

Rosja oczywiście próbowała oszukać Stolicę Apostolską drogą dyplomacji. Dyplomacja rosyjska przedkładała prosty koncept. Polacy są narzędziem rewolucji, dążącej do zburzenia porządku w Europie, a rewolucja ta ma w istocie antychrześcijańskiej oblicze, tylko że Polacy

chcą się posłużyć katolicyzmem do urzeczywistnienia swojego celu. W dobie rozbiorów naszej ojczyzny taki był przekaz rosyjski do świata. Dodajmy, że wielu konserwatywnych polityków europejskich z kanczlerzem austriackim Meternichem na czele, uważało, że Polacy są urodzonymi rewolucjonistami i dążą do podkopania porządku w Europie. Nie tylko w politycznym znaczeniu, ale także i społecznym. Zapewne przyczyniło się trochę do tego – moim zdaniem – niefortunne nazywanie Powstania Listopadowego przez samych Polaków „rewolucją”.

Jak wiemy, akcja dyplomacji rosyjskiej, żeby sobie zjednać Watykan i sprawić, aby potępił Polaków, zadając im nieoczekiwany cios, dała encyklikę Grzegorza XVI „Cum primum”. Grzegorz XVI nie wiedział, że to jest bardziej skomplikowane, niż myśli. Był to papież, jak wiemy, wybitny, ale tak jak to się zdarza, podobnie jak Pius X, nie miał za sobą kariery polityka. Bo karierę polityka robi się w Kościele generalnie służąc jako nuncjusz, ewentualnie pracując w Sekretariacie Stanu Kurii Rzymskiej. A on akurat tego za sobą nie miał. Wydał encyklikę, która była rzeczywiście największym sukcesem dyplomacji rosyjskiej. Pius IX już tego błędu nie popełnił. Był całą mocą po polskiej stronie. Potępił te czyny, których Rosja dopuszczała się dławiąc powstanie styczniowe. W efekcie powstanie styczniowe Pius IX jednoznacznie uznał za sprawiedliwą walkę Polaków o niepodległość, która nie ma nic wspólnego z rewolucją.

Dyplomacja Rosji nie zaprzestała jednak starań o to, aby zadać Polakom cios moralny. Jeszcze za Mikołaja II w początkach jego panowania Rosja osiąga znowu pewien sukces. Oto bowiem wyszła encyklika Leona XIII, też wybitnego papieża, która faktycznie nawoływała Polaków do poszanowania władz zaborczych, co można różnie rozumieć. W sferach patriotycznych tłumaczono to jako wezwanie do trójlojalizmu.

Pamiętajmy – rozmyślając o tym wszystkim – że Stolica Apostolska nie może zachęcać do wojny jako takiej. A położenie nasze (tj. narodu polskiego) było takie, że poprawę losu mogła dać jedynie wojna europejska.

Szanowny Panie profesorze, czy któryś z XIX-wiecznych carów Rosji zasługuje na miano władcy chrześcijańskiego?

Powiem szczerze, że to bardzo trudne pytanie... Moim zdaniem żadnego z XIX-wiecznych carów nie można nazwać przykładowym władcą chrześcijańskim, co nie zmienia faktu, że wielu z nich powoływało się dla realizacji celów politycznych na chrześcijaństwo. Carowie bardzo często twierdzili, że sprawują misję w służbie chrześcijaństwa, że ich państwo jest powołane do sprawowania takiej misji wobec ludzkości. Nie będzie nie na miejscu przypomnieć, że na renowację miejsc świętych w Jerozolimie – za zgodą słabnącego imperium osmańskiego – Aleksander I wyłożył największe sumy. „Oświecona” Europa nie chciała na to łożyć...

Nie ulega żadnej wątpliwości, że carowie czasów początków nowożytnej Rosji, czyli m. in. Iwan Groźny żyli tak, jak żyli – historia opowiada nam o tym dużo. Popelniali liczne zbrodnie, nie oszczędzając przy tym i własnych rodzin. Z kolei carowie XIX wieku starali się postępować zasadniczo lepiej. Ja jednak nie nazwałbym żadnego z nich władcą chrześcijańskim. Oni nie służyli na pewno ideałom chrześcijaństwa, ale swojemu imperium, które usiłowali budować i umacniać. Pamiętać też należy o takich wydarzeniach jak masakra podczas uroczystości koronacyjnych Mikołaja II (1894), do której doszło w skutek stracania się ludzi usiłujących zdobyć tzw. podarki rozdawane z tej okazji. Oczywiście car nie był tu niczemu winien, ale nie zdobył się na przerwanie uroczystości. Tylko u nielicznych Rosjan pojawiło się uczucie, że to panowanie rozpoczyna się bardzo nieszczęśliwie i przyniesie nieszczęście krajowi.

Oczywiście zdarzały się w wykonaniu carów gesty nie pozbawione określonej klasy. Paweł I zdobył się na uwolnienie Tadeusza Kościuszki, który dostawszy się do niewoli pod Maciejowicami (1794), mógł przecież Rosji w ogóle nie opuścić. Jego syn Aleksander I – mimo jednoznacznego opowiedzenia się Polaków po stronie Napoleona I – nie żywił do nich zamiarów odwetowych. Po klęsce Francji i dostaniu się Księstwa Warszawskiego pod panowanie Rosji – nie było

prześladowań. To wyjątkowe w swym rodzaju, jak na Rosję, która przecież ma taką a nie inną historię.

Rozpocząłem naszą rozmowę od tego pytania, Panie profesorze, ponieważ ostatni car – Mikołaj II Romanow został ogłoszony... No własni kim? Bo jedni mówią, że błogosławionym, a inni, że świętym przez Rosyjski Kościół Prawosławny...

W pierwszej kolejności, należy podkreślić, że ogłaszanie nowych błogosławionych i świętych w sposób ważny jest zastrzeżone Stolicy Apostolskiej, a ponieważ schizma podzieliła Kościół, przez co prawosławni od niego odpadli, to wszystkie ich kanonizacje są nieważne i nieobowiązujące. Cerkiew w Rosji po upadku komunizmu istotnie stawiała sobie za cel, aby przeprowadzić kanonizację cara Mikołaja II – bo Rosyjski Kościół Prawosławny nie rozróżnia dwóch stopni wynoszenia na ołtarze, co jest właściwe dla katolicyzmu, czyli beatyfikacji i kanonizacji. Kanonizacja cara Mikołaja II miała symbolicznie zadośćuczynić według koncepcji, które były głoszone pod koniec XX wieku Panu Bogu za zbrodnie, które popełniono na narodzie rosyjskim w czasach sowieckich. Egzekucja rodziny carskiej była jednym z pierwszych akordów pasma zbrodni, które popełniali rządzący tym krajem przestępcy w imię realizacji „utopii u władzy”, że użyję słów historyków rosyjskich Aleksandra Niekricza i Michała Hellera. To miało być posunięcie – podobnie jak inne gesty, o których jeszcze pewnie wspomnimy – symbolicznym wyrównaniem historycznym i dlatego właśnie zapadła decyzja o ogłoszeniu cara męczennikiem. Z tego powodu w prawosławnym postępowaniu kanonicznym nie trzeba było przeprowadzać takich przedsięwzięć jak badanie życia kandydata na ołtarze. Trzeba pamiętać, że Mikołaj II był politykiem i kierował państwem autokratycznym, to nie stronił od stosowania choćby przemocy na wielką skalę. Za jego panowania zdarzały się takie wydarzenia, jak choćby masakra w „krwawą niedzielę” w Petersburgu 22 stycznia 1905 r. Nie ma też żadnych przesłanek do twierdzenia, że car oddał życie za wiarę. Wszyscy doskonale wiemy, że zgładzono go w imię odwetu i zemsty. Ci, którzy burzyli

stary porządek, chcieli zacząć swą krwawą misję od zamordowania tego, który ten porządek symbolizował.

W przypadku cara Mikołaja II trudno mówić o wyróżniającej się pobożności. Zresztą w przypadku carów to niekoniecznie musiałyby oznaczać roztropność i ludzkość. Iwan IV Groźny często się modlił, ale skończywszy się modlić, zaraz zabijał. Tak postępował aż po kres swego paskudnego życia. W przypadku Mikołaja II możemy powiedzieć, że był to człowiek nieznany z pobożności w przeciwieństwie do na przykład Ludwika XVI, o którym wiemy, że zostawił po sobie wspaniały testament, który wspólnoty tradycjonalistyczne we Francji dzisiejszej, takie jak Bractwo Świętego Piusa X, czytają w rocznicę jego śmierci przy odprawianiu egzekwii przy symbolicznej trumnie zamordowanego króla.

Nie wyróżniając się religijnością, Mikołaj II nie grzeszył manifestacyjnie. Nie prowadził hulawczego życia. Nie prowadził działań zbrodniczych dla samej zbrodni, jak to inni carowie mieli w zwyczaju.

Jak wygląda sprawowanie kultu ku czci Mikołaja II w Cerkwi rosyjskiej – szczerze mówiąc nie wiem. Na pewno nie uznają tego kultu żadne wspólnoty prawosławne poza Rosją. Nie jestem przekonany, do jakiego stopnia jest przestrzegany formularz liturgiczny, który musiał powstać w skutek tej kanonizacji. Trzeba bowiem pamiętać, że Cerkiew jest w innej sytuacji niż Kościół przedsoborowy, gdzie był jednak ścisły rygor i centralizm w zakresie przestrzegania zasad liturgii. W Cerkwi nie jest to tak dokładnie uregulowane. Na pewno kult Mikołaja II nie jest taki, żeby było go widać wyraźnie. Jest to po prostu „polityczna”, bo tak to trzeba nazwać, próba wprowadzenia tego człowieka do grona świętych chrześcijańskich.

Czy można powiedzieć, że ostatni car Rosji ma jakąś wyjątkowo dobrą prasę na Zachodzie? Przez wielu jest on bowiem postrzegany jako męczennik; jako władca surowy, ale sprawiedliwy; jako ten, który „chciał dobrze”, ale nie dane mu było wypełnić swojej misjo...

Mikołaj II – jak wszystko na to wskazuje – uchodził za człowieka przyzwoitego. Nie był to jednak wybitny polityk, ale człowiek o mentalności oficera armii, co wielokrotnie podnosili historycy. Jest dużo podobieństwa, moim zdaniem, między Mikołajem II a Ludwikiem XVI. Jeden i drugi nie był określonego formatu politykiem. Jeden i drugi zawierał kompromisy: Ludwik XVI zgodził się na monarchię konstytucyjną pod naciskiem rewolucji, a Mikołaj II zgodził się na ograniczenie autokracji caratu w 1905 roku, aby zahamować rewolucję. Dwanaście lat później abdykował, aby uniknąć wojny domowej w kraju.

Jeden i drugi zapłacił bardzo wysoką cenę za swoje panowanie. Była to cena życia. Obaj zostali zgładzeni w imię realizacji zbrodniczej utopii, bo przecież Francja mogła funkcjonować jako monarchia konstytucyjna i wcale nie potrzebny był jej jakobinizm z szalejącym terrorem, kultem Najwyższej Istoty, jak i tym zamachem na Kościół jakim była ustawa o zaprzysiężeniu kleru. Podobnie w Rosji. Gdyby nie przeprowadzono zamachu stanu w Piotrogradzie w listopadzie 1917 roku, a następnie nie rozpędzono Konstytuanty, to wcześniej czy później stworzyłyby się jakiś umiarkowany rząd lub dyktatura wojskowa. To ostatnie byłoby lepsze niż komunizm. Zapewne Rosję czekała by wówczas seria jakichś powikłań, ale to nie byłoby to samo, co przynieśli temu krajowi zbrodniarze wychowani przed Lenina, wychowani do zabijania, bo bez realizacji przemocą „ideałów komunistycznych” są one pustą opowieścią. Tak oto zamordowanie monarchy jest tu kluczowe, ale też symboliczne.

Czy był Pan profesor w Moskwie?

Tak, i to niejednokrotnie.

Czy widział Pan Mauzoleum Lenina?

Z bliska, ale nie byłem w środku. Odnoszę wrażenie, że wchodząc tam człowiek jakby czcił doczesne szczątki tego zbrodniarza. Trzeba też pamiętać, kim był ten człowiek dla nas, Polaków. Niósł nam niewolę

zaledwie kilkanaście miesięcy po przywróceniu do życia naszego państwa. Z tych powodów nie miałem na to ochoty.

Pytam, ponieważ nie rozumiem jednej kwestii: z jednej strony Rosyjski Kościół Prawosławny ogłasza świętym ostatniego cara zamordowanego przez rewolucję Lenina, a z drugiej ani Cerkiew, ani sami Rosjanie jakoś specjalnie nie protestują przeciwko mauzoleum Lenina, który ma na rękach krew prawosławnego świętego...

To jest symbol braku tożsamości dzisiejszych ludzi. Wielu konserwatystów na Zachodzie, ale również w Polsce, zdaje się wierzyć w to, że Rosja jakoś wydostała się z komunizmu i wkroczyła na drogę konserwatyzmu oraz próbuje iść drogą zachowania tradycji. Otóż nie! Rosja jest krajem bez tożsamości. Z jednej strony mamy straszliwe i zbrodnicze dziedzictwo komunistyczne, które nie zostało odrzucone, a mauzoleum Lenina wyraża to najmocniej. Z drugiej strony, współczesna Rosja próbuje czerpać ze źródeł swojej przeszłości historycznej. Właśnie dlatego próbuje sięgnąć przede wszystkim do dziedzictwa religijnego, a więc prawosławia, do ideologii caratu jako źródła potęgi, bo carat poprzez realizację despotyzmu, poprzez sprawowanie zaborczych rządów przyczynił się jednak do rozrostu państwa, jego awansu do światowej rangi mocarstwa. A więc Rosja ma powikłaną tożsamość, jeśli już, to dwoistą. Dopiero całkowite porzucenie dziedzictwa sowieckiego byłoby krokiem we właściwym kierunku.

Oczywiście w historii nie da się wykreślić. Nie da się wykreślić przeszłości z naszego życia, a więc nikt nie może powiedzieć, że komunizmu nie było. Jednak dopiero zburzenie wszystkich pomników Lenina, usunięcie tego mauzoleum na Placu Czerwonym, usunięcie innych obiektów kultu komunistycznego, by sytuację przynajmniej w przestrzeni publicznej rozjaśniło. To się jednak nie stało, chociaż takie postulaty były wygłaszane, zwłaszcza w czasach, gdy od roku 1991 do roku 1999 prezydentem Rosji był Borys Jelcyn. Podnosiły się wówczas protesty, były także manifestacje publiczne, przede wszystkim weteranów komunizmu, różnych działaczy, ludzi z rodzin komunistów funkcyjnych. Miały miejsce wystąpienia, przede wszystkim weteranów

„Wielkiej Wojny Ojczyźnianej”, mówiących, że „bez socjalizmu nie byłoby tego zwycięstwa”, że „zwycięstwo przyszło dzięki umiejętnemu przywództwu Stalina”, a wcześniej dzięki zbudowaniu ustroju komunistycznego rękami Lenina i w związku z tym nie należy się tego, co oni zrobili, wyrzekać, bo właśnie wtedy Rosja podetnęła swoje korzenie.

Tak było za czasów Jelcyna. Ostatecznie władze ustąpiły, natomiast później, kiedy przyszedł do władzy Putin, te głosy ucichły. Obecny dyktator wypowiedział się kilka razy krytycznie o Leninie, a robił to w imię taktyki odwrócenia hasła z okresu Pierestrojki i wcześniejszej „odwilży” Chruszczowa. Wówczas głoszone hasło streszczające się w prostych słowach: „Dobry Lenin, zły Stalin”. Putin odwrócił to hasło i jego przekaz jest równie prosty: „Zły Lenin, dobry Stalin”. Zły był Lenin, ponieważ w krytycznej fazie I wojny światowej, kiedy wchodziła ona w rozstrzygającą fazę, za jego sprawą został dokonany wielki przewrót rewolucyjny. Państwo zostało rozbite od środka przez samych Rosjan, po czym doszło do jego paraliżu. Państwo to zostało w hierarchii światowej zdegradowane. Rosja po 1917 roku, a później Związek Sowiecki do momentu zawarcia paktu Ribbentrop-Mołotow, były państwami, które nie pełniły roli pierwszoplanowego mocarstwa, chociaż świat się z nimi jakoś liczył, bo nie da się na długą metę izolować tak dużego państwa. Hasło o dobrym Stalinie i złym Leninie ma wykazać Rosjanom przede wszystkim, że to dzięki Stalinowi nastąpiła odbudowa mocarstwowej państwowości rosyjskiej. Trzeba bowiem pamiętać, że państwowość sowiecka jest uznawana za formę państwowości rosyjskiej i Stalin w tym spojrzeniu jest doceniany, a nie potępiany. Jest mowa o jego wielkich zasługach dla kraju. Te zasługi oczywiście są eksponowane w mass-mediach, czy w nauczaniu szkolnym. Głośno nie mówi się tego oczywiście w sposób taki, jak mówiono, gdy Stalin żył i gdy Stalin sam uprawiał kult własnej osoby, tj. że był geniuszem, wodzem narodów, wyzwolicielem, ojcem. Sądzę jednak, że wielu ludzi z obecnego aparatu państwa rosyjskiego tak istotnie myśli.

Cały czas powtarzać trzeba, że w Rosji utożsamia się sowiecką przeszłość z rosyjskim dziedzictwem państwowym. To wzmacnia ciągłość imperialnej państwowości. Zerwanie z nią wydaje się niewyobrażalne.

Jednak nie przywrócono mauzoleum Stalina...

Nie było mauzoleum Stalina. Zwłoki tego Gruzina zabalsamowano w marcu 1953 r. i złożono obok Lenina, w mauzoleum jego imienia. Nota bene, zastępczą (zamiast religijnej) ceremonię pogrzebową przywódców sowieckich opracował sam Stalin w r. 1946, przy okazji chowania Michaiła Kalinina, przewodniczącego Najwyższego Sowietu. Dyktator nakazał wówczas ustanowić takie „obrzędy” jak wystawienie trumny na katafalku w Domu Związków. Stamtąd trumnę należało wyprowadzić i uformować pochód, kierując się na Plac Czerwony. Z podwyższenia, jakie daje Mauzoleum Lenina, odprawić trzeba ceremonię finalną. Przemówienie przywódcy, który jest następcą zmarłego, to punkt kluczowy. Zmarłego żegna się salutem artyleryjskim. Potem odprawić należy defiladę wojskową. Tak było to sprawowane aż do końca, tj. do śmierci Czernienki.

Dlaczego zatem Stalin nie leży w mauzoleum na Kremlu obok Lenina? Albo i więcej, dlaczego nie wyrzucono Lenina i nie wstawiono tam Stalina?

W 1962 roku obradował XXI zjazd partii komunistycznej i Chruszczow przeprowadził uchwałę o wyprowadzeniu mumii i zakopaniu jej w grobie ziemnym pod Murem kremłowski. Tak jak wielu polskich turystów, widziałem to miejsce, byłem tam bardzo blisko. Nie ma jednak możliwości swobodnego podejścia, bo wisi tam łańcuch, który odgradza groby komunistycznych zbrodniarzy od dostępu publiczności. Na przykład kwiatów nie można tam położyć. W zabezpieczeniu tego miejsca przed ludźmi chodzi z pewnością o to, aby udaremnić ewentualne zbezczeszczenie tego obiektu. W każdym razie zwłoki zbrodniarza po prostu zgniły i uległy rozkładowi i nie da się już nic zrobić. Uchwały destalinizacyjne XXII Zjazdu stanowiły najdalej idący krok nowego kierownictwa ZSRR w rozliczeniach ze świeżo minioną epoką. To nie były kroki mające na celu systemową desowietyzację, bo na to nie pozwalało nastawienie elit państwa. Zresztą Chruszczow był człowiekiem sowieckim, co jest oczywiste. Jemu chodziło o ograniczoną destalinizację i zwalenie win za zbrodnie na jednego człowieka.

To wówczas nie w pełni się udało, bo już w październiku 1964 r. przywódcę zdjęto ze stanowiska. Tak czy inaczej, gdyby ta decyzja Chruszczowa nie zapadła, należy przypuszczać, że na usunięcie zwłok Stalina z mauzoleum zdobyłby się dopiero Gorbaczow lub Jelcyn. A może mumia stałaby tam po dziś dzień...

Lenin rozpoczął masowe czystki chrześcijan w Rosji. Stalin kontynuował jego „dzieło” do roku 1943, kiedy to ponownie otworzył cerkwie...

Po ustanowieniu dyktatury bolszewickiej w wyniku zamachu stanu w Piotrogradzie jednym z pierwszych posunięć bolszewików z początku 1918 roku był dekret „O oddzieleniu kościoła i państwa”. Jakże to znajomo brzmi w naszych czasach, prawda?

To prawda...

Dekret ten postanawiał, że budynki kościelne przejmuje skarb państwa. Cerkiew traciła osobowość prawną, mogła funkcjonować jako stowarzyszenie religijne, ale państwo zabierało budynki sakralne na swoją własność. Rewolucyjne prawo stanowiło, iż jeżeli w miejscu, gdzie jest cerkiew (jako budynek) zgłosi się 15 obywateli z życzeniem jego „wypożyczenia” dla kultu, to władze lokalne mogą udostępnić budynek do sprawowania tego „Bogosłużenia”, czyli kultu, o ile jest do dyspozycji pop. Jeżeli popa na przykład zabito, to już może być problem. Przepis taki był z różnym skutkiem realizowany. W jednych miejscach udostępniono możliwość wykorzystania budynku. W innych nie, bo dopraszanie się ludzi u władz o łaskę niczego nie dawało. Charakteryzując możliwie zwięźle bolszewicką politykę religijną, trzeba jeszcze wymienić dwa kroki, jakie miały miejsce później. W 1922 roku, w wyniku prowadzenia zbrodniczej gospodarki komunizmu wojennego, jak też w następstwie wojny domowej i wojny z Polską, a przede wszystkim ogólnego rozprzężenia i wycieńczenia kraju, w tym likwidacji ziemiaństwa – doszło do głodu na ogromną skalę. Głód ten osiągnął niebotyczne rozmiary i szacuje się straty ludzkie na 2-3 miliony w całym kraju. Nie wiem, czy nie jest to zaniżone.

Mówimy o Rosji, a nie o Wielkim Głodzie na Ukrainie?

Oczywiście mówimy o głodzie w Rosji w r. 1922, czyli 10 lat przed Wielkim Głodem na Ukrainie, który pochłonął przynajmniej dwa razy tyle ofiar śmiertelnych i w odróżnieniu od pierwszego nie był wywołany sztucznie przez państwo. W 1922 roku głód ogarnął głównie tereny Rosji rdzennej, Rosji europejskiej bez Ukrainy. Na Syberii miejscowi ludzie od zawsze się zmagali z głodem i tam ich położenie niewiele się w tym czasie zmieniło. Głód w Rosji ogarnął te tereny, które pod względem rolniczym kiedyś kwitły i dawały możliwość eksportu zboża na wielką skalę, co robił rząd carski (do 1914). W obliczu głodu, jak wiadomo, z dużą pomocą przyszedł polityk i filantrop amerykański, czyli Herbert Hoover, wybrany później na prezydenta. Jego misja nosiła nazwę American Relief Administration, czyli Amerykańskiej Administracji Pomocy. Gdyby nie akcja Hoovera, straty ludzkie podczas głodu w 1922 roku byłyby może nawet kilka razy większe.

Otóż w takich to realiach Lenin wpadł na pomysł o wydaniu dekretu o konfiskacie naczyń liturgicznych, żeby je sprzedać za granicę, bo są ze złota, ze szlachetnych metali. Wypowiedział wtedy zresztą słynne słowa: „Nadeszła taka sytuacja, jaka się już nie powtórzy nigdy, bo możemy ostatecznie przetrącić kręgosłup Cerkwi”. Cerkiew jest podporą kapitalizmu i musi być zniszczona. Nastąpił zrozumiały opór kleru prawosławnego i wtedy zaczęły się aresztowania nawet i biskupów, którzy odmówili realizacji wydania naczyń liturgicznych. Był to potężny cios w Cerkiew. Naczynia liturgiczne były konfiskowane, a Cerkiew była po prostu ograbiona.

Kolejny wielki krok antychrześcijański bolszewików to stalinowski dekret o stowarzyszeniach religijnych z 1929 roku. On ustanawiał szereg obostrzeń w stosowaniu przepisów i tak już wybitnie restrykcyjnych. Stalin teoretycznie nie podważał, ani nie znosił zasady, że jak 15 osób chce w cerkwi nabożeństwa, to budynek może być przez państwo wypożyczony, jeżeli znajdzie się pop i odprawi liturgię. Wprowadza się za to na przykład takie zarządzenia, jak choćby postanowienie, że podejmowanie ze strony Cerkwi jakiegokolwiek

akcji charytatywnej jest surowo zabronione pod rygorem najdalszych sankcji karnych. Za prowadzenie katechezy również grozi obóz, albo nawet kara śmierci. Za wszelkie formy kultu publicznego, procesje etc. – to samo. To zbrodnicze „prawo” zniósł dopiero Gorbaczow w 1987 r. Można by jeszcze dodać, że w czasie, kiedy Rosja wchodziła do I wojny światowej latem 1914 roku, w Rosji było 290 biskupów. W latach trzydziestych, kiedy Stalin kierował państwem, zostało ich już tylko czterdziestu. O czymś to świadczy, prawda?

Z Kościołem katolickim rozprawili się Sowietci totalnie. Pozostały na terytorium całego imperium dwie czynne świątynie, aby zadośćuczynić żądaniom dyplomacji francuskiej i włoskiej, a z państwami tymi jakoś się liczone. Chodziło o umożliwienie słuchania mszy ambasadom.

Walka z chrześcijaństwem trwała, nie ustając ani na chwilę. Cerkwie były zamknięte, wysadzane w powietrze, podpalane etc. Oczywiście w tym samym czasie, kiedy działy się te straszne rzeczy na terytorium ZSRR, dyplomacja sowiecka oskarżała Polskę, że prześladowuje prawosławnych w imię promocji katolicyzmu. To jednak inny temat, na inną rozmowę.

Chciałbym zwrócić uwagę, że w walce z religią bardzo istotną rolę pełniła tzw. Żywa Cerkiew. Był to ruch nie tyle inspirowany, co zorganizowany przez władze, w jakiejś mierze podobny do „księży patriotów” w PRL, tylko działający w dużo gorszym stylu. „Żywa Cerkiew” głosiła pogodzenie się Kościoła z ustrojem komunistycznym, bo skoro Pan Bóg dopuścił taką sytuację, to znaczy, że tak On chce. Niektórzy popi do tego się przystąpili, po to tylko, żeby zachować możliwość sprawowania kultu.

Gorszą, dużo paskudniejszą rolę odgrywał założony już wcześniej, ale silnie aktywny od 1934 r. Związek Walczących Bezbożników. W latach trzydziestych prowadzono wielką ofensywę ateistyczną. Do zagranicy Stalin konsekwentnie mówił, że w jego kraju panuje wolność religijna i w związku z tym każdy, kto chce, wyznaje religię, jaką

chce. Gwarantuje to konstytucja z 5 grudnia 1936. Ale od razu dodał, że ponieważ w ZSRR jest wolność w ogóle, to nie można zabronić i „walczącym bezbożnikom” swojej działalności. Oni też mają prawo uprawiać swoją propagandę, chociaż jest ona zwrócona przeciw religii jako takiej. Kiedy francuski minister spraw zagranicznych Pierre Laval zwrócił Stalinowi uwagę, że dla Francji nie jest dobrze być sojusznikiem kraju, który prowadzi prześladowania religijne, bo o wolność dla religii katolickiej upomina się Stolica Apostolska, a Francuzi są z reguły katolikami – Stalin spontanicznie odpowiedział słynnym pytaniem: „Papież. Ile on ma dywizji?”.

Należy pamiętać, że propaganda tzw. ruchu bezbożników była wyjątkowo obrzydliwa i miała zohydzić religię. Wystarczy może wspomnieć taki epizod. Mianowicie jednym z najbardziej popularnych w latach trzydziestych emblematów w walce z religią był bluźnierczy plakat przedstawiający Pana Jezusa (w domyśle pijanego) jak kupuje wódkę w jakiejś budzie (sklepie). Tego typu prymitywna propaganda była rozpowszechniana przez państwo wszystkimi środkami masowego przekazu.

Niestety, ale wiele się w tej kwestii nie zmieniło... No może poza tym, że obserwujemy – również w Polsce – jeszcze bardziej wulgarne, prymitywne i bluźniercze treści uderzające w Pana Boga, Kościół, katolików... Aż strach pomyśleć, z czyjego dziedzictwa czerpał niejaki Sławomir Nitras mówiąco o „opiłowaniu katolików”...

Tak niestety jest. Jestem – nie będę ukrywał – pod silnym wrażeniem, rzecz jasna, negatywnym, jak bardzo rządzący dzisiejszą Polską ustawiają się w roli przeciwników religii katolickiej. Nie do wyobrażenia było wcześniej, że czeka nas niemal lawina inicjatyw mających na celu przynajmniej zaszkodzić Kościołowi, jeśli już nie da się go pokonać. Hierarchia, nota bene, niezwykle słabo się broni. Właściwie to przeprasza, że żyje. Postępowi księża robią swoje. Naganiają ludzi – brzydko mówiąc – do liberalizmu i podważając każde słowa, które wypowie jakiś przytomny hierarcha. Martwi też słaby opór ludności przeciw restrykcyjnej i zaczepnej polityce wobec Kościoła.

Wracając do Rosji. Do tego wszystkiego, co Pan profesor wymienił dodałbym jeszcze „proces Trockiego”, w którym bolszewik skazał Pana Boga na śmierć. Trocki też ma przecież dobrą prasę na Zachodzie. Dlaczego świat jest w nim tak bardzo zakochany? Dlaczego możemy często usłyszeć, że gdyby to on, a nie Stalin, doszedł do władzy, no to w Rosji na pewno byłby „raj na ziemi”.

Trocki był z pochodzenia Żydem, podobnie jak liczni przywódcy bolszewicy (z wyjątkiem takich jak Stalin, Bucharin, czy Mołotow, nie licząc wyższych dowódców armii jak Tuchaczewski albo Woroszyłow, czy też szef dyplomacji Cziczerin). Trocki był fanatycznym wyznawcą „ducha” rewolucji komunistycznej, aż do granic możliwości. Nie miał żadnego interesu, ani żadnego celu, aby prowadzić inną politykę niż Stalin wobec religii. Gdyby mu udało się zagarnąć władzę po Leninie – na pewno nie byłoby lepiej na tym polu.

To zaś, że utrzymuje się uznanie dla Trockiego – podobnie jak gloryfikuje się „męczennicę rewolucji” Różę Luxemburg – jest zadziwiającym dowodem na to, że sfery intelektualne na Zachodzie utraciły równowagę umysłową. Jest to stwierdzenie bardzo oględne. Zresztą niedawno widzieliśmy kult Marksa na okoliczność jego dwustolecia urodzin w Niemczech. W tym kraju wspólnoty protestanckie poparły to jawnie. Co wyjątkowo skandaliczne, zaangażowała się w to dobrymi słowami również postępową hierarchia katolicka, czy też może pseudo-katolicka. Myśl tych ludzi była prosta. Chciał sprawiedliwości. Promował walkę klas, ale inaczej się nie dało, bo był wyzysk. A że przy okazji głosił, iż religia to opium – to trudno. Dyskretnie to przemilczano.

Decyzja Stalina z 1943 roku okazała się „strzałem w dziesiątkę”. Do dzisiaj przypomina się, że „to Stalin otworzył cerkwie”...

Stalin złagodził prześladowania religijne w 1943 roku, po zwycięskiej bitwie pod Stalingradem, kiedy już widział, że patriotyzm wielkorusyjski wymaga odwołania się także do religii, żeby się skutecznie bić z Niemcami aż do końca, angażując cały naród. Pod hasłami walki

klas i z dewizą głoszącą, że „proletariusze nie mają ojczyzny” to nie wyjdzie.

Gdyby mógł jednak Pan profesor krótko rozwinąć ten wątek... Czy ktokolwiek uwierzył Sowietom? Jak na te oskarżenia reagowała Polska? A może faktycznie miały u nas miejsce prześladowania prawosławnych?

Myślę, że odwilż w zbrodniczej polityce antyreligijnej pozwalała na odwołanie się do uczuć ludności imperium (tej rosyjskiej przede wszystkim). Uczuć religijnych nie dało się przecież wygasić zupełnie, mimo ogromnego wysiłku państwa, bo od przewrotu Lenina miało zaledwie 25 lat. Dużo większe znaczenie tych posunięć było w polityce zagranicznej. Stalin demonstrował sferom Zachodu (amerykańskim głównie), że kieruje się na drogę jakiejś polityki tolerancji. Cieszyło to zwolenników Rooseveltowskiego kursu na rzecz ugody z ZSRR.

Wróćmy do decyzji Stalina z 1943 roku...

Władze bolszewickie nie wycofały się z przepisów dotyczących ewentualnego wypożyczenia obywatelom budynku cerkwi dla celów kultu. W r. 1943 rzeczywiście cerkwie otwierano. Problem jednak w tym, że prawosławny episkopat Rosji został zdziesiątkowany, to po pierwsze. A po drugie: doszło do degeneracji Cerkwi, ponieważ służby bezpieczeństwa werbowały popów. Do cerkwi przysyłano agentów służb specjalnych.

Stalin zgodził się jeszcze na dwie bardzo ważne rzeczy. Na dopuszczenie, czy też na stworzenie akademii duchownej, żeby kształcić popów (czego nie było wolno) oraz na odbudowę Patriarchatu w Moskwie, który po 1917 roku został zlikwidowany.

To były dwa kluczowe ustępstwa Stalina, na które się zdobył w 1943 roku. Moim zdaniem, nie może być w związku z tym mowy o odrodzeniu religijnym. Patriarchat to oczywiście symbol i określony prestiż. Trzeba przecież pamiętać, że selekcja biskupów odbywała się przez NKWD, bo jak inaczej to sobie wyobrazić? To byli ludzie,

których się udało zwerbować. Z nich wybierano ludzi do kierowania stolicami kościelnymi.

Ilu było agentów NKWD, GRU, KGB etc. wśród prawosławnych duchownych, a ilu prawdziwych kapłanów, biskupów etc.? Czy mamy tu dostępne jakieś konkretne, prawdziwe, albo chociaż przybliżone liczby?

Ja takich statystyk nie znam. Nie wiem, czy ktokolwiek zdołał to policzyć, bo Rosja do tej pory nie otworzyła archiwów swoich służb na tyle, żeby dogłębnie zbadano to zagadnienie. Niewątpliwie jednak werbunek służb komunistycznych był stosowany na szeroką skalę zwłaszcza duchownych wyższego szczebla. Poczynając od nowego patriarchy, Aleksija I, to byli ludzie powiązani z państwem w ten właśnie sposób. Obecny patriarcha Cyryl nawet nie ukrywa tego, że był człowiekiem związanym ze służbami. Można by jeszcze dodać, że kiedy Sobór Watykański II ogłosił ekumenizm, którego wcześniej Kościół katolicki nie znał, otworzyły się duże możliwości penetracji na Zachodzie Kościoła katolickiego a nie tylko wspólnot protestanckich. Rosja wysyłała na Zachód hierarchów-agentów. Hierarcha, który jedzie na przykład do Genewy na spotkanie ekumeniczne z Moskwy w latach 60-tych albo 70-tych, udaje się tam nie tylko jako hierarcha, ale także jako pracownik służb. Pracuje dla służb i sprawozdaje służbom różne rzeczy. To są wszystkie fakty zupełnie bezsporne i dzisiaj o tym wolno szeroko mówić, oczywiście wszędzie poza Rosją. Przypadków nie było. Związek Sowiecki do ostatnich dni jego istnienia prowadził politykę wykorzystania hierarchii kościelnej, prawosławnej do zadań specjalnych. Jest wybitnie dziwne, że hierarchia katolicka a Kuria Rzymska w szczególności (zwłaszcza obecnie) nie pojmuje tego stanu rzeczy, a w każdym razie tak działa, jakby tego rozeznawała.

Wiktor Suworow w książce „Akwarium” pisał, że jest tylko jeden sposób, żeby odejść ze służby... przez komin. Agentem KGB, czy GRU jest się dożywotnio i bardzo często to służby decydują, kiedy ktoś z agentów ma zakończyć swój żywot. Czyżby nic w tej kwestii się nie zmieniło po upadku ZSRR? A może się zmieniło? Może popi-agenci autentycznie się nawrócili?

Moim zdaniem praktycznie nic się tutaj od upadku ZSRR nie zmieniło. Służby specjalne Rosji Putina stosują bezwzględnie odwet za porzucenie tej służby i schronienie się na Zachodzie. Ten odwet to po prostu skrytobójcza egzekucja. Przypadki tego rodzaju przecież dobrze znamy.

Jaką rolę odegrali prawosławni duchowni – w zdecydowanej większości agencji KGB – w II Soborze Watykańskim oraz posoborowym ekumenizmie?

W tej kwestii mamy dwa zagadnienia – jawne i ukryte. To jawne określić łatwo. Starali się o udaremnienie potępienia komunizmu, o co zabiegała duża część ojców soboru. Wspierali też ekumenizm, aby Kościół osłabić. Prawosławie operuje pojęciem własnego terytorium kanonicznego. Nie akcentuje uniwersalizmu, tak jak katolicyzm. Nie wyznaje dogmatu o powszechnej jurysdykcji ani Biskupa Rzymskiego ani jakiegokolwiek hierarchy. W tych warunkach ekumenizm nie jest takim zagrożeniem dla Cerkwi jak dla Kościoła.

To zaś ukryte działanie prawosławnej hierarchii na arenie międzynarodowej sprowadza się do pracy specjalnej dla służb państwa sowieckiego. Tu nie wiemy dokładnie niemal niczego, bo akta wywiadów rozmaitych państw (a już zwłaszcza Rosji) są chronione tajemnicą.

Skoro Cyryl nawet nie ukrywa swojej współpracy ze służbami, to zastanawiam się, ilu „zwykłych” popów, którzy na przykład święcą nowo wybudowany pomnik Stalina, jest ludźmi służb, a ilu robi to z innych powodów...

W prawosławnych sferach nie istnieje coś takiego, jak jakiś rodzaj rygoryzmu moralnego. Przyzwoitość się nie liczy. Po prostu dobre jest to, co chce państwo. Reszta nie ma znaczenia. Państwu trzeba służyć i tak się to tłumaczy. Ci ludzie sami, którzy poszli na współpracę, byli donosicielami – tak się usprawiedliwiali, chociaż służyli państwu będącemu narzędziem zła. Imperium zła. Tu nic innego nie sposób powiedzieć, jak to, że taka jest po prostu specyfika Rosji. Tam jest inna

mentalność. Państwo jest traktowane jako ta siła, której trzeba służyć do ostatnich granic. Tam nie ma oporu w imię zasady, że tak się nie godzi, że to jest służba „Bogu i mamonie”, albo „Bogu i szatanowi”. A jeżeli się wyłonił ktoś taki jak ojciec Mień w latach 90. XX wieku, który zaczął to odważnie krytykować, od razu zginął. Oczywiście śmierć zadano mu skrytobójczo.

Symbolicznie przyjmujemy, że upadek komunizmu następuje z chwilą rozwiązania ZSRR. Dla mnie jest to dyskusyjne, bo przecież KGB nie zostało ani wówczas ani później rozwiązane. Rozwiązuje się państwo ZSRR w Białowieży w 1991 roku, ale KGB dalej istnieje. Zmienia się jedynie jego nazwa. Po tym przewrocie, jakim był upadek ustroju komunistycznego, hierarchia prawosławna, która otrzymała teraz poparcie państwa, nie dopuszczała do stworzenia jakichkolwiek ośrodków ludzi autentycznie głoszących wiarę i pragnących nią żyć; żeby na przykład z tych środowisk wydobywał się głos krytyki także i wobec posunięć państwa, kiedy trzeba. Tego nie było i nie ma. Takie próby stłumiono w zarodku, a jeżeli ktoś się „wychylił”, to zginął, albo był przynajmniej ekskomunikowany.

Nie jest chyba bez znaczenia, że ze strony Cerkwi nie padło ani jedno słowo strofujące rządzących w ich polityce prowadzenia zaborczej wojny. Padły, owszem, słowa zagrzewające do walki i wytrwałości na tej drodze. Co gorsza, przywódca Cerkwi nawet groził światu, odwołując się do ulubionego motywu grożenia, jakim są zapowiedzi użycia broni atomowej.

Ktoś w kontrze może stwierdzić, że przecież Rosja po upadku komunizmu odbudowała Sobór Chrystusa Zbawiciela... Mało tego: Putin wpisuje do rosyjskiej konstytucji słowo „Bóg”, stoi w pierwszej ławce w cerkwi podczas uroczystości Bożego Narodzenia... To są tylko puste gesty? Zwolennicy Rosji jako nadziei dla cywilizacji chrześcijańskiej, którzy powtarzają, że Zachód zgnął, którzy wskazują, że żaden liczący się przywódca państwa na Zachodzie nie pójdzie do kościoła, nie mają jednak trochę racji? Nawet jeśli jest to wszystko maska, nawet jeśli to wszystko na pokaz, to czy nie jest to lepsze niż ateizm na serio, jaki mamy na Zachodzie?

To bardzo dobre pytanie. Moim zdaniem te fakty, o których Pan Redaktor przypomniał, są zupełnie nie znaczące. Słowo „Bóg” w rosyjskiej konstytucji jest ozdobnikiem. Tekst preambuły nie ma formy sankcji w postaci odwołania się do instancji wyższej (ponadludzkiej). Pojawianie się Putina w pierwszej ławce w cerkwi w wielkie święta, to nawiązanie do czasów Rosji carskiej.

Skoro to nic nie znaczące gesty, to dlaczego nie stać na podobne działania nikogo na Zachodzie?

Ponieważ tam jest szalejący liberalizm lewicowy, który nie popuszcza i próbuje przeprowadzić przymusową ateizację. Tam nawet wspomnienie słowa Bóg w jakimkolwiek akcie państwa nie przechodzi. W Rosji – póki co – tego nie ma. W Rosji się przymusowo nie ateizuje, ale za to Cerkiew została podporządkowana państwu jako jego agenda. Cerkiew po prostu pomaga rządowi, jak może, w utrzymaniu władzy. Polityki zaś, którą ten rząd prowadzi, nie poddaje się jakiegokolwiek próbie oceny z punktu widzenia moralnego.

Tutaj chyba dotykamy kwestii kluczowej: czy w takim modelu władzy Cerkiew jest niezbędnym elementem państwa, narodu, władzy w Rosji?

Moim zdaniem sprawa wygląda następująco: gdyby Cerkwi nie było, to nie sądzę, żeby władza postkomnustycznej Rosji musiała ją stworzyć, aby się utrzymać. Jednak Cerkiew jest, chociaż nie pełni takiej roli jak za carów. Skoro do prawosławnych kościołów chodzi jednak jakiś odsetek obywateli, chociaż niewielki, to państwo inwestuje w jej istnienie, żeby wspierała władzę, jak potrafi. Nawet jeśli Cerkiew nie wywiera większego wpływu na rosyjskie masy społeczne, to dobrze, że jest, bo tych kilka procent wiernych zawsze się przyda. Jej głos może też się liczyć dla tych, którzy nie praktykują, ale na przykład dobrze im odpowiada nawiązywanie do historii państwa, której od religii oderwać się nie da.

Trzeba wziąć pod uwagę i to, że ideologia komunistyczna w Rosji upadła i jest martwa. Nikt już nie wierzy w Marksa, Engelsa czy Lenina.

Skoro nie ma się do czego odwołać, to odwołuje się do ideologii imperializmu i jednocześnie podkreśla się chrześcijańskie korzenie Rosji, jako przeciwwagi dla zgniłego, bo laickiego Zachodu, który cnotę i występki stawia na równi.

Bardzo dobrze działający system dyktatury (nie waham się tego podkreślić) wygląda dla niektórych konserwatystów na Zachodzie jako pozytywna alternatywa dla gnijącej cywilizacji w ich krajach. Upatrują zatem w Rosji współczesne państwo, które realizuje współpracę na linii państwo-Kościół. To dla państwa rosyjskiego z Putinem na czele jest korzystne. W rzeczywistości liczy się to, jak wygląda naprawdę ta współpraca. To dobrze, że patriarcha Cyryl od czasu do czasu przypomni, że istnieje piekło, że będzie Sąd Ostateczny, że Pan Bóg jest miłosierny, ale i sprawiedliwy. Z drugiej jednak strony ten sam człowiek nie krytykuje wywołania wojny przeciw Ukrainie.

***Cerkiew de facto zniknęła w ZSRR, o czym już Pan profesor mówił.
A państwo trwało...***

Zniknęła, to prawda. Trzeba tutaj podkreślić, że jednak w czasach Gorbaczowa zaczęły się odtwarzać na niewielką skalę wspólnoty wierzących i dzięki temu nie doszło do kompletnego wypłenienia. Prawosławie jednak przetrwało. Nie uległo totalnej zagładzie. Oczywiście gdyby Cerkwi nie było, to państwo w jakimś kształcie by i tak funkcjonowało w oparciu o rządy twardej ręki, ideologię imperializmu i tak dalej. Rosjaninowi (choć z pewnością nie każdemu) miłe jest jednak odwoływanie się (choćby tylko odświeżające) do dziedzictwa historii z prawosławiem jako jego istotnym elementem. To wcale nie musi oznaczać życia po chrześcijańsku.

Trzeba pamiętać, że państwo zainwestowało duże środki na małe cerkiewki, małe kapliczki, które można spotkać na każdym osiedlu w rosyjskich miastach. To wszystko zostało wykonane siłami państwa. Cerkiew tu była beneficjentem polityki państwa, którą prowadził zarówno rząd Jelcyna jak i rząd Putina.

Ktoś znowu mógłby odpowiedzieć: dlaczego czegoś takiego nie ma na Zachodzie? U nas nie dość, że państwo nie inwestuje w kaplice i kościoły, tylko bardziej w meczety, to dodatkowo robi wszystko, aby przejąć, sprzedać i zarobić na świątyniach, do których nie przychodzą już wierni...

Rewolucja francuska zafundowała nam rozdział Kościoła od państwa. Kościół ogłosiła stowarzyszeniem, do którego ludzie wchodzią bądź wychodzą. Państwo ma być na papierze bezstronne wobec wszelkich religii. W praktyce ateistyczne. System ten działa. Nie widać, aby się kończył.

Jak odnosi się Pan do głosów mówiących, że w Rosji nie ma takiego „szaleństwa dogmatycznego”, jakie ma obecnie miejsce w Kościele katolickim, ze względu na to, że Rosję ominął II Sobór Watykański? Właśnie dlatego, że w Rosji nie było II Soboru Watykańskiego istnieje tam „prawdziwa wiara”, która nie została wypaczona...

Rosję nie tylko ominął II Sobór Watykański, Rosję ominęły wszystkie sobory katolickie drugiego tysiąclecia, w tym oczywiście również Sobór Trydencki, który na nowo zdefiniował tożsamość Kościoła, w obliczu tragedii, jaką był rozłam wywołany przez Luta i jemu podobnych. Nie da się zaprzeczyć, że Kościół katolicki – o czym zresztą już mówiłem wielokrotnie – decyzją swoich przywódców zafundował sobie coś bardzo niedobrego. Mam tutaj na myśli i nie waham się użyć tego słowa, *pierestrojkę* po Soborze zakończonym w r. 1965. O ile jeszcze papież tacy jak Paweł VI, Jan Paweł II, Benedykt XVI starali się mówić, że tu chodzi tylko o modyfikację taktyczną przede wszystkim duszpasterstwa, to Franciszek Kościoła już nawet nie ukrywał, że to, co się teraz dzieje, to rewolucyjna „terapia”. Ja nazywam to *pierestrojką* przez odwołanie do analogii historycznej.

Prawosławni nie mieli (i nie mają) *pierestrojki* u siebie i ciężko się nie zgodzić, że to dla nich dobrze. Tak samo prawosławni nie robią reform liturgicznych. Cerkiew bezwzględnie tłumi wszelkie próby eksperymentów liturgicznych i próbuje to absolutnie uniemożliwić. Gdyby pop wprowadził jakieś eksperymenty liturgiczne u siebie, w swojej

parafii, i dowiedziałby się o tym jego ordynariusz, to byłby natychmiast suspendowany albo i ekskomunikowany. Myślę, że to nie ulega żadnej wątpliwości. Liturgia jest traktowana przez prawosławie jako skarb, którego ruszyć nie wolno. Były postulaty oczywiście, żeby liturgię skrócić, bo jest zbyt długa, ale zostało to oczywiście odrzucone przez hierarchię. Hierarchia nie odstępuje od tego, co jest i trudno mi nie powiedzieć, że to jest bardzo dobrze, bo ta liturgia wyrosła organicznie z wiary w przeszłości, a nie za biurkiem, jak obecna liturgia liberalna, narzucona w naszym Kościele.

Mówiąc zupełnie osobiście, bo do tego każdy ma tu prawo, nie jestem specjalnie zbudowany liturgią prawosławną pod względem estetycznym. Niespecjalnie te śpiewy cerkiewne na mnie działają... Jestem człowiekiem, który pozostaje pod ogromnym wpływem liturgii rzymskiej, oczywiście takiej, jaka była powszechna w Koście przed rewolucją soborową. Natomiast nie sposób nie przyznać, że w liturgii prawosławnej jest sacrum.

W tym wypadku istotnie Cerkiew ma określone dziedzictwo. Tylko pytanie: co z tego wynika? To, że nie są wykreślane dogmaty; że nikt nie próbuje zburzyć ustroju Cerkwi, co niestety ma obecnie miejsce w Kościele katolickim – jest ważne. Cerkiew jakoś broni się przed rewolucją, jaka ma miejsce w Kościele. Ale to nie wszystko. Prawosławie nie prowadzi działalności misyjnej... Działalność charytatywna jest tam ograniczona do minimum. Jeżeli gdzieś są ludzie mówiący po rosyjsku, to oczywiście idą do cerkwi. Tak jest w wielu miastach Zachodu. Problem jednak w tym, że za tym nie idzie budowanie społeczeństwa chrześcijańskiego. Na pewno nie można mówić o społeczeństwie chrześcijańskim w Rosji.

Kondycja religijna społeczeństwa rosyjskiego nie jest dobra. Zwracałbym uwagę na to, że jeśli na uroczystościach wielkanocnych pojawia się niewielki jednak odsetek wiernych w kraju, to fakt ten bardzo wiele znaczy. Jakiś czas temu podana wiadomość, że w całym kraju w uroczystość Zmartwychwstania Pańskiego, czyli święto nad świętami, do

cerkwi poszło kilka procent Rosjan. To pokazuje, że przeciętny Rosjanin żyje raczej bez Boga.

A jak odniesie się Pan do argumentu, że w sumie to dobrze, iż w prawosławiu nie ma papieża, ponieważ nie jest ono przez to uzależnione od decyzji jednego człowieka, tylko wszystko jest organiczne, lud może się nie zgodzić z hierarchą, a hierarcha z ludem etc...

Nie sędzę, aby to był właściwy trop w naszym myśleniu. Prawosławie jest wyznaniem w sumie niewielkim. Obejmuje oczywiście Rosję, ważna jest Grecja. Dochodzi diaspora Rosjan na Zachodzie i wspólnoty eklesjalne na Bliskim Wschodzie. Kościół katolicki jest dużo większy i ma swoje główne centra na Zachodzie. Tam zaś występuje silna infiltracja wrogów zewnętrznych – tj. sił liberalnych.

Przed wszystkim silnie oddziałuje jednak protestantyzm jako rodzaj chrześcijaństwa które się zreformowało. Zastąpiło ołtarze stołami, uznało, że małżeństwo można rozerwać itd. Z protestantyzmu wreszcie wyszedł impuls do ekumenizmu. To oddziaływanie protestantyzmu prowadzi do spustoszenia. Warto nadmienić, że w Kościele posoborowym nie są wprowadzane żadne innowacje, które nie byłyby już aplikowane przez protestantów u siebie. A ponieważ w ich wspólnotach nie przyniosło to bynajmniej rozkwitu, tym większe jest dla mnie zdumienie z powodu zaślepienia posoborowych hierarchów, przekonujących swych wiernych, że to wszystko dla dobra Kościoła...

Gdy zaś idzie o prymat Biskupa Rzymskiego i dogmat jego nieomylności – nie stanowią one na pewno przeszkody dla zdrowego rozwoju Kościoła. Zresztą instytucję nieomylności wprowadzono po to, aby papież nie musiał dla każdej decyzji swojej zapewniać sobie przyzwolenia Kościoła – czy to wówczas, kiedy definiuje nowe treści dogmatyczne, czy też określa zasady moralne. W czasach wielkiego zamętu to bardzo ważne. Tyle tylko, że aby ten system działał, papieżem nie może być hierarcha liberalny.

W mediach pojawiają się analizy na temat rosnącej liczby Rosjan wierzących w zmartwychwstanie Pana Jezusa. Jednocześnie ci sami ludzie wierzący w zmartwychwstanie bardzo często wierzą również we wróżki, czarownice, legendarne bestie i inne zabobony. Czyli dzieje się to, co konserwatyści zafascynowani Rosją krytykują na Zachodzie, gdzie zdarzają się przypadki, że osoby chodzące do kościoła czytają horoskopy etc. W przypadku Rosjan jakoś jednak zawsze udaje się znaleźć usprawiedliwienie dla wiary w zmartwychwstanie i jednocześnie wiary w czary... Dlaczego?

Jeżeli tak jest, nie sądzę, aby w dzisiejszym świecie Rosjanie byli społecznością wyjątkową. Na Zachodzie też tak to wygląda, a podobnie jest i u nas. Niemaló Polaków ucieka się przecież do wróżenia i innych podobnych praktyk. A uchodzimy w oczach zagranicy za społeczeństwo konserwatywne.

Szereg miesięcy temu gubernator obwodu smoleńskiego Wasilij Anochin zapowiedział, że budynek rzymskokatolickiego kościoła Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny w Smoleńsku zostanie w pełni odrestaurowany. Jak jednak informuje archidiecezja Matki Bożej w Moskwie, nie jest przewidziane przekazanie kościoła wiernym. Nie było również żadnych rozmów na temat możliwości pełnienia w nim posługi duszpasterskiej. W 1936 roku neogotycki kościół został odebrany wiernym, zdemontowano dzwony i krzyże, zdemontowano organy, a budynek przekazano na archiwum NKWD. Następnie pomieszczenia kościoła były wykorzystywane jako magazyn Archiwum Państwowego Obwodu Smoleńskiego. Jednak budynek został uznany za awaryjny i ostatecznie w 2013 r. instytucja opuściła dawny kościół – od tego czasu pomieszczenia są puste. W rezultacie budynek uległ dewastacji. Wiadomość o odrestaurowaniu świątyni i nieprzekazaniu jej wiernym przeszła jakoś bez echa. Czy słusznie? Moim zdaniem jest ona pewnym symbolem...

Myślę, że nie może być inaczej. Wszystko co służy wzmocnieniu katolicyzmu na terytorium państwa rosyjskiego jest nie do przyjęcia dla jego władz. Katolicyzm jest – tak jak to było – pojmowany jako narzędzie sił obcych w penetrowaniu i przekształcaniu Rosji na modłę

Zachodu. Przed takim działaniem trzeba się bronić. I to jest dewiza Cerkwi.

Stolica Apostolska chce dialogu z prawosławiem, o czym świadczą wypowiedzi niektórych hierarchów, którzy twierdzą nawet, że w 1054 roku nie było żadnej schizmy. Moskwa jednak ekumenizmu nie chce. Czy jednak można tutaj mówić o jakimkolwiek ekumenizmie, czy jest to już po prostu czysta polityka zarówno ze strony Watykanu jak i Cerkwi? Co obie strony, czyli Watykan zapraszający do rozmów i Moskwa, która nie chce rozmawiać, chcą ugrać?

Istotnie Watykan dzisiejszy mnoży swoje starania i pragnie dialogu dla dialogu... Proszę jednak zważyć, że mimo bardzo licznych gestów prorosyjskich (bardzo zresztą niepotrzebnych) ze strony poprzedniego papieża i jego Kurii – nie doszło do żadnego otwarcia dzisiejszej Rosji na katolicyzm. Z Moskwy nie wyszedł tu żaden impuls. Oczywiście rosyjska hierarchia powtarza hasła o ekumenizmie, ale czyni tak pro forma. Przewrót w nauce moralnej Kościoła, który przyniósł np. faktyczną akceptację homoseksualizmu przez papieża i jego otoczenie, doszedł jako dodatkowe uzasadnienie wielkiej ostrożności rosyjskiej Cerkwi w tzw. dialogu, ale to tylko pretekst. Dla prawosławnych wymarzoną jest sytuacja, kiedy sami nie ustępują w niczym, a partner, owszem, idzie na ustępstwa.

Na koniec pozwolę sobie zapytać o koncepcję neo-unii. Co to było i czy miało szansę się udać? Wiem, że jest to temat na kolejną, bardzo długą dyskusję, ale prosiłbym Pana o kilka słów na temat tej idei.

Neo-unia to idea Piusa XI. Ten wybitny papież zrozumiał, że Kościół greko-katolicki, który w Rzeczypospolitej powstał w następstwie unii brzeskiej z 1596 r. jest Kościołem dla narodowości ukraińskiej. Trudno było zakładać, że np. Rosjanie czy Białorusini przyłączą się do tej wspólnoty eklezjalnej. Wierząc więc w słuszność idei unii, postanowił papież nawracać prawosławnych, dając im ofertę powrotu do jedności ze Stolicą Apostolską w ramach nowego obrządku – bizantyjsko-słowiańskiego. Rosjanie, czy Białorusini mogliby zachować liturgię

prawosławną, wschodnie prawo kanoniczne i inne osobliwości, ale przyjmowali by posłuszeństwo Biskupowi Rzymskiemu.

Sama ta idea nie była na pewno zła. Wyrastała z nauki zawartej w encyklice *Mortalium animos* (1928), która głosi, że bez powrotu do Owczarni Chrystusa nie ma zbawienia dla chrześcijan od niej oddzielonych. W ówczesnych komentarzach katolickich wokół tego dokumentu wybrzmiewało stwierdzenie, iż papież nie może uchylić niczego z depozytu wiary, a ten depozyt zawiera nakaz posłuszeństwa Biskupowi Rzymskiemu. Idąc tak wytyczoną drogą, papież wydał jeszcze specjalną encyklikę *Rerum orientalium*, zapowiadając nowy rodzaj misji jaką miało być nawracanie prawosławnych właśnie poprzez neo-unię. Powołał Papieską Komisję *Pro Russia* w Kurii. Stworzył wreszcie Instytut Orientalny (Wschodni), aby kształcił księży w Rzymie z umiejętnością choćby odprawiania mszy w rycie wschodnim. Nad sprawami neo-unii opiekę sprawował jeden z kardynałów Kurii. Po odwołaniu z urzędu nuncjusza w Polsce objął te obowiązki kardynał Francesco Marmaggi.

Planów papieskich nie można było jednak realizować na terytorium Rosji, bo państwo sowieckie postarało się o to, aby wszystkie takie starania udaremnić. W połowie lat dwudziestych misja jezuitów o. Michela D'Herbigny do ZSRR dała zupełne fiasko. Tajnie wyświęconych biskupów rychło uniemożliwiło NKWD. Sytuacja byłaby niewątpliwie inna, gdyby w międzywojennej Rosji utrzymywał się taki ustrój, jaki zaprowadził Rząd Tymczasowy (1917), albo działała jakaś dyktatura wojskowa. Z pewnością można by było zrobić wówczas dużo więcej. W państwie Stalina to było niepodobieństwo. Każdy ksiądz z zagranicy, który przybyłby do „ojczyzny proletariatu” – z polecenia jakichkolwiek zewnętrznych ośrodków władzy – aby uprawiać duszpasterstwo, to szpieg winien śmierci. D'Herbigny zostały tylko wydalone, bo gorsze potraktowanie groziło niepożądanymi powikłaniami w stosunkach z Francją, czego Sowietom chcieli uniknąć.

W tych okolicznościach akcja neo-unijna dała określone rezultaty (zresztą bardzo skromne) na terytorium jedynie Polski. Może dałoby

to większy skutek przy poparciu władz. Trzeba jednak zauważyć, że rząd piłsudczykowski nie odnosił się do tej koncepcji watykańskiej życzliwie. Panowało w Warszawie przekonanie, iż popierając takie przedsięwzięcie, państwo polskie zafunduje sobie jeszcze jeden nowy konflikt religijny, bo prawosławni zaciekle bronili się przed neo-unią, oskarżając Stolicę Apostolską o zamach na ich tożsamość i w ogóle o wszystko, co najgorsze.

Podkreślmy jedną rzecz. Idea unii była podstawowym środkiem realizacji idei jedności chrześcijan w Kościele przed soboru Watykańskiego II. Po tym soborze obrządki unijne zachowano, bo też trudno sobie wyobrazić, aby takie wspólnoty rozpędzać. Rzym poszedł jednak daleko w odstępieniu od idei unii. Znalazło to wyraz w deklaracji podpisanej w Balamand (1993), w której Stolica Apostolska nawet odżegnała się do stosowania unii jako metody działania. Dokument ów operuje neologizmem „uniatyzm”, a zjawisko to krytykuje, zaliczając go do prozelityzmu. Tu oczywiście zaznaczyła swoją obecność ideologia ekumenizmu, jakże groźna. Nie nawracajmy, ale uprawiajmy dialog – tak można streścić to stanowisko. Jednym słowem, ważniejszy jest ekumenizm niż unia.

Dziękujemy za rozmowę

↩
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI

Powyższy artykuł znajdziesz również tu:

<https://pch24.pl/rosja-kontra-papiez-kiedy-moskwa-wreszcie-sie-nawroci/>

STRONG, INDEPENDENT HELENA I KRZYŻ

Jedną z postaci kładących istotne fundamenty pod budowę potężnej cywilizacji chrześcijańskiej była kobieta. Bardzo różniąca się jednak w spojrzeniu na to co w świecie ważne od tego, co próbuje się zaimplementować w głowach dzisiejszych kobiet.

Wiele dziś mówi się o silnych, niezależnych kobietach (*strong, independent woman*). O ich mocy (*girl power*) i niezwykłych dokonaniach na polu osobistym, zawodowym i społecznym. W XXI wieku koryfeuszom nowego feminizmu wydaje się, że po raz pierwszy w dziejach odkryli potęgę kobiety, że wyzwolili ją z jakichś rzekomych kajdan, że formując je w duchu neomarksistowskim tworzą nową, wielką cywilizację *strong, independent women*.

To, że źródeł i jednocześnie celów tej swoistej neo-kobiecości upatrują w odwołaniu do wspomnianego kolejnego etapu marksistowskiej walki klas, prowadzi do konkretnych konsekwencji – skoro dziś dawną walkę klas uprzywilejowanych z klasami niższymi zastąpiła walka płci, to w sposób oczywisty kobiety muszą zacząć nienawidzić mężczyzn. I ich zniszczyć.

I oto kobiety pracują, robią karierę, zdają się sobie silniejszymi niż nigdy dotąd, gardzą mężczyznami nienadążającymi za tymi zmianami i przestają wchodzić w związki, ewentualnie rozbijają je (własne i cudze), uprawiają seks z kim i kiedy chcą, nie rodzą dzieci. Ktoś złośliwy mógłby powiedzieć, że cywilizacja którą chcą budować, musi wobec tego skończyć się na następnym pokoleniu, z przyczyn całkowicie biologicznych. A tych akurat, wspierająca wszelkie zmiany na polu moralnym i kulturowym nauka (zmiana orientacji, zmiana płci, zmiana pozycji społecznej kobiety, a więc i mężczyzny, zmiana modelu rodziny) jeszcze przewalczyć nie potrafi.

PRAWDZIWA SIŁA I NIEZALEŻNOŚĆ

Znamy z historii świata jednak kobiety, które były żonami i matkami, jednocześnie będąc kobietami niezwykle silnymi, zdeterminowanymi, mocnymi. Których działanie rzeczywiście przyczyniło się do tego, że powstał nowy świat, nowa cywilizacja. Cywilizacja chrześcijańska, uwypuklająca zresztą rolę kobiety jak żadna dotąd w dziejach, wzmacniając ją wobec cywilizacji pogańskich i wynoszącą na niespotykany poziom. Cywilizacja czcząca kobietę, Maryję, jako Królową wszystkich ludzi, Królową dzieci, kobiet i mężczyzn. Również tych najpotężniejszych i najbardziej zmaskulinizowanych władców.

Taką właśnie kobietą – silną, niezależną wobec dotychczasowej historii swego rodu i całej tradycji państwa na czele którego stał jej mąż, a potem syn – była Flawia Julia Helena, małżonka cesarza Konstantjusza i matka cesarza Konstantyna. Znana nam dziś pod jednym już tylko imieniem, Helena. Święta Helena.

To właśnie z nią wiąże się obchodzone 14 września w Kościele święto Podwyższenia Krzyża. Bo to ona Go podwyższyła, to ona, w wieku grubo powyżej siedemdziesięciu lat wyruszyła w pielgrzymkę do Ziemi Świętej, czy też raczej do Ziemi Świętego, do ziemi Zbawiciela, którego ledwie kilka lat wcześniej i za swojego Pana przyjął jej syn i ona sama.

Nawrócenie Konstantyna jest znaną, nierzadko opowiadaną historią. Nie zachował się jednak żaden dokument ani świadectwo bezpośrednio opisujące chrzest czy moment konwersji świętej Heleny. Źródła mówią jedynie, że w ostatnich dekadach życia była gorliwą chrześcijanką. Najczęściej przyjmuje się, że jej nawrócenie nastąpiło po 312 r., czyli po zwycięstwie Konstantyna nad Maksencjuszem, kiedy sam Konstantyn przyjął chrześcijaństwo jako religię sprzyjającą jego panowaniu.

Okolo 324–325 r. Konstantyn nadał jej tytuł Augusta i powierzył jej misję w Palestynie. Ruszyła tam z cesarskim orszakiem, tytułowana już wtedy przydomkiem *Augusta*, i z werwą – mimo podeszłego

wieku – kierowała poszukiwaniami, z pewnością pozostając pod wrażeniem ziemi, po której ledwie trzy stulecia wcześniej stąpał sam Chrystus. Z namaszczeniem ucałowała tę ziemię, nakazała rozpoczęcie szeroko zakrojonych poszukiwań i budowę kościołów.

POTWIERDZENIE EWANGELII

Wiara w prawdziwość wydarzeń opisanych przez Ewangelistów obudziła w Helenie wiarę w to, że poszukiwania miejsc związanych z Chrystusem mają sens, a to przyczyniło się do niezwykłych odkryć. Według Tradycji pod okiem Heleny wykopano Krzyż, do którego przybity był Chrystus, i inne krzyże. Jak ustalono, który z nich był na rozkaz Męki Pańskiej? Starożytne podania mówią o cudzie dokonanym po dotknięciu chorego drewnem z tego właśnie Krzyża, w którym wciąż tkwił przynajmniej jeden z gwoździ, do którego przez stulecia wspólnego spoczywania po ziemią przykleiły się również ususzone kolce-ciernie. Jakby tego było mało, w tym samym miejscu odnaleziono również *Titulus Crucis* – ułamek deski z zachowanym fragmentem napisanego w trzech językach swoistego ogłoszenia, że do tego krzyża przybito ciało Jezusa Nazarejczyka, Król Żydów (*INRI*).

Ekipa świętej Heleny odkryła zatem Golgotę, relikwie Krzyża, ale również nieopodal Grób Pański, nad którym pragnęła wznieść bazylikę. Podróż *Augusty* nie ograniczała się tylko do Jerozolimy, w Betlejem udało się zlokalizować prawdopodobną grootę Narodzenia, Helena poleciła wybudować tam kościół, a na Górze Oliwnej wskazała miejsce Wniebowstąpienia – tam też stanęła bazylika. Odnaleziono i siedzibę Piłata i schody, po których iść musiał sam Chrystus. Je również przetransportowano do Rzymu.

Bez względu na późniejsze badania i próby podważania przekazanych przez Tradycję wydarzeń, bez względu na próby dekonstruowania legend i rozmaite wątpliwości, na brak stuprocentowych dowodów i inne utyskiwania zręczliwych sceptyków, nikt nie jest w stanie zaprzeczyć historycznemu wydarzeniu, jakim była pielgrzymka starszej kobiety w jasnym celu – uczynienia Ziemi Świętego tym czym od tego czasu pozostaje dla wszystkich pokoleń wszystkich

chrześcijan w dziejach świata, a więc Ziemią Świętą. To Helena ocaliła tamte miejsca.

I nikt nie jest w stanie zanegować, podważyć, olbrzymiego ożywienia wiary Rzymu, po tym jak matka cesarza wróciła do Wiecznego Miasta ogłaszając co widziała i co ze sobą przywiozła. To umocniło i Rzym i Kościół wchodzący wówczas, dzięki decyzji Konstantyna, w nowy etap swoich dziejów – etap końca prześladowań, etap dynamicznego wzrostu liczby kapłanów i nawróceń, etap tworzenia cywilizacji już nie rzymskiej, nie starożytnej, ale nowej, wielkiej, pięknej cywilizacji chrześcijańskiej. Do tego właśnie przyczyniła się wiara, siła, determinacja i osobista moc matki cesarza.

CYWILIZACJA GODNOŚCI KOBIETY

Cywilizacja chrześcijańska mogła rozwijać się i zdobywać kolejne przyczółki dzięki nawróceniu Konstantyna i Heleny, dzięki działalności i decyzjom cesarza i dzięki pielgrzymkowej i architektonicznej determinacji kobiety. Silnej kobiety, kładącej już nie tylko fundamenty i podwaliny, ale i całe konstrukcje pod budowę rzeczywiście nowego i rzeczywiście lepszego świata. Chrześcijaństwo od samego początku zmieniło spojrzenie na małżeństwo i relacje rodzinne. W świecie starożytnym kobieta bywała traktowana jak część majątku, mogła być porzucana lub zmuszana do kolejnych związków – Kościół natomiast wprowadził zasadę dożywotniej monogamii i nierozzerwalności małżeństwa. Dzięki temu kobieta zyskała poczucie bezpieczeństwa, ochronę przed poligamią i przed odrzuceniem.

Nowa religia podniosła także godność i podmiotowość kobiety. Zabrała jej piętno niewolnicy czy narzędzia do kultów seksualnych, a uznała równą wartość moralną i duchową w małżeństwie. Wdowy mogły zachować majątek i niezależność, a Kościół obejmował je specjalną opieką. Chrześcijańska moralność nakładała równe wymagania wierności na mężczyzn i kobiety, co zwiększało szacunek wobec żon i matek. Kult Najświętszej Maryi Panny sprawił natomiast, że macierzyństwo i czystość stały się wzniosłymi ideałami kulturowymi, a nie ciężarem czy powodem do pogardy.

Dzięki temu kobieta mogła odnaleźć swoje miejsce także w życiu społecznym. To właśnie chrześcijaństwo przyciągało wiele kobiet, oferując im niezależność i godność niespotykaną w innych kulturach starożytnych. Rzymianie nazywali je wręcz „religią dla kobiet”, widząc, jak wielką wagę Kościół przykładał do ich pozycji. Wspólnoty zakonne i charytatywne dawały kobietom możliwość aktywnej służby w Kościele, w opiece nad chorymi, wychowaniu dzieci, prowadzeniu przytułków i szkół.

Kościół i cywilizacja chrześcijańska stopniowo kształtowały nową, wyższą pozycję kobiety w rodzinie i społeczeństwie – kto chciałby temu zaprzeczyć w XXI wieku musiałby zostać uznany albo za skrajnego ignorantę, albo za człowieka o wyjątkowo złej woli.

KOBIECOŚĆ POD KRZYŻEM

Kilka lat po śmierci Heleny, a więc w roku 335, w Jerozolimie konsekrowano Bazylikę Grobu Świętego – w dniu 13 września. Następnego dnia, 14 września, wystawiono wiernym do adoracji relikwie Krzyża Świętego, i to właśnie uznaje się za początek święta obchodzonego w całym Kościele Powszechnym po dziś dzień. A świętą Helenę od kilkunastu stuleci przedstawia się w ikonografii jako kobietę trzymającą w rękach krzyż.

Dzisiejszy świat jednak nie zauważa tego dnia, nie uważa go za cokolwiek istotnego, nie pamięta o Helenie. Czyż może być jednak inaczej, skoro dzisiejszego człowieka krzyż nie tylko nie interesuje, nie tylko nie chciałby on jego podwyższenia, ale uważa go za swego wroga? Za symbol nie miłości, zbawienia i nadziei, ale za symbol rzekomej okrutnej opresji? Dzisiejszy świat nie chce wspominać podwyższenia krzyża, nie chce wspominać rzeczywiście silnej kobiety która go odnalazła, która rzeczywiście może być uznana za jedną z budowniczych wspaniałej cywilizacji. Dzisiejszy świat chciałby raczej ponownego zakopania krzyża. Ukrycia go. Zniszczenia.

I – w konsekwencji – ponownego upodlenia kobiety, znów, tak jak w świecie pogańskim, służącej głównie do pracy (dziś nazywanej

karierą) i przygodnego seksu. Oczywiście w imię stania się *strong, independent woman*.

Można iść za tą ideą, odrzucając krzyż i cywilizację.

Można też wybrać krzyż i cywilizację na nim zbudowaną. Można, trzeba Go wciąż podwyższać. Walka trwa.

*Trójco, źródłem, coś żywota,
Ciebie świat niech sławi cały,
przez Krzyż Święty otwórz wrota
do zwycięstwa i do chwały!*

↩
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI

Powyższy artykuł znajdziesz również tu:

<https://pch24.pl/strong-independent-helena-i-krzyz/>



KAROL NAWROCKI, NOWA KONSTYTUCJA I „TEOLOGIA POLITYCZNA” KS. PIOTRA SKARGI

Nowa konstytucja? Prezydent Karol Nawrocki uważa, że to możliwe – i chce rozpocząć konkretne prace nad jej stworzeniem. Żeby dobrze wykonać to zadanie, konieczne jest sięgnięcie do polskiej myśli politycznej. Idealnym autorem jest tu oczywiście ks. Piotr Skarga. O jego teologii politycznej pisał niedawno ciekawie prof. Jacek Bartyzel. Chciałbym w tym tekście krótko wskazać na kilka istotnych, jak sądzę, aspektów tekstu polskiego badacza.

Na pozór mogłoby się wydawać, że zainteresowanie myślą polityczną kontrreformacyjnego kaznodziei ks. Piotra Skargi (1536 – 1612) jest w gruncie rzeczy jakimś antykwaryzmem. Epoka Rzeczypospolitej została nieodwołalnie zamknięta, a wyzwania i wielkie dyskusje XVI i XVII stulecia nie są przecież naszymi. Takie ujęcie byłoby jednak błędne – nie tylko dlatego, że współczesna myśl polityczna, żeby rzeczywiście istnieć i móc się rozwijać, powinna podejmować krytyczną i życzliwą zarazem refleksję nad dorobkiem dawnych pokoleń.

Chodzi o coś znacznie więcej. Jesteśmy dziś w Polsce w szczególnym momencie naszych dziejów. W 1989 roku odzyskaliśmy własne państwo po długich dekadach *de facto* sowieckiej niewoli. Przez ponad trzydzieści lat nie zdobyliśmy się jednak na to, by nadać temu państwu rzeczywiście swoisty, polski wyraz. Nazbyt często kopiowaliśmy zagraniczne rozwiązania – w dziedzinie idei zwłaszcza amerykańskiego liberalizmu, w dziedzinie technicznej i funkcjonalnej szczególnie niemieckiego demokratycznego państwa prawa. Z racji na potężne spory wewnętrzne i trudności ekonomiczne nawet to papuzie naśladownictwo było niedoskonałe – choćby nasza konstytucja jest tego bolesnym wyrazem, często niedookreślona, niejasna i przez to prowokująca nieustanne utarczki i kłopoty interpretacyjne.

Nadszedł czas, by to zmienić. O nowej konstytucji, a co za tym idzie – o nowym przemyśleniu polskiej polityczności – mówi się wprawdzie od dawna, a teraz na horyzoncie zaczyna malować się realna perspektywa realizacji tych zamierzeń.

Prezydent Karol Nawrocki planuje powołać specjalną radę, która będzie pracowała nad tym projektem. Jest duża szansa na to, że pod jego przewodnictwem nowa, stabilna i prawicowa większość parlamentarna będzie w stanie podjąć się przynajmniej poważnego nakreślenia nowego modelu politycznego i stanowiącej tego wyraz nowej konstytucji. Dlatego właśnie **lektura i refleksja nad polską myślą polityczną**, nawet sprzed kilkuset lat, nie jest jałowa, ale jak najbardziej płodna; **pozwala wydobyć na wierzch to, co stanowi autentycznie polską wizję polityczności**. Tego nam koniecznie potrzeba – a trudno sięgnąć po bardziej czcigodny wzór, niż ks. Piotra Skarga, tym więcej, że żył i działał w okresie szczególnym – wyjątkowego wzrostu Rzeczypospolitej, przejawiającej jednak u kresu jego życia już pierwsze oznaki późniejszej słabości.

Myśli ks. Piotra Skargi prof. Jacek Bartyzel poświęcił tekst pt. „Teologia polityczna ks. Piotra Skargi” zamieszczony w tomie jego autorstwa „Zboże polskiego myślenia”, opublikowanym w 2020 roku przez Wydawnictwo von Borowiecky. Omawiam poniżej niektóre aspekty tego tekstu, co oczywiście nie zastąpi jego pełnej lektury – do tego zachęcam czytelnika.

Zanim przedstawię szczegóły, chciałbym zwrócić jeszcze uwagę na dwie konkretne kwestie, o żywotnym znaczeniu dla obecnej polskiej debaty konstytucyjnej.

Po pierwsze jest jasne, że ustanowienie katolickiego państwa wyznaniowego, co ks. Skarga uważał za ideał, jest w tym momencie poza naszym zasięgiem. **Krytykę upowszechnienia wyznań protestanckich w Rzeczypospolitej można czytać dziś jednak szerzej – jako krytykę fałszywego, relatywistycznego liberalizmu**, który kompletnie ignoruje znaczenie prawdy, a na człowieka patrzy

tylko w kategoriach naturalistycznych czy zgoła materialistycznych. W tym sensie myśl ks. Skargi zachowuje wielką aktualność, nawet jeżeli przyjąć roszczenie do wyłączności wiary katolickiej za nierealizowalne. Z takim ujęciem, myślę, mogą zgodzić się nawet ci polscy konserwatyści, którzy pomimo przywiązania do chrześcijaństwa nie uznają zwierzchności katolickiego papieża.

Po drugie, nie wydaje się prawdopodobne wprowadzenie w Polsce monarchii. Jak najbardziej możliwe jest jednak zbudowanie silnego systemu prezydenckiego. Proponuję, by właśnie w tym kluczu czytać i reflektować nad ks. Skargi pochwałą monarchii i krytyką demokracji. Dzięki temu uniknie się pokusy faktycznego antykwaryzmu, starając się o przełożenie jego myśli politycznej na to, co faktycznie możliwe.

Już choćby te dwa wątki – krytyka relatywizmu i pochwała władzy skoncentrowanej w jednostce – mogą być, myślę, również dziś bardzo ożywcze.

Prof. Jacek Bartyzel zaczyna od zarysowania kontekstu działalności ks. Piotra Skargi; powiedzielibyśmy dziś – kontekstu kulturowego. Rzeczpospolita doby ks. Piotra Skargi była na skalę europejską religijnym ewenementem. Po pierwsze, żadne inne państwo w Europie nie miało tak długiej i złożonej tradycji dwuwyznaniowości. Praktycznie już od końca XIV wieku członkami członkami *corpus politicum*, czyli jakby klasy politycznej, byli obok katolików również prawosławni. W innych krajach zachodnich przed reformacją panowała jednorodność katolicka – a w krajach Europy wschodniej czy południowej jednorodność prawosławna. Reformacja jeszcze skomplikowała ten obraz, jako że znaczna część magnaterii i szlachty – w przypadku szlachty często część najbardziej aktywna w ruchu egzekucyjnym – przeszła na kalwinizm, jakkolwiek głównie z pobudek ekonomicznych, rzadko tylko doktrynalnych.

Rzeczpospolita, sędzi profesor, mogła pójść drogą bliską Anglii – nie groziło jej przekształcenie się w typowo protestancki byt, ale stworzenie kościoła narodowego kontrolowanego przez króla za panowania Zygmunta II Augusta – już tak. Bartyzel zwraca uwagę, że Polska w XVI stuleciu miała wciąż relatywnie krótką historię ewangelizacji, przynajmniej w porównaniu z innymi krajami Europy zachodniej; to powodowało, że nasza odpowiedź teologiczna na wyzwania rzucone katolicyzmowi przez reformację nie mogła być tak pogłębiona jak choćby ta, jakiej udzielali na przykład Hiszpanie albo Portugalczycy. Odpowiedzi udzielał jednak ks. Piotr Skarga – na sposób godny podziwu, zwłaszcza biorąc pod uwagę wzmiankowane wyżej uwarunkowania.

Historyk stawia tezę, zgodnie z którą w myśli ks. Piotra Skargi można wysledzić **kompletną teologię polityczną**. Jezuita głosił mianowicie **trzy jedności wewnętrzne kraju**, które dopiero razem dają jedność nadrzędną. **To jedność religii, króla i ojczyzny**. Autor „Kazań sejmowych” był zatroskany nie tylko o możliwość zbawienia, utrudnioną czy zgoła uniemożliwioną przez przyjęcie i rozpowszechnianie herezji, ale również o przyszłość Rzeczypospolitej. Według jezuity odejście od jedności wiary na rzecz ich różnorodności musi siłą rzeczy prowadzić – i rzeczywiście prowadzi, dowodził obserwując współczesnych – do intensywnych sporów, a konsekwentnie do wojny domowej. Bartyzel zauważa, że ks. Skarga miał całkowitą rację, co się okazało pod koniec jego życia w czasie rokосу Zebrzydowskiego przeciwko władzy Zygmunta III Wazy, w którym to buncie przewodzili właśnie protestanci.

Jezuita przewidział też inną doniosłą konsekwencję upowszechnienia różnowierstwa, to znaczy – jak się wyrażał – „zbydlęcenie” albo wręcz diabolizację polityki. Stwierdzenia mogą razić dosadnością, ale mają swoje uzasadnienie. Otóż ks. Skarga wywodził, wskazuje profesor, że **odejście od jedności religii prowadzi do braku zainteresowania wiarą u władcy, tak, że zamiast troszczyć się o zbawienie poddanych, zabiega tylko o zachowanie ich życia i dóbr**. W ten sposób *avant la lettre* polski jezuita wyłożył myśl, którą przedstawili później w złożonej i rozbudowanej formie Thomas Hobbes, Baruch Spinoza

czy John Locke; to znaczy, że religia staje się albo przedmiotem arbitralnego rozstrzygnięcia panującego (Hobbes), albo kwestią wolnej decyzji sumienia jednostki (Spinoza) albo też rzeczą zupełnie prywatną (Locke). W tym właśnie kryje się owo „zbydlęcenie”, a tak właściwie diabelstwo: zwierzęta troszczą się o swoje życie, ale nie zabiegają przecież o zbawienie – toteż król czy szerzej całe *corpus politicum*, które przestaje zabiegać o zbawienie, zajmując się tylko zachowaniem życia i dóbr, dokonuje „bestializacji”, sprowadzenia się do rzędu zwierząt, co jest oczywiście wodą na młyn diabła.

Jezuita zajmował się jednak nie tylko problemem protestantyzmu. Głęboko **niepokoiła go też coraz wyraźniejsza tendencja do odzierania króla z jego władzy**, celem wzmacniania innych podmiotów politycznych. Harmonia Rzeczypospolitej, która – jak pisze w innym tekście tomu Bartyzel – dobrze wywahała porządek panowania i wolność, uległa zaburzeniu na skutek raczkującej anarchizacji życia politycznego i przejmowania zbyt dużej kontroli nad sprawami państwa przez magnaterię i szlachtę.

Ks. Skarga uważał tymczasem, idąc za wieloma autorami klasycznymi i chrześcijańskimi, że **najmilszym Bogu ustrojem jest właśnie monarchia**. Wskazywał, że skoro to sam Bóg dał swojemu ludowi króla w osobach Saula, Dawida oraz ich następców, to znaczy, że monarchia nie może być sama w sobie zła, wręcz przeciwnie. Dla jezuity była najwłaściwszą formą sprawowania władzy, jak pisze Bartyzel, „prawidłową *mimesis* Królestwa Bożego”. Ks. Skarga mówił na przykład: „Bowiem monarchija jest naśladowanie niebieskich rządów, na których sam jeden Bóg siedzi, i tak zaczął i ukazał ludzkiemu narodowi, i napisał na duszach ich, aby się takiego rządu trzymali, gdzie jeden władnie”. Argumentował też ze sposobu urzędzenia władzy w Kościele, która jest monarchiczna – a skoro tak, to znaczy, że to forma najlepsza.

Jezuita nie pochwalał zarazem *absolutum dominium*, które za dobre uznawał tylko w przypadku samego Boga, jako że Bóg nie może popaść w tyranie; władza królewska, choć silna, powinna być ograniczona.

Według Bartyzela, można powołać się na autorów hiszpańskich jak Francisco de Vitoria, Domingo de Soto i Francisco Suárez, wskazując, iż **monarchia musi być trojako ograniczona: „z góry” przez Boga, „z dołu” przez uprawnienia ciał społecznych, „wstecz” przez tradycję.**

Jezuita kategorycznie krytykował demokrację jako najgorszy z możliwych ustrojów, idąc tu, zauważa historyk, dalej nawet niż klasyczni autorzy. W jego ocenie wystarczałyby rządy królewskie ze wsparciem rady senatu i rzadkiego oraz krótkiego sejmu; długie i częste zebrania reprezentacji szlachty uważał za zarzewie kłótni i chaosu. **Tym więcej, że jak celnie dostrzega, w demokracji tylko na pozór rządzi wielu, bo tak naprawdę lud ma ledwie kilku swoich „królików”, którzy w miejsce króla nadają mu ton.** W ten sposób demokracja okazuje się siłą rzeczy ustrojem pozornym, fasadowym – za władzą wielu ukrywa się mglista władza nielicznych. Według Jacka Bartyzela zasadą antydemokratyzmu jezuita jest jego przywiązanie do porządku hierarchicznego i zdecydowany antyegalitaryzm.

Ks. Skarga nie odrzuca oczywiście równości ontologicznej, ale już równość społeczną czy polityczną traktuje jako szkodliwą głupotę, bo – jak trzeźwo zauważa – ludzie nie są równi, ale mają rozmaite kompetencje, stąd jedni powinni słuchać drugich. Zarazem jezuita bardzo silnie upomina się o to, by rządzący nie gardzili poddanymi, zwłaszcza chłopstwem – w „Kazaniach sejmowych” poświęca tej kwestii wiele miejsca i wkłada w to ewidentnie bardzo dużo serca. Można powiedzieć – tego profesor Bartyzel nie czyni, bo i sam jezuita tego wprost nie ujmował – że w ten sposób ks. Skarga dobitnie podkreśla jeszcze jedną jedność – obok religii, króla i ojczyzny jeszcze jedność narodu, przeciwko niesprawiedliwości arystokracji czy systemu quasi-kastowego.

Cała Skargowska teologia polityczna uznaje przy tym za oczywiste, że władza i państwo w ogóle, w naszym wypadku Rzeczpospolita, nie jest celem samym w sobie, ale ma służyć Chrystusowi. Dlatego w „Kazaniach sejmowych” podkreśla, że w naszym kraju, inaczej niż

w wielu innych ówczesnej doby, zachowana jeszcze została wierność wobec Boga, a to szczególnie istotne z racji na polskie położenie jako ostatniego bastionu katolicyzmu, żeby zachowywać świętą wiarę czystą od herezji i błędów.

Czy idąc tym śladem nie moglibyśmy przemyśleć nowego polskiego ustroju? **Silna władza prezydencka, choć daleka od monarchicznego ideału, byłaby przecież daleko lepszą *mimesis* Królestwa Bożego, niż sejmowa partiokracja.** Silna – nie oznacza całkowita, bo ograniczona przez prawo Boże (prawo naturalne), reprezentację parlamentarną oraz polską, katolicką i wolnościową tradycję. **Podobnie wyrazista i celna krytyka proto-relatywizmu może zostać przełożona na konkretne zapisy konstytucyjne, wskazujące na odniesienie Rzeczypospolitej do obiektywnego i niezmiennego porządku Bożego** – tak, żeby przełamać liberalny paradygmat „woli ludu” jako najwyższego prawa. To mogłoby położyć kres nieustannym dyskusjom na temat aborcji, ograniczania władzy rodzicielskiej czy prawa do posiadania broni. Wolność życia, wychowania własnych dzieci czy obrony własnego życia jest przecież gwarantowana właśnie istnieniem tego obiektywnego Bożego porządku. W ten sposób „Kazania sejmowe” ks. Piotra Skargi, tak jak pokazuje je profesor Jacek Bartyzel, mogą stać się bardzo jasnym i nade wszystko klasycznie polskim wkładem w refleksję nad nową konstytucją.

↩
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI

Powyższy artykuł znajdziesz również tu:

<https://pch24.pl/karol-nawrocki-nowa-konstytucja-i-teologia-polityczna-ks-piotra-skargi/>

CZY PROROCCTWO O „ISKRZE Z POLSKI” JUŻ SIĘ SPEŁNIŁO?

Przypomnijmy, że najslynniejsze obecnie proroctwo o Polsce pochodzi z *Dzienniczka* św. siostry Faustyny Kowalskiej. *Polskę szczególnie umiłowałem, a jeśli posłuszna będzie woli Mojej, wywyższę ją w potęgę i świętości. Z niej wyjdzie iskra, która przygotowuje świat na ostatnie przyjście Moje.* To słowa samego Jezusa – które robią na nas wielkie wrażenie. Nie mamy obowiązku, żeby w nie wierzyć, ale siostra Faustyna została przecież wyniesiona na ołtarze, a jej pisma drobiazgowo przebadano. *Dzienniczek* ma imprimatur i wielokrotnie powoływali się na niego dostojnicy kościelni, na czele z apostołem Miłosierdzia Bożego, Jana Pawłem II. To naprawdę mocne uwiarygodnienie. Niektórzy to właśnie w zapoczątkowaniu kultu Miłosierdzia Bożego, który z Polski rozprzestrzenił się na świat, i działalności papieża-Polaka widzą wypełnienie się już „proroctwa o iskrze”. Ale czy to już wszystko? Przecież w tym i innych proroctwach mowa jest wyraźnie o wielkości całego narodu. Raczej nie może chodzić tylko o to, że pielgrzymi z zagranicy będą przyjeżdżać do Łagiewnik, a spora część katolików na świecie będzie kojarzyć, że Jan Paweł II i Faustyna pochodzili z Polski. A na tym etapie jesteśmy teraz...

Zastanówmy się, co oznaczają te słowa: *Wywyższę was w potęgę i świętości...* – czyż świętość i potęga są tu wyraźnie nieodłączne? Jeśli tak, to właśnie świętość ma zaowocować wielkimi rzeczami. Tak, można powiedzieć, że to standardowe działanie Bożej Opatrzności, bo dla czego „święci” są wpływowi? – odpowiedź jest prosta: bo są święci, po prostu z tego wypływa ich siła. Świętość powoduje unikanie błędów. I szerzej patrząc, także cały kraj, w którym zyskają przewagę ludzie kierujący się Dekalogiem, uniknie błędów. Ludzie będą niejako wymuszać etyczne zachowania swoich przywódców. Odwrotnie niż to się dzieje w społeczeństwach zepsutych moralnie, w których elity rządzące hołdują najgorszym patologiom. Ten proces „uświęcenia” narodu z czasem musi zaowocować wzrostem znaczenia kraju, bo

pozytywne rzeczy nałożą się na siebie i wzajemnie wzmocnią, a sukces przyciągnie uwagę obcokrajowców chcących czerpać z tych doświadczeń.

A co ze słowami *jeśli posłuszna będzie woli Mojej?* Jaka jest ta wola? Oczywiście to życie na chrześcijańskich zasadach, ale czy mamy jeszcze jakieś wskazówki co do ukierunkowania naszego apostołskiego zaangażowania poza tym, co zapisała św. Faustyna?

Przesłanie zawarte w *Dzienniczku* ma prawdopodobnie dlatego bardziej ogólny charakter, że miało być to dzieło uniwersalne, znane na całym świecie i tłumaczone na dziesiątki języków. Jednak Chrystus objawił tajemnice Swojego miłosiernego Serca także siostrze Helenie Majewskiej, której wizje są dopełnieniem orędzia podyktowanego św. siostrze Faustynie. Między innymi u Majewskiej znajdujemy rozszerzenie i bardziej szczegółowe wskazówki na temat misji Polski.

POLSKA JONASZEM NARODÓW – SIOSTRA HELENA MAJEWSKA

Siostra Helena Majewska to kolejna po św. Faustynie polska apostołka Miłosierdzia Bożego. Ta wileńska mistyczka ze zgromadzenia Sióstr od Aniołów, podobnie jak Faustyna prowadzona duchowo przez spowiednika bł. Michała Sopoćkę, wciąż jest bardzo mało znana w Polsce. Od najmłodszych lat towarzyszyły jej wizje Chrystusa i Maryi, a także świętych i zmarłych. Jej *Dziennik* to zapis niezwykłych przeżyć i objawień, jakich doświadczyła w swoim życiu duchowym.

Podczas wizji zapisanej 18 stycznia 1941 roku (D. 105) Chrystus polecił siostrze Majewskiej, aby przypomniła sobie z Pisma Świętego historię Jonasza i przyrównał ją do sytuacji Polski:

Ojczyzna twoja ma powtórzyć to wielkie dzieło odkupienia. Gdy Kościół Katolicki przez namiestnika Mego powołuje ten naród do apostołstwa przez Akcję Katolicką wśród pogan, heretyków i niedowiarków, czyni on podobnie jak to czynił prorok Jonasz – ucieka przed Bogiem, rozmijając się ze swym wielkim zadaniem objawionym mu przez wolę Bożą, przez liczne upadki. Lecz Bóg ten naród polski jak Jonasza

dosięga swą wszechmocą Bożą, wołając: Stój! Jam jest! Wówczas naród ten zrozumiał, że zawinił. Jonasza porwała ryba we wnętrzości swoje – nieprzyjaciół zaś porwa Polskę w paszczę niewoli. (...) Dusza tego narodu musi przejść przez straszne oczyszczenie, jako pokutę za ciężką winę swą, pochoptność do ucieczki przed wolą Bożą.

Jezus widzi, że Polacy – tak jak Jonasz – nie są chętni, by mocniej zaangażować się na rzecz nawrócenia innych, że jako naród uciekają od tego apostołskiego zadania i popadają w ciężkie grzechy. Jednak po odbyciu pokuty dostaną jeszcze jedną szansę, by wydać obfity plon:

(D 106) ...aby jako siewca słowa Bożego przygotować dobre ziarno na rolę świeżą, którą w ostatnich latach przeorywałem, aby wydało na niwie Mojej plon obfity. To ziarno – to naród twój przygotowany do wydania obfitego plonu przez cierpienie, a rola – to świat cały dotknięty klęską ostatniej wojny. Gdziekolwiek serce polskie bić będzie, tam żywa wiara, miłość Boga i bliźniego kwitnąć będzie. Runo tego plonu zazielenie na całym świecie (D. 177)

Jezus postanowił pokazać w kierunku kogo, specyficznie, w pierwszej kolejności Polacy powinni zwrócić się ze swoim apostołskim wysiłkiem. Ma to być Rosja. Zbawiciel obiecuje też Helenie, że w Rosji nastąpią zmiany i pojawią się ku tej pracy odpowiednie warunki:

Helu módl się za swoją Ojczyznę, módl się za Kościół Mój. Wyleję wkrótce Swe Miłosierdzie na Polskę. Rosja niezaślęgi otworzy swe świątynie i pole do pracy nad zbawieniem dusz będzie otwarte. Polska przez swe cierpienia zrodzi dusze, które szerzyć i opowiadać będą o Miłosierdziu Moim.

Podczas modlitwy siostra Helena miała także takie widzenie:

W obłokach stał Chrystus tonący w jasności, z serca wypływały promienie Miłosierdzia, czerwony i biały. Przez pole widać było drogę, przez którą szedł św. Andrzej Bobola, lewą ręką wskazywał na Jezusa i patrzył na Niego, a w prawej trzymał krzyż misyjny, wyciągnięty

w stronę idących za nim licznie ludzi. Pierwsi szli za nim Polacy, potem Niemcy, bolszewicy, Żydzi, Litwini i wiele innych narodów. Gdy się zapytałam Pana Jezusa: „Co oznacza to wszystko?” Pan Jezus odpowiedział mi: „Św. Andrzej Bobola jest patronem narodu polskiego, że się wstawia za nim do Miłosierdzia Mojego, aby on przez swe cierpienie i życie prawdziwie chrześcijańskie stał się apostołem świata całego, wszystkich narodów.

Polska cała musi się stać wzorem chrześcijaństwa katolickiego, wszystkich narodów na całym świecie”.

Zdając sobie sprawę ze skali nieprawości, jakich dopuszczali się niektórzy Polacy, Helenę dręczyły poważne wątpliwości, czy jej naród jest w stanie wznieść się, by wypełnić powierzone mu przez Boga zadanie, dlatego zapytała Jezusa:

Powiedz mi, co będzie, gdy ten naród załamie się pod wpływem zła, jakie się szerzy w jego kraju i zawiedzie Twoje nadzieje, zepsuje Twoje plany w tym odrodzeniu?

Pan Jezus odpowiedział na to:

A ja ci mówię, że on się nie załamie. Miłość Matki Mojej Maryi ku niemu i jego własne sumienie nie pozwoli, aby się załamał. Myślisz, że od zła, jakie się szerzy, nie ma już nic potężniejszego u Ojca Mego, który jest w Niebiosach? Jest jeszcze większe – to Miłosierdzie Jego nieskończone.

Po raz kolejny słyszymy więc o kluczowym dla Polski znaczeniu opieki Matki Bożej.

PRZEPOWIEDNIE PODLASIANKI

Informacje na temat apostołskiej misji Polski odkrywamy też w przepowiedniach wspomnianej już wcześniej mistyczki o pseudonimie Podlasianka. Jedyną osobą, która знаła tożsamość tej wizjonerki, był ojciec Józef Prus – prowincjał zakonu karmelitów bosych w Polsce,

który przez wiele lat prowadził ją duchowo. Pierwszych wizji doświadczyła w latach 20. XX wieku, gdy była młodą dziewczyną. Później przez kilkadziesiąt lat wielokrotnie spotykała się z Panem Jezusem, Matką Bożą i świętymi. Jak twierdziła:

Polska jest wezwana do wielkich rzeczy. Może stać się wzorem dla innych i wielką potęgą w nadchodzącej epoce, w której dominująca ma być rola Słowian. Bóg powiedział mi w 1932 roku: „Nie do Germanów, a do Słowian należy przyszłość Europy. Stanie się ona tym, czym wy będziecie.” Przez wewnętrzne światło zostało mi ukazane, że Słowianie odpowiedzą imieniu, które noszą – staną się prawdziwie ludźmi Słowa...

Co ciekawe, podobnie jak Helena Majewska, Podlasianka także mówi o potrzebie modlitwy o nawrócenie Rosji:

Komunizm upadnie, spełniwszy swoje zadanie, a Rosja nawróci się na katolicyzm (...) Dużo i gorąco modliłam się za Rosję. Zlecił mi ten obowiązek abp Jan Cieplak, który objawił mi się w 1926 roku, niedługo po swej śmierci. „Idź w głąb czerwonej Rosji, biała polska dziewczynko. Módl się za Rosję. Pan Bóg chętnie przyjmuje modlitwy Polaków za Rosjan, bo to są modlitwy za dawnych ciemnych”. (...) Pan Jezus sam kazał mi w 1932 roku modlić się za Rosję.

Bez względu na to, czy wierzy się w autentyczność tych przekazów – trudno się nie zgodzić, że jest jakaś wyjątkowa siła w modlitwie ofiar za swoich prześladowców. Pan Jezus sam dał nam przykład, modląc się z Krzyża: *Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią* (Łk 23, 34a). Na prawdę daje to do myślenia, zwłaszcza w kontekście fatimskiej przepowiedni Matki Bożej o nawróceniu Rosji. Może rzeczywiście Polska ma tu do odegrania wielką rolę?

W innym miejscu Podlasianka nie pozostawia wątpliwości, że Jezusowi nie chodzi o lekkie zbliżenie czy ocieplenie relacji Cerkwi prawosławnej z Kościołem rzymskim, ale o całkowite nawrócenie Rosji na katolicyzm:

Kiedy (w 1932 roku) modliłam się za unię (Kościoła katolickiego i Cerkwi prawosławnej), Pan Jezus rzekł: „Nie mów mi nic o unii. Nie chcę o niej słyszeć. Już dosyć popłynęło krwi z jej powodu. Rosji nie unii, lecz rzymskiego Kościoła potrzeba. Łacińskie krzyże zabłyszczą kiedyś na Kremlu, a na miejsce zburzonej cerkwi Christa Spasa będzie katolicki kościół Zbawiciela”.

Cerkiew Chrystusa Zbawiciela w Moskwie została zburzona przez komunistów rok wcześniej, w 1931 roku. Odbudowano ją dopiero w latach 90. Kto wie, być może kiedyś będzie to kościół katolicki pod tym wezwaniem...

Także w tych objawieniach Chrystus mówi, że ochroną Polski jest Matka Boża:

Pamiętam o krwawych łzach, które Matka Moja przełała pod Krzyżem i mam wzgląd na Jej Serce przebite mieczem bóleści. To Serce was osłania. Idźcie szukać mocy we Mszy Świętej i czcicie modlitwą różańcową bóleści Mojej Matki. Módlcie się i pokutujcie za siebie i za tych, którzy nie pokutują, aby wyjednać im łaskę skruchy. Wyproście ziemi, aby zakwitła sprawiedliwością i pokojem i aby zostały skrócone dni, które są ku jej zgubie. Pamiętajcie, że kto nie jest ze Mną – rozprasza... Weźcie więc miecz ducha, miecz modlitwy i ofiary, tym mieczem bowiem walczycie i zwyciężycie Królestwo Moje!

Jezus podkreśla, że będzie błogosławił apostolskim działaniom tych, którzy rzeczywiście zechcą podjąć ten trud:

Przyłóżcie rękę do pługa, a będę błogosławił waszemu trudowi. Porzucicie gnuśność, a łaska moja będzie z wami!

BŁ. KS. BRONISŁAW MARKIEWICZ SPOTYKA ANIOŁA STRÓŻA POLSKI

Rankiem 3 maja 1863 roku w Przemyślu doszło do niezwykłego spotkania. W czasie, gdy trwało powstanie styczniowe i dokładnie w dniu, który miał stać się później narodowym świętem Konstytucji 3 Maja

oraz świętem Królowej Polski, gimnazjaliści Bronisław Markiewicz i Józef Dąbrowski spotkali niezwykłego młodzieńca. Miał on wgląd w ludzkie dusze i przepowiedział im przyszłość Polski. Spotkanie tak bardzo poruszyło Bronisława, że tego dnia postanowił zostać kapłanem.

Na cztery lata przed śmiercią, w roku 1908, ksiądz Markiewicz napisał i wydał dramat opowiadający o prześladowaniach Polaków w zaborze pruskim. W odśrodku siódmej zamieścił słowa proroctwa Anioła Stróża Polski, usłyszane w młodości w Przemyślu. Sam ksiądz Markiewicz w liście do biskupa św. Józefa Sebastiana Pelczara napisał:

Szczegóły zawarte w siódmej odśrodku wziąłem z widzenia, jakie wydarzyło się 3 maja w Przemyślu roku 1863 między 5 a 7 godziną rano, i które zdecydowało o moim powołaniu kapłańskim i o jego kierunku od początku aż dotąd. To, co się ziściło, jest rękojmą, że i reszta się ziszczy.

W widzeniu tym zostały przewidziane losy Europy i narodu polskiego, w tym wybuch poważnej wojny światowej, a także wybór Polaka na papieża. Polacy będą mieć ważne zadanie do zrealizowania w przyszłości, a także udzielić wsparcia obywatelom innych krajów, w tym takim – co znaczące – które były im wcześniej wrogie!

Ponieważ Pan was więcej umiłował aniżeli inne narody, dopuścił na was ten ucisk, abyście oczyściwszy się z grzechów waszych, stali się wzorem dla innych narodów i ludów, które niebawem odbiorą karę sroższą od waszej (...).

Wy, Polacy, przez niniejszy ucisk oczyszczeni i miłością wspólną silni, nie tylko będziecie się wzajem wspomagali, nadto poniesiecie ratunek innym narodom i ludom, nawet wam niegdyś wrogim. I tym sposobem wprowadzicie dotąd niewidziane braterstwo ludów. Bóg wyleje na was wielkie łaski i dary, wzbudzi między wami ludzi świętych i mądrych i wielkich mistrzów, którzy zajmą zaszczytne stanowiska na kuli ziemskiej. Języka waszego będą się uczyć na uczelniach na całym świecie. Cześć Maryi i Najświętszego Sakramentu zakwitnie w całym

narodzie polskim. Najwyżej zaś Pan Bóg was wyniesie, kiedy dacie światu wielkiego papieża.

Utwór ks. Markiewicza nosił tytuł *Bój bezkrwawy*, bł. ks. Markiewicz podkreśla bowiem w nim, że Pan Bóg oczekuje od Polaków wielkiego zaangażowania w walkę duchową, a nie przelewania krwi. Tego rodzaju bój nie tylko zagwarantuje Polakom zbawienie, ale także przyniesie siłę narodowi na tym świecie:

Polacy, Bóg żąda od was nie walki, jaką staczali najlepsi przodkowie wasi na polach bitew w chwilach stanowczych, ale bojowania cichego, pokornego i znojnego na każdy dzień, szczególnie przeciw nieprzyjaciołom waszych dusz; żąda od was walki w duchu Chrystusowym i w duchu Jego świętych. On chce od was, abyście każdy na swoim stanowisku, wiedli przede wszystkim na każdy dzień bój bezkrwawy. Tylko pod tym warunkiem dostaniecie się do Nieba, a w dodatku zajmiecie już na tej ziemi święte stanowisko pomiędzy narodami. Pokój wam!

POLSKA ZAJAŚNIEJE – CO ZOBACZYŁ OJCIEC KLIMUSZKO?

Do najbardziej rozpowszechnionych przepowiedni na temat losów Polski należą wizje ojca Czesława Klimuszki, franciszkanina z Elbląga, znanego jasnowidza i zielarza. Podaje on bardzo pozytywny opis przyszłości Polski:

Polska będzie źródłem nowego prawa na świecie, zostanie tak uhonorowana wysoko, jak żaden kraj w Europie (...). Polscy będą się kłaniać narody Europy. Widzę mapę Europy, widzę orła polskiego w koronie. Polska jaśnieje jak słońce i blask ten pada naokoło. Do nas będą przyjeżdżać inni, aby żyć tutaj i szczyć się tym.

Pomimo ciężkich doświadczeń historycznych w ostatnich wiekach, zbliżający się czas ma być według Klimuszki pomyślny:

Jeśli chodzi o nasz naród, to mogę nadmienić, że gdybym miał żyć jeszcze pięćdziesiąt lat i miał do wyboru stały pobyt w dowolnym kraju

na świecie, wybrałbym bez wahania Polskę, pomimo jej nieszczęśliwego położenia geograficznego. Nad Polską bowiem nie widzę ciężkich chmur, lecz promienne blaski przyszłości.

MISJA POLSKI W WIZJACH TERESY NEUMANN

Interesujące rzeczy na temat przyszłości naszego kraju przekazała mistyczka z Niemiec – Służebnica Boża Teresa Neumann. Od 1922 roku aż do swojej śmierci w roku 1962 Teresa miała nie spożywać żadnych pokarmów oprócz codziennej Eucharystii. W 1926 roku została obdarzona stygmatami. Na jej rękach, nogach, głowie i boku pojawiły się krwawe rany, a co tydzień, od północy w czwartek do godziny trzynastej w piątek, rany te otwierały się i krwawiły. Podczas ekstaz była świadkiem Męki Jezusa i mówiła nieznanymi sobie językami. Do jej domu w Konnersreuth w Bawarii przybywało wielu ludzi, prosząc o łaski i wstawiennictwo u Boga.

Teresa otrzymała także dar profetyczny. W swoich prorocत्वach zapewniała Polaków, że ich kraj ocaleje dzięki opiece Matki Bożej – nawet wówczas, gdyby doszło do kolejnej wojny światowej:

Polska ocaleje. Ponieważ przez Polskę wkrótce zaczniesz pielgrzymować Matka Boska Częstochowska i weźmie wasz kraj w swą macierzystą opiekę. Wy, Polacy, macie do nas, Niemców, żal, bośmy was skrzywdzili. Macie rację. Ale przez to wyście już wszystko odpokutowali. Na nas, Niemców, przyjdzie jeszcze pokuta. Wy możecie czuć się spokojni. (...) Za wami wstawia się Czarna Madonna, która będzie chodzić po ziemiach polskich. Wam się już nic złego nie stanie...

Te słowa wypowiedziała na długo przed tym, nim obraz Matki Bożej Częstochowskiej zaczął wędrować przez kraj.

W 1948 roku Teresa miała wygłosić jeszcze takie słowa na temat Rosji i Polski. Choć niektórzy uważają prorocत्व za zlepek fragmentów przepowiedni innych mistyków, to warto je jednak przytoczyć:

Miłosierdzie Moje wejdzie nad narodem będącym w ucisku i pohańbieniu, a ziemia wzgardzonych zobaczy światło i błogosławieństwo nad sobą. Władza bezbożnych ustanie.

Na Kremlu zabłyśną łacińskie krzyże, a na miejscu zburzonej cerkwi Chrystusa Zbawiciela stać będzie kościół katolicki Zbawiciela. Jak w orną ziemię, wpadnie ziarno dobra i odmieni się oblicze narodu, który tyle wycierpiał. Błogosławieństwo Moje dam Słowianom, a Słowianie, choć wielu z nich dzisiaj błędzi, lepiej je przyjmą i obfitszy przyniosą owoc. Będą prawdziwym ludem Moim, ludem Słowa Przedwiecznego i pojmą naukę Moją, i staną się posłusznymi. Nie ci bowiem są wybrani, którzy sami się wybierają, lecz ci, którzy na wołanie Boga wstaną. Nie będą daremne łzy pokuty i modlitwy, a wierność wytrwania nie będzie bez błogosławieństwa i nagrody. Zdejmie niewolnica kajdany swoje i stanie się jako królowa. Wstawią się za nią łzy, które Matka Moja pod Krzyżem przelała, a naród, który Ją czci, nie będzie między narodami ostatni. Świątłych i mądrych Polsce nie odmówię. W języku polskim będą głoszone najmądrzejsze prawa i najsprawiedliwsze ustawy, zaś Warszawa stanie się stolicą Stanów Zjednoczonych Europy. Polska, która pierwsza karę poniosła, choć winą jej nie była największa, prędzej niż inni się podniosła. W czym zawiniła, przez to musiała doznać kary. Ale już bliski jest koniec jej pokuty. Wytrwa przy Kościele swoim i doczeka wyzwolenia.

A więc znowu mowa jest tutaj o nawróceniu Rosji i wyjątkowej roli Polski, mającej podnieść się po latach upadku i zniewolenia, które były dla niej słuszną karą.

↩
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI

[Artykuł stanowi fragment książki „Prorocтва nie lekceważcie! Przepowiednie dla Polski” autorstwa Pawła Kota i Adama Kowalika](#)

[Kliknij TUTAJ i sprawdź jak odebrać książkę](#)

<https://pch24.pl/czy-prorocтво-o-iskrze-z-polski-juz-sie-speelniło/>

NARODOWE REKOLEKCJE CHORWATÓW. BYŁEM ŚWIADKIEM WIELKIEGO KONCERTU „THOMPSONA”

„Nigdy nie zdradzę Boga” – śpiewało pół miliona Chorwatów, którzy w sobotni wieczór przybyli na pola Hipodromu w Zagrzebiu, żeby uczestniczyć w koncercie Marka Perkovicia „Thompsona”. Podczas tego wyjątkowego wydarzenia ksiądz Ante Ivas, emerytowany biskup Szybenika, prowadził utwór-modlitwę *Maranatha*, błogosławiąc zebraną publiczność. Muzyk Petar Buljan, który przypominał o poświęceniu Chorwacji Najświętszemu Sercu Pana Jezusa, zachęcał młodzież do powtarzania słów: „Ja i mój dom będziemy służyć Bogu”. Jednak liberalne media, relacjonując koncert, którego nie sposób było przemilczeć, dopatrzyły się podczas niego wyłącznie skandowania „skrajnie prawicowych haseł”.

Koncert przyciągnął aż 504 tysiące widzów, był zatem drugim co do wielkości zgromadzeniem Chorwatów w historii. Pierwsze miało miejsce w 1994 roku, kiedy Msza Święta sprawowana przez Ojca Świętego Jana Pawła II skupiła w tym samym miejscu – na polach zagrzebskiego Hipodromu – ponad milion osób. Tamta wizyta polskiego papieża stała się aktem absolutnie przełomowym dla Chorwatów, którzy wciąż przecież toczyli wówczas swoją wojnę o niepodległość. Jakkolwiek dziwnie to zabrzmie, wszystko wskazuje na to, że następujące po ponad trzech dekadach sobotnie widowisko rockowe było również wydarzeniem niezwykle ważnym dla duchowości całego kraju.

Marko Perković „Thompson” to muzyk, którego zespół wykonuje muzykę rockową, mocną i twardą, niekiedy sięgającą po heavymetalową stylistykę. Równocześnie ten był uczestnik wojny o niepodległość, noszący pseudonim nawiązujący do nazwy pistoletu maszynowego, jakim walczył, teksty swych piosenek poświęca ważnym epizodom z historii Chorwacji, miłości do ojczystej ziemi i wierze w Boga. Nic

więc dziwnego, że jest zaciekle zwalczany przez lewackie elity polityczno-medialne. Nie mogą one znieść połączenia afirmacji bojowości, męskości i odwagi z katolicką duchowością, głęboką refleksją nad historią i zachwytem nad pięknem Ojczyzny – a to główne motywy twórczości piosenkarza. Media nie potrafią mu wybaczyć, że używa okrzyku *Za dom – spremni!* („Za Ojczyznę – gotowi!”), czyli pozdrowienia chorwackich ustaszy współpracujących z Niemcami w latach drugiej wojny światowej. Nie rozumieją jakby, że jest ono równocześnie hasłem całego pokolenia weteranów wojny o niepodległość lat dwięćdziesiątych.

Pomimo licznych prób bojkotów i zakazów wykonywania utworów „Thompsona”, stał się on na przestrzeni ostatnich 30 lat najpopularniejszym chorwackim muzykiem, sprzedającym setki tysięcy płyt i gromadzącym na koncertach wiele tysięcy fanów. Jego przeboje takie jak *Bojna Čavoglave* („Batalion Čavoglave”), *Geni kameni* („Geny kamieni”), *Dolazak Hrvata* („Przybycie Chorwata”), *Kletva Kralja Zvonimira* („Kłątwa króla Zwonimira”) czy *E moj narode* („Ach, mój narodzie”), śpiewają wszystkie pokolenia mieszkańców kraju. Z kolei piosenka *Lijepa li si* („Jakżeś piękna”), sławiąca urok różnych krain Chorwacji, stała się nawet nieformalnym hymnem piłkarskiej reprezentacji tego kraju, wykonywanym spontanicznie przez kibiców na wszystkich imprezach sportowych.

NIEZAPOMNIANY SPEKTAKL I MODLITWA

Wszystkie te przeboje, a także wiele innych, w tym kilka zamieszczonych na nowym albumie pod tytułem *Hodočasnik* („Pielgrzym”), pojawiły się w repertuarze koncertu na Hipodromie. Trudno opisać wrażenie, jakie robił śpiew tych najbardziej popularnych utworów wydobywający się z pół miliona gardeł. Świetny efekt zrobiły wyświetlane na wielu olbrzymich ekranach animacje ilustrujące na przykład utwór *Kralj Tomislav*, poświęcony pierwszemu chorwackiemu monarsze, którego 1100. rocznica koronacji przypada właśnie w tym roku, lub *Oluja*, upamiętniający operację „Burza”, w ramach której dokładnie przed 30 laty Chorwacja odzyskała Krajinę z rąk Serbów. Kiedy wykonywany był ten ostatni przebój, drony unoszące się nad

Hipodromem wyświetliły obraz sokoła w barwach narodowych, rozpościerającego swoje skrzydła nad zgromadzonymi. Z kolei gdy publiczność śpiewała wraz z Markiem Perkovicem „Nigdy nie zdradzę Boga”, w górze widniał obraz serca, które przekształciło się w wizerunek Maryi z różańcem. Na koniec postać Matki Bożej zniknęła, a pozostał sam różaniec zawieszony na ciemnym niebie. Był to absolutnie kulminacyjny moment koncertu. Chwilę potem w niebo popłynęły taktory piosenki-modlitwy *Maranatha*, a na scenę wyszedł emerytowany biskup Szybenika, ks. Ante Ivas, autor tekstu, który na koniec pobłogosławił wzruszoną publiczność „W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego”. Podczas kolejnego utworu jeden z muzyków, gitarzysta Petar Buljan, przypomniał, że kilka dni wcześniej nastąpiło ponowne poświęcenie Chorwacji Najświętszemu Sercu Pana Jezusa. Zebrana publiczność powtarzała za nim słowa osobistego przyrzeczenia: „Ja i mój dom będziemy służyć Bogu”.

Wielki spektakl, któremu towarzyszyły efekty pirotechniczne i wybuchające w kluczowych momentach fajerwerki, zakończyło wykonanie najbardziej znanego przeboju *Lijepa li si*, którego każdy wers śpiewany był przez całą publiczność tak głośno, że słysząc chyba go było wiele kilometrów poza stolicą.

PORZĄDEK ZAMIAST CHAOSU

Kiedy „Thompson” ogłosił plan organizacji wielkiego koncertu na Hipodromie w Zagrzebiu, dla całej opinii publicznej stało się jasne, że będzie to wyjątkowe wydarzenie; zwłaszcza kiedy okazało się, że przygotowane początkowo ponad dwieście tysięcy biletów rozeszło się w jednej chwili i postanowiono poszerzyć liczbę słuchaczy do 450 tysięcy. Nic więc dziwnego, że przygotowania do koncertu były tematem, którym chorwackie media żyły od wielu dni. Liberalna prasa próbowała na wszelkie sposoby zniechęcać uczestników imprezy, rozpiskując się o fali straszliwych upałów i burz mających pokrzyżować plany organizatorów. Wieszczono chaos organizacyjny i katastrofę grożącą niebezpieczeństwem całej stolicy w związku z pojawieniem się w jednym miejscu tysięcy przedstawicieli „skrajnej prawicy”.

W tym samym czasie zwolennicy „Thompsona” modlili się, a nawet pościli w intencji spokojnego przebiegu koncertu. Przed samym wydarzeniem grupa zaprzyjaźnionych księży miała egzorcyzmować i pobłogosławić cały teren Hipodromu. Kiedy władze chciały z całego kraju ściągnąć siły policyjne, organizatorzy odpowiedzieli, że do zabezpieczenia imprezy wystarczy taka liczba policjantów, jaka zwykła pojawiać się przy innych dużych zgromadzeniach, bo na koncercie obecni będą weterani, ojcowie rodzin i odpowiedzialni młodzi patrioci, którzy sami zadbają o bezpieczeństwo, nawet w przypadkach prowokacji. I tak było rzeczywiście.

Z całego kraju ściągały specjalne pociągi, z najdalszych zakątków Chorwacji, a także z Bośni i Hercegowiny i innych sąsiednich krajów zjechały dziesiątki tysięcy samochodów. Z okolicznych wsi i miasteczek na teren Hipodromu szły długie kolumny pieszych, a życie w centrum Zagrzebia prawie zupełnie zamarło. Z powodu wielkiego upału władze zadbały o zaopatrzenie w wodę, której każdy mógł nabrać z ustawionych przy drogach samochodów-cystern. Choć już wiele godzin przed koncertem i podczas niego jego uczestnicy – jak to Słowianie – bawili się w sposób żywiołowy i pełen temperamentu, a siły porządkowe sprawiały wrażenie niezbyt przejętych swoją pracą, wielka impreza przebiegła w zadziwiającym porządku. Ponad 100 interwencji pogotowia związanych było przede wszystkim z upałem, który doprowadził do zasłabnięć i konieczności udzielenia pomocy na miejscu lub hospitalizacji. Byłem pod wielkim wrażeniem sprawności, z jaką tak wielka masa ludzi opuszczała koncert – niekiedy przez potencjalnie dość niebezpieczne miejsca, jak wąskie schody prowadzące na most na rzece. Nikt nie został stratowany ani zgnieciony, co więcej – choć wszyscy byli bardzo zmęczeni i wyparowała już atmosfera entuzjazmu sprzed koncertu – ludzie udzielali sobie nawzajem pomocy, odnosząc się do siebie nawzajem z uprzejmością i serdecznością.

WSPÓLNOTA NARODOWA

Były to zapewne pierwsze, widoczne gołym okiem, owoce tego wyjątkowego zgromadzenia. Na kolejne przyjdzie poczekać, ale jest więcej niż pewne, że one nadejdą. Na koncercie „Thompsona” spotkały się

bowiem trzy generacje Chorwatów: młodzież, czyli zwykli bywalcy takich imprez, wychowani na przebojach Marka Perkovicia trzydziesto-, czterdziestolatkowie z rodzinami oraz dość liczni, bo szacowani na ponad 50 tysięcy przedstawiciele pokolenia, które wywalczyło niepodległość kraju: pięćdziesięcio-, sześćdziesięciolatkowie i starsi. To w imieniu tych ostatnich przemawiał Marko, który jak sam śpiewa w jednym utworów, utknął gdzieś w latach dziewięćdziesiątych. Reprezentując weteranów zwrócił się z mocnym apelem do młodzieży, by wzięła ona odpowiedzialność za Chorwację i była gotowa jej bronić, tak jak bohaterowie z przeszłości, o których opowiadają piosenki „Thompsona” – jeśli trzeba, oddając swoje zdrowie i życie.

Dojrzałem w oczach młodych ludzi, którzy stali wokół mnie, że apel piosenkarza-obroncy Ojczyzny zrobił na nich wielkie wrażenie. Zrozumiałem, że oto ich udziałem stało się wielkie doświadczenie pokoleniowe, które pozostawi na lata głęboki ślad w ich duszach. Wyrwani z cyfrowych baniek medialnych, w których wszyscy tkwią na co dzień, stali się uczestnikami wspólnoty pokoleń przeszłych, żyjących i mających nadzieję; wspólnoty pełnej wzajemnego szacunku, miłości do własnej ziemi i kultury, Boga i Kościoła.

Zbliżają się czasy wielkich zawirowań historycznych, podczas których niektóre narody, o czym wiemy dzięki objawieniom maryjnym, znikną zupełnie z powierzchni ziemi. Jednak po koncercie na Hipodromie coś mi mówi, że Chorwaci – ten mały pod względem populacji, ale wielki duchem naród – przetrwają wszystkie burze dziejowe.

↩
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI

Powyższy artykuł znajdziesz również tu:

<https://pch24.pl/piotr-doerre-narodowe-rekolekcje-chorwatow-by-lem-swiadkiem-wielkiego-koncertu-thompsona/>

KWESTIONARIUSZ OSOBOWY

ADAM KOWALIK – redaktor „Przymierza z Maryją”, działacz katolicki

AGNIESZKA STELMACH – redaktor i publicysta PCh24.pl

ANDRZEJ NOWAK – profesor nauk humanistycznych, historyk, pisarz i publicysta

FILIP ADAMUS – redaktor i publicysta PCh24.pl

FILIP OBARA – redaktor i publicysta PCh24.pl

GRZEGORZ SZTOK – projektant wizualny, brand stylist

JACEK LASKOWSKI – autor

KRYSTIAN KRATIUK – redaktor naczelny PCh24.pl, pisarz, watykanista

KRZYSZTOF GĘDŁEK – dziennikarz PCh24.pl, filmowiec

ŁUKASZ KARPIEL – zastępca redaktora naczelnego PCh24.pl, redaktor naczelny Kwartalnika PCh24.pl

MARCIN AUSTYN – redaktor i publicysta PCh24.pl, sekretarz redakcji PCh24.pl

MAREK KORNAT – historyk, sowietolog i profesor nauk humanistycznych, specjalizujący się w historii dyplomacji, totalitaryzmów i polityki Polski XX wieku

MATEUSZ WYŻGA – doktor habilitowany, historyk, pracownik naukowy

PAWEŁ CHMIELEWSKI – autor książek, publicysta, watykanista. Redaktor PCh24.pl

PAWEŁ KOT – redaktor i publicysta, działacz społeczny

PIOTR DOERRE – dziennikarz, publicysta, pierwszy redaktor naczelny PCh24.pl, działacz katolicki

RADOSŁAW SIKORA – doktor nauk humanistycznych, historyk i publicysta

RAFAŁ WOŚ – dziennikarz i publicysta, zastępca redaktora naczelnego „Tygodnika Solidarność”

TOMASZ FIGURA – publicysta PCh24.pl

TOMASZ PANFIL – doktor habilitowany, historyk, nauczyciel akademicki


**WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI**



PCh24.pl
POLONIA CHRISTIANA